



wynajme

LILIANA FABISIŃSKA

*Weranda
na Czarcim Cyplu*



SERIA
Jak pies z kotem

*Weranda
na Czarcim Cyplu*

LILIANA FABISIŃSKA

*Weranda
na Czarcim Cyplu*

SERIA
Jak Pies z Kotem

FILIA

CZEŚĆ I

NINA

ROZDZIAŁ 1

TRAFIŁA KOSA NA KAMIENÍ

Wzięłam głęboki oddech i jednym szybkim ruchem otworzyłam szafę. Wisiała tam, gdzie ją zostawiłam. Dramatycznie rozdarta i zakrwawiona po lewej stronie, trochę powyżej talii.

Patrzyłam na nią bez słowa. Powoli wyciągnęłam rękę i dotknęłam perełek przy dekolcie.

„Perły niosą pecha, ból, śmierć” – głos Genowefy Drop, z domu Kozłowskiej, znowu zabrzączał mi w głowie.

Nie, nie, nikt nie umarł. Nie dajmy sobie wmówić takich zabobonów.

– Mogę wreszcie oddać ją do pralni i sprzedać? – Czarna Mańka wbiła we mnie swoje świdrujące atramentowe oczy.

Uśmiechnęłam się pod nosem, wyobrażając sobie, jak spektakularnie wybuchnie, jeśli powiem „nie”. Ataki szału najstarszej z moich trzech młodszych siostr cieszyły się w pełni zasłużoną sławą, sięgającą daleko poza granice Polski.

– Mogę?

O, proszę, jej głos już zaczął charakterystycznie skrzypieć, a czarne oczy wyraźnie się zwężyły. Lada chwila zaczną z nich strzelać lodowate iskry.

Policzyłam do dziesięciu, zanim odpowiedziałam.

Czyżby w tym sanatorium obudziły się we mnie jakieś sadystyczne skłonności? Nie mogłam sobie odmówić patrzenia, jak zaczyna kipieć.

Jej białe policzki stały się jeszcze bielsze. A potem pojawiły się na nich purpurowe rumieńce, jak zawsze u niej tylko w jednym miejscu, na kościach policzkowych.

Czarna Mańka w niczym nie była podobna do mnie, Kostki i do Lutki. Nasza trójka urodziła się wściekle ruda i piegowata. I raczej introwertyczna. Mańka odziedziczyła po babci Krysi urodę Królowy Śnieżki (Jak to było w tej książce z lakierowaną okładką, o którą zawsze się biłyśmy? „Piękna królowa urodziła pewnej nocy dziewczynkę o skórze białej jak śnieg, rumieńcach czerwonych jak krew i włosach czarnych jak heban”). Jakoś

tak...)). No i miała temperamencik godny królowej nożowników. Złościła się zawsze i o wszystko. Pod byle pretekstem.

Zwykle robiłam, co mogłam, żeby zejść jej z drogi. Nie prowokować lwicy, nie dać się pokąsać... Ale dziś miałam ochotę tę dziką bestię trochę podrażnić, diabli wiedzą dlaczego. Psycholog powiedziałaby pewnie, że podświadomie obwiniam ją za ten wypadek... Za to, że trzeba było odwołać ślub, a teraz sprzedać suknię... W końcu wszystko stało się w atelier jej znajomej, słynnej fotografki. I to Mańka uparła się, żeby zrobić „sesję z prawdziwego zdarzenia”. Tak więc, może to milczenie i patrzenie jej wyzywająco w oczy było moją małą zemstą?

A może po prostu miałam taki głupkowaty nastrój? Człowiek, który pcha kijek między kraty odgradzające go od wybiegu dla lwów, rzadko przecież umie wyjaśnić, dlaczego to robi...

Mańka zacisnęła dłonie na skórzanym pasku przytrzymującym na jej wąskich biodrach trawiaste dzinsy.

Dziewięć i pół...

Wyraźnie zaczynała sapać.

Dziewięć i trzy czwarte...

Usta, pociągnięte jej ukochanym czereśniowym błyszczkiem, rozciągnęły się złowieszczo.

Dziesięć!

– Możesz sprzedać tę suknię – posłałam jej najśłodszy z moich uśmiechów. – Jeśli to dla ciebie takie ważne...

– Co takiego?! – rzuciła się w moją stronę jak czarna pantera. – Dla mnie? Ważne DLA MNIE? Ty chyba naprawdę całkiem zwariowałaś... Możesz sobie tę suknię trzymać w szafie choćby i do śmierci, jeżeli masz ochotę. Ale nie sądzę, żeby jej widok dobrze wpływał na twój stan psychiczny i na proces wychodzenia z żałoby.

– Nie jestem w żadnej cholernej żałobie – zaprotestowałam.

– Oczywiście, że jesteś i dobrze o tym wiesz. Opłakujesz Maksa jak wdowa, choć przecież wcale nie umarł.

Maks. Staralam się nie wymawiać tego imienia nawet w myślach. Nie przypominać sobie jego twarzy. A jednak wciąż miałam ją przed oczami.

W czasie mojego pobytu w szpitalu, i potem w sanatorium, Mańka, Lutka i Kostka

usunęły starannie wszystkie ślady jego obecności w tym domu. Zdjęcia, ubrania, pamiątki z podróży, notesy, książki, szczotki do włosów, zębów, paznokci, butów i diabli wiedzą, czego jeszcze. A może to on pofatygował się tutaj osobiście i zabrał każdy najmniejszy drobiazg, który do niego należał?

Nie miałam pojęcia. Moje ukochane siostrzyczki nie odpowiadały na żadne pytania. Powtarzały tylko: „Zapomnij o nim” i próbowały zmienić temat.

A sam Maks? Chyba zmienił numer telefonu... I najwyraźniej nie miał mi już nic do powiedzenia.

Od chwili, gdy spadłam z drabiny, czyli kilkanaście godzin przed planowanym ślubem, właściwie go nie widziałam.

Podobno był przy mnie w szpitalu... Wtedy, kiedy leżałam nieprzytomna.

Podobno przejął się tak bardzo, że musiał wyjść do łazienki. Na mniej więcej trzy dni... Ostre problemy gastryczne wywołane przewlekłym, bardzo silnym stresem czy coś w tym stylu... Czyli, mówiąc po ludzku, megabiegunka. Być może połączona nawet z wymiotami.

Potem dwa czy trzy razy przysłał mi bukiet kwiatów. Przynajmniej tak twierdziły moje siostry. Nie widziałam tych bukietów, tylko gówniane bileciki z logo kwiaciarni internetowej i wydrukowaną uniwersalną czcionką wiadomością, którą wpisano przy składaniu zamówienia na stronie WWW: „Wracaj szybko do zdrowia”, „Kocham i tęsknię” czy coś równie niepowtarzalnego.

– Przecież wiesz, że jest na konferencji w Londynie.

– Przecież musi pracować. Sama chciałaś, żeby znalazł zajęcie, które będzie go fascynować. I właśnie to zajęcie, akurat w tym tygodniu, zmusiło go do wyjazdu do Frankfurtu.

– Jasne, że wolałby być z tobą, ale nie mógł rzucić wszystkiego, żeby siedzieć w szpitalu przy twoim łóżku.

Tak, tak. Moje trzy młodsze siostry naprawdę stawały na głowie, żeby mnie przekonać, że nie mam absolutnie żadnych powodów do obaw. Oczywiście poza moim kręgosłupem i tym, czy kiedykolwiek będę jeszcze chodzić.

– Gdybyś widziała ten bukiet, który kurier przyniósł dziś rano... – przewracała oczami Lutka.

Nie widziałam.

Ponoć był zbyt pachnący i pielęgniarki nie pozwoliły wnieść go na oddział.

– Alergeny – wyjaśniła krótko Kostka.

– Nie chcesz chyba zabić połowy pacjentów jakąś głupią wiązanką we wszystkich

odcieniach różu i kremu? – Mańka patrzyła na mnie z wyrzutem.

Nie, oczywiście, że nie. Ja w ogóle nie chciałam żadnych bukietów, bilecików zadrukowanych uniwersalną i wielofunkcyjną czcionką Calibri 11, której sama używałam zwykle w korespondencji służbowej. Chciałam tylko, żeby Maks był przy mnie. Żeby siedział przy moim łóżku, trzymał mnie za rękę i zapewniał, że wszystko będzie dobrze.

– Przecież siedział tu całą noc. Nie pamiętasz? – Czarna Mańka patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Nie pamiętam – przyznałam po chwili milczenia.

Chyba nie było w tym nic szczególnie dziwnego? Wybudziłam się wtedy z narkozy po drugiej operacji. Z trudem przypominałam sobie, jak mam na imię, a najmłodszą z moich sióstr wzięłam za salową, która przyszła zmienić mi pościel.

Dlaczego więc miałabym pamiętać, że Maks czuwał przy mnie akurat tamtej nocy?

Mogłam nie pamiętać, nie upieram się.

Ale dlaczego to była tylko ta jedna noc?! Przecież powinien być przy mnie przez cały czas! Połamalam kręgosłup na przedślubnej sesji zdjęciowej, w jego ramionach. To chyba wystarczający powód, żeby siedzieć kołkiem przy moim łóżku w szpitalu całymi tygodniami, zamiast latać do Londynu, Paryża, Wiednia czy Frankfurtu. A w końcu do Południowej Afryki!

– Byłoby głupio stracić tyle kasy wyłożonej na waszą podróż poślubną – mówiła Mańka, bardzo zresztą rozsądnie.

Wykorzystując swoje znajomości, próbowała przełożyć nasz wyjazd na później. I nawet jej się udało. Tyle tylko, że to „później” okazało się być stanowczo zbyt wcześnie dla mojego kręgosłupa. Trzynastogodzinny lot do Południowej Afryki (z przesiadką w Amsterdamie!) na wózku inwalidzkim, w gorsecie ortopedycznym, z zastępem pielęgniarek, raczej nie wchodził w grę. Odwiedzanie dziewięciu parków narodowych i jeżdżenie po nich jeepem o wschodzie słońca oraz latanie balonem, żeby zobaczyć słonie i zebry przy wodopoju – tym bardziej nie. Maks wyruszył więc w naszą niedoszlą podróż poślubną z... kolegą, którego widziałam dwa razy w życiu. A ja sama go do tego namawiałam, pisząc SMS-y i nagrywając wiadomości na pocztę głosową. Ta ostatnia, która podobno go przekonała do wyjazdu, brzmiała mniej więcej tak:

Na świecie jest ponad dwieście krajów. I tak nie odwiedzimy wszystkich. Leć, baw się dobrze, a jeśli uznasz, że naprawdę warto, w prawdziwą podróż poślubną pojedziemy tam razem.

Poleciał, tak jak prosiłam. I chyba bawił się bardzo dobrze, bo niemal do mnie nie pisał.

– Myślałam, że wpadnie się pożegnać – jęczałam Kostce, najmłodszej i najbardziej empatycznej z moich młodszych sióstr. – Że będzie przynajmniej udawał, że jest mu bardzo przykro, że jedzie beze mnie.

Kostka mruknęła pod nosem coś o tym, że pewnie wolał nie przychodzić, żeby się nie rozkleić, ale nie brzmiało to zbyt przekonująco.

Wtedy nie zwróciłam na to uwagi. A może zwróciłam, ale nie byłam gotowa, żeby zastanowić się, co to znaczy. Dopiero kilka tygodni później, gdy komórka Maksa przestała odpowiadać, a moje siostry uznały za coś najnormalniejszego na świecie fakt, że przedłużył pobyt w Afryce... mniej więcej o pół roku, spojrzałam prawdzie w oczy. Mój narzeczony był chamem, zdrajcą i oszustem. I z całą pewnością nie był już moim narzeczonym.

Na szczęście ta świadomość nie dopadła mnie w szpitalu, w domu ani nawet w pracy, gdzie mogłabym z wrażenia zawalić najważniejsze negocjacje sezonu albo podpisać kosztorys, którego zdecydowanie podpisywać nie należało. Byłam wtedy w sanatorium w Ciechocinku z najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek poznałam. Przy Natalii nie mogłam popaść w czarną rozpacz i gapić się w ścianę, choć miałam na to wielką ochotę. Przy niej życie pędziło jak rollercoaster, a ja pędziłam razem z nim. Siedząc w ostatnim wagoniku z niezapiętym pasem. I, o zgrozo, nawet mi się to podobało.

No, ale Natalia była teraz prawie pięćset kilometrów od Warszawy, w swoim sielskim zakładzie fotograficznym „Mewa”, ze swoim niezwykłym, mądrym psem i z romantycznym kochankiem, poderwanym w sanatorium.

Ja nikogo nie poderwałam. I siedziałam sama jak palec w swojej sypialni, patrząc na zakrwawioną suknię ślubną.

Mańka miała ją zabrać w poniedziałek rano. I całe szczęście! Miała rację: muszę się jej pozbyć, żeby przestać myśleć o Maksie i znowu prowadzić normalne życie.

Naprawdę miała rację.

Jeszcze tylko trzydzieści jeden godzin i suknia zniknie na dobre.

– Zabierz ją teraz – poprosiłam przez telefon dziesięć sekund później. – Naprawdę nie chcę czekać do poniedziałku.

– Ninka, czy ty wiesz, która jest godzina?!

– Druga czterdzieści siedem – odparłam, patrząc na zegarek. – Nigdy nie sypiasz o tej porze.

– SYPIAM – głos Mańki był wściekły. I rozbawiony jednocześnie. – Nie śpię, ale sypiam. Z kimś całkiem atrakcyjnym. Zamknij więc szafę, zgaś światło i połóż się do łóżka. I

przestań rujnować mi kolejną randkę.

Kolejną? A niby kiedy już jakąś jej zrujnowałam?!

Nie zdążyłam o to zapytać. Mańka rozłączyła się bez pożegnania. Mogłam się założyć, że rzuciła telefonem o ścianę. Bez żadnej szkody dla telefonu. Moja siostra dokładnie знаła swój temperamencik i zawsze wybierała telefony z oferty dla podróżników lub himalaistów. Takie, które nie rozpadają się nawet zrzucone w przepaść z tysiąca metrów. Ostatni aparat sprowadziła chyba dzięki pośrednictwu naszego konsultanta z Oslo. Oferta specjalna dla skandynawskich wielorybników. Nie musiałam się martwić o to, czy wciąż działa. Martwiłam się tylko o ścianę.

Ale może ta randka nie odbywała się wcale w naszym biurze?

Ani w mieszkaniu Mańki?

Może to była anonimowa ściana w hotelu, gotowa na zniewagi? Może ryzyko wybitych dziur i odpadających tynków zostało wliczone w rachunek? Znając Mańkę, raczej wysoki i – jakże by inaczej! – wrzucony w koszty reprezentacyjne SIS-4...

Suknia wyjechała z mojego przedpokoju o szóstej czterdzieści, zabrana przez bardzo zaspanego i bardzo sympatycznego kuriera. Nie mam pojęcia, jakim cudem Mańka zdołała zamówić go w nocy z soboty na niedzielę.

Ale przecież ona zna wszystkich i nawet sprawy niemożliwe nie stanowią dla niej żadnego problemu. Przez pół liceum i całe studia (oraz dwa czy trzy lata po dyplomie) pracowała jako niania na godziny na najbardziej luksusowym osiedlu w Wilanowie. Poznała rodzinne sekrety ministrów, właścicieli wielkich koncernów, kreaterek mody i... pani prezes międzynarodowego banku. Mijały lata, a siatka kontaktów Mańki była coraz bardziej rozbudowana. Ludzie, którym kiedyś bawiła dzieci, wciąż otwierali jej nowe drzwi. A ona robiła z tego mądry użytek.

Kiedyś, jeszcze całkiem niedawno uważałam, że SIS-4 istnieje wyłącznie dzięki mnie. Byłam absolutnie przekonana, że firma padnie, gdy tylko wyłączę komputer na dłużej niż dwanaście godzin.

Pobył w szpitalu, a potem w sanatorium, kazał mi błyskawicznie zrewidować te przekonania. Moje młodsze siostry były mądre, pomysłowe, odważne... Zamiast doprowadzić firmę na skraj bankructwa, podpisały nowe, świetne kontrakty, sprawiły, że otworzyły się dla nas nowe rynki. Myślały nieszablonowo, chwilami wariacko. Gdy dowiedziałam się o fabrykach, które kupiły, przez moment było mi słabo. A potem

popłakałam się z ulgi. One naprawdę sobie poradziły! Mańka uruchomiła wszystkie kontakty, Lutka okazała się niebywale twardą negocjatorką, a Kostka – choć z firmą nie chciała do niedawna mieć nic wspólnego, skupiona na hodowaniu dziwacznych, autystycznych kotów rasy ragdoll – fantastycznie sprawdziła się jako autorka i redaktorka dwuznacznych komunikatów, wypuszczanych potem przez Mańkę w formie kontrolowanych przecieków. Podgrzewały one atmosferę w mediach i sprawiały, że o marce SIS-4 mówiono w całej Europie.

Tylko dlaczego knuły to wszystko w tajemnicy przede mną?

– Nigdy nam nie pozwalałaś podjąć żadnej decyzji – tłumaczyła Lutka, czerwieniąc się i wyłamując nerwowo palce. – Nie zgodziłabyś się nawet, żebyśmy same spróbowały zrobić symulację kosztów takiego zakupu, nie mówiąc już o przygotowaniu prawdziwej dokumentacji ofertowej...

Miała rację. SIS-4 to było moje ukochane dziecko. Poświęciłam wiele, żeby firma się rozwijała, żeby moje siostry były zabezpieczone na przyszłość. Czułam się odpowiedzialna za każdy szczegół. Żaden dokument nie wychodził z biura, zanim nie obejrzałam go trzy razy. Wszystkie maile miały być przesyłane do mojej wiadomości.

Nawet wypadek nie zmusił mnie do zwolnienia tempa. Pracowałam, leżąc plackiem w szpitalu, z komputerem na specjalnej konstrukcji przy łóżku. W sanatorium urządzałam telekonferencje z Kanadą i Japonią, choćby i w środku nocy, nie przejmując się ani trochę tym, że budzę współlokatorkę. Liczyło się tylko SIS-4.

– Fajnie, że teraz trochę wyluzowałaś – powiedziała ostatnio Kostka, niezdarnie się do mnie przytulając.

Najbardziej nieśmiała, małomówna i zestresowana z naszej czwórki. Moja mała siostrzyczka... Nie lubię mówić o uczuciach, dla niej jednak zrobiłam wyjątek. Oczywiście bez żadnych łzawych wyznań.

– Droga pani Konstancjo Drop, bardzo się cieszę, że znowu zaangażowała się pani w sprawy firmy – powiedziałam niby żartem i uściśniłam jej dłoń.

– Dziękuję za zaufanie, pani prezes – odparła, natychmiast wchodząc w rolę. A potem przykucnęła i dygnęła przede mną nisko, jak przed królową.

Może niewiele pożytecznych umiejętności udało nam się wynieść z rodzinnego domu, ale królewski dyg opanowałyśmy do perfekcji wszystkie cztery...

ROZDZIAŁ 2

MAŁA RZECZ, A CIESZY

Z rozkoszą zmywałam z siebie wszystkie stresy długiego, ciężkiego dnia. Przez siedem godzin negocjowałam dostawy z Japończykami – jedynymi, którzy nie przyjęli do wiadomości, że sytuacja w firmie trochę się zmieniła i Lutka oraz Mańka mają teraz takie same uprawnienia jak ja. I taką samą wiedzę. Byłam dla nich jedyną prawdziwą panią prezes i nawet mi to pochlebiało.

Gorący prysznic zdołał nieco rozluźnić moje napięte do granic mięśnie karku. Potrzebowałam masażu. Cudownego, długiego masażu u pani Weroniki... Wcierając odżywkę we włosy, obiecałam sobie, że zaraz do niej zadzwonię i umówię się na jutro.

Balsamowałam nogi i zastanawiałam się, czy nie zdołam ściągnąć jej do siebie, jeszcze dzisiaj. Zapłacę podwójną stawkę, żeby tylko nie wychodzić z domu. Naprawdę potrzebowałam jej magicznych sztuczek, żeby jakoś dojść do siebie po maratonie japońskich uprzejmości i po tym, co wyprawiały od rana moje siostrzyczki. Zwłaszcza Lutka, zwykle spokojna i małomówna, przechodziła samą siebie.

– Jak mogłaś zwolnić Krystiana? – prawie krzyczała, oparta o moje biurko. – Zatrudniłam go dopiero sześć tygodni temu. Ja go zatrudniłam, nie ty!

– Oczywiście – zgodziłam się od razu. – Ja nigdy bym tego nie zrobiła.

– Nie rozumiem, co masz mu do zarzucenia – była purpurowa ze złości. – Świetnie się wywiązał z wszystkich zadań, które mu powierzyłam. Nie wiem, dlaczego...

– Ależ wiesz – uśmiechnęłam się do niej pobłaźliwie. – Wiesz doskonale. Krystian jest partnerem Małgosi z naszej fabryki pod Białymstokiem.

– Byłym partnerem – poprawiła. – Nigdy tego nie ukrywał...

– Trudno byłoby mu to ukryć – pokręciłam głową. – Zgłosiła przecież do dodatkowego ubezpieczenia dwójkę swoich dzieci, a jako ich ojciec figuruje w papierach Krystian.

– Znasz na pamięć wszystkie papiery z kadr? Ze wszystkich fabryk? – patrzyła na mnie

jak na kosmitkę.

Uśmiechnęłam się do niej tajemniczo. Nie musiała wiedzieć, że to przypadek. Nazwisko Krystiana jest dość charakterystyczne. Zapamiętałam je. A poza tym... Lubię brać pod lupę nowych pracowników, zwłaszcza tych, których nie zatrudniałam osobiście. Buszuję po branżowych portalach, przeglądam ich profile na Facebooku, sprawdzam, z czym wyszukiwarka łączy ich adres mailowy i numer telefonu. Ale tych szczegółów nie musiałam podawać nawet Lutce.

– Znam zasady – mruknęła po chwili milczenia. – W SIS-4 nie mogą pracować małżeństwa ani osoby, które pozostają ze sobą w stałym związku. Bez żadnych wyjątków – spojrzała na mnie z wyrzutem.

Uważała, że przesadziłam, usuwając z firmy własnego narzeczonego, jeszcze zanim został narzeczoną. Firma dopiero wtedy raczkowała, mój związek z Maksem też. Kilka sekund przed pierwszym pocałunkiem poprosiłam go, żeby poszukał sobie innej pracy. A on zgodził się bez wahania, utwierdzając mnie w przekonaniu, że warto pójść z nim do kina. Oraz nie czekać ani chwili dłużej z tym pocałunkiem.

– Łączenie pracy z życiem prywatnym po prostu się nie sprawdza – powiedziałam do Lutki jak do nieco ociężałego umysłowo dziecka. – Rozmawialiśmy już o tym tyle razy...

– Ja wiem, ja to wszystko doskonale rozumiem – zamachała przed twarzą rękami, jakby odganiała od siebie stado natrętnych much. – Ale oni już nie są parą, i to chyba od czterech lat. Małgosia ma nowego narzeczonego, a Krystian nawet żonę i maleńkie dziecko.

Przewróciłam oczami. Maleńkie dziecko! Naprawdę, świetny materiał na oddanego naszej firmie pracownika. Będzie przysypiał na zebraniach i brał nieoczekiwane zwolnienia lekarskie w najbardziej niespodziewanych momentach.

Nigdy nie powiedziałam tego głośno (gdyby ktoś usłyszał, mogłabym skończyć w sądzie pracy), wolałam jednak nie zatrudniać ludzi z małymi dziećmi. Albo tych świeżo po ślubie, którym dziecko mogło urodzić się w każdej chwili.

– Nie są już parą, ale mają wspólne dzieci – powiedziałam, zmęczona tą rozmową. – To jeszcze gorzej. Konflikty w takiej sytuacji są nieuniknione. Uwierz mi: one pojawią się wcześniej czy później. Jak nie o alimenty, to o to, do jakiej szkoły wysłać dziecko albo u kogo powinno spędzić święta. Nie potrzebujemy w firmie takich sytuacji.

– Zwolniłaś go tylko dlatego, że ma dzieci z Małgosią pracującą ponad dwieście kilometrów stąd? – Lutka patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

Pokiwałam głową.

– To jest niezgodne z polityką firmy. Nie mogłam zwolnić Małgosi. Pracuje w SIS-4 od prawie trzech lat i z tego, co wyczytałam w jej karcie kariery, naprawdę nieźle sobie radzi i nigdy nie sprawiała żadnych kłopotów. Zwolnienie jej byłoby nie w porządku.

– Nie w porządku? – krzyknęła Lutka, przechylając się przez moje biurko. – A ty to niby jesteś w porządku? Cholerna mistrzyni fair play, ze swoją polityką firmy! Czasami jest mi wstyd, że nazywam się tak, jak ty... I że prowadzę tę firmę razem z tobą!

Nie wiem, dlaczego aż tak się uniosła. Chyba nie zakochała się w tym całym Krystianie? Sama mówiła, że ma żonę i małe dziecko... Może więc po prostu uważała, że go skrzywdziłam? Nie rozumiała, że robię to dla niej... dla nas. Ta firma była przecież wszystkim, co miałyśmy. Ona miała zapewnić mnie i moim siostrom spokojną przyszłość.

Trochę się rozkleiłam w tej łazience. Trochę? Rozkleiłam się tak bardzo, że wtarłam właśnie w lewą nogę drugą porcję balsamu, nie wiadomo po co. Nie wchłonął się do końca, tworząc wokół mojej kostki delikatną, lśniąca obrączkę.

Westchnęłam ciężko i postanowiłam nałożyć na twarz maseczkę z mango, moją ulubioną. Ten zapach zawsze doskonale poprawiał mi nastrój...

Otworzyłam opakowanie i starannie rozprowadziłam żółtą papkę, omijając okolice oczu. I oczywiście w tym momencie zabrzączał dzwonek interkomu.

– Halo? – starałam się trzymać słuchawkę tak, żeby nie pokryła się cała moją maseczką. Bardzo grzeczny i trochę wystraszony ochroniarz, mający nocną zmianę przy bramie osiedla, informował, że przyszedł do mnie właśnie kurier z jakąś paczką.

– Kurier? O tej porze?!

– Podobno to przesyłka ekspresowa.

– Niech zostawi u pana, odbiorę jutro rano – mruknęłam. Nie przyjmę przecież kuriera z maseczką na twarzy i turbanem na włosach! Oraz obrączką z balsamu nad lewą kostką.

– Mówi, że mu nie wolno. Że to nie powinno czekać...

Zastanowiłam się przez moment, co może być aż tak pilne. Do głowy przyszło mi tylko sushi. W jego przypadku faktycznie liczą się godziny...

Ale ja nie zamawiałam sushi, cennych truflí ani nawet zwyczajnej pizzy. Transportu żywych homarów też się tej nocy nie spodziewałam.

– Naprawdę nic się nie stanie, jeśli to poczeka do rana – oświadczyłam stanowczo.

– Ale... Ja przepraszam... Ten pan mówi, że musi dostarczyć przesyłkę do rąk własnych... – Ochroniarz wyraźnie omdlewał przy telefonie. Pewnie słyszał od kolegów,

że bywam niemiła. Może nawet kiedyś doświadczył tego osobiście? Jeżeli tak, to na pewno nie bez powodu. Nie bywam niemiła, dopóki ktoś nie nadeptnie mi na odcisk...

– Proszę dać mi tego kuriera do telefonu – syknęłam.

Negocjacje były krótkie i skończyły się moją porażką. Nie może zostawić ochroniarzom. Nie może wrócić jutro. Ma zlecenie ekspresowe. Musi mi oddać, i to natychmiast.

– Proszę wejść – skapitulowałam mniej więcej po dziewięćdziesięciu sekundach. – Tylko niech pan na mnie nie patrzy...

Paczka była leciutka jak piórko. Zbyt lekka jak na swoją wielkość.

– Co w niej jest? – zapytałam kuriera.

Wzruszył ramionami.

– Poduszka wypełniona pierzem? – zażartowałam.

Potrząsnął krótką jasną grzywką.

– Jeszcze jeden podpis, na samym dole – stuknął palcem w prostokątne pole w rogu kartki.

Już nie próbowałam dowcipkować. Najwyraźniej nie miał poczucia humoru. A może tak zadziałała na niego żółta maź na mojej twarzy, wytarta tylko częściowo w czasie, gdy przemierzał odległość od bramy wjazdowej do moich drzwi?

Burknął coś na pożegnanie i wyszedł.

Zostałam sama z podejrzaną przesyłką. Zerknęłam na imię i nazwisko nadawcy. Nic mi nie mówiło. Justyna Nadrożna? Na pewno nie znałam nikogo takiego.

Znalazłam maleńką rubryczkę z napisem: „Zawartość”. Z wysiłkiem odczytałam niewyraźne litery: „Materiały tekstylne”.

Co takiego? Czyżbym znowu dostała paczkę pełną włóczki? Swego czasu moje ukochane siostrzyczki przysłały mi taką do sanatorium. Wśród kolorowych motków ukryte były umowy zakupu dwóch fabryk, polskiej i ukraińskiej. Taka niespodzianka, no i dowód ich nietypowego poczucia humoru.

Wyszło im tak sobie, bo zniechęciłam się po obejrzeniu pierwszych trzech motków, nie przeszukałam dokładnie paczki i nie miałam pojęcia, że coś kupiły... Że podjęły tę decyzję beze mnie, po raz pierwszy robiąc coś samodzielnie w imieniu SIS-4. Nie byłam wtedy pewna, czy się na nie wściekać, czy raczej dziękować. Zrobiłam więc jedno i drugie.

Czyżby w tej paczce kryła się znowu jakaś koperta z dokumentami w kilku językach?

Rozciąłam grubą taśmę, rozerwałam paznokciami papier.

W pudełku nie było kolorowych kłębuszków wełny. Było za to mnóstwo białego tiulu. I trochę koronki.

– Co to jest, do cholery ciężkiej? – na usta cisnęły mi się jeszcze gorsze przekleństwa. Nie zdążyłam jednak wyrzucić z siebie głośno żadnego z nich, bo nagle zrozumiałam, na co patrzę.

To była moja suknia ślubna. Ta, którą kurier zabrał kilka dni temu o szóstej czterdzieści. Kurier był inny, ale suknia ta sama, bez cienia wątpliwości.

Między warstwy tiulu wsunięta była żółta karteczka z delikatnymi kwiatkami namalowanymi w narożniku. Odręcznie napisano na niej kilka zdań:

Dziękuję bardzo i przepraszam. Suknia jest piękna, z pewnością przyniesie komuś wielką radość. Niestety, ja za cztery miesiące na pewno się w nią nie zmieszczę... Nie ma więc sensu, żeby u mnie leżała.

Justyna Nadrożna.

PS Tak jak się umawialiśmy telefonicznie, proszę zwrócić pieniądze na konto, z którego robiłam przelew. Zależy mi na czasie, muszę poszukać innej sukienki, dlatego też odsyłam suknię przesyłką ekspresową.

Umawialiśmy się telefonicznie?! Z nikim i na nic się nie umawiałam!

Wybrałam numer Mańki.

– Nieważne, z kim leżysz teraz w łóżku – zawołałam bez żadnych wstępów. – Przeprós pana na moment i wyjaśnij mi łaskawie, co to wszystko znaczy! Dlaczego jakaś Justyna odsyła mi suknię ślubną i żąda ode mnie zwrotu pieniędzy?

– Jesteś na głośnomówiącym – odezwała się Mańka po cichu. – Właśnie odbieram pana Pietrone z lotniska.

Cholera ciężka! Pan Pietrone był Włochem bardzo starej daty. Domagał się nie tyle szacunku, co nabożnego uwielbienia. Sprzedał nam swoją fabryczkę bandaży tylko pod warunkiem, że nie zmienimy profilu produkcji, nie zwolnimy personelu... i damy mu wgląd we wszystko, co się tam dzieje, przez co najmniej pięć lat.

Fabryczka była nieduża, porządnie zarządzana, nie zamierzałyśmy wprowadzać tam dużych zmian, tak więc zgodziłyśmy się na jego warunki. Bardzo potrzebowałyśmy takiego zakładu właśnie w tej części Europy.

Niestety, natychmiast po finalizacji umowy pan Pietrone zaczął się zachowywać jak książe. Zupełnie jakby nie sprzedał nam fabryczki, tylko kupił nas i całe SIS-4 na targu niewolników...

Chwilowo musiałyśmy się na to godzić, bo miał jeszcze dwa zakłady produkcyjne, na które ostrzyłyśmy sobie zęby. Zwłaszcza ten na Sycylii, na ogromnym terenie, gdzie dałoby się bez trudu dostawić jeszcze cztery hale... Miał też patent na opatrunki żelowe, jakich nie robił nikt w Europie.

Stanowczo nie powinnam wrzeszczeć przy Pietrone na własną siostrę.

– *Buona sera, signor Pietrone!* – zawołałam do słuchawki radosnym tonem.

– *Sera* – odpowiedział łaskawie Włoch.

– Zadzwoń do mnie, jak tylko dojedziesz do hotelu – szepnęłam do Mańki. – Kurier przyniósł mi suknię... Nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Dziewczyna, która ją kupiła, wczoraj zorientowała się, że jest w ciąży – wyjaśniła mi szybko nerwowym szeptem. – Ślub bierze dopiero jesienią, a więc nie zmieści się w twoją sukienkę. Zgodziłam się, żeby ją oddała... Nie miałam chyba wyjścia. Tylko cholera, pięć razy mówiłam, żeby wysłała na adres firmy, a nie na twój, domowy! Dobra, porozmawiamy potem, nie martw się niczym. Odeślę pieniądze i sprzedam suknię do jakiegoś salonu ślubnego. A teraz muszę... *Si, si, signor Pietrone. Subito!*

Jeszcze przez chwilę słuchałam, jak płaszczy się przed tym siwym kurdupem ze złotym sygnetem i wielkim brzuchem.

A potem wepchnęłam pudło z białą zawartością na dno szafy, zamknęłam garderobę na klucz, jakby w obawie, że suknia wydostanie się w nocy i zacznie spacerować po mieszkaniu. Zmyłam starannie resztki maseczki, nalałam sobie duży kieliszek białego wina i... zaraz wylałam go do zlewu.

Nie zamierzałam koić nerwów alkoholem. Zbyt dobrze wiedziałam, jak to się kończy.

Stanowczo potrzebowałam masażu. Na telefon do pani Weroniki zrobiło się jednak za późno.

Mogłam tylko położyć się do łóżka, licząc na to, że wcześniej czy później uda mi się zasnąć. Albo usiąść do biurka, włączyć komputer i zrobić coś pożytecznego dla SIS-4.

Wybrałam oczywiście to drugie rozwiązanie.

I siedziałam do świtu nad dokumentacją naszego nowego przeboju mającego podbić rynek niemiecki i kanadyjski: wzmacnianych kurtek ochronnych dla pracowników budowlanych. Wystarczyło lekko przebranżowić fabryki kupione za bezcen przez moje siostrzyczki, żeby wypuścić naprawdę niezwykły produkt, o parametrach zbliżonych do

kamizelek kuloodpornych lub ochraniaczy dla jeźdźców skaczących konno przez przeszkody.

Hmm... Może powinnyśmy się rozejrzeć za nowymi możliwościami także w segmencie sportowym?

Ten pomysł sprawił, że zaczęłam oddychać nieco szybciej. I nareszcie w ogóle nie myślałam o Maksie.

Nigdy nie rozmawiałam z siostrami o odwoływaniu gości weselnych, odsyłaniu prezentów i informowaniu wszystkich, których poinformować należało, że ślubu nie ma i nie było.

Na pewno miały pełne ręce roboty.

Wiedziały, że dostanę szafu, jeżeli ktoś zadzwoni z gratulacjami, poprosi o pokazanie zdjęć ślubnych albo zapyta, jak udała się podróż do Afryki. Uprzedziły wszystkich pracowników, byłych i obecnych... A także kontrahentów, klientów, dostawców, nawet tych, którzy zjawiali się u nas raz do roku. Chwilami miałam wrażenie, że rozesłały tę wiadomość po całej kuli ziemskiej – a także, być może, na kilka planet ościennych.

A jednak nie zdołały przewidzieć wszystkiego.

– Nareszcie państwo wrócili z tej Afryki! – zawołał ktoś za moimi plecami, gdy wychodziłam z gabinetu pani Weroniki, cudownie zrelaksowana po jej masażu. Mój kręgosłup potrzebował tych magicznych dłoni bardziej niż kolejnej operacji i bardziej niż codziennych sesji u rehabilitantki wyciskającej ze mnie siódme poty. Nareszcie czułam się prawie normalnie. Przez sekundę myślałam nawet o założeniu butów na obcasie (na bardzo malutkim obcasie) zamiast upiornych ortopedycznych „pantofelków” sprowadzonych z pracowni w Mediolanie. Jedynych, które wyglądały jak buty, a nie prawidła dla kulawego ogra.

Nie miałam pojęcia, do kogo należał ten głos. Słowo „państwo” zwiastowało jednak trudną rozmowę. Mańka, Lutka i Kostka musiały kogoś przegapić podczas kolportowania informacji o odwołanym ślubie. Jak rodzice Śpiącej Królowny, którzy zapomnieli o staruszce z wrzecionem, siedzącej cicho na najwyższej zamkowej wieży.

W ich przypadku cena za tę nieuwagę była naprawdę słona. Stuletni sen... Miałam nadzieję, że mnie czeka nieco łagodniejszy wymiar kary.

– Gdzie się państwo podziewali tyle czasu? Już myślałam, że się przeprowadziliście. A ja co rano trzymam do dziesiątej dla pana Maksymiliana bułeczki, te jego ulubione...

Cholera ciężka, ekspedientka! Z tej małej piekarenki, do której z mojego domu jest zupełnie nie po drodze. Maks jednak kochał małeńkie bułeczki z czarnuszką, a sześćdziesięcioletnia ekspedientka z drobniutkimi loczkami w kolorze jajecznicy najwyraźniej kochała jego.

Wpadał tam często w drodze do pracy. Ze mną był tylko raz czy dwa. Nic dziwnego, że moje siostry przegapiły to miejsce i nie zaniósły uroczej ekspedientce hiobowych wieści.

– Maksymiliana na razie nie ma w Warszawie – mruknęłam, nie czując się na siłach opowiadać z detalami (albo i bez detali) o tym, co się zdarzyło.

– Tak właśnie przypuszczałam! Gdyby był, nie przeżyłby przecież ani tygodnia bez moich bułeczek! – Sprzedawczyni była najwyraźniej bardzo pewna siebie. – Wiele razy powtarzał, że przyjedzie po nie choćby z Krakowa albo ze Szczecina, bo bardzo przypominają mu szczęśliwe chwile, gdy podróżował z plecakiem po Indiach, niemal przez cały rok. Wiedziała pani, że hindusi bardzo lubią czarnuszkę i często dodają ją do tych swoich placków?

– Nie miałam pojęcia – jęknęłam.

Nie miałam pojęcia, że Maks miał za sobą taką podróż! Nigdy nie wspominał o Indiach i o tym, że wyjeżdżał z Polski na tyle miesięcy.

Ciekawe, kiedy tam był? I z kim?

Nie, nieprawda. Nieciekawe. Zupełnie nieciekawe. To przecież nie ma już żadnego znaczenia i w ogóle nie powinno mnie obchodzić.

– Do widzenia – z najwyższym trudem rozciągnęłam usta w czymś choć trochę podobnym do uśmiechu. Mój kręgosłup rwał nawet przy najlżejszym ruchu. Pieniądze wydane na masaż u złotorękiej Weroniki i na codzienne wizyty u rehabilitantki mogłam równie dobrze wyrzucić w błoto. Stres zabijał natychmiast wszystkie efekty.

– Niech pani pójdzie ze mną! – sprzedawczyni chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w boczną uliczkę.

Zawylałam z bólu.

– Przepraszam, miałam wypadek... – wyjaśniłam z wysiłkiem, widząc jej przerażoną twarz.

– O, Boże, nie wiedziałam. Pan Maksymilian nic mi nie mówił. Przed ślubem czy po?

– Przed. Dzień przed... – mruknęłam, marząc tylko o tym, żeby zakończyć tę rozmowę i położyć się na podłodze, w pozycji, której nauczyłam się w Ciechocinku. Jeszcze chwila, a przyjmę kształt embriona tutaj, na środku chodnika!

Ale przecież ta kobieta nie była niczemu winna. Tryskała życzliwością, entuzjazmem i

naprawdę piekła cholernie smaczne bułeczki.

– Mam coś specjalnie dla pani... – Już mnie nie szarpała, tylko wskazywała drogę dłonią. – To przecież tylko kawałeczek stąd. Może ja pobiegnę i przyniosę, a pani usiądzie na ławeczce i odpocznie?

Z wdzięcznością przystałam na tę propozycję.

Ławeczki nie było, ale przedsiębiorcza ekspedientka zaprowadziła mnie do sklepu obuwniczego w zielonej bramie i usadziła ostrożnie na foteliku tuż przy kasie.

– Tylko na sekundkę, Magdusiu. Pani musi odsapnąć, jest po wypadku – przesłała promienny uśmiech zaskoczonej dziewczynie ustawiającej na półkach czerwone szpilki wykonane z czegoś, co miało imitować wężową skórę.

Faktycznie, nie było jej tylko kilka minut.

Powoli doszłam do siebie i nawet udało mi się wstać i przejść wzdłuż regału, niemal nie czując bólu.

Nie dam się wyprowadzić z równowagi żadnym głupim bułeczkom z czarnuszką!

– Proszę bardzo – zaróżowiona, lekko zdyszana sprzedawczyni z piekarni potrząsnęła jajecznymi loczkami i wysunęła w moją stronę dużą błękitną torbę z nadrukiem w serduszka. – Niech pani otworzy! To prezent ślubny, ale tak naprawdę jest tylko dla pani... Trzymałam w szufladzie już tyle czasu! Tak się martwiłam, że państwa nie odzyskam...

– Ale ja nie mogę, naprawdę... – uznałam, że czas jednak wyjaśnić, że nie było żadnego ślubu. – Zaszło pewne nieporozumienie...

– Nie ma mowy o nieporozumieniu! – Miałam wrażenie, że zaraz zacznę fruwać w powietrzu z radości, że przyniosła dla mnie coś tak wspaniałego. – Proszę tylko popatrzeć!

Nie czekała już dłużej, aż zajrzę do paczki. Sama wyciągnęła ze środka jakieś naczynie i kartkę papieru, zwiniętą w rulon i przewiązaną różową wstążeczką.

– Co to jest? – zbaraniałam, kiedy zaczęła nią machać mi tuż przed nosem.

– Przepis – wyrzuciła z siebie nareszcie z wielką dumą. – Nasz tajny przepis na bułeczki z czarnuszką! Musiałam przez miesiąc błagać szefa, żeby go udostępnił dla stałego klienta, kupującego ten nasz przysmak regularnie, od lat. No i jest! A do niego foremka na dwanaście bułeczek. Pan Maksymilian zwykle kupuje sześć sztuk, więc będzie miał jeszcze drugie tyle na kolację, po powrocie do domu.

Dla mnie najwyraźniej nie przewidziano ani jednej małej bułeczki. Pan Maksymilian miał za to pożerać tuzin dziennie, wypiekany moimi rękami, pewnie jeszcze zanim się obudzi. Cudowny prezent dla młodej pary, nie ma co! Spychający żonę do kuchni każdego

poranka.

– Pan Maksymilian jest w Afryce – oświadczyłam, sapiąc ze złości i z bólu, który znowu trzymał mnie mocno w swoich szponach. – Ślubu nie było i nie będzie. Nie mam z nim kontaktu. Ale jeżeli kiedykolwiek się odezwie, on albo jego adwokat... – Nie mam pojęcia, co mi strzeliło do głowy, żeby w to wmieszać adwokata! – to na pewno natychmiast przekażę, że jego nowa wybranka serca powinna zgłosić się do pani po foremki i tajny przepis. Żeby do śmierci każdego poranka wypiekać ukochanemu dwanaście bułek!

Loczki w kolorze jajecznicy z każdym moim słowem opadały coraz smętniej w dół. Dziewczyna układająca buty na półkach wychylała się za to coraz mocniej zza sterty kartonów, starając się nie uronić ani jednego słowa.

Pewnie nigdy jeszcze w tym sklepie nie rozgrywały się podobne sceny.

– Dziękuję – powiedziałam w przestrzeń nie wiadomo do kogo i, zaciskając zęby z bólu, wyszłam na ulicę.

Zrobiłam kilka kroków, oparłam się o ścianę i z trudem wyjęłam z torebki telefon.

Bardzo chciałam wypłakać się komuś bez udawania silniejszej niż jestem.

Do głowy przyszła mi tylko jedna osoba. Tylko ona naprawdę mogłaby tego wszystkiego wysłuchać i może nawet powiedzieć coś, dzięki czemu poczułabym się choć trochę lepiej.

– Bardzo mi Ciebie brakuje, Natalio – wychlipałam, kiedy po siedmiu sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka. – Nawet nie wiesz, jak bardzo...

ROZDZIAŁ 3

NA GÓRZE RÓŻE, NA DOLE FIOŁKI...

Rafał pojawił się równie nagle i niespodziewanie, jak przesyłka z suknią.

Punktualnie o ósmej weszłam do biura, a on po prostu tam siedział, w fotelu koło sali konferencyjnej, i uśmiechał się do mnie równymi, białymi zębami.

Wściekłam się w ułamku sekundy.

– Kto pana wpuścił? Gdzie jest Lutka, to znaczy... no... pani prezes Ludwika Drop? – mówiłam ciut za głośno w nadziei, że ktoś przyjdzie mi z pomocą.

Nikogo jednak nie było. Nawet Lutki, choć zawsze przychodzi pierwsza, dużo wcześniej niż pozostali.

– Nie pamiętasz mnie? – młody mężczyzna patrzył mi wyzywająco w oczy, a w kącikach jego ust błądziło coś, co przypominało bezczelny uśmiech. – Byłem z tobą i z Mańką na obozie harcerskim, kiedy skończyłaś piątą klasę.

Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam się śmiać jak opętana. Harcerz sprzed dwudziestu lat wpadł nagle, żeby przypomnieć mi o swoim istnieniu.

– Rafał? – Nie, nie przypominałam sobie jego twarzy. Po prostu takim imieniem się przedstawił, kiedy dostrzegł mój pytający wzrok, od razu przy wejściu do firmy.

– Rafał – potwierdził z tym swoim głupim uśmiechem. – Na pewno mnie pamiętasz...

– Na tym obozie nie było żadnego Rafała – darłam się na Czarną Mańkę wieczorem. – Przejrzałam wszystkie zdjęcia, pamiętnik, który wtedy pisałam, i drugi, ten w twardej okładce, do którego wpisywali się wszyscy znajomi.

– Na górze róże, na dole fiołki? – Mańka patrzyła na mnie rozbawiona. – Ciągłe go przechowujesz?

Nie odpowiedziałam. Wyliczałam dalej, jednym tchem:

– Znalazłam też notes z numerami telefonów, którymi się wymienialiśmy, i zdjęcie grupowe z ostatniego dnia, z podpisami dzieciaków na drugiej stronie... Nie było Rafała i

już! To jest jakiś wariat albo oszust. Nie powinnyście w ogóle wpuszczać go do naszego biura!

Milczała przez moment, a jej czarne oczy zrobiły się jeszcze ciemniejsze.

– Chłopak potrzebuje pracy. Jest naprawdę niezły. A po tamtej aferze z Krystianem wolałyśmy, żebyś sama podjęła decyzję...

– Czyj to narzeczony? – zapytałam konkretnie. – Kto prosił was o pomoc?

Mańka westchnęła ciężko, jak zwykle kiedy udawało mi się przejrzeć jej sprytne plany, a potem spuściła wzrok i szepnęła:

– Nie jest niczym narzeczonym. To znajomy Kostki.

– Hodowca kotów? – zażartowałam, chociaż wcale nie chciało mi się śmiać.

– Żaden hodowca. On... No wiesz, jest wolontariuszem w tym nowym schronisku – powiedziała Mańka jeszcze ciszej.

No oczywiście, jak mogłam od razu się nie domyślić. Najmłodsza z moich sióstr pół życia spędzała w schroniskach, przytuliskach i fundacjach. Wciąż przewoziła jakieś beżpańskie kocury z ulicy do domów tymczasowych, z tymczasowych do stałych... Na liście kontaktów w komórce oprócz najbliższej rodziny miała właściwie tylko kociarzy. Prowadziła w domu hodowlę okropnych, dziwacznych i koszmarnie drogich kotów rasy ragdoll. Wyglądały jak nakręcane zabawki, nie wskakiwały na meble, nie umiały się bronić, nie drapały... Nie można ich było nawet zostawić w ogrodzie, bo zdarzały się przypadki porwania tych bezwolnych, głupkowatych kulek sierści przez jastrzębia.

Nie umiałam ich polubić. Patrzyły szklanym, nieobecnym wzrokiem, jak pacjenci szpitala psychiatrycznego po podwójnej dawce leków.

Dużo większą sympatię budziły we mnie te wszystkie bure, zapchlone dachowce, wyłapywane przez kumpli Kostki na śmietnikach i ratowane od śmierci głodowej gdzieś na działkach... Zastanowiłam się przez moment, jak wyglądały dłonie Rafała czekającego na mnie grzecznie na foteliku przy wejściu do biura. Na pewno je widziałam... Na pewno! Przymknęłam oczy i zobaczyłam wyraźnie szczupłe palce, z perfekcyjnie opiłowanymi paznokciami.

Te ręce nie były podrapane.

– On nie jest żadnym wolontariuszem – mruknęłam, zaskoczona intrygą, którą knuły moje siostrzyczki. – Czy mogłabyś wreszcie powiedzieć mi prawdę na jego temat? I zabierz proszę tę suknię, nie chcę już na nią patrzeć.

Mańka wzięła pudło z trefną zawartością, wyniosła je do samochodu i nie wracała chyba przez dziesięć minut. Nabrałam już podejrzeń, że pojechała do domu, nie mogąc znieść

faktu, że zdemaskowałam ich kłamstwo.

Wreszcie przysłała z powrotem, z rozkosznie zaróżowionymi policzkami Królowy Śnieżki.

– To naprawdę kolega Kostki, tyle że wcale nie szuka pracy – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Po prostu chciałyśmy, żebyś go poznała. Jest rozwiedziony od dwóch lat, ma świetną pracę, dom w Zalesiu... Wymyśliłyśmy tę starą znajomość, bo inaczej nie chciałybyś nawet spojrzeć w jego stronę. A to naprawdę fajny facet, mogłabyś iść z nim do kina albo na kawę...

Czy ja śniłam? One naprawdę zamierzały mnie swatać z pierwszym lepszym rozwodnikiem!

– Co wam odbiło? – jęknęłam.

Nie odpowiedziała ani słowem.

I dopiero kiedy wyszła, pomyślałam, że ten cały Rafał – o ile naprawdę ma tak na imię – musi mieć nie po kolei w głowie. Jakim cudem dał się im wciągnąć w ten potwornie durny plan???

Po raz drugi suknia wróciła tydzień później.

Tym razem zamiast kuriera zjawiała się śliczna jasnowłosa dziewczyna w czarnym swetrzysku do kolan.

– Jakaś kobieta w sprawie sukni ślubnej – poinformowała mnie lekko spanikowanym głosem Agnieszka, wkładając głowę przez szparę w drzwiach. Za dwie minuty miałam zacząć telekonferencję z Toronto.

– Nie sprzedajemy sukien – mruknęłam, zanim dotarło do mnie, że Mańka wysyłała ją pewnie tym razem z firmowego adresu, żeby oszczędzić mi nocnych wizyt kuriera. – Poczekaj, już do niej idę. Zaczynaj konferencję z Hamishem, a ja dołączę dosłownie za sekundę. Pokaż mu na początek tę nową reklamę na rynek azjatycki. Masz plik po poprawkach na pulpicie z dzisiejszą datą.

– Idź już! Dam sobie radę! – jedna z moich najlepszych pracownic niemal wypchnęła mnie z biura. I szepnęła, gdy byłam już za drzwiami: – Uważaj na tę blondynkę. Wygląda na wariatkę...

Blondynka jednak nie była wariatką. Była po prostu w żałobie.

– Bardzo mi przykro, że muszę oddać tę suknię. Jest przepiękna... Straciłam jednak ukochanego dziadka, zmarł dwa dni temu. I nagle wszystko się zmieniło.

– Odwołuje pani ślub z tego powodu? – przypomniała mi się Natalia i jej suknia haftowana w kwiaty maku, nigdy chyba nie odebrana od krawcowej właśnie z powodu żałoby. Czyżby u tej dziewczyny miało być podobnie?

– Ślub odbędzie się zgodnie z planem. Dziadek jeszcze na łożu śmierci błagał, żebym go nie przesuwiała. A więc będzie, tak jak mu obiecałam... Ale cichy, skromny, bez wesela... Biała suknia wydaje mi się teraz zupełnie nie na miejscu. Pójdę w skromnej szarej sukience do kolan... Mam nadzieję, że pani zrozumie i odda mi pieniądze...

– Oczywiście.

W panice zastanawiałam się, za jaką kwotę Mańka sprzedała moją suknię i skąd mam wziąć teraz gotówkę. Z firmowej kasy? Nigdy, przenigdy nie robiłam czegoś takiego...

– Przeleje mi pani na konto?

– Oczywiście – odetchnęłam z ulgą, a ona delikatnie podała mi biały pokrowiec z wystającym wieszakiem, kiwnęła lekko głową – i już jej nie było.

Nie miałam teraz czasu, by o tym myśleć. Rzuciłam suknię na oparcie fotela dla gości, tego samego, na którym nie tak dawno siedział Rafał, i popędziłam do Hamisha, czekającego niecierpliwie po drugiej stronie ekranu.

Rafał, mój rzekomy kumpel z kolonii, nie pojawił się już nigdy więcej. Może jednak poszedł po rozum do głowy i odmówił udziału w tym idiotycznym planie trzech siostrzyczek Drop? Lepiej późno niż wcale. A może po prostu nie wydałam mu się dostatecznie piękna, miła i bogata, więc postanowił nie narażać się więcej na moje szyderstwa i wysłuchiwanie steku obelg?

I całe szczęście!

Nie oznaczało to jednak, że miałam kłopot z głowy. Wprost przeciwnie! Po Rafale pojawili się inni kandydaci do mojej ręki.

Całe tłumy kandydatów, wpadających na mnie oczywiście „przez czysty przypadek”.

Był więc wielki jak dąb i łysy jak kolano właściciel mercedesa, któremu rozładował się akumulator akurat wtedy, kiedy wsiadałam do swojego samochodu. Dziwnym trafem zaparkował dokładnie koło maski mojego volvo. I zanim podłączyłam kable i odpaliłam silnik (cały czas myśląc, że rehabilitanci płakaliby z rozpacz, widząc, jak nadwerężam kręgosłup), zdążył mi dokładnie opowiedzieć o swojej podróży do Irlandii i fascynacji rudowłosymi kobietami.

Po nim pojawił się hydraulik wezwany przez Lutkę do firmy. Godzinę przed północą,

kiedy byłam tam tylko ja, skupiona bez reszty na kontrakcie, który o trzeciej nad ranem miałam negocjować z Chinami.

– Wpuść go. Coś cieknie w damskiej toalecie na piętrze – rzuciła do telefonu, zanim zdążyłam powiedzieć, że ktoś dobija się do drzwi i powołuje na zlecenie od pani Ludwika.

Moim zdaniem podłoga i ściana były absolutnie suche.

Zdaniem hydraulika chyba też, bo nawet nie wyjął narzędzi z ogromnej torby, którą ze sobą przytaszczył. Opowiedział mi za to, że wykonuje tę pracę tylko tymczasowo, zastępując starszego brata, który złamał nogę. Obaj mają fach w ręku od dzieciństwa, bo w ich rodzinie od siedmiu pokoleń wszyscy zajmują się hydrauliką.

– Tak naprawdę jestem jednak sommelierem – rzucił tajemniczo.

I chyba oczekiwał, że zemdleję z wrażenia.

– Dziękuję bardzo, dobranoc. Rachunek ureguje pani Ludwika – warknęłam, otwierając mu drzwi. – Oczywiście nie ze środków firmowych... Skoro wezwała pana bez przyczyny, musi zapłacić za to sama.

Uniósł brwi, wyraźnie zaskoczony, i na sekundę wypadł z roli.

– Przecież to pani młodsza siostra? – powiedział, choć raczej nie miał prawa tego wiedzieć. – Proszę jej nie traktować zbyt surowo.

– Dobranoc – powtórzyłam i niemal wypchnęłam go z biura.

Sommelier ze śrubokrętem, którego pewnie nawet nie umie używać! Śmiechu warte!

Lutka i Mańka, pytane o dziwacznych podrywaczy, zgodnie potrząsały głowami i przysięgały, że o niczym nie wiedzą.

Kostki nie próbowałam nawet pytać. Rzadko wpadała do firmy, czasami tylko dając się namówić na przygotowanie z Mańką jakiegoś drobnego przecieku kontrolowanego, dzięki któremu media dowiadywały się o kolejnych sukcesach SIS-4. Oczywiście, robiła to tylko wtedy, kiedy akurat nie rozmnażała ragdolli i nie jechała z jakimś cudem uratowanym burym kocurem na kroplówkę... Była naprawdę skupiona bez reszty na swoich kotach. Komórkę miała wyciszoną, żeby dzwonek nie wypłoszył kolejnego dzikusia, którego ganiała z wolontariuszami po piwnicach i śmietnikach. Tak przynajmniej twierdziła... Bo my wiedziałyśmy oczywiście, że Kostka po prostu nienawidzi rozmów telefonicznych. I dzwoniłyśmy do niej tylko w ostateczności.

Ostateczność w kwestii swatów jeszcze nie nadeszła. Na razie nawet trochę mnie bawiły te ich wysiłki.

– Może ja też powinnam was zacząć z kimś swatać? – rzuciłam niewinnie, kiedy wracałyśmy we trzy autem z Ukrainy, z naszej najnowszej fabryki dostarczającej surowce do produkcji bielizny termoaktywnej i innowacyjnych pancernych kurteczek dla budowlańców.

Lutka gwałtownie ruszyła kierownicą, niemal pakując nas do rowu.

– Uważaj! – syknęłam, porażona bólem w okolicy lędźwi. Mój kręgosłup wciąż nie wrócił do pełnej formy po wypadku. Czekala mnie jeszcze przynajmniej jedna operacja, za trzy czy cztery miesiące. Na razie jednak wolałam o niej nie myśleć. Pracowałam z rehabilitantką regularnie pięć razy w tygodniu, nosiłam kołnierz ortopedyczny przez dwie godziny dziennie, spałam na profilowanej poduszce, unikałam prowadzenia auta... I właśnie dlatego miałam teraz skończyć w przydrożnym rowie albo na jakimś drzewie!

– Jedź ostrożnie – poprosiłam, zostawiając rozmowę o adoratorach na spokojniejszy moment. – Kostka nie będzie zachwycona, jeżeli odziedziczy po nas SIS-4. Chyba nawet nie wie dokładnie, ile mamy fabryk i co w nich produkujemy.

ROZDZIAŁ 4

NIE DZIEL SKÓRY NA NIEDŹWIEDZIU

Natalia dzwoniła co kilka dni, aby upewnić się, że wszystko ze mną w porządku. Zadawała niekończącą się serię pytań: „O której wczoraj wyłączyłaś komputer?”, „Chodzisz na rehabilitację?”, „Co jadłaś na obiad?”, „Kiedy byłaś na spacerze?”, „Widziałaś ostatnio jakiś film?”, „W jakich butach chodzisz do pracy?”, „Pamiętasz, co ci się śniło?”.

Odpowiadałam znudzonym tonem, bawiąc się wizją tego, że moja przyjaciółka siedzi w wielkiej hali dla telemarketerów ze słuchawkami z doczepionym mikrofonem na głowie i długą listą pytań w ręku. Ci przy stanowiskach po lewej i po prawej mają podobne listy, opatrzone nagłówkiem: „Wciskanie ubezpieczenia pracownikom biurowym” albo „Nacinanie na kredyt biednych emerytów”. Lista Natalii nosi zaś tytuł: „Sprawdzanie stanu psychicznego i fizycznego Antoniny Drop”.

– Natalio, daj spokój. Naprawdę świetnie sobie radzę – mówiłam zawsze, mniej więcej przy trzecim pytaniu.

Ale w głębi duszy musiałam przyznać, że lubię te jej telefony. Sam fakt, że się o mnie troszczy, był bardzo przyjemny. Czułam się w czasie rozmowy trochę tak, jakby babcia Krysia przyniosła mi kakao z pianką i położyła rękę na czole, żeby sprawdzić, czy nie mam gorączki.

Nie widziałam babci od czterech lat. Ale przecież miałam Natalię.

– A co z suknią? – zapytała pod koniec ostatniej rozmowy. – Udało się ją wreszcie sprzedać?

– Chyba tak – uśmiechnęłam się pod nosem. – Mańka uparła się, że zrobi to osobiście, zamiast zlecić swojej asystentce, i chyba wreszcie dopięła swego.

I właśnie wtedy, kiedy byłyśmy już pewne, że zniknęła na dobre, nastąpił trzeci – chyba najbardziej widowiskowy – powrót białej sukni.

– Dziewczyna, która ją kupiła, bierze ślub w tę sobotę. Tym razem nie może się

wydarzyć nic złego – mruknęła Mańka, patrząc znacząco na fotel, na który rzuciłam kilka dni wcześniej suknię podaną mi przez smutną blondynkę w czarnym swetrzysku.

Chyba wypowiedziała to w złą godzinę.

W piątek o siedemnastej większość ludzi wybiegała już z biura zachwycona perspektywą weekendu... Kiedyś usiłowałam ich zatrzymywać przynajmniej godzinę dłużej, nauczyłam się jednak, że nie ma to sensu. I tak nie byli w stanie skupić się na pracy, robili głupie błędy, wysyłali maile pod złe adresy... Wolałam puścić ich raz w tygodniu punktualnie, w zamian domagając się, żeby byli w biurze w poniedziałek przed ósmą rano.

Oczywiście nie dotyczyło to ścisłego kierownictwa, czyli mnie, Mańki i Lutki, a także naszych asystentek i dyrektorów sekcji: Sebastiana, Agnieszki, Wojtka, Szczepana, Maliny... Oni zawsze zostawali do końca, tyle ile trzeba.

– Weekend to sobota i niedziela – odpowiadałam za każdym razem, kiedy ktoś mówił, że wyjeżdża w piątek i chciałby wyjść nieco wcześniej. – Nie wtrącam się w wasze wolne dni, nie wydzwaniam do was w sobotnie wieczory (poza naprawdę szczególnymi sytuacjami), ale piątek należy do SIS-4. Wcześniejsze wychodzenie nie wchodzi w grę. Nie chcę słyszeć więcej takich próśb. Zawsze możecie przecież wykorzystać jeden dzień urlopu wypoczynkowego, prawda?

Chętnych na takie rozwiązanie, o dziwo, jakoś nie było zbyt wielu...

Na szczęście ta garstka oddanych firmie ludzi, którzy byli z nami niemal od początku, była inna. Oni nie zadawali takich pytań. Rozwijali się z SIS-4, kierowali potężnymi zespołami. Dostawali premię od wszystkich sukcesów koncernu, a więc zależało im na rozwoju i zyskach prawie tak samo jak nam. I tak samo jak nasza trójka byli gotowi siedzieć do nocy nad każdym nowym projektem.

Mańka wróciła godzinę wcześniej z Dubaju z teczką pełną dokumentów. Dreszcze przebiegały mi po plecach, gdy tylko na nią zerkałam. To by nas ustawiło na resztę życia. Nas, nasze dzieci i wnuki... Weszłybyśmy na światowe giełdy z akcjami naszej firmy. Rodzinnej firmy, którą założyłyśmy we cztery, nad butelką wina.

Pogroziłam sobie w duchu palcem i zobaczyłam na moment surową twarz Natalii.

Na pewno miałyby na taką okazję odpowiednie przysłowie.

„Nie dziel skóry na niedźwiedziu”? Pewnie tak. I oczywiście miałyby rację. Nie było sensu rozkoszować się wizją zwycięstwa, dopóki się na nie solidnie nie zapracowało. Musiałam przejrzeć papiery przywiezione przez Mańkę, otworzyć wszystkie pliki, którymi od rana zapychała nasz serwer, opracować plan, rozdzielić zadania... Nie będzie łatwo o ten kontrakt. Marzyli o nim wszyscy gracze z naszej branży. A także kilka innych

koncernów, gotowych natychmiast się przebranżowić albo rozszerzyć produkcję, byle tylko go dostać.

– Będzie ciężko – szepnęła Mańka, stukając palcem w grubą teczkę.

Szłyśmy we dwie do sali konferencyjnej. Szczepan i Malina już tam byli, tak jak i Lutka.

Z drzwi po obu stronach korytarza wybiegali co chwilę nasi pracownicy w weekendowym nastroju.

– Cześć!

– Do widzenia!

– Do poniedziałku!

– Miłego wypoczynku!

Miłego wypoczynku? Miałam na końcu języka ciętą odpowiedź na te życzenia, ale zdołałam się powstrzymać. Im mniej osób wie o naszych planach związanych z Dubajem, tym lepiej. W końcu konkurencja nie śpi i wcześniej czy później dotrze do kogoś z naszych ludzi z pytaniem o ruchy, które szykujemy.

Dzień był deszczowy i chłodny, przy wyjściu zrobił się więc mały zator: wszyscy brali z wnętrza z wieszakami swoje kurtki i parasolki, dyskutując o weekendowych planach. Ktoś proponował komuś podwiezienie do domu, ktoś inny dyktował z pamięci przepis na tartę ze szparagami...

I nagle drzwi otworzyły się z hukiem, a w progu stanęła postać jak z horroru.

Z ciemnymi strąkami, z których kapłała na podłogę woda. Z połamanym przez wiatr różowym parasolem. W zachlapanej błotem białej sukni. W MOJEJ białej sukni, spod której wystawały kalosze w żółte gwiazdeczki.

Ludzie zastygli w bezruchu, patrząc na to zjawisko.

Nawet ci, którzy jeszcze chwilę temu spieszyli się na pociąg mający ich zabrać na weekend w góry lub nad morze, nagle całkowicie zapomnieli o swoich planach.

– Dzień dobry – Julita z księgowości odezwała się jako pierwsza.

Pozostali wciąż stali jak zaczarowani, wpatrując się w dziewczynę z otwartymi ustami. Niektórzy nie byli w stanie nawet zamrużyć powiekami.

Mańka wzięła się w garść szybciej niż ja.

– Proszę tędy – wskazała dłonią drogę do mojego gabinetu.

Dziewczyna podwinęła suknię, ukazując nie tylko kalosze, ale i wystające z nich gołe kolana, po czym ruszyła za nami, posapując wściekle.

– Proszę zabrać tę suknię! Nie mogę iść w niej do ślubu, bo moje małżeństwo nie

przetrwa nawet roku! – wyrzuciła z siebie jednym tchem, gdy tylko zamknęłam drzwi i zaproponowałam, żeby usiadła.

– Przecież była nią pani zachwycona – jęknęła Mańka z niedowierzaniem. – Obniżyłam cenę, widząc, jak bardzo się pani podoba.

– To już nieaktualne – oświadczyła, z wysiłkiem wyplątując się z sukni i stając przed nami w samym staniku i w halce na drucianych kołach. – Chcę ją zwrócić i nie oglądać jej już na oczy.

– Co się stało? – zapytałam, podejrzewając jakiś wielki dramat, który rozegrał się w życiu tej kobiety. Z byle powodu nie biegłaby przecież przez miasto w białej sukni. W dodatku w taką pogodę!

– Narzeczony zobaczył mnie dziś w czasie przymiarki, rozumie pani? Miał być we Wrocławiu, ale nagle zmienił plany. Wszedł bez pukania! Nie mogę pójść do ślubu w czymś, w czym widział mnie przed ślubem. Siostrę mojej babci spotkało coś takiego i nigdy nie wyszła za mąż. Jej narzeczony skręcił kark godzinę przed ceremonią.

– To prawie tak, jak ja – roześmiałam się bez zastanowienia.

Mina Czarnej Mańki uświadomiła mi natychmiast, że nie powinnam wspominać o tym, co się stało. Było jednak za późno.

– Pani miała brać w tej sukni ślub? – dziewczyna w bieliźnie patrzyła na mnie przerażona. – Ślub, do którego nie doszło?

Zakryła usta dłonią, co najmniej jakby usłyszała, że pożałam żywca trzech kandydatów do mej ręki.

Mańka dawała mi nerwowo znaki, żebym nie wypowiadała już ani słowa.

Na próżno.

Zaczynałam się właśnie dobrze bawić i nie zamierzałam tego przerywać. Nawet za cenę białej sukienki.

– Strzaskałam sobie kręgosłup w czasie sesji zdjęciowej, dzień przed ślubem – oznajmiłam spokojnie.

– Sesji? W tej sukience?!

Gwiazdy filmów Hitchcocka gasły przy minach tej dziewczyny. Naprawdę, jeżeli nie była aktorką, powinna była zostać nią jak najszybciej.

– Jest przeklęta! Suknia, która przynosi pecha! Wiedziałam, wiedziałam... – pokręciła głową z niedowierzaniem, po czym wypadła z mojego gabinetu na korytarz.

Wciąż stał tam spory tłumek naszych pracowników, zaciekawiony niecodzienną sytuacją.

– Niech pani coś na siebie założy! – Mańka nie traciła zimnej krwi. – Pożyczę pani płaszcz, niech pani poczeka!

Ale dziewczyna nie słuchała. Złapała różowy, połamany parasol i popędziła po schodach w dół, nieudolnie zasłaniając nim biust.

– Odeślij jej pieniądze – mruknęłam i nagle poczułam się bardzo zmęczona.

– Nie mam jak – pokręciła głową najstarsza z moich młodszych sióstr. – Płaciła gotówką... Nie mam nawet pojęcia, jak się nazywa. Zadzwoń natychmiast po tym, jak zamieściłam ogłoszenie... Wiesz, ile prowadzę rozmów w ciągu godziny. Nie znajdę teraz jej numeru na liście. Jeżeli sama nie zadzwoni, nie zdołam oddać jej ani grosza.

A suknia? Obraz nędzy i rozpacz. Mokra, ubłocona, z naderwanym rękawem...

– Trzeba ją oddać do pralni i do drobnych poprawek – westchnęła Mańka. – A potem zamieszczę kolejne ogłoszenie...

– Nie – zaprotestowałam. – Daj sobie spokój. Spal tę kieckę albo oddaj do skupu szmat. O ile istnieje jeszcze coś takiego. Może faktycznie jest przeklęta? Już tyle kobiet miało brać w niej ślub i zawsze coś stawało im na drodze...

– Nie wierzysz chyba w takie brednie? – Mańka spojrzała na mnie z niedowierzaniem. – Zlituj się, posłuchaj samej siebie! „Przeklęta suknia”? No nie, Ninka... Nie załamuj mnie takimi zabobonami! Ta dziewczyna ma coś z głową, skoro oddaje kieckę z takiego durnego powodu! Ale ty jesteś chyba trochę mądrzejsza?

Nie odezwałam się już ani słowem. Poprowadziłam zebranie, rozdzieliłam zadania, wygłosiłam płomienną mowę o tym, jaką szansą dla SIS-4 jest kontrakt z Dubajem... Nie mogłam jednak wyrzucić spod czaszki słowa „przeklęta”. Z tą suknią chyba naprawdę coś było nie tak, nawet jeżeli faktycznie jej ostatnia posiadaczka była zwyczajną histeryczką.

Siedziałam w biurze nad dokumentacją przywiezioną przez Mańkę z Emiratów mniej więcej do drugiej w nocy. Wchodząc do taksówki, nie mogłam wyciągnąć ręki, by zamknąć drzwi. Mój kręgosłup stanowczo protestował przeciw tak brutalnemu traktowaniu.

– Mam nadzieję, że w domu ktoś na panią czeka z ciepłą herbatą – zatroszczył się taksówkarz dziesięć minut później, pomagając mi opuścić tylne siedzenie. – Może odprowadzę panią do drzwi? Na wszelki wypadek...

– Moje siostrzyczki wynajęły pana do mówienia mi miłych słówek? – wściekłam się w okamgnieniu. – Mam nadzieję, że dobrze za to płacą! Powiedziały panu, że jestem prezesem dużej firmy... korporacji... i że nie będzie pan musiał pracować, jeżeli uda się mnie usidlić i doprowadzić do ołtarza?

Popatrzył na mnie jak na wariatkę.

– Nie mówię pani miłych słówek, tylko proponuję pomoc w dotarciu do drzwi. Bo mam wrażenie, że trochę za dużo dziś pani wypła. A co do płacenia, to tutaj jest paragon. Trzydzieści dwa złote i pięćdziesiąt groszy.

Rzuciłam w niego banknotem stużłotowym i, przełykając łzy, odparłam:

– Przepraszam. Niech pan zapomni o tym, co powiedziałam. Nie jestem dziś w najlepszej formie...

Odrzuciłam jego ramię i pokuśtykałam do domu, wspierając się o ścianę. Przy każdym kroku miałam wrażenie, że mój kręgosłup rozpada się na milion kawałków.

– Pić też trzeba umieć – zawołał jeszcze taksówkarz przez okno, po czym ruszył z piskiem opon.

A ja przez dziesięć minut nie mogłam znaleźć klucza, a potem włożyć go do zamka. Łzy zalewały mi oczy i nawet głębokie oddychanie i liczenie od jednego do dziesięciu, a potem od dziesięciu do jednego, nie pomagało mi się uspokoić.

Od dnia tego ślubu, ślubu, którego nie było, przeżyłam wiele kiepskich chwil. Miałam wrażenie, że te najgorsze były już za mną. Myliłam się. Nigdy jeszcze nie czułam się tak samotna, nieszczęśliwa i upokorzona, jak tej nocy.

Przez kwadrans leżałam na podłodze, tak jak zalecił mi pan Hubert, rehabilitant z Ciechocinka. Leżałam i wyłam z rozpacz i z bezsilności, czego pan Hubert raczej nie zalecał.

A potem w mojej głowie zakiełkował pewien plan...

W pierwszej chwili chciałam zadzwonić do Kostki, poprosić ją o pomoc. Uznałam jednak, że w tej sprawie naprawdę dam sobie radę bez moich sióstr.

Szybko włączyłam komputer i zaczęłam przeglądać ogłoszenia. Było tyle możliwości! Jeśli tylko dokonam mądrego wyboru, niebawem będę szczęśliwa, tak jak Natalia. Sama przecież mówiła, że to spotkanie w Ciechocinku całkowicie zmieniło jej życie...

Skoro jej się udało, to dlaczego ze mną miałyby być inaczej?

CZEŚĆ II

NATALIA

ROZDZIAŁ 5

W STARYM PIECU DIABEL PALI

Radosne ptasie trele i ostre słońce, sączące się zza drewnianych okiennic prosto na poduszkę, absolutnie nie zapowiadały końca świata.

To był doskonały majowy poranek.

Delikatnie uchyliłam ciężkie, zielone okiennice i spojrzałam w niebo. Ani jednej chmurki! Idealnie! Ustawię się w lekkim cieniu za plebanią i dzieciaki będą miały naprawdę piękne portreciki.

Przymknęłam okiennice, ostrożnie, żeby nie skrzypnęły... Zwłaszcza ta po lewej, obluzowana od kilku lat. A potem na palcach, próbując nie obudzić Wiktora, wyslizgnęłam się z sypialni, zeszłam po stromych schodach na dół, do zakładu, i zaczęłam pakować sprzęt.

Dołożyłam do torby kilka filtrów, które mogły się przydać przy tak ostrym słońcu. Jeszcze jeden parasol... dodatkowa blenda... Zawahałam się przez moment przy składanym stojaku do rozpinania tła.

Nie, nie ma mowy. Tym razem nie będzie żadnego sztucznego tła. W taką pogodę, z bajecznymi majowymi krzewami okalającymi kościół ze wszystkich stron najwspanialszym tłem będą glicynie japońskie, które zawsze udają się proboszczowi jak nikomu innemu na półwyspie. Albo ten berberys Thunberga tworzący żywopłot przy plebanii, z czerwonymi liśćmi i drobnymi żółtawymi kwiatami... Uśmiechnięte maluchy bez górnych dwójek albo trójek, w idealnie odprasowanych albach będą wyglądać świetnie wśród młodych, wiosennych liści i kwiatów.

Nawet śluby nie wprawiały mnie w tak doskonały nastrój i nie wzruszały tak bardzo jak pierwsze komunie. Fotografowałam je od tylu lat, we wszystkich kościołach na półwyspie... I zawsze coś tak samo ścisnęło mnie za gardło, kiedy słyszałam ten pełen pasji śpiew cieniutkich głosów, widziałam te roziskrzane szczęściem dziecięce oczy.

Sama już dawno pokłóciłam się z Panem Bogiem... Trudno byłoby szukać w moich oczach nawet bladego odbicia takiego blasku. A jednak czysta wiara tych maluchów

zawsze mnie poruszała.

To był ich szczęśliwy dzień, uwieczniany przeze mnie w kolejne majowe soboty i niedziele... Jak co roku...

– Nie zjadłaś śniadania. – Rozczochrany Wiktor, odziany wyłącznie w bokserki o barwie dojrzałych truskawek, stał w progu z termosem w lewej dłoni i z żółtym pudełkiem w prawej. – Weź to ze sobą, zjesz w samochodzie.

To był doskonały dzień... Nie tylko na pierwszą komunię.

Odłożyłam statyw i zerknęłam na kwadratowy zegar wiszący nad głową Wiktora. Wciąż jeszcze miałam mały zapas czasu...

Napotkał mój wzrok i od razu zrozumiał, o czym myślę. Pokręcił z niedowierzaniem głową, a potem odstawił termos i pojemnik z kanapkami na podłogę i powoli ruszył w moją stronę, ani na chwilę nie odwracając oczu.

Szybko omiotłam wzrokiem wnętrze zakładu fotograficznego „Mewa”. Znałam tu na pamięć każdy centymetr kwadratowy... Nigdy jednak nie korzystałam z atelier w takim celu!

Zaciągnęłam granatową roletę, eliminując w myślach kolejne miejsca.

Podłoga? Za twarda.

Blat, na którym stoi kasa? Twardy, wąski i zbyt wysoki.

Stare, skrzypiące krzesło na kółkach? Odpada, chociażby przez te głupie poręcze. Tak samo jak wysoki fotel, w którym fotografowałam matki z dziećmi.

Wiktor nie tracił czasu na rozmyślania. Wyciągnął z za kotary metalową ławeczkę, malowaną proszkowo na śnieżną biel. Sadzałam na niej młode pary w czasie sesji studyjnych.

– Nieźle się orientujesz w moich rekwizytach – roześmiałam się, rozpinając bluzkę.

Jednocześnie w panice zastanawiałam się, czy ta ławeczka wytrzyma nasze harce.

– Wytrzyma – po raz kolejny odgadł moje myśli.

I na szczęście miał rację.

To był naprawdę doskonały początek idealnego dnia.

Podjechałam pod drzwi zakrystii pięćdziesiąt minut przed mszą. Na parkingu koło plebanii stały już dwa samochody. Miałam nadzieję, że kościelny wyskoczy, jak zawsze, gdy tylko wypatrzy przez okno moje pomarańczowe autko, i pomoże wyładować cały sprzęt z tylnego siedzenia i z mikroskopijnego bagażnika. Nie pojawił się jednak. Ani on,

ani proboszcz, ani żaden z młodych wikarych. Nie przysłali nawet ministrantów! Musieli mieć prawdziwe urwanie głowy...

Przebiegł mi po plecach nagły dreszcz niepokoju. Czy stało się coś złego? Może ktoś zasłabł? Źle się poczuł? Oby tylko nie sam proboszcz... Ostatnio sporo przybrał na wadze, zadyszka łapała go nawet na krótkim spacerze... Czas najwyższy, żeby coś z tym zrobić.

Obiecałam sobie, że powiem mu o tym delikatnie zaraz po uroczystości, i zaczęłam wyciągać sprzęt z mojego fiacika. Statyw oczywiście zaklinował się między siedzeniami. Jak zwykle. Naprawdę powinnam wozić go na dachu.

Potężne drzwi zaskrzypiały przeciągle, kiedy popchnęłam je kolaniem. Poprawiłam ciężką torbę na ramieniu, zrobiłam dwa kroki i zatrzymałam się nagle, zachwycona. Ostre poranne słońce wpadało przez małe szybki witraży, rozświetlając wnętrze kościoła. Na lśniącej posadzce tańczyły setki kolorowych zajaczków. Miałam nadzieję, że za czterdzieści pięć minut, kiedy przejęte dzieciaczki w białych albach będą szły nawą główną, kolorowe plamki wciąż jeszcze tam będą... Jakby ktoś w niebie puszczał oko do tych maluchów.

Po raz kolejny westchnęłam w duchu... Doskonały dzień.

I nagle zobaczyłam potężnego mężczyznę w buraczkowym wdzianku. Rozstawił statyw i szybkim krokiem przemierzył prezbiterium, ściskając w dłoni małe pudełeczko.

Doskonale znałam ten przedmiot i ruch, który wykonywał buraczkowy olbrzym. Sama robiłam go tysiące razy, niemal automatycznie. W jego gestach była ta sama swoboda, nabierana latami.

Zerkał na światłomierz kątem oka i szedł dalej. Prawdziwy profesjonalista starej daty. Dziś przecież już coraz mniej osób używa takich ręcznych światłomierzy...

– Miałam na dziś świetne zlecenie z pałacu w Rzucewie – oświadczyłam proboszczowi drżącym głosem dwie minuty później, nie bawiąc się w żadne kurtuazyjne powitania. – Jakiś wielki kongres, obsługa od rana do nocy przez cały weekend. Zarobiłabym dziesięć razy tyle, co tutaj, ale odmówiłam. Bo przecież mamy komunię... W majowe weekendy w ogóle nie biorę innych zleceń.

– Może pani zacząć – proboszcz nie patrzył mi w oczy. – Z tego, co wiem, pan Janusz jest też umówiony na następną niedzielę w Kuźnicy...

Zacisnęłam palce na oparciu ławki, przy której przypadkiem stanęłam. Dolna warga zaczęła mi drżeć, na razie bardzo leciutko.

– Coś było nie tak z ostatnimi zdjęciami? – musiałam się dowiedzieć, o co chodzi. – Były jakieś uwagi co do jakości?

Wiedziałam, że ten moment kiedyś nadejdzie. Że zawiedzie oko, zadrży ręka. Próbowałam być na to gotowa już od lat. I naprawdę myślałam, że jestem.

Ale przecież tamte zdjęcia sprzed tygodnia, z komunii w Chałupach, były dobre. Cholernie dobre! Mogłam dać za nie głowę. Udały się wyjątkowo, pogoda dopisała, zupełnie tak jak dzisiaj... Nawet pan Florian, maruda słynny na cały półwysep, musiał przyznać, że jego wnuczka wygląda na fotografiach naprawdę niezwykle pięknie.

– Nie chodzi o jakość... – Proboszcz tym razem w skupieniu obserwował sufit, nie obdarzając mnie nawet przelotnym spojrzeniem. – Ona, jak zawsze, jest bez zarzutu.

– A więc... O co chodzi?

– Naprawdę się pani nie domyśla, pani Natalio? – Nagle oderwał wzrok od pęknięcia na suficie, wysoko nad drzwiami, i wbił go we mnie oskarżycielsko. – Rada rodziców z naszej szkoły podjęła taką decyzję na ostatnim zebraniu. Niemalże jednogłośnie. I proszę wierzyć lub nie, ja niczego w tej sprawie im nie sugerowałam...

Półtorej godziny i siedem rozmów telefonicznych później wiedziałam już, że takie same decyzje – oczywiście całkowicie suwerenne i samodzielne – podjęły rady rodziców wszystkich szkół i przedszkoli na półwyspie. Oraz jednej w Pucku. Nikt już nie chciał, żebym fotografowała komunie, zakończenia roku szkolnego, bale absolwentów, a nawet uroczystości pasowania na ucznia czy na przedszkolaka, umówione na wrzesień i zadatkowane już kilka miesięcy temu.

Siedziałam z komórką na fotelu pasażera, odchylonym mocno do tyłu. Parking pod kościołem nie był już pusty. Wielkie czerwone mitsubishi o groźnym wyrazie maski prawie wbiło się w tył mojego pomarańczowego maluszka, a jeep na poznańskich numerach oparł się złotym zderzakiem o mój przedni reflektor. Choćbym chciała, nie miałam jak stąd odjechać.

Pan Jezus już się zbliża, już puka do mych drzwi...

Kilkanaście cieniutkich głosików, drżących z przejęcia, wyśpiewywało tę pieśń, maszerując w białych albach do ołtarza.

Nie mogłam ich zobaczyć, ale znałam tę scenę na pamięć. Widywałam ją przecież od

lat...

Słońce grzało coraz mocniej. Zastanawiałam się, czy mężczyzna w buraczkowym wdzianku zauważył te kolorowe zajączki, rzucone przez witraże na wyfroterowaną posadzkę. Czy zrobi z nich mądry użytek na swoich zdjęciach.

Przez moment chciałam nawet zajrzeć do środka i sprawdzić, jak sobie radzi. Powstrzymałam się jednak. Zamknęłam autko, w którym robiło się już naprawdę gorąco, i szybkim krokiem ruszyłam w stronę plaży.

Nie znam lepszego sposobu na uporządkowanie kotłujących się i pędzących we wszystkie strony myśli niż spacer wzdłuż morza. Nad zatoką unosiły się latawce, zapach smażonej flądry i spalonych frytek. Głośne śmiechy grających w piłkę nastolatków...

Jeszcze kilka tygodni i nie da się przejść wśród półnagich tłumów plażowiczów dźwigających parawany, wśród dzieci pędzących na hulajnogach.

Na razie sezon urlopowy dopiero czaił się na głównych skrzyżowaniach, w smaźalniach, na deptakach. Turyści mieszały się jeszcze z miejscowymi, mniej więcej pół na pół. Wystarczyło skręcić, jak ja, dwa razy w lewo i raz w prawo, żeby znaleźć się na wąskiej ścieżce między sosnami, z dala od gwaru i od bijących na kościelnej wieży dzwonów obwieszczających, że za pół godziny zacznie się kolejna msza, tym razem już bez tłumu dzieciaczków w albach i ich wystrojonych, rozemocjonowanych rodziców.

Buraczkowemu olbrzymowi został kwadrans, by zrobić pod kościołem wszystkie zamówione zdjęcia: grupowe, indywidualne, z chrzestną i z chrzestnym, z małą siostrzyczką, no i z wymarzonym rowerem albo komórką, która koniecznie musi zostać uwieczniona na oficjalnej fotografii...

Nie, stanowczo nie mogłam sobie tego teraz wyobrazić.

Wydłużyłam krok. Wokół nie było żywej duszy. Słońce z trudem przebijało się przez gęstwinę drzew. Igliwie i drobne gałązki trzaskały pod moimi stopami, zdradzając natychmiast, którą idę.

Poczułam się odrobinę nieswojo. Szkoda, że nie wzięłam ze sobą Maksa. Kilka tygodni temu przywiozłam go z sanatorium. Małego kundelka, uratowanego z rąk hycła... Najmądrzejszego kundelka na świecie. Od dnia, gdy stanął na mojej drodze pod tętniami, właściwie nigdy nie spacerowałam po lesie sama.

Minęłam ostatnie drzewa, przeklinając w duchu swoją nieroztropność. Dlaczego nie zmieniłam najlepszych wyjściowych czółenek na mokasyny leżące zawsze w bagażniku? Wybieranie się na taki spacer w eleganckich butach było co najmniej bezmyślne. Wypełnione kamykami i piachem ważyły teraz pewnie po pięć kilogramów każdy. A ich

czubki... Wolałam nie sprawdzać, jak bardzo się starły podczas szybkiego marszu przez las.

Oparłam się o krzywą sosnę, z ulgą ściągnęłam buty i pończochy, po czym stanęłam gołymi stopami na chłodnym piasku. Wcisnęłam zwinięte pończochy do kieszeni, odwróciłam się w prawo i ruszyłam w kierunku cypla.

Nie patrzyłam na zegarek. Maszerowałam szybkim krokiem, tak szybkim, jak tylko pozwalały moje płuca. A one ostatnio, dzięki czterem tygodniom spędzonym w pokoju z widokiem na tężnie, pozwalały na odrobinę więcej...

Uśmiechnęłam się do wspomnień z Ciechocinka. Kto by się spodziewał, że zwyczajny wyjazd do sanatorium przyniesie tyle zmian w moim życiu?

Najbardziej zwariowana przyjaźń z Niną... Dziewczyną, którą różniło ode mnie absolutnie wszystko.

Maks, który nie odstępował mnie od kwietnia choćby na krok...

No i Wiktor.

Wpadłam na niego pod tężniami, tak jak na Maksa. Nie, wcale nie byli tam razem. Poprzedni właściciel Maksa wciąż pozostawał dla mnie zagadką. Nie miałam pomysłu, jak ją rozwiązać. Jak dowiedzieć się, co to za człowiek nauczył psa być niewidzialnym, niesłyszalnym, czytać z ruchu warg i na kilometr rozpoznawać kłamców i złodziei. Bardzo mnie to intrygowało.

Wiktora poznałam w dosyć zabawnych okolicznościach. Poprosił mnie, a właściwie Ninę, wtedy po prostu moją współlokatorkę (doprawdy nie przypuszczałam, że się zaprzyjaźnimy!), o pomoc w zakupie pamiątki z uzdrowiska. To miał być prezent dla jego listonosza.

Długa historia...

Seria zabawnych nieporozumień, a potem przypadkowa śmierć pewnego emeryta, w którą byłyśmy obie zamieszane, doprowadziły do tego, że poszłam razem z Wiktorem poszukać na straganach z tandetą czegoś odpowiedniego.

I nagle okazało się, że w naszym wieku też można się kimś zachwycić, zachłysnąć rozmową z nieznajomym, zarumienić się jak głupiutka nastolatka. Wszystko mi w nim odpowiadało. Poczucie humoru, apetyt na życie, energia... Oraz te śnieżnobiałe zęby i jasne oczy w opalonej, osmaganej wiatrem twarzy żeglarza.

– Poszłaś z nim do łóżka po niecałym tygodniu znajomości? – Nina, kiedy wreszcie się domyśliła, co się stało, była absolutnie zbulwersowana. Nie powinnam się dziwić! W wielu sprawach była przecież upiornie zasadnicza i pruderyjna.

– Zrobiliśmy to na trzeciej randce, zgodnie ze starą zasadą lansowaną w amerykańskich filmach. Musiałaś chyba o niej słyszeć? – puściłam oko, przekonana, że roześmieje się razem ze mną.

Prychnęła tylko z niedowierzaniem i odwróciła się do ściany na znak protestu.

Mówiłam przecież od razu: zero luzu, spontaniczności i poczucia humoru!

– Powinnaś poczekać chociaż odrobinę dłużej! – jęknęła po chwili milczenia.

– Po co?

– Choćby po to, żeby... Żeby zachować pozory! – Jej piegi pociemniały uroczo, jak zwykle kiedy była zdenerwowana, a drobne rude loczki podskoczyły gwałtownie do góry, wyraźnie oburzone.

– Po siedemdziesiątce, kochana, człowiek naprawdę nie ma już czasu na zachowywanie pozorów...

Westchnęła raz jeszcze przeciągle i wbiła we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

– Nie mówię przecież, żebyś czekała rok albo dwa. Ale co ci szkodziło poczekać jeszcze... jeszcze trochę? – jej głos brzmiał niemal błagalnie. – Wrócić do domu, przekonać się, czy to naprawdę coś więcej niż kilkudniowa fascynacja... Czy po miesiącu albo dwóch wciąż masz ochotę iść z nim na kawę...

Pruderyjna gąska! Niereformowalna, nie potrafiąca powiedzieć nawet głośno słowa „seks”.

– Nie mówimy o tym, że ktoś idzie z kimś na kawę, słoneczko. Mówimy o tym, że dwoje ludzi idzie ze sobą do łóżka. O seksie, rozumiesz? O uroczym, radosnym bzykanku, jeśli naprawdę wolisz ten język...

– Natalio, przestań! – Jej biała skóra stała się teraz malinowa, a rude sprężynki skakały we wszystkich kierunkach w szalonym tańcu świętego Wita.

– Wolisz staropolszczyznę? – naprawdę zaczynało mnie to bawić. – Proszę bardzo: mówimy o chędożeniu, nie o kawie. Gdybyśmy poczekali z tym jeszcze trochę, mogłoby być za późno. W naszym wieku niewinna skórka od banana, leciutki przeciąg albo, czy ja wiem, jakieś niezbyt zjadliwe bakterie rezydujące na dłoniach ekspedientki podającej nam bochenek chleba wystarczą w zupełności, by położyć nas do łóżka na długie miesiące.

– Wy sami położyliście się do łóżka! Do wspólnego łóżka! I w tym cały problem!

– Problem? Powiedziałabym, że raczej przyjemność... I to kolosalna. Nie lubię zdradzać tajemnic alkowy, więc... Bez wyjawiania intymnych szczegółów powiem ci tylko, że Wiktor jest naprawdę wspaniałym kochankiem. Pomysłowym, czułym, otwartym na moje potrzeby...

– Kochankiem? – w jej głosie pojawiła się nowa nuta. Coś jakby... hmm... Może panika?

– Myślałam, że wy... No, że już nie możecie... Że nie robicie tego tak naprawdę...

Potrząsnęłam głową, zastanawiając się, jak jej to powiedzieć delikatnie, ale bez owijania w bawełnę. Tak, żeby mnie zrozumiała.

– Jest inaczej niż kiedyś. Oczywiście, że tak. Grawitacja działa na nas znacznie silniej niż na dwudziestolatków. Ale wiesz, jeśli przesunie się środek ciężkości...

Nie, to brzmiało jak nieudolny wykład z fizyki! A miało być przecież pochwałą dojrzałego seksu.

Wzięłam oddech i zaczęłam jeszcze raz, od samego początku:

– Jest inaczej, ale to nie znaczy, że gorzej. Szybkie numerki udają się tylko rano, bo podobno stężenie testosteronu jest wtedy u mężczyzn najwyższe. Trzeba więc z tego korzystać... Dopasować się do rytmu dyktowanego przez naturę. Co i tak, oczywiście, nie zapewnia nam stuprocentowej skuteczności.

– Natalio, litości – wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.

Postanowiłam nieco złagodzić ton:

– Na szczęście niedobory fizyczne można nadrobić czułością, pieszczotami, pikantnymi rozmowami... Zresztą, widziałaś Wiktora. Jest żeglarzem, fantastycznie sprawnym jak na swój wiek. Nie przypuszczałam, że po siedemdziesiątce przeżyję taki kosmiczny orgazm... A pewnie niejedno zaskoczenie jest jeszcze ciągle przede mną.

No cóż, łagodzenie nie do końca mi się udało.

Ale przecież rozmawiałam z kobietą młodą i nowoczesną. Dlaczego więc patrzyła na mnie z taką odrazą, jakbym wyznała przed sekundą, że własnoręcznie obdarłam ze skóry żywego, stuletniego krokodyla i z apetytem zjadłam jego surowe mięso? A potem westchnęła przeciągle i wyszła?

Z drugiej strony, kiedy byłam w jej wieku, też chyba nie mieściło mi się w głowie, że ludzie starsi ode mnie o czterdzieści lat mogą uprawiać seks i mówić o tym z uśmiechem.

Właściwie... Jeszcze na początku kwietnia sama byłam przekonana, że to już dla mnie zamknięty rozdział. Kilka wibratorów na różne okazje i kulki gejszy, ukryte w lewej szufladzie sekretarzyka, miały mi wystarczyć do końca życia. I z ręką na sercu musiałabym wtedy przyznać, że sięgam po nie coraz rzadziej.

Tak... Spotkanie z Wiktorem i wszystko to, co zdarzyło się później, porządnie mnie zaskoczyło.

– Czuję się tak, jakbym po powrocie do domu w lipcowe, upalne popołudnie zobaczył na środku pokoju choinkę lśniącą tysiącem światełek, a pod nią stertę paczek... Wszystkie z

moim imieniem, wykaligrafowanym starannie nieznanym charakterem pisma – powiedział Wiktor, gdy po raz pierwszy obudziliśmy się obok siebie.

Nie wahał się długo z przeprowadzką. Właściwie: nie wahał się ani chwili.

– Ty masz przecież swój zakład fotograficzny, nie możesz go nagle tak po prostu zostawić – przytrzymał moją dłoń nieco mocniej, kiedy po zakończeniu turnusu zegnaliśmy się w Ciechocinku, stojąc na ogromnym parkingu pod sanatorium „Marzenie”.
– Moja praca właściwie wykonuje się sama... Jachty pływają po morzu bez mojego udziału. Kupiłem najlepsze wyposażenie, wyznaczyłem trasy, zadbałem o zaopatrzenie, zatrudniłem świetnych kapitanów. Naprawdę nie muszę dmuchać im w żagle. A jeśli jestem akurat potrzebny, to większość spraw mogę załatwić z każdego miejsca na Ziemi. Czasami, oczywiście, muszę jechać gdzieś służbowo na dzień czy dwa, ale równie dobrze mogę wyruszyć z Poznania, jak z twojego Helu. Chyba że masz coś przeciwko temu? Uważasz może, że to kiepski pomysł?

Ja? Ależ skąd! Uważałam, że jest genialny. Jeżeli tylko Wiktor naprawdę czuł się gotowy na tę przeprowadzkę...

Co mogłoby pójść nie tak?

Mój dom był dostatecznie duży, żeby pomieścić pięciu takich Wiktorów.

Ja całe dni spędzałam na dole, w atelier, więc na brak prywatności czy wręcz samotności, do której przywykliśmy, też żadne z nas narzekać nie powinno... Zwłaszcza teraz, późną wiosną i latem. Dla Wiktora był to sezon żeglarski, wiążący się jednak – mimo zapewnień, że wszystko robi się samo – z licznymi wyjazdami. Dla mnie zaś sezon ślubno-komunijno-wakacyjny, gdy drzwi do „Mewy” niemal się nie zamykały.

Tak przynajmniej było w ubiegłym roku. I jeszcze w poprzednim. I przez czterdzieści pięć czy sześć wcześniejszych lat.

W tym roku, w ciągu tych kilkunastu dni, które minęły od przeprowadzki Wiktora, coś się jednak zmieniło. Tyle tylko, że ja kompletnie tego nie dostrzegłam, skupiona na zwalnianiu półek w bieliźniarce i wieszaków w szafie, na przesuwaniu mebli, powlekaniu dodatkowej kołdry, a wcześniej na rozstrzygnięciu dylematu, czy potrzebujemy dwóch osobnych kołder (wygodnie!), czy raczej jednej ogromnej, w którą zawiniemy się wspólnie w największy nawet mróz (blisko, seksownie, romantycznie!).

Początkowo podobał mi się ten pomysł jednej wspólnej kołdry i przytulania się pod nią mocno do nagiego ciała Wiktora. Szczęśliwie, zanim wyruszyłam do sklepu do Pucka, żeby wprowadzić zmysłowy plan w życie, przekonałam się, że Wiktor przez sen zwija kołdrę niewiarygodnie ciasno w kulkę i wciska sobie pod lewy łokieć. Nie miał pojęcia, że to

robi... Lecz ja po dwóch nocach, kiedy przemarzłam do szpiku kości, uznałam, że przeziębiona, niewyspana i wyczerpana nerwowo nie będę raczej boginią seksu, i postawiłam na dwie kołdry. Jakże praktycznie.

Wiktor jak zwykle wyglądał na bardzo zadowolonego z mojej decyzji. Cokolwiek proponowałam, zgadzał się od razu. Było to bardzo miłe i wygodne, choć nieco niepokojące.

Wiktor... Cóż, on pewnie natychmiast by się zorientował, że coś w „Mewie” jest nie tak – gdyby tylko miał z czym tegoroczny maj porównywać!

Telefon leciutko zawibrował w kieszeni mojego granatowego zakietu. Zawsze go zakładałam, fotografując komunie, śluby, chrzciny czy pogrzeby. Wyglądał dostatecznie elegancko, a miał jedenaście kieszeni – mógł więc z powodzeniem zastąpić kamizelkę rasowego fotoreportera czy myśliwego, pełną schowków na naboje, smar do lufy, nóż, latarkę i inne niezbędne drobiazgi.

Zatrzymałam się i osłoniłam dłonią ekranik, żeby odczytać wiadomość.

Nie była długa.

Skończyłaś? Nastawić już kawę?

Cały Wiktor. Codziennie punktualnie o jedenastej wchodził do „Mewy” z dwiema filiżankami kawy i małutkimi ciasteczkami z konfiturą różaną.

Był tu tak krótko, a już stworzył rytuały, codzienne drobiazgi, nadające dniom naprawdę niepowtarzalny rytm i smak.

Chciałam mu za to podziękować.

Za tę kawę parzoną zawsze przez dokładnie trzy minuty w pękatym białym dzbanuszkach, niewyjmowanym z kredensu chyba od ślubu mojej młodszej bratanicy, ponad ćwierć wieku temu.

I za te ciasteczka, które piekł co trzy dni, zmniejszając ilość składników zawartych w przepisie aż do granic absurdu (jak odmierzyć 1/7 szczypty sody oczyszczonej lub 1/7 z dwóch jajek?).

– Wystarczyłoby piec je raz na tydzień, powiedzmy w sobotę, i trzymać w szczelnej puszcze – podsunęłam Wiktorowi kilka dni po przeprowadzce, widząc, że znowu rozkłada moją śmieszoną silikonową stolnicę.

– Nie ma mowy – potrząsnął głową, wyraźnie oburzony. – Nie będziesz jadła czerstwych ciasteczek!

Uważałam, że nie zrobią się czerstwe tak szybko, ale nie protestowałam już ani chwili dłużej. Skoro naprawdę sprawiało mu to taką przyjemność...

– Adela też bardzo je lubi – dodał, rozbijając jajko i dokonując cudów, żeby je rozdzielić na siedem równych części. – Zrobię dla niej kilka bez konfitury...

– Świetny pomysł – uśmiechnęłam się, nie do końca szczerze.

Adela. Jej obecność w życiu Wiktora, a teraz także w moim życiu... była dla mnie całkowitą niespodzianką. I wciąż nie do końca wiedziałam, jak się do niej powinnam odnosić...

ROZDZIAŁ 6

PLOTKA WYLATUJE WRÓBLEM, A WRACA WOŁEM

Nie czekaj na mnie z kawą. Wrócę później, przepraszam, musiałam nieco zmienić plany.

Przeczytałam tego SMS-a cztery razy przed wysłaniem. Nie chciałam zdenerwować Wiktora, ale też nie mogłam opowiedzieć mu o tym, co się stało... Przynajmniej nie przez telefon. Kto wie, co mu strzeli do głowy? Pojedzie do księdza z awanturą, upije się... Albo, co gorsza, spakuje swoje rzeczy i wyjedzie z powrotem do Poznania, żeby nie stać na drodze do mojego szczęścia, przynajmniej tego zawodowego.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że tak naprawdę jeszcze wcale go nie znam. Nie zjedliśmy razem beczki soli. Nie przeżyliśmy jeszcze żadnego kryzysu, nie doświadczyliśmy żadnej naprawdę trudnej sytuacji.

No to teraz będzie okazja...

Ale opowiem mu o wszystkim, dopiero kiedy sama poukładam to sobie trochę w głowie. I właśnie do tego potrzebny mi był bardzo długi spacer.

Miałam cichą nadzieję, że nikt nie włamie się do mojej Mandarynki zaparkowanej pod samym kościołem. Samochód mógłby skusić tylko kolekcjonera. Podobno są tacy, w Niemczech i w Holandii, którzy skupują małe fiaty zgodnie z zasadą, że im starsze, tym lepsze. Ale chyba żaden złodziej pozostający na usługach podobnych zbieraczy nie pojawi się akurat dziś na półwyspie?

Bardziej martwiłam się o sprzęt. Wystarczyło wybić okno albo mocniej stuknąć w drzwi, żeby wyjąć wszystko, na co oszczędzałam latami.

Trudno, nie będę teraz wracała, żeby odstawić samochód pod dom. Wiktor na pewno by mnie zobaczył, a ja od razu bym się wygadała. Nie mogłam się tam teraz pojawić, naprawdę. Musiałam najpierw zebrać myśli.

Zresztą, gdzie może być tak bezpiecznie jak pod kościołem? Nigdzie. A więc niech stoi. Wrócimy po niego po południu oplem Wiktora...

Nie chodziłam plażą z Juraty albo Jastarni zbyt często. Przez cały PRL było to przecież zakazane i mogło skończyć się strzałem w plecy bez ostrzeżenia. Kilka kilometrów plaży i

lasu między Juratą a Helem należało do wojska. Nie można się było nawet zbliżyć do tych terenów.

Teraz na całym półwyspie została zaledwie garstka żołnierzy, ale i tak nie zapuszczałam się z Maksymem dalej niż te dwa, może trzy kilometry od cypla, bajecznie szerokimi plażami, pustymi o każdej porze roku.

Dziś jednak sytuacja była szczególna. Potrzebowałam tego trzygodzinnego spaceru jak powietrza...

Dopiero po kwadransie szybkiego marszu uspokoiłam się na tyle, by zacząć wszystko analizować. Twardych danych miałam niewiele. Nikt nie powiedział mi wprost niczego konkretnego. Musiałam więc skupić się na półsłówkach, aluzjach, krzywych spojrzeniach i zawieszonym dziwnie głosem...

Jedynym bezspornym faktem było to, że stałam się *persona non grata*. Nie chciano mnie w szkołach, przedszkolach, kościołach... I nie było cienia wątpliwości, że łączy się to ściśle z przyjazdem Wiktora.

Cofnęłam się w myślach do tamtego wieczoru sprzed kilkunastu dni...

Czekałam w oknie jak nastolatka, którą chłopak ma zabrać po raz pierwszy do kina. Wskazówki zegara przesuwają się sto razy wolniej niż zwykle. Słońce nie zamierzało zejść, chociaż ten jeden jedyny raz bardzo chciałam, żeby schowało się za horyzontem jak najszybciej. Wiedziałam przecież, że Wiktor przyjedzie dopiero po zmroku.

Zakochana jak licealistka? No, może jak studentka... Musiałam przyznać, że zawrócił mi w głowie. Ale było w tym moim czekaniu jeszcze coś innego. Trzymający za gardło paniczny lęk, że znowu wszystko pójdzie nie tak. Że znów stracę coś cennego i pięknego w chwili, kiedy już myślę, że jest moje... Kiedy mam to dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Nagle zadzwonił telefon, a mnie ze strachu aż zakręciło się w głowie. Byłam pewna, że zaraz usłyszę głos policjanta: „Zdarzył się wypadek na trasie A1 między Rusocinem a Gdańskiem... Przekroczona prędkość, złe warunki atmosferyczne... Bardzo nam przykro, nic nie mogliśmy zrobić, zginął na miejscu...”.

Telefon wyslizgnął mi się z dłoni i wpadł pod biurko. Schylając się, żeby go podnieść, zrozumiałam, że to nie może być policja. Niby dlaczego mieliby zawiadamiać właśnie mnie, niespokrewnioną z Wiktorem, w świetle prawa całkowicie obcą kobietę? Zadzwoniliby raczej do jego dzieci, do jego brata, ale nie do mnie...

– Halo? – wydyszałam do słuchawki z pupą sterczącą spod blatu. I zaraz syknęłam z

bólu, bo usiłując spod niego wyjść, z całej siły uderzyłam o ścianę lewym łokciem.

– Ciociu, co ty robisz? Dlaczego tak sapiesz i syczysz? – To był Mikołaj, nie policjant z drogówki! – Mam nadzieję, że nie przyłapałam cię na gorącym uczynku przy szorowaniu okien i froterowaniu podłóg?

– Telefon mi upadł i właśnie się czołgam – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Ciociu... – Czytałam w nim jak w otwartej książce. W jego głosie słychać było jednocześnie troskę, miłość i wyrzuty sumienia. – Uważaj na siebie, proszę.

– Uważam.

– Nie powinnaś być cały czas sama. Dlaczego nie chcesz zatrudnić kogoś do pomocy w zakładzie, choćby na kilka godzin dziennie? – namawiał mnie na to chyba od trzydziestu lat. Uparty jak osioł! Pewnie nigdy mu się nie znudzi.

– Przyjmę ucznia, kiedy tylko pojawi się ten właściwy, któremu będę mogła zaufać – odpowiedziałam jak zwykle.

Mikołaj westchnął ciężko. Bardzo ciężko.

Zlitowałam się więc i dodałam:

– Nie martw się, nie będę już sama ani dnia dłużej. Za dwie godziny zamieszka ze mną pewien przystojniak.

– Znowu jakiś pies? – jęknął. – Cieszę się, że masz Maksa, naprawdę, ale nie powinnaś brać sobie na głowę kolejnego obowiązku.

– Prawdziwy przystojniak! Dwunożny, a nie cztero... – wyjaśniłam. – Nie chciałam ci tego mówić przez telefon, ale poznałam go w sanatorium i postanowiliśmy... No, postanowiliśmy, że u mnie zamieszka. Na próbę, na razie tylko na kilka tygodni...

Wstrzymałam oddech. Jak zareaguje? Czy będzie bardzo zbulwersowany, tak jak Nina?

– Cudownie, ciociu! – Co za ulga! Mikołaj naprawdę się ucieszył. – Nie jest żonaty?

– Nie. Jego żona zmarła kilka lat temu – uśmiechnęłam się od ucha do ucha. Cały Mikołaj! Zależało mu tylko na tym, żebym nie rozbiła czyjejs rodziny. I szczerze życzył mi szczęścia.

– Ma pasję? – zapytał, zanim zdążyłam opowiedzieć o Wiktorze coś więcej. – Zawsze powtarzasz, że mężczyzna musi mieć pasję i poczucie humoru.

– Ma i jedno, i drugie – zapewniłam go, zerkając przez okno. Słońce wreszcie zniknęło za domami po drugiej stronie ulicy. Była nadzieja, że Wiktor niedługo się tu pojawi. – Muszę kończyć, przepraszam... Jedzie do mnie z Poznania, to ponad sześć godzin w trasie. Powinnam chyba przygotować jakąś kolację?

– Tylko go nie otruj – prychnął.

Moja kuchnia nie należała do zbyt wykwintnych. Prawdę mówiąc, zawsze było mi szkoda czasu na gotowanie. Stawiałam na szybkie dania, obficie doprawione ziołami z mojego parapetu. Mikołaj i dziewczynki robili, co mogli, żeby nie jeść leniwych z szałwią albo kotletów mielonych z dodatkiem bazylii i melisy. Jadali w szkole, u sąsiadów, a potem, jako nastolatki, zaczęli gotować sami. I naprawdę świetnie im to wychodziło.

– Nie dosypuj mu zieleniny, przynajmniej dzisiaj – dręczył mnie nadal bez krztyny szacunku. – Ten biedny człowiek ucieknie, jak zobaczy twoje pierożki o barwie zleżałych zwłok.

– Zrobię mu kanapki – obiecałam, śmiejąc się głośno.

– Bez żadnych liści?

– Bez. Chciałabym, żeby został tu ze mną trochę dłużej... Może nawet na stałe? – przyznałam.

– Ciocia Natka zakochana! O, mój Boże! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! – Gdyby tu był, na pewno złapałby mnie wpół, jak to on, i zakręcił mną młynka wysoko w powietrzu. – Muszę go poznać, jak najszybciej! Może w czerwcu uda mi się jakoś poprzesuwać spotkania i przylecieć na kilka dni do Polski. Dam znać, ciociu. Uważaj na siebie! I proszę, pamiętaj: żadnych liści!

Cały Mikołaj! Nie zdążyłam nawet zapytać, skąd tym razem dzwoni. Podróżował między kontynentami tak często i było to dla niego tak naturalne, jakby jeździł po dzielnicach tego samego miasta. Przysyłał pocztówki z kolorowymi znaczkami... Choć ostatnio coraz częściej ich miejsce zajmowały MMS-y ze zdjęciami z podróży. Nowy Jork, Himalaje, masajska wioska w Kenii, surowe norweskie fiordy... Wszędzie latał służbowo jako konsultant do spraw rozwoju, opłacany przez jakieś fundacje, rządy, banki. Spotykał się z ministrami, wodzami plemion, finansistami i związkami zawodowymi. Nie mógł mówić o szczegółach, podpisywał bardzo groźnie brzmiące klauzule tajności. Nigdy więc do końca nie wiedziałam, czym się w danej chwili zajmuje. Zawsze jednak robił coś bardzo ważnego. I bardzo dobrze płatnego.

Nie do wiary, że cała trójka tak świetnie poradziła sobie w życiu...

Nie, stop. Wystarczy. Ostatnie, czego mi teraz trzeba, to rozmyślania po kolei o Mikołaju i obu moich bratanicach, pogrążenie się w radosnych wspomnieniach i w żalach, które się z nimi wiążą... Miałam przecież zająć się tym, co wydarzyło się po przyjeździe Wiktora. Przeprowadzić rzetelną analizę i wyciągnąć wnioski.

A więc... Jak to się wszystko zaczęło? Czy ludzie byli oburzeni już tego pierwszego wieczoru, kiedy jego samochód zaparkował pod moim domem? Chyba nie. Wtedy nikt jeszcze nie doszukiwał się w tym sensacji. Było już ciemno, sąsiedzi widzieli oczywiście, że przyjechał ktoś obcy, że coś wyjmuje z bagażnika, wnosi wielkie paczki... Ale to przecież nie musiało oznaczać niczego szczególnego. Może zamówiłam nowy sprzęt do „Mewy”? Albo zaprosiłam kuzyna, żeby podreperował zdrowie, słuchając szumu fal i wdychając jod? W końcu do każdego na półwyspie czasami przyjeżdżała rodzina albo znajomi z głębi Polski.

Zaciągnęłam starannie rolety, zanim zatonełam w jego ramionach. I całkiem zapomniałam o tym, że miałam zrobić kanapki... Bez żadnej zieleniny, tak jak obiecałam Mikołajowi.

Gdy szliśmy na pierwszy wspólny spacer, wyraźnie czuliśmy na plecach baczne spojrzenia zza szyb kolejnych mijanych domów, kawiarenek i sklepików. Nikt jednak nie wyszedł na próg, żeby się przywitać. Nawet farmaceuta, pan Jacek, zawsze chętny do pogawędek na schodkach swojej apteki tym razem nie wychylił się zza kontuaru. A przecież nie miał żadnych klientów i widział nas dokładnie przez uchylone drzwi.

– Woli się trzymać w bezpiecznej odległości, dopóki nie ustali z resztą sąsiadów, co sądzą o twoim przyjeździe – szepnęłam.

Pan Stanisław, listonosz, odpowiedział na moje gromkie „dzień dobry” tylko jakimś mruknięciem. Udawał, że szuka czegoś w tej swojej przepastnej torbie... Prawie schował do niej głowę, żeby nie spotkać się ze mną wzrokiem.

Tylko pani Teresa, właścicielka mojej ukochanej „Cafe Classic”, krzątając się między swoimi eleganckimi stoliczkami, pomachała do mnie serdecznie, jak każdego poranka. Jej życzliwości i dyskrecji mogłam być pewna.

Ale pozostali...

– Jesteś przekonana, że nie będziesz miała kłopotów? – Wiktor myślał dokładnie o tym samym co ja. – Nigdy bym sobie nie darował, gdybyś przeze mnie znalazła się w jakiejś dwuznacznej, niekomfortowej sytuacji.

Matko, ten jego język! Był dżentelmenem... I naprawdę się o mnie troszczył.

– Nie martw się, proszę. – Spojrzałam mu prosto w oczy, mając nadzieję, że w moim wzroku nie ma żadnego cienia... Żadnej niepewności... – Jesteśmy na Półwyspie Helskim, a nie w Iranie czy Jordanii. Tu przyjeżdżają najdziwniejsze indywidua ze wszystkich stron Polski i nie tylko. Ludzie uprawiają seks na wydmie, na piachu, w morskich falach... Tu było wojsko i setki nastolatków z OHP. Mieszkańców Helu nie zszokujesz

byle czym.

– Nasz romans to byle co? – Udawane oburzenie brzmiało komicznie, ale obydwójce wiedzieliśmy, że rozmawiamy o czymś bardzo poważnym.

– To nie romans, mój drogi – sprostowałam, dopasowując się do tego lekkiego tonu. – To związek. Pozamałżeński, grzeszny i skandaliczny, ale jednak związek. W końcu mieszkamy już pod jednym dachem, więc faza romansu została w naszym przypadku raczej zakończona.

– Jeżeli wolisz, żeby sąsiedzi nie wiedzieli... – przerwał i stanął przede mną na środku Wiejskiej. Niemal słyszałam, jak w domach po obu stronach deptaka odsuwają się firanki i uchylają szyby. – Nie musimy się przecież obnosić z tym, co nas łączy...

„Nie obnosić się” brzmiało całkiem nieźle. Gdyby tylko nie było to łagodniejsze określenie, oznaczające po prostu staranne ukrywanie faktu, że jesteśmy parą...

– Wczoraj wieczorem dzwonił do mnie Mikołaj – zaczęłam, pozornie nie na temat.

– Twój bratanek? Ten, który ciągle jest za granicą?

Pokiwałam głową.

– Bardzo się o mnie troszczy. Histeryzuje wręcz w różnych sprawach. I wiesz, powiedziałam mu o tobie, o tym, że właśnie jedziesz z Poznania z połową dobytku, żeby ze mną zamieszkać.

Wiktor gwałtownie wciągnął powietrze.

– Wściekł się na mnie? I na ciebie? Zażądał, żebyś mnie wyrzuciła?

– Ależ skąd! Zapytał tylko o dwie rzeczy. Czy nie jesteś żonaty i czy masz jakąś pasję. Bo zawsze mu powtarzałam, że mężczyźni bez pasji są jak majtki bez gumki. Błyskawicznie tracą fason.

Wiktor roześmiał się głośno i ukrył twarz w dłoniach.

– Jesteś niesamowita. Okropnie tęskniłem za tobą przez te ostatnie cztery dni...

Wzięłam go za rękę i splotłam palce z jego palcami.

Drgnął, wystraszony.

– Przestań się troszczyć o moją dobrą opinię – powiedziałam. – Nie krzywdzimy nikogo. Nie zdradzamy, nie porzucamy. Mikołaja interesowało tylko to, czy nie zabieram cię żonie. I ludzi tutaj też nie powinno obchodzić nic innego. Jesteśmy dorośli... Bardzo mocno dorośli...

– Można wręcz powiedzieć, że nasza dorosłość przeszła w stan chroniczny – uśmiechnął się do mnie, nareszcie odrobinę odprężony.

Pokiwałam głową.

– Tak więc nikt nie ma prawa mówić, co nam wypada, a czego nie... Przynajmniej dopóki nie zaczniemy biegać nago po plaży w pobliżu grupy niewinnych przedszkolaków.

– Często robisz takie rzeczy? – znowu udawał przerażonego.

– Raczej nie. Choćby dlatego, że nasze helskie przedszkolaki rzadko zapuszczają się z wychowawczyniami na plażę nad dużym morzem.

– Co to jest duże morze? – zapytał. – Macie tu poza Bałtykiem jeszcze jakieś drugie, małe morze? Nic o tym nie słyszałem.

– Małe to zatoka, a duże to pełne morze, z drugiej strony półwyspu – wyjaśniłam najkrócej, jak się dało.

– No tak, powinienem się domyślić. Daj mi kilka dni, to poznam okolicę i przestanę zadawać głupie pytania. Wieczorem przejdę się sam, rozejrzę się trochę po miasteczku...

Zeszliśmy wreszcie z Wiejskiej i wąskim przesmykiem przy sklepie mięsnym ruszyliśmy w kierunku Żeromskiego. Maks skakał radośnie wokół moich nóg. Cieszył go przyjazd Wiktora, a jeszcze bardziej chyba cieszyła wycieczka do lasu... Nad duże morze.

Dopiero w tym momencie dotarł do mnie pewien paradoks.

– To nie wiary, naprawdę. Opłynąłeś wszystkie kontynenty, zeglowałeś wokół Przylądka Dobrej Nadziei i Przylądka Horn, a nigdy nie byłeś tutaj, na Półwyspie Helskim? – patrzyłam na niego z niedowierzaniem, pewna, że zaraz roześmieje się i przyzna, że sobie ze mnie po prostu zażartował.

Pokręcił głową.

– Wiesz co? Nie czekajmy na mój wieczorny spacer. Pokaż mi Hel teraz, od razu – poprosił. – Ale nie taki z pocztówek dla turystów. Pokaż mi swój Hel, ten, który cię ukształtował. Wszystkie niezwykle, ważne dla ciebie miejsca...

Zadrżałam lekko, niepewna, czy zdołam spełnić jego prośbę. Nikt nigdy nie postawił przede mną równie dziwnego zadania.

Natychmiast dostrzegł ten dreszcz, który mną wstrząsnął, i odpowiedział na niego po swojemu, zarzucając mi na ramiona swoją lnianą marynarkę.

– Dziękuję – pocałowałam go prosto w usta. Był pierwszym mężczyzną w moim życiu, którego mogłam całować bez wspinania się na palce. Bardzo to było wygodne. I przyjemne.

Tak bardzo, że pocałowałam go jeszcze raz, odrobinę dłużej i goręcej niż poprzednio.

Za moim prawym ramieniem rozległo się delikatne chrząknięcie.

No tak, oczywiście. W Helu nawet w pustym zaułku zawsze wpada się na sąsiadów. Zwłaszcza jeśli się bardzo tego nie chce.

– Dzień dobry – uśmiechnęłam się promiennie do pani Halinki pracującej w przychodni, w okienku rejestracji, prawdopodobnie od epoki kamienia łupanego.

W duszy zaś jęknęłam z niedowierzaniem. Akurat ona! Najlepsze źródło informacji na całym półwyspie! Nie było cienia wątpliwości, że jeszcze dzisiaj przekaże informację o pocałunku na środku ulicy co najmniej setce osób. Ubarwioną rzecz jasna odpowiednio różnymi pikantnymi (i całkiem wydumanymi) szczegółami. Pewnie za kilka dni ta historia wróci do mnie w wersji, której nie rozpoznam. Dowiem się, że całowałam osiemnastolatka... Albo że uprawiałam seks z Murzynem... Co tam z jednym! Z trzema roslými Murzynami w mundurach ze złotymi epoletami! Na samym środku molo w Juracie!

Na panią Halinkę w takich sprawach zawsze można było liczyć.

Mimo stresu uśmiechnęłam się do wspomnień... Całej serii obrazków ze zdumionymi twarzami sąsiadów, którzy dowiadawali się o sobie czegoś absolutnie nowego i zaskakującego.

Pan Stanisław usłyszał na przykład od własnej córki, że postanowił przejść na emeryturę i sprzedać swoje mieszkanie, żeby wyjechać do Meksyku. Nie jestem pewna, czy nasz listonosz wie, gdzie jest Meksyk... A całe zamieszanie wynikło z faktu, że czekając pod gabinetem dentysty, przeglądał gazetę z ogłoszeniami. I nieco dłużej zatrzymał wzrok na tych o sprzedaży mieszkań, po czym westchnął w kierunku siedzącego obok pacjenta, że ceny w ostatnich latach spadają coraz bardziej i gdyby człowiek chciał coś sprzedawać, to powinien to zrobić jak najszybciej.

Była to diagnoza, notabene, zupełnie przeciwna do tej, którą słyszałam ostatnio w radiu. Tam jakiś ekspert od nieruchomości zapewniał, że ceny w miejscowościach nadmorskich powoli zaczynają rosnać i w przyszłym roku nastąpi zdecydowany skok.

Nie było jednak sensu mówić o tym listonoszowi, bo on nie planował żadnej sprzedaży. Kochał Hel równie mocno jak swojego wnuka, którym zajmował się codziennie po pracy aż do północy, gdy córka i zięć wracali z siłowni, którą prowadzili we Władysławowie. I wcale nie chciał tej córki szokować historią o Meksyku, którą zaserwowała jej pani Halinka w kolejce po bułki...

Tak, pani Halinka była doprawdy niezawodna.

Pary, które dowiedziały się dzięki rejestratorce, że ze sobą są (choć nie są), zerwały (choć tak naprawdę właśnie planują ślub) albo że dały na zapowiedzi (choć ani potencjalni państwo młodzi ani ksiądz proboszcz nie mieli o tym pojęcia), trudno byłoby nawet zliczyć.

Zaś pani Tereska, choć zwykle nie zapomina języka w gębie, dosłownie oniemiała na

wiadomość, że jej uroczą kawiarnię zarezerwował na całe lato sławny reżyser z Hollywood dla swojej ekipy, która przyjedzie kręcić film na półwyspie, i w tym roku miejscowi ani turyści nie będą już mieli tam wstępu. A wszystko dlatego, że w Helu faktycznie kręcono serial kryminalny (w stu procentach polski), a członkowie ekipy wpadali na kawę do różnych knajpek na Wiejskiej. Jedna z aktorek pochwaliła tort ananasowy w „Cafe Classic”... Rzuciła głośno, że na pewno zasmakowałby jej mężowi, który lubi kwaskowe ciasta. I już, wystarczyło. Polska ekipa zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w amerykańską, a miły komplement młodej aktorki w rezerwację z Hollywood... Na cały sezon.

Ciekawa byłam, w co pani Halinka zamieni nasz – niewinny w gruncie rzeczy – pocałunek w cichej uliczce. Na pewno nie będę musiała długo czekać, żeby poznać tę fascynującą, wyssaną z palca historię.

- Nie odpowiedziała ci – szepnął Wiktor, wyrywając mnie z zamyślenia.
- Kto?
- No ta blondyna z niebieskimi powiekami. Nie odpowiedziała w ogóle na twoje „dzień dobry”!

ROZDZIAŁ 7

DOBRE TEN SCHOWAŁ, KTO SCHOWAŁ W PAMIĘCI

Nie pokazałam mu wtedy Helu, tego mojego, prawdziwego, tkanego ze wspomnień, daleko od turystycznych szlaków...

Spotkanie z panią Halinką w zaułku za sklepem mięsnym sprawiło, że zupełnie straciłam nastrój na sentymentalne spacerunki. Wolałam usiąść w fotelu, z Maksem przy nogach, i zająć się analizą roślin z ołtarza Wita Stwosza. To prawda, że mężczyzna powinien mieć pasję... Ale kobieta też. Ta moja, największa, najprawdziwsza, czekała niemal pięćdziesiąt lat, aż będę mogła do niej wrócić.

Wróciłam nieoczekiwanie, w czasie pobytu w sanatorium. I znowu czułam te dreszcze emocji na myśl o odkryciu, którego nie dokonał nikt przede mną. A tytuł „doktor nauk biologicznych Natalia Burska” nagle znowu zaczynał mnie kusić... Spędziłam więc cały wieczór nad kserokopiami kolejnych artykułów naukowych, przywiezionych z biblioteki w Gdańsku. Notowałam na marginesach, zaznaczałam żółtym markerem najważniejsze zdania, a wreszcie porównywałam je z tym, co znalazłam wcześniej w zakurzonych książkach z mojej półki. Około północy poczułam, że odrobinę się do tej „doktor nauk biologicznych” przybliżyłam. Mogłam spokojnie pójść spać.

Dopiero dwa czy trzy dni później sięgnęłam po kluczyki i pomachałam nimi przed nosem Wiktorowi, który siedział nad mapami morskimi, planując trasę dla nowego, zatrudnionego na ten sezon kapitana.

– Jeżeli masz czas i ochotę, pokażę ci półwysep nieznany turystom – zaproponowałam z uśmiechem.

– Naprawdę musimy jechać twoim, piratko? – jęknął z udawanym przerażeniem.

– Musimy – odparłam bez wahania. – Jeżeli to ma być naprawdę mój Hel, to samochód też musi być mój. Twój jest za duży, nie uda się go zaparkować w połowie miejsc, w które planuję cię zabrać.

Pojechaliśmy więc moją Mandarynką przez cały półwysep, aż do Pucka.

– Dom dusz – szepnęłam, pokazując mu opuszczony dwupiętrowy budynek przy kościele.

– Tu doszli najwytrwalsi. Słyszałeś o Marszu Śmierci z obozu w Stutthof? Musiałeś o nim słyszeć. Dotarli aż tutaj, przez śnieg i mróz. Wyczerpani, zagłodzeni, czekali w tym domu na statki, które miały ich zabrać. Nie doczekali się. Cały dom pełen był ich ciał.

Wiktor zbladł i przez moment wpatrywał się w milczeniu w tabliczkę na bocznej ścianie budynku.

– Od tamtej pory ten dom stał pusty? – zapytał.

Potrząsnęłam głową.

– Była tu stolarnia... Ktoś miał przerabiać dom na pensjonat... Ale nigdy nic z tych planów nie wyszło.

– Trudno budować szczęście na morzu ludzkiej krwi – westchnął Wiktor, spuszcżając głowę.

Czy tylko mi się zdawało, czy naprawdę miał w oczach łzy?

Do Jastarni dojechaliśmy w całkowitym milczeniu. Chciałam pokazać Wiktorowi kilka miejsc w Kuźnicy i w Chałupach, zmieniłam jednak plany. Ten dom zawsze wytrącał mnie z równowagi. Zostawię na kiedy indziej opowieść o czarownicy, Krystynie Ceynowinie... I o najlepszej wędzarni na półwyspie.

Dopiero kiedy zaparkowałam na Sychty, przy skřęćie w Dawida Pipera, cudowne wspomnienia z dzieciństwa zdołały wziąć górę nad ponurymi puckimi obrazami.

– Tu była kawiarnia „Gwiazda Morza”, ukochane miejsce każdego dziecka z Jastarni i okolic – przymknęłam oczy i niemal udało mi się wróćić na moment do gwarnećo, pachnącećo wanilią wnętrza. – Najlepsza mroźona czekolada, bajaderki i mroźone poziomki z bitą śmietaną, na które rodzice co roku zabierali maluchy po zakończeniu roku szkolnećo...

Uśmiechnęłam się do wspomnieći. Przychodziliśmy tu z Olkiem razem z mamą. Ja z białymi kokardami na dwóch mysich ogonkach, Olek w prawdziwym, wiecznie za dużym garniturku. Zawsze dostawaliśmy te poziomki bez kolejki. Mama była przeciećz nauczycielką. Wszyscy ją znali... I wszyscy chcieli, żeby zakończenie roku było dla niej i dla jej dzieci prawdziwym świętem.

Ojciec nigdy tam z nami nie chodził. Najpierw, przez pierwsze lata, w ogóle nie było go na Helu. Rodzinny sekret, o którym mówiło się półsłówkami, nigdy nie został do końca

wyjaśniony. Nikt nie usiadł przy stole ze mną i z Olkiem, żeby opowiedzieć, dlaczego tata wrócił z wojny później niż inni. Słyszeliśmy przeróżne wersje: Nie mógł nas znaleźć... Był w szpitalu... Szedł pieszo od granicy... Załatwiał pewne sprawy, bardzo ważne dla Polski...

Dopiero jako dorosła kobieta doszłam do wniosku, że przez te dwa albo trzy lata siedział w więzieniu. Wtedy nie miałam już jednak kogo zapytać, czy moje przypuszczenia były słuszne.

Stałam na środku chodnika i wspominałam dzień, w którym ojciec wreszcie wrócił. I moje zdumienie, że to naprawdę on. Nie pamiętałam jego twarzy. Znałam ją tylko z kilku nieostrych, czarno-białych fotografii. Przez pierwsze dni bałam się jego głosu, nie chciałam, żeby całował mnie na dobranoc, żeby brał na kolana... A mama kazała nam się cieszyć. Biło od niej wtedy takie światło.

Udawałam więc, że się cieszę. A potem chyba naprawdę już się cieszyłam. Nauczyłam się go kochać. Przeprowadziliśmy się z mieszkanką przy szkole do małego domku z zakładem fotograficznym na parterze. Do mojego małego domku...

Ojciec wyremontował wszystko własnymi rękami i stworzył „Mewę”. I chyba właśnie z jej powodu nie przychodził z nami na poziomki po zakończeniu roku szkolnego. Dziś już to rozumiałam. Musiał robić zdjęcia albo czekać w atelier w pełnej gotowości, bo przecież jakiś dumny rodzic mógł po zakończeniu roku wpaść z synkiem lub córką, żeby zrobić swojemu dziecku pamiątkowy portrecik.

Nasz tata był więc z nas dumny tylko na odległość.

Prawdę mówiąc, nie było nam chyba z tego powodu szczególnie smutno. Poziomki ze śmietaną potrafiły rozchmurzyć każdego, nawet tych z poprawkami... O ile ktoś byłby tak miły, by zabrać ich na deser, na który nie zasłużyli.

– Byłam tu z tatą tylko raz – przypomniałam sobie nagle, gdy szliśmy już z powrotem do mojej Mandarynki. – To była bardzo brzydka jesień. Olek pojechał z mamą do Gdyni do okulisty. Tata bardzo mnie wtedy zaskoczył. Wywiesił na drzwiach „Mewy” kartkę, że wróci za trzy godziny, i zabrał mnie do Jastarni.

– Jesienią nie było chyba poziomek? – uśmiechnął się Wiktor, słuchając tej historii.

– Nie było – pokiwałam głową. – Ale do dziś pamiętam, jak głośno się wtedy śmialiśmy! Jedliśmy bajaderki, a ojciec uczył mnie strzelać ze słomek...

Wiktor nie musiał nic mówić. Jego mina jasno pokazywała, że nigdy w życiu nie słyszał o strzelaniu ze słomek.

– Nauczę cię w domu – obiecałam. – A teraz chodź, pokażę ci, gdzie był Okrągłak. Tam

się chodziło na fajfy, tam zaczynali karierę Wawele...

– Tańczyłaś przy *Białym latawcu*? – uśmiechnął się z niedowierzaniem.

Potrząsnęłam głową. Nie tańczyłam. Znałam te fajfy tylko z opowieści Mariki. Tak jak i szalone imprezy w Domu Zdrojowym, trwające do białego rana. Ja w latach sześćdziesiątych nie miałam głowy do tańców. Byłam na studiach w Krakowie. Poznałam Stefana, każdą wolną chwilę spędzałam w jego ramionach... albo w bibliotece. Glistnik jaskółcze ziele namalowany przez Wita Stwosza na ołtarzu mariackim interesował mnie znacznie bardziej niż bigbitowe przeboje. A potem, po powrocie, miałam na głowie całkiem inne sprawy. Zakład fotograficzny, trójkę dzieci, mamę i bratową, które potrzebowały opieki dzień i noc. Zасыpiałam na stojąco, zbyt zmęczona, by płakać. Tańce w Okrągłaku były ostatnią rzeczą, o której mogłam myśleć w tamtych dniach.

Spacer zakończyliśmy w Helu, w okolicach stacji kolejowej. Tutaj najłatwiej mi było się cofnąć do najweselszych, najmilszych, najbardziej beztroskich wspomnień z dzieciństwa. Klub marynarski na Komandorskiej... Muszla koncertowa w podwórzu... Pierwsze kino, przedstawienia kukielkowe, na które chodziliśmy z Olkiem... Pan Witek, dozorca z Kogi, przebrany za Mikołaja (przepraszam, za Gwiazdora) i rozdający dzieciom paczki ze śmiertelnie poważną miną...

Wiktor patrzył na mnie uważnie, kiedy opowiadałam o tamtych chwilach.

– Masz tu swój świat, swoje miejsce na Ziemi – w jego głosie wyraźnie słyszałam nutę zazdrości. – Może nie takie, jakie sobie wymarzyłaś, ale je masz. Należysz do tego półwyspu, znasz tu każdy kąt. Ja przeprowadzałem się w życiu siedemnaście razy. Gonilem za lepszą pracą, mieszkaniem, marzeniami. I w każdym z tych miejsc miałem coraz mniej.

Co miałam na to odpowiedzieć? W głowie kołatały mi jakieś tandetne zdania o docelowym porcie, do którego właśnie przybił... Ale prędzej połknęłabym własny język, niż powiedziała głośno coś tak banalnego.

Nie odezwałam się więc ani słowem, tylko chwyciłam go za rękę. Przyciągnął mnie do siebie i objął, a potem pocałował łapczywie, nerwowo, gorąco... Jakby chciał zagłuszyć w ten sposób wszystkie smutki.

– Znowu się spotykamy – zaszczębiotał ktoś tuż za nami. – I znowu to państwo robicie, bez żadnego wstydu...

Nie musiałam się nawet odwracać. Wszędzie bym rozpoznała ten głos.

Należał do pani Halinki.

Uznałam te dwa spotkania z naczelną plotkarką Helu za epizody kompletnie bez znaczenia. Prawdę mówiąc, nawet mnie trochę bawiło to, że na nią wpadaliśmy. To były przecież jedyne pocałunki w miejscu publicznym, jakie wymieniliśmy. Nie robiliśmy tego co pięć minut. I oczywiście, w obu tych miejscach, akurat ona musiała przechodzić obok nas...

Śmieszny zbieg okoliczności...

Teraz, analizując to wszystko jeszcze raz, musiałam jednak uznać, że to był właśnie ten pierwszy kamyczek, który uruchomił lawinę. Przez długi czas lawina przetaczała się za moimi plecami, a ja w ogóle jej nie zauważałam.

Przypomniałam sobie nagle książki Agaty Christie, którymi zaczytywałyśmy się z Dorotą i Hanką w czasie studiów. W jednej z nich, chyba w *Dwunastu pracach Herkulesa*, było coś o plotce, bardzo à propos. Wytężyłam pamięć i uśmiechnęłam się do siebie triumfująco. Znalazłam w głębinach pamięci odpowiedni cytat: „Plotka to rzeczywiście hydra lernejska o dziewięciu głowach. Nie sposób jej zniszczyć, bo na miejscu jednej odciętej głowy wyrastają dwie nowe”.

Herkules Poirot jak zwykle się nie mylił.

Plotka mogła narobić strasznej krzywdy... I nie sposób było z nią wygrać.

Gdyby ktoś mnie zapytał jeszcze wczoraj, jak przyjęli Wiktora moi sąsiedzi, uśmiechnęłabym się tylko i odpowiedziałam: „Normalnie, bez problemu. Chyba już się zaaklimatyzował w Helu na dobre”.

No, może to zdanie o aklimatyzacji mogłabym sobie darować... Bo przecież Wiktor akurat otwierał sezon żeglarski i co chwilę musiał opuszczać półwysep, żeby podpisać umowy, wybrać odpowiednich kapitanów i zająć się mnóstwem innych spraw.

Kilka lat temu, kiedy przypadkiem trafił na kolonoskopię i dzięki wczesnej diagnozie skutecznie rozprawił się z rakiem, postanowił coś zmienić w swoim życiu. Zamiast siedzieć w biurze i liczyć tygodnie do emerytury, zajął się tym, co kocha. Żeglarstwem.

Mężczyzna powinien mieć pasję... I on ją miał.

Za wszystkie oszczędności kupił dziewięcioosobowy jacht i zaczął zabierać amatorów na dwutygodniowe rejsy po chorwackich wyspach. Od maja do września był na morzu. Interes szedł tak dobrze, że dziś – zamiast spokojnie bujać się w fotelu, przymierając głodem, jak na polskiego emeryta przystało – miał siedem jachtów i właśnie szykował się

do zakupu ósmego.

Nie pływał już przez całe lato na żadnym z nich. Zamierzał tylko wybrać się za kilka tygodni z przyjaciółmi na krótki rejs po wodach Skandynawii. Do pracy z turystami zatrudniał innych. Zawsze absolutnie najlepszych.

Wiele razy powtarzał, że to jest jego klucz do sukcesu. Kapitanowie najlepsi ze wszystkich. Niezawodny sprzęt dobrej jakości. Pełne ubezpieczenia. Zarezerwowane miejsca w najlepszych portach. Zapasy zabezpieczone jeszcze zimą.

Nie znam się na żeglarstwie. Zasady, którym hołduję w „Mewie”, są jednak bardzo podobne. Żadnej fuszerki, żadnego oszczędzania siedmiu groszy kosztem klienta. Jeżeli będzie się czuł niezadowolony i oszukany, po prostu do nas nie wróci.

Rozumiałam więc doskonale, że Wiktor nie może niczego zaniedbać. Jeździł wybierać kapitanów na cały sezon, nadzorował krojenie i szycie żagli oraz pakowanie ich tak, żeby bezpiecznie przetrwały długą podróż...

– Jesteś taki sam, jak Nina – roześmiałam się kiedyś, patrząc, jak w czasie spaceru z Maksem oblicza na komórcie ilość paliwa konieczną na cały rejs nową trasą. – Ona też wszystko musi robić sama.

– Ja już nie muszę, naprawdę – zaprotestował. – Nie masz pojęcia, iloma sprawami zajmuje się Janek, mój przyjaciel tam, na miejscu... Ile robią kapitanowie, kiedy już ich zatrudnię. Ja po prostu nie chcę w tym roku wyjeżdżać częściej niż to konieczne. Muszę wprowadzić sporo zmian, zatrudnić dodatkowych pracowników... Właśnie po to, żeby być tutaj z tobą niemal przez całe lato.

Weszliśmy więc w fazę przemian. A to oznaczało, że Wiktor musiał wyjeżdżać częściej niż kiedykolwiek, żeby to wszystko poustawiać na nowo. I żeby przestać wyjeżdżać... za jakiś czas.

Nie miałam o to pretensji, absolutnie nie. Uważałam jego obecność w moim domu za cudowny prezent od losu. A fakt, że była dość regularnie przerywana podróżykami służbowymi, wcale mi nie przeszkadzał. Lubiłam swoją samotność, zżyłam się z nią przez te wszystkie lata na dobre.

Nigdy mu o tym nie powiedziałam, ale miałam przed jego przeprowadzką wiele obaw. Myślałam, że trudno mi będzie znieść fakt, iż nagle ktoś zajmuje moją półeczkę pod oknem, rozpycha się po łazience ze swoimi kosmetykami, parzy rano kawę zupełnie inaczej niż ja... I chrapie w moim łóżku.

O dziwo, nie chrapał. Kawę parzył inaczej, ale chyba znacznie lepiej ode mnie. A z rzeczami starał się nie rozpychać, zajmować jak najmniej miejsca i w ogóle schodzić mi z

drogi.

Było więc dużo prościej, niż się spodziewałam.

Właściwie przeszkadzał mi tylko... zapach. Jego zapach na ręcznikach, zapach jego kapci w sieni i jego szczoteczki do zębów w łazience. Nigdy nie przypuszczałam, że szczoteczka i ręcznik mogą aż tak przejmować czyjś zapach – i rozsiewać go dookoła. Nie był to zapach okropny, odrażający, dziwny. Był zupełnie normalny, ale nowy. Inny niż zapach ojca i brata, którego niemal nie pamiętałam. Inny niż zapach Stefana...

Czasami ciągle go czułam, idąc ulicą. Raz zapachniał nim młody żołnierz, który przyszedł do „Mewy” zrobić zdjęcie do dokumentów. To niebywałe, jak działa pamięć. Po tylu latach! A ja naprawdę nie mogłam ustać na nogach w jego obecności.

W tym domu od lat nie pachniało nikim poza mną. Dziewczynki wyprowadziły się zaraz po maturze, Mikołaj kilka lat później.

Nie spodziewałam się już od losu żadnych atrakcji. A jednak pojawił się pies ze swoim zapachem mokrej sierści, a chwilę później Wiktor...

Wiedziałam, że w końcu przywyknę i do jednego, i do drugiego. To tylko kwestia czasu. Na razie trochę łatwiej szło mi z sierścią Maksa...

Znowu musiałam przywołać się do porządku. Miałam rozmyślać nie o zapachach, lecz o sąsiadach i o tym, kto i dlaczego zdecydował o skazaniu mnie na ostracyzm.

Pani Halinka była pierwszą oburzoną, co do tego nie miałam żadnych wątpliwości. Nie powiedziała ani słowa, kiedy spotkałam ją przy okienku pocztowym cztery czy pięć dni po tym nieszczęsnym drugim pocałunku. Spojrzała tylko wyniośle i prychnęła jak lama.

Pani Iwonka oderwała się od pracy i zerknęła na nią zdziwiona, a nawet chyba odrobinę rozbawiona.

Wzrok rejestratorki z naszej przychodni natychmiast jednak przywołał ją do porządku. Spuściła wzrok i zajęła się przyklejaniem znaczków i stemplowaniem jakiegoś wydruku z mnóstwem maleńkich rubryczek.

Kto był następny? Jakie sygnały alarmowe udało mi się jeszcze zignorować?

Sytuacja z czerwoną szminką... Tak, to musiało być to! Pozornie nie miała nic wspólnego z Wiktorem, ale gdyby nie jego przyjazd, na pewno nikt nie ośmieliłby się odezwać się do mnie w ten sposób.

A już na pewno nie pani Lusia, której moja mama dała pracę w szkole, na przekór wszystkim w Helu. Była o dwa albo trzy lata starsza ode mnie, przyjechała z Gdyni, a za

nią przyszły przeróżne plotki... Mama nie chciała ich słuchać. Odbyła z dziewczyną długą rozmowę, po czym dała jej etat i służbowy pokoik. Nic dziwnego, że od tamtego dnia pani Lusia zawsze traktowała naszą rodzinę z nabożnym szacunkiem. Zawsze, aż do tej chwili...

– Nie za mocna ta szminka? – mruknęła z odrazą. Spodziewałam się, że zaraz splunie na ziemię, ale zdołała jakoś się powstrzymać. – Taka rozpaczliwa pogoń za młodością jest po prostu śmieszna. I z góry skazana na niepowodzenie. Nie uważasz?

Najwyraźniej było to pytanie retoryczne, obróciła się bowiem na pięcie i odeszła w stronę ronda, zanim zdążyłam otworzyć usta.

Retoryczne czy nie, nie dawało mi jednak spokoju przez kilka godzin.

Czy ja naprawdę rozpaczliwie próbowałam zatrzymać młodość? Udawałam kogoś, kim nie jestem?

Staralam się odpowiedzieć tak szczerze i uczciwie, jak to tylko możliwe. Zadawałam sobie całą serię pytań pomocniczych.

Odpowiedź jednak wciąż była taka sama: „Nie, naprawdę nie”.

Mając czterdzieści lat byłam smutną, starzejącą się kobietą. Potwornie bałam się menopauzy, siwizny i obwisłych piersi. Dziesięć lat później menopauza faktycznie nadeszła. Miotła mną po ścianach i oblewała potem. Nasz poczciwy doktor Garnarczyk nie słyszał chyba nigdy o hormonalnej terapii zastępczej. Albo udawał, że o niej nie słyszał... Zaproponował mi na moje dolegliwości długie spacery brzegiem morza, picie wody i rezygnację z pracy zawodowej. Bo dla kobiety w moim wieku może być ona gwoździem do trumny.

W wieku sześćdziesięciu lat byłam pewna, że wszystko jest już za mną. Prowadziłam „Mewę” siłą rozpędu, z trudem podnosząc się z łóżka. Mój wygląd kompletnie mnie nie interesował. Uważałam, że trzeba starzeć się z godnością. I że moje ciało nie musi już cieszyć niczyjego wzroku, bo i tak, nawet starannie ukryte w kolorowych szmatkach i wymalowane jak pisanka, nie jest już w stanie ucieszyć nikogo.

A teraz? Ta czerwona szminka... Czy udawałam kogoś, kim nie byłam?

Naprawdę nie. Byłam zakochana – i kochana. Nie da się ukryć, że to była inna miłość niż ta sprzed półwiecza. Jeśli ktoś mówi, że miłość dwudziesto-i siedemdziesięciolatki niczym się od siebie nie różnią, to chyba nigdy w życiu nie miał siedemdziesięciu lat. Tego bagażu doświadczeń, rozczarowań, świństw, na które się napatrzył, i na które nigdy tak do końca nie mógł się przygotować... A jednocześnie tego poczucia, że to już naprawdę ostatni raz. Że los nie ześle kolejnych szans, kolejnych uroczych, szarmanckich

blondynów... Że nie ma już czasu, by uczyć się na błędach, własnych albo cudzych.

Motyle w brzuchu siedemdziesięciolatki trzepocą skrzydłami znacznie szybciej niż dwadzieścia, trzydzieści albo pięćdziesiąt lat wcześniej. Także dlatego, że doskonale wiedzą, iż ktoś zasadza się na nie za rogiem z gęstą siatką na długim kijku.

Wolność siedemdziesięciolatków może faktycznie gdzieś istnieje. W Niemczech, w Szwecji, Australii... No i w Stanach, rzecz jasna. W Polsce siedemdziesięciolatek miota się w skomplikowanej sieci uwikłań. Wnuki, dzieci, kwiatki sąsiadki, które trzeba podlewać jeszcze przez dwa tygodnie (bo przecież się obiecało, że jeśli tylko będzie trzeba...). Mieszkanie ze słoneczną kuchnią i drobna lokatka w PKO, na którą ostrzą zęby wszyscy krewni... A może i jakieś złoto, które przetrwało okupację, schowane w gorsecie prababki?

– Moje dzieci chyba trochę się martwią, że zmienię testament i wszystko odziedziczysz ty, a potem twoja rodzina – westchnął Wiktor po ostatniej wymianie SMS-ów z córką.

– Niczego nie potrzebuję – uśmiechnęłam się i przywarłam do niego trochę mocniej niż zwykle.

– Wiem, Natalio, wiem... – On też oplótł mnie ramionami tak ciasno, że aż zakłuło mnie ostrzegawczo gdzieś między żebrami. – Ale one nie mają pojęcia, jaka jesteś... Nie znają cię i dlatego tak bardzo się boją.

Mogli mnie poznać w każdej chwili. Mówiłam Wiktorowi nie jeden raz, żeby zaprosił dzieci i wnuki na weekend. Chciałam wynająć dla nich domek albo jakieś mieszkanko, żeby nie czuli się skrępowani, nocując z nami pod jednym dachem.

– Nie mają czasu – odpowiadał Wiktor za każdym razem, kiedy to proponowałam.

– To my do nich pojedźmy. Albo spotkajmy się gdzieś w połowie drogi. Znajdziemy uroczy hotelik w jakiejś fajnej okolicy... – Nie poddawałam się, szukając innego rozwiązania. – Może nad jeziorem, gdzieś na Kaszubach? Weźmiesz dzieciaki na łódkę, będą zachwycone...

Nie odpowiadał ani słowem, tylko przyciągał mnie do siebie. A jego oczy robiły się wtedy na krótką chwilę odrobinę mniej błękitne i radosne.

Nikt mi nie wmówi, że te motyle w brzuchu, te rumieńce i przyspieszony oddech wyglądają tak samo u dwudziestolatki i u kobiety w moim wieku.

To była zupełnie inna miłość niż ta studencka, szalona... niż miłość do Stefana. Ale była równie prawdziwa, i równie piękna.

– Masz fantastyczne nogi – powtarzał Stefan pięćdziesiąt lat temu (powiedział to samo w kwietniu tego roku, gdy szedł za mną ulicą Karmelicką z bukietem konwalii w dłoni).

– Masz świetne nogi – mawiała Nina.

A Wiktor? Wiktor nie mówił ani słowa. On tylko patrzył... Patrzył tak, że aż dreszcz biegł mi wzdłuż kręgosłupa.

Dlaczego więc miałabym je chować? Tylko z powodu wieku?

– Dziękuję – szepnął Wiktor, gdy pierwszy raz założyłam tę czerwoną spódniczkę, delikatnie odsłaniającą kolano.

Ale czerwona szminka to nie był jego pomysł. Ani mój. To był przypadek...

Jedna z klientek... Czarnowłosa pisarka z Warszawy, która wpadła do Helu na weekend, żeby spokojnie dopieścić swoją książkę przed drukiem z dala od dzieci, kanarków i czterech świnek morskich... Ta, która zażyczyła sobie zdjęcie z wachlarzem na skrzydełko kolejnej powieści. To właśnie ona, wychodząc w pośpiechu, zostawiła koło lustra nowiutką pomadkę.

Wiedziałam, że już po nią nie wróci. Gdy zauważyłam, że zapomniała zabrać ten uroczy drobiazg z półeczki w mojej „Mewie”, jej pociąg mijał już pewnie Władysławowo albo Puck.

Od razu odszukałam w szufladzie kopię jej zamówienia z numerem telefonu i zadzwoniłam, żeby poprosić o adres, z zamiarem odesłania jej zguby.

– Niech pani da spokój – roześmiała się perliście, słysząc, w jakiej sprawie ją odnalazłam.

Ja dałam spokój, szminka nie. Kusila swoją karminową czerwienią każdego ranka, gdy otwierałam okiennice mojego zakładu. Słońce padało wtedy prosto na półeczkę pod lustrem. A złote etui połyskiwało za każdym razem w jego blasku, zmuszając mnie do spojrzenia w tamtą stronę.

W końcu piątego czy szóstego dnia delikatnie przejechałam pomadką po ustach. A potem jeszcze raz, nieco mocniej.

Bardzo mi się spodobało to, co zobaczyłam.

Wiktorowi też bardzo się to spodobało. Pocałował mnie w te czerwone usta i szepnął:

– Bardzo twarzowy kolor.

– Nie uważasz, że jest zbyt... wyzywający? – zapytałam niepewnie.

Pocałował mnie raz jeszcze.

– Lubię, gdy jesteś wyzywająca. Obiecuj, że nigdy nie przestaniesz...

Poszliśmy do sypialni. To była jedna z tych nocy, gdy udawało się nam oszukać numer pesel. Jedna z naszych najlepszych wspólnych nocy.

Zasypiając w jego ramionach, gdy zza przymkniętych lekko okiennic zaczynał sączyć się

już błąd świt, pomyślałam, że wszyscy, którzy twierdzą, iż miłość jest zawsze taka sama, bez względu na wiek, zwyczajnie nie wiedzą, o czym mówią.

Mając dwadzieścia dwa czy dwadzieścia trzy lata, nie zastanawiałam się nad przemijaniem. Nieustannie snułam plany. Wielkie, odważne, czasami bezczelne. Na przekór logice, rozumowi i PRL-owskim realiom lat sześćdziesiątych. Świat należał do mnie i miał trwać wiecznie. Jedna noc była niczym krótka chwilka, niczym mgnienie oka w tej otchłani czasu, którą miałam przed sobą. Którą mieliśmy przed sobą razem ze Stefanem...

Zbyt późno zrozumiałam, że nie ma żadnej otchłani czasu. Że mieliśmy tylko tę chwilę. Wyrwana gwałtownie z jego ramion, nigdy już nie zdołałam w nie powrócić.

Dziś, niemal pięćdziesiąt lat później wiedziałam doskonale, że każda chwila może być jedyną i ostatnią. I chyba dlatego smakowałam każdą z nich w nieskończoność.

Od kiedy Wiktor był tutaj, razem ze mną, przestałam lubić ten moment między jawą a snem. Już nie chciałam zasypiać. Wolałam leżeć i słuchać jego pochrapywania, patrzeć na jego profil, rozpamiętywać każde muśnięcie jego palców, każdy przyspieszony oddech. Zakochana wariatka? Trochę tak. Ale to chyba – bardziej niż z zakochania – wynikało właśnie z faktu, że poznałam już życie z najgorszych stron. Chciałam nacieszyć się każdą z tych chwil... Bo przecież pewnego dnia zostaną mi odebrane.

– Nie lubię, jak rozmyślasz o takich smutnych rzeczach – skrzywił się Wiktor, kiedy odpowiedziałam szczerze na jego: „O czym myślisz, kochanie?”.

– Nie są smutne – wtuliłam się w jego opalone, szczupłe ciało. – To najpiękniejsze rzeczy, jakie mi się zdarzyły. Pierwsze tak piękne od wielu, wielu lat... Smakuję je w nieskończoność...

Tej nocy, gdy niebo stawało się coraz bledsze, też je smakowałam. Były cudowne. Nie miałabym pretensji do losu, gdyby miały się okazać ostatnimi w moim życiu.

Cztery noce później okazało się, że jednak nie możemy w nieskończoność oszukiwać peselu ani grawitacji. Nie pomogła nawet czerwona szminka i moje perfumy pachnące werbeną, które zawsze wprawiały Wiktora w bardzo frywolny nastrój.

Dwadzieścia czy trzydzieści lat temu pewnie bym się denerwowała, że wszystko poszło nie tak. Teraz umiałam już się uśmiechać i cieszyć tym, co mam. Leżeniem nago w jego ramionach... Jego dłonią błędzącą po mojej piersi...

Chciałam, żeby wiedział dokładnie, jak się czuję.

– Nie musimy... – zaczęłam.

– Wiem, że nie musimy. Że możemy bez tego żyć – przytulił mnie mocniej do siebie. Czułam, jak szybko bije mu serce. – Widziałem twój mały arsenalik w szufladzie sekretarzyka... Szukałem nożyczek, a natrafiłem na najprawdziwszą skrzynię skarbów.

Zaczerwieniłam się jak podłotek.

Co innego uważać, że używanie wibratora jest czymś zupełnie normalnym i mieć błogosławieństwo lekarki, która twierdzi, że to świetnie wpływa na zdrowie... Wymieniać z pamięci wszystkie korzyści: normalizację ciśnienia krwi, dotlenianie mózgu i skóry, wzmocnienie mięśni dna miednicy i zwieraczy cewki moczowej... To przychodziło mi bez trudu, naprawdę. Mogłabym poprowadzić wykłady o wpływie masturbacji na stan fizyczny i psychiczny kobiety po menopauzie, choćby na jakimś uniwersytecie trzeciego wieku. A jednak wcale niełatwo było nagle dowiedzieć się, że ktoś, ten szczególny ktoś, trzymał w ręku wszystkie te lateksowe, gumowe i metalowe cuda... I pewnie nawet je włączał.

– Zawstydziłem cię? – roześmiał się na widok moich rumieńców. – Hej, dziewczyno! To chyba do ciebie nie pasuje? Jesteś najbardziej bezpruderyjną osobą, jaką znam... Nasza znajomość, jak pamiętasz, rozpoczęła się od rozmowy o kolonoskopii. A teraz zamierzasz wpaść w histerię, bo odkryłem twoją kolekcję wibratorów?

– Nie wpadam w żadną histerię – udając urażoną, strąciłam jego dłoń ze swojej piersi.

– I całe szczęście – pocałował mnie w ramię, a potem nieco niżej... – Wybieram się w przyszłym tygodniu do Poznania na urodziny wnuka. Muszę też tam podpisać kilka dokumentów dotyczących nowego jachtu. Odwiedzę przy okazji lekarza.

– Nie musisz... Nie musimy... – naprawdę chciałam to w końcu powiedzieć wprost, ale jakoś nie potrafiłam znaleźć właściwych słów. W tym momencie nie byłam bezpruderyjną, świadomą, nowoczesną kobietą, za jaką uważał mnie Wiktor, lecz głupią gąską, której nie chcą przejść przez gardło takie słowa, jak „penis”, „erekcja” czy nawet zwyczajny „stosunek”.

Jak ja miałam to ująć? Nie chciałam niczego owijać w bawełnę, a jednak zdanie: „Nie potrzebuję członka twardego jak stal” brzmiało zbyt tandetnie, a: „Bez penetracji też mogę osiągnąć satysfakcję” trochę zbyt medycznie... Milczałam więc i czułam, że znowu się rumienię.

– Wiem, kochanie – zsunął się ustami jeszcze odrobinę niżej... I jeszcze... Dochodząc z ramienia, przez piersi, gdzieś w okolice pępka. – Zaburzenia erekcji to nie koniec świata i damy sobie radę, nawet jeżeli okaże się, że nie możemy normalnie współżyć. Ale mimo

wszystko chcę porozmawiać z lekarzem. Po pierwsze, takie problemy mogą być objawem jakiejś choroby, rozsądnie więc będzie zrobić badania... A po drugie, jeżeli okaże się, że jest dla nas nadzieja, że można mi pomóc w jakiś prosty sposób, to nie zamierzam z tego rezygnować. Zbyt dużą przyjemność dają mi chwile w twoich ramionach... I bardzo chciałbym przeżyć ich jeszcze nieco więcej...

Jemu właściwe słowa przychodziły najwyraźniej łatwiej niż mnie.

– Skąd ty się wzięłeś taki mądry? – mruknełam, prężąc się pod jego pocałunkami.

Stawały się coraz gorętsze. Potrafił doprowadzić mnie do szaleństwa i żadna erekcja nie była tu potrzebna... Ani żadne cudeńka z lewej szuflady sekretarzyka...

ROZDZIAŁ 8

KSIĄDZ I NIEWIASTA Z JEDNEGO CIASTA

Przez pierwsze dwa tygodnie żaden z sąsiadów nie zapytał wprost o to, co mnie łączy z Wiktorem, kim on jest, jakie mamy plany.

Nikt chyba nie miał wątpliwości, że jesteśmy kochankami. Wieść o tym, że całowaliśmy się w zaułku za bankomatem i sklepem mięsnym (na oczach czterech burych kotów i pani Halinki), obiegła Hel lotem błyskawicy.

Kolejny pocałunek w miejscu, w którym przed laty stała muszla koncertowa, stanowił najlepszy dowód, że nie była to znajomość przelotna, przypadkowe spotkanie bez ciągu dalszego. Wszyscy już wiedzieli, że łączy mnie z Wiktorem coś względnie stałego. Że wprowadził się na dobre do mojego mieszkanka nad „Mewą”...

Nikt jednak nie zadawał żadnych pytań... A ja naprawdę nie zaprzętałam sobie tym głowy. Zupełnie nie zwróciłam uwagi na to, że sąsiedzi rzadziej wpadają do „Mewy” na pogawędkę, że szybciej niż kiedykolwiek udaje mi się zrobić zakupy, nie ma bowiem żadnych pogaduszek, ploteczek, zwyczajowych pytań o zdrowie i narzekań na pogodę... Byłam ślepa i głucha, spieszyłam się do domu, do Wiktora, do Maksa. Na moim biurku piętrzyły się wydruki i książki botaniczne, odkurzone po prawie pięćdziesięciu latach... Tak więc fakt, że nikt nie chce mi opowiedzieć o swoich wynikach badania moczu ani pochwalić się tym, że obrodziły mu rzodkiewki w maleńkim ogródku, był mi bardzo na rękę.

Do myślenia dały mi dopiero słowa proboszcza. W deszczowe sobotnie popołudnie fotografowałam ślub małej Renatki z przystojnym oficerem marynarki wojennej. Jego widziałam na oczy po raz pierwszy, mała Renatka zaś...

Cóż, Renatka tak naprawdę była wyższa ode mnie o głowę i przekroczyła właśnie trzydziestkę... Dla mnie jednak chyba na wieki zostanie już małą dziewczynką, która zawsze w drodze ze szkoły zatrzymywała się przed witryną „Mewy” i wpatrywała lśniącymi oczami w wywieszane zdjęcia. Czasami zapraszałam ją do środka. Siadała z poważną miną na brzeżku krzesła i obserwowała bez słowa moją pracę. Przez jakiś czas

myślałam nawet, że zechce iść na kurs fotograficzny, a może nawet przejąć w przyszłości mój zakład. Nie miałabym nic przeciwko temu...

Renatka jednak przestała przychodzić do „Mewy”. Wyjechała do liceum do Gdańska, zamieszkała tam u jakiejś ciotki... Potem podobno studiowała inżynierię lądową. Nie pojawiała się w Helu od kilku lat, a teraz nagle przyjechała wziąć ślub, właśnie tutaj.

– Mam nadzieję, że będzie z nim bardzo szczęśliwa – szepnęłam do proboszcza, gdy młodzi odjechali spod kościoła skromnym szarym renault, bez żadnych ślubnych dekoracji. Wesela nie było. Uroczysty obiad dla najbliższych miał się odbyć tydzień później w Trójmieście, w nowym mieszkaniu Renatki i jej męża.

Nikt z sąsiadów ani dalekich krewnych z Jastarni i Chałup nie został zaproszony, co oczywiście wywołało falę komentarzy, nieprzychylnych Renatce, jej rodzicom, no i świeżo poślubionemu oficerowi. Ślub bez hucznego wesela ciągle nie mieścił się w głowie niektórym ludziom z półwyspu.

– Oczywiście, że będzie szczęśliwa – fuknął ksiądz, jakbym powiedziała coś bardzo niewłaściwego. – Wszystko odbyło się jak należy, z Bożym błogosławieństwem... A więc czeka ją wiele wspaniałych lat naprawdę udanego małżeństwa.

Ugryzłam się w język, żeby nie powiedzieć, że dla niektórych par Boże błogosławieństwo to trochę za mało... Tak jak dla Grażynki i Jaśka z Juraty. Mieli piękny ślub, koncelebrewany przez trzech księży (wuj Jaśka pracował przecież w kurii). Nie wystarczyło. Jasiek pił i bił, podobnie jak wielu mężów na półwyspie. W dodatku bił trochę mocniej i celniej niż pozostali. Grażynka leżała pół roku w śpiączce, a teraz, już od marca, odpoczywała w przepięknym marmurowym grobie, w drugiej alejce po lewej. Jasiek nie poszedł do więzienia. Prokurator uznał, że to był nieszczęśliwy wypadek...

To chyba jednak nie był ani czas, ani miejsce, żeby rozmawiać o tym z proboszczem. W końcu to jego zeznania oczyściły Jaśka z wszelkich podejrzeń.

– Słyszała pani, Natalio, co powiedziałem? – zapytał szorstko.

Pokiwałam głową, znowu gryząc się w język. Jeżeli chciałam fotografować wszystkie uroczystości we wszystkich parafiach na półwyspie, to zdecydowanie nie powinnam wdawać się w żadną dyskusję!

– Ludzie gadają coraz głośniej... – syknął proboszcz, nagle wyraźnie się czerwieniąc.

W pierwszej chwili nie rozumiałam, co ma na myśli.

– To przecież ich sprawa, czy chcą robić wesele, czy nie – stanęłam w obronie Renatki i jej oficera. – Kupili mieszkanie, nie stać ich było na wielkie przyjęcie... Sąsiedzi naprawdę powinni to zrozumieć.

– Nie mówię o weselu pani Renaty – pokręcił głową. – Mówię o pani i o tym... O tym pani znajomym. Naprawdę nie powinna pani prowokować sąsiadów do takich okropnych komentarzy! Po co to pani na stare lata?

Próbowałam policzyć do dziesięciu, żeby nie powiedzieć niczego, czego bym potem żałowała.

Wzięłam dwa głębokie oddechy i bardzo powoli wypuściłam powietrze.

Nie pomogło.

– Naprawdę uważa ksiądz proboszcz, że na stare lata powinnam tylko siedzieć całymi dniami w oknie, robić na drutach, gapić się na sąsiadów i rozsiewać plotki?

– To lepsze niż je wywoływać, Natalio – nie patrzył w moją stronę. – Nikt by się nie oburzał, gdyby spotkała się pani ze znajomym na kawę w Gdańsku albo w Sopocie... Z dala od ludzkich spojrzeń...

– W Sopocie, jak wiadomo, roi się od spojrzeń jaszczurzych, na ludzkie zaś liczyć nie można – mruknęłam pod nosem, ale chyba nie dosłyszał.

Co za kołtuńskie podejście! Rób, co chcesz, byle za zasłoniętymi szczelnie oknami! Wszystko się we mnie burzyło, kiedy słuchałam tych wywodów księdza proboszcza.

– Stało się, jak się stało – westchnął z wyraźnym wyrzutem. – Zdecydowała się pani sprowadzić do Helu swojego... znajomego... – zawieszenie głosu mówiło: „Ja wiem i pani wie, że nie o zwykłą znajomość tu chodzi”. – A więc chyba wypadałoby zrobić następny krok.

– To znaczy? – naprawdę nie rozumiałam, o czym mówi.

– Nie można bezkarnie epatować tym brakiem moralności i śmiać się porządnym ludziom w twarz...

– Obydwoje jesteśmy porządnymi ludźmi – ze złości ciemniało mi przed oczami.

– Dajcie temu dowód – uśmiechnął się po raz pierwszy w czasie tej rozmowy. – Przyjmę na zapowiedzi choćby zaraz, ustalimy datę. Wiem, że u pani nie ma żadnych przeszkód formalnych w zawarciu związku sakramentalnego. U tego „porządnego człowieka” też nie, jak rozumiem?

– Też nie – potwierdziłam odruchowo. I przez kilka sekund wydawało mi się, że to może być całkiem niezły pomysł. Weźmiemy ślub, nikt nie będzie się nas czepiał i obgadywał za plecami...

Już miałam powiedzieć, że omówię to z Wiktorem i wrócimy razem, jutro albo pojutrze, ale wtedy proboszcz zaproponował:

– Zaplanujemy cichą uroczystość w dzień powszedni, wcześniej rano albo w południe...

Bez bicia dzwonów... Domyślałam się, że wolelibyście nie zapraszać żadnych gości i nie robić zamieszania wśród sąsiadów. Tylko te zapowiedzi... Zastanowię się jeszcze, jak to załatwić. A może lepiej byłoby przenieść ceremonię do Kuźnicy lub Chałup? Tam na pewno uda się wszystko utrzymać w tajemnicy do samego końca.

– Dlaczego mamy to trzymać w tajemnicy? – pokręciłam głową z niedowierzaniem. – Przecież radością trzeba się dzielić? Sam ksiądz powtarzał to wiele razy z ambony.

Milczał przez moment, a potem spojrzał mi prosto w oczy i rzucił:

– Są różne rodzaje radości. Niektóre lepiej przeżywać bez świadków. W pani wieku, w pani stanie, z pani przeszłością nie warto obnosić się ze ślubem.

– O czym ksiądz mówi? – Aż się zatrzęśłam, kiedy wspomniał o mojej przeszłości.

– Natalio, przecież wiesz... Tak samo, jak ja – zrezygnował ostatecznie z konwenansów i ze zwracania się do mnie „pani”. Nie byłam pewna, czy to dobry, czy zły znak. – Już raz zakochałaś się jak nastolatka. Nie wypominam nigdy kobietom wieku, ale zbliżałaś się już wtedy do czterdziestki. Powinnaś być rozsądniejsza. Nie słuchałaś nikogo i mało nie przyplącałaś tego życiem. Ludzie z półwyspu nie zapominają takich historii. Wszyscy tak się o ciebie martwili...

Martwili? Mało nie wyrwali mi parapetów, próbując zajrzeć do domu i sprawdzić, czy naprawdę umieram z miłości!

– Do dziś nie w pełni wróciłaś do siebie, prawda? A więc... Niech to się nie powtórzy, Natalio. Jeżeli ten mężczyzna ma szczerą intencję, ożeni się z tobą bez wahania. A ludzie będą cię szanować tak jak dotąd.

Nie byłam pewna, czy mnie szanowali. Chyba raczej uważali za nieszkodliwą wariatkę uprawiającą dziwne rośliny na parapecie. „Ziółka”, jak nazywali pogardliwie moją kolekcję. A to były rzadkie odmiany pelargonii, cantedeskii etiopskiej i lachenalii, pochodzące w prostej linii od tych sprowadzonych w siedemnastym wieku przez Holendrów z Afryki do Europy... Za jedną jedyną pelargonię, która wyrosła cudem w mojej kuchni, mogłabym pewnie wykupić kramik z pamiątkami pana Wojtka albo smaźalnię pani Franciszki.

Gdybym, oczywiście, choć przez chwilę myślała o jej sprzedaniu.

Sąsiedzi nie mieli pojęcia, że w doniczkach mam małą fortunę. Nie traktowali poważnie ani mnie, ani moich roślin.

„Mewa” wpisała się jednak na dobre w krajobraz Helu. Mój ojciec i brat oddali temu zakładowi całe serca. Sprawili, że ludzie z Trójmiasta przyjeżdżali zrobić sobie zdjęcia właśnie u nas. Włożyli ogromne pieniądze w to, żeby wyposażyć atelier we wszystko, co

najlepsze. Przy okazji kupowali też stary sprzęt za grosze i ustawiali na półce nad drzwiami. Nasze domowe muzeum historii fotografii, pokazane nawet dwa czy trzy razy w lokalnej gazecie...

Początkowo nie zamierzałam mieć z „Mewą” nic wspólnego. To Olek miał przejąć zakład od taty, a po nim jego dzieci. Olek i ojciec zginęli jednak na morzu, robiąc zdjęcia rybakom. Miały zawisnąć w witrynie. Nigdy nie zawisły. A ja? Wyrwana telegramem z Paryża, prosto z ramion Stefana, prosto z konferencji naukowej, która mogła zapewnić mi staż na Sorbonie, musiałam przejąć zakład, powiesić w witrynie zachwycające powiększenia... Bo przecież ojciec zawsze powtarzał, że to okno, wychodzące na główny deptak miasteczka, to nasza wizytówka. To duma całego Helu.

Nie mogłam tego zaniedbać mimo rozdzierającego bólu. Musiałam porzucić marzenia o Sorbonie, doktorat pisany w Krakowie... Musiałam porzucić Stefana. Jego miejsce było przecież na uczelni. Miał przed sobą wielką, światową karierę. A ja miałam na głowie zakład, moją mamę, której tragedia pomieszała zmysły... Bratową, która patrzyła tępo w ścianę, zamiast zająć się dziećmi... Musiałam je wychować. Zarobić na ich utrzymanie. Na leczenie mamy i żony Olka... A potem opiekować się nimi, kiedy nie było już szansy na żadną poprawę...

Nikogo nie obchodziło, że też jestem w żałobie, że moje życie też sypie się w gruzy. Musiałam stanąć za kontuarem, nierzadko z płaczącą bratanicą na ręku. Musiałam robić zdjęcia roześmianym nowożeńcom, choć ból nie pozwalał mi oddychać.

Na chwilę słabości mogłam sobie pozwolić tylko w obecności mojej przyjaciółki, Mariki. Przy niej jednej wyplakiwałam oczy i wyłam z rozpacz. Ona jedna wiedziała naprawdę wszystko... Podawała mi rękę, kiedy nie miałam siły wstać z łóżka. I rozmawiała ze Stefanem, kiedy przyjechał przekonać mnie, że możemy jeszcze być razem.

Nie mogliśmy. Nie mogłam łamać mu życia, zamykać go na półwyspie. Jego badania nad tatrzańską florą budziły zainteresowanie nawet w Londynie. Jak miałyby badać piętra roślinności tyle kilometrów od gór? Nie mogłam mu tego odebrać. Znienawidziłby mnie wcześniej czy później.

Zostałam więc tutaj. Przez większość czasu, na szczęście, byłam zbyt zmęczona, żeby rozpamiętywać to, co straciłam. Obserwowałam z daleka osiągnięcia Stefana, widywałam go regularnie w telewizji...

Jedyny mężczyzna, którego kochałam. Tak o nim myślałam, kiedy pojawiał się na ekranie. Jedyny... Tak miało pozostać już na zawsze.

Głupie plotki o moim romansie z długowłosym turystą, które wybuchły kilkanaście lat

później, tylko mnie śmieszyły.

„Mało nie przyplącałaś tego życiem” – powiedział proboszcz. I miał rację. Prawie umarłam, ale przecież nie z miłości! Zabiłaby mnie ciekawość niemająca nic wspólnego z porywami serca.

Tłumaczyłam to sąsiadom od ponad trzydziestu lat. Na próżno. Oni wiedzieli swoje. I uważali, że mam nie po kolei w głowie. „W twoim stanie, Natalio” – mówili z udawaną troską.

„W moim stanie” stanowczo nie powinnam ich zdaniem uprawiać seksu, malować ust na czerwono i nosić spódnic odkrywających kolano. Za to wydanie mnie za mąż mogło zapewne zrobić mi znakomicie... I byłam pewna, że są gotowi jeszcze na bardzo wiele, żeby mnie przekonać, że to naprawdę jedyne słuszne rozwiązanie.

Nie powiedziałam Wiktorowi o rozmowie z proboszczem. Wiedziałam, że się zdenerwuje. Tyle razy mnie pytał, czy nie będę miała kłopotów z powodu jego przyjazdu do Helu. A ja zapewniałam, że nie.

Pewnie natychmiast padłby na kolano, prosząc o moją rękę. Pozwoliłby zdecydować o wszystkim. Gdybym chciała ślubu z wielką pompą, choćby w katedrze oliwskiej, zgodziłby się bez wahania. Gdybym wolała załatwić to po cichu, jak sugerował proboszcz, też by nie miał nic przeciwko temu.

Kłopot w tym, że ja w ogóle nie chciałam brać ślubu. Z pompą czy bez pompy... Nie chciałam i już.

Nie teraz, kiedy całe miasteczko oczekiwało, że to zrobię.

Już kiedyś zrobiłam to, czego oczekiwali wszyscy dookoła. Żeby tylko nie gadali i nie pokazywali mnie palcami. Do dziś nie mogłam sobie tego darować.

Niech mówią, co chcą. Moja biała suknia nigdy nie została uszyta. Krawcowa oddała mi zadatek, a materiał leżał w pawlaczu od prawie pół wieku. Pewnie już dawno zjedzony przez mole.

Niech mówią, co chcą. Wiktor to najwspanialszy mężczyzna na świecie, nie zamierzałam jednak zostać jego żoną.

Maszerując boso po wilgotnym i chłodnym piachu, zwykle odzyskiwałam jasność myślenia, dosłownie z każdym krokiem. Tym razem jednak, mimo kolejnych

pokonywanych kilometrów, wciąż miałam mętlik w głowie.

Nie mogłam pojąć, dlaczego uznano, że nie mogę fotografować przedszkolaków, dzieci idących do pierwszej komunii czy absolwentów... Wszystko z powodu dwóch pocałunków na ulicy? I podejrzeń, że za zamkniętymi okiennicami uprawiam seks z kimś, kto nie jest moim mężem? Naprawdę to wystarczyło, żebym została helskim pariasem, niegodnym nawet „dzień dobry” rzuconego, kiedy przechodzę ulicą?

Przecież w co drugim helskim domu co noc uprawiano seks nieuświęcony węzłem małżeńskim! Ludzie – jak wszędzie – zdradzali się, żyli w trójkątach, mieli nieślubne dzieci... Nawet ci, którzy chcieli wziąć ślub, rezygnowali z tego pomysłu dla zasiłku, ulgi podatkowej dla samotnych rodziców czy pierwszeństwa przy przyjmowaniu ich dzieci do przedszkola.

Dziś już nie było się konkubiną lecz partnerką. W urzędzie miasta kierownik referatu żył na kocią łapę ze swoją zastępczynią od siedmiu czy ośmiu lat. Nikomu to nie przeszkadzało, przecinali wstęgi, składali oficjalne wizyty, na niedzielnych mszach siedzieli zawsze w pierwszej ławce.

A więc... Dlaczego ja?

Nie miałam wcale na sumieniu więcej niż oni. Może nawet mniej? Kierownik referatu zostawił przecież w Wejherowie żonę z trójką dzieci, zaś alimenty wysyłał podobno nie częściej niż raz na kwartał.

A jednak kiedy szedł środkiem Wiejskiej ze swoją konkubiną i yorkiem na różowej smyczy, drzwi otwierały się szeroko. Każdy chciał się przywitać, zamienić kilka słów, szepnąć pani Wioletce jakiś komplement i pogłaskać chimeryczną Kikę.

Kiedy ja przechodziłam Wiejską, robiło się pusto, a ludzie z uwagą oglądali wystawy – nawet te, na których od roku czy dwóch wisiała wyłącznie kartka: „Do wynajęcia”.

Czym różniłam się od kierownika referatu i jego uroczej Wioletki?

„W pani wieku, Natalio, wypada mieć więcej godności” – powiedział proboszcz na pożegnanie.

A więc chodziło o wiek?!

Można zdradzać, kraść, kłamać i mieć co noc inną kochankę... Nad tym wszyscy w Helu potrafią przejść do porządku dziennego. Ale być starym i zadowolonym z życia? Co to, to nie! Starość należy spędzać w bujanym fotelu albo w jakimś cudownym domu opieki z widokiem na mur cmentarza i wysypisko śmieci. Miłość, szminka i dobry humor są w moim wieku stanowczo zabronione.

Złamałam ten zakaz i teraz miałam zapłacić za to wysoką cenę.

Byłam na to gotowa.

Jak Scarlett O'Hara tańcząca z Rhettem Butlerem mimo żałoby, ku oburzeniu szanownych matron. Jak Scarlett idąca na podbój świata w sukni z aksamitnych portier swojej matki i piórami wyrwanymi z koguciego ogona.

Uśmiechnęłam się, wspominając jeden z moich ulubionych cytatów z *Przeminęło z wiatrem*: „Póki człowiek nie straci reputacji, nie zdaje sobie sprawy, jakim była mu ona ciężarem i czym jest prawdziwa wolność”.

Teraz nareszcie utraciłam reputację na dobre. I wszystko było mi wolno.

Reszta mojego życia zapowiadała się naprawdę całkiem interesująco.

ROZDZIAŁ 9

BEZ PRACY ODPOCZYNEK NIESŁODKI

Wiktor czekał na mnie w domu z kawą w pękatym czajniczku i świeżo upieczonymi ciasteczkami z konfiturą z róży. Ich zapach unosił się w całym domu.

Na widok moich rozwianych włosów i butów oblepionych wilgotnym piachem oraz resztkami igliwia uniósł tylko brwi, ale nie powiedział ani słowa. Pomógł mi wynieść sprzęt z samochodu, ustawić wszystko na swoim miejscu...

– Jak poszło? – zapytał w końcu, gdy usiedliśmy przy stole.

Nie zamierzałam mówić mu prawdy. Wiedziałam, że natychmiast zacznie się obwiniać, wściekać, że będzie chciał coś zrobić. A przecież tutaj nie było już nic do zrobienia.

Zdecydowanie nie zamierzałam mówić mu prawdy.

– Zatrudnili kogoś innego. Faceta z Gdyni. Podobno to była decyzja rady rodziców – wyśpiewałam natychmiast wszystko jak na spowiedzi.

– Jak to? Ale dlaczego? – patrzył na mnie bezradnie. – Przecież ty... Od tylu lat.

Tak, oczywiście, fotografowałam wszystkie komunie na całym półwyspie od dnia, w którym przejeżdżałam „Mewę”. I nie przypuszczałam, że to się skończy tak nagle, bez uprzedzenia, bez jakiegokolwiek rozmowy, podziękowania i podania ręki...

– Dlaczego? – powtórzył Wiktor, kładąc mi ręce na ramionach.

Nie udało mi się powstrzymać łez. Już nie, ani chwili dłużej.

– Nie będę już robić zdjęć w kościołach ani w szkołach. – Łzy ciekły mi po obu policzkach, kiedy to mówiłam. – Przestałam pasować. Uznali, że kto inny zrobi to lepiej.

– Czy to ma coś wspólnego ze mną? – zapytał krótko, dolewając mi kawy.

Odwróciłam wzrok, udając, że zainteresował mnie hałas za oknem.

Jak miałam mu powiedzieć, do jakich wniosków doszłam podczas samotnego spaceru?

– Połóż się, pomasuję ci plecy – zaproponował, kiedy dopiłam kawę i schrupałam trzecie ciasteczko.

Nie trzeba było powtarzać mi tego dwa razy. Sztuka masażu maoryskiego, którą poznał na jednej z wysp Polinezji w czasie któregoś rejsu, relaksowała mnie zawsze w pięć sekund.

Mijała właśnie czwarta sekunda. Jego kciuk rozcierał zdecydowanym ruchem kręgi szyjne. Powoli odpływałam, zrelaksowana i łagodna jak baranek.

– Wiktorrrr, ja tu czekam – zaszcebiotała nieoczekiwanie Adela w pokoju przy schodach, z ledwo dostrzegalnym rosyjskim akcentem. – Wiktorrrr, kochanieeee, ja czekam!

Moje mięśnie znowu się napięły.

– Nie przejmuj się nią – szepnął Wiktor, wciskając kciuk mocniej w moją szyję. – Zaraz zajmie się czymś innym, jeśli nie będziemy reagować...

Wzięłam głęboki oddech. Miał rację, to był jedyny sposób na Adelę. Nie reagować na jej zaczepki, udawać, że się nie słyszy tych wszystkich czułych słówek.

Staralam się, naprawdę. Jednak bez skutku.

– Wiktorrrrr, skarrrrbeczku... – jej głos brzmiał już naprawdę niecierpliwie.

Wiedziałam, że lada chwila zrobi nam znowu karczemną awanturę.

– Idź do niej – powiedziałam, zrezygnowana, podnosząc się z kanapy. – Ona potrzebuje cię teraz chyba bardziej niż ja.

Wylałam do zlewu resztę jego kawy. Wiedziałam przecież doskonale, że Wiktor nie wróci wcześniej niż za kwadrans. Adela, kiedy już go dopadnie, nie pozwoli mu wyjść z pokoju. Będzie szcebiotać, łapać go za rękę, patrzeć czule w oczy... Nie mogłam protestować. To była przecież ostatnia wola jego zmarłej żony. Miał zatroszczyć się o jej najlepszą przyjaciółkę. Być przy niej aż do końca.

A więc był.

– Wiktorrrr, mój drrrrrogi... Co powiesz na lampkę koniaczku? – To jej urocze nosowe „R”... I to jej kresowe, przedniojęzykowe „L”... Wstyd się przyznać, że jestem taka małostkowa i pozbawiona empatii, ale cóż... Ona naprawdę doprowadzała mnie do szału.

Zapięłam guziki bluzki i zesłam na dół, do „Mewy”. Niech sobie piją ten koniaczek beze mnie!

Maks natychmiast się podniósł i podreptał za mną. Uwielbiał Wiktora, ale Adelę omijał szerokim łukiem. Nie zbliżał się nawet do drzwi jej pokoju, choć jeszcze niedawno tak chętnie wylegiwał się tam w porannej plamie słońca.

– Mam dużo pracy – powiedziałam do niego, kiedy układał się na moich stopach.

Ale to nie była prawda.

Nie miałam pracy. Po raz pierwszy od niemal pięćdziesięciu lat nie czekało na mnie nic

pilnego. Ludzie nie zaglądali już do „Mewy” nawet po zdjęcia paszportowe. Zlecenia ze szkół i przedszkoli skończyły się jak ręką odjął.

Jedyna nadzieja w turystach. Zapelniały cały półwysep jak tysiące mrówek już za kilka tygodni. Oni nie będą mieli pojęcia, że jestem wyklęta i niewidzialna. I jak co roku w deszczowe dni będą wpadali do atelier, zwabieni pięknymi zdjęciami w witrynie...

Siedziałam bez ruchu, wsłuchana w miarowe pochrapywanie psa.

– Dobrze, że cię mam – mruknęłam cicho w kierunku podłogi.

Maks drgnął i błyskawicznie poderwał się na nogi.

Nie obudziły go jednak moje słowa, lecz czyjeś kroki na progu „Mewy”. Ja jeszcze ich nie słyszałam, on już tak.

Nie czekał, nie warczał. Po prostu stał wyprężony jak strzała i czekał.

Za jego przykładem wyprostowałam plecy i przywołałam na twarz coś, co miało przypominać spokojny, przyjazny uśmiech.

W drzwiach pojawiła się młoda kobieta z jasnymi włosami obciętymi na języka, z nosidełkiem na piersiach.

– Czy zakład jest dziś czynny? – zapytała niepewnie. – Chciałabym zrobić kilka zdjęć córeczce, a jutro z samego rana muszę już wracać do domu, do Wałbrzycha.

– Jaka piękna kołysanka – uśmiechnęła się blondynka kwadrans później. – Niesamowite! Amelka zasnęła, gdy tylko zaczęła ją pani nucić...

– Jest bardzo stara.

– Śpiewała ją pani swoim dzieciom?

– Nie mam dzieci. – Staralam się z całej siły, żeby w moim głosie nie było słychać żadnych emocji, żadnego rozczarowania.

– A siostrzeńców? Bratanków? Kuzynów? – nie odpuszczała.

– Mam bratanków. Trójkę – wyznałam w końcu. – Ale kiedy urodziły się dziewczynki, byłam na studiach w Krakowie. Nie mogłam więc śpiewać im kołysanek. Dopiero kilka lat później, kiedy na świat przyszedł Mikołaj... Moja bratowa nie mogła się nim zajmować... Była bardzo chora...

Po co ja jej to opowiadałam?!

– Śpiewała mu pani tę piosenkę?

– Tę i wiele innych... – uśmiechnęłam się, przykrywając niemowlaka delikatnie beżowym kocykiem. Uśmiechnął się przez sen i lekko zacisnął piąstkę na moim palcu. Wstrzymałam oddech i dopiero po chwili dokończyłam szeptem: – Mikołaj nie umiał zasnąć bez muzyki. Do dziś chyba tego nie umie...

Dziewczyna nie odezwała się już ani słowem. Stała w kącie i patrzyła z uśmiechem, jak ostrożnie przesuwam jej córeczkę, układam wokół niej drobne muszelki, włączam lampy za jej pleckami...

Dopiero pół godziny później, gdy wyszła, dotarło do mnie, że jej zdumienie nie mogło być szczere. Jeżeli to, co mówiła w czasie sesji, było prawdą... Jeżeli ma na półwyspie dziadków i bywa u nich od dzieciństwa kilka razy w roku... To przecież nie mogła... Po prostu nie mogła nie słyszeć nigdy o moim bracie i o ojcu. O tym wszystkim, co ich spotkało, i o dzieciach Olka, którymi musiałam się zająć.

Tę historię serwowano nawet turystom. Oczywiście jako lokalny folklor... Tajemniczą legendę sprzed pół wieku...

Włożyłam kartę do komputera, żeby jak najszybciej przejrzeć zdjęcia małej Amelki i wywołać te najpiękniejsze do wieczora, tak jak obiecałam.

To, na którym leżała na piasku wśród muszli jak mała syrenka, przypomniało mi inne zdjęcie sprzed lat. Jedno z pierwszych, które zrobiłam sama w tym atelier. Nieco nieostre, z kadrowaniem pozostawiającym wiele do życzenia... A jednak zawsze bardzo je lubiłam.

Otworzyłam moje archiwum i kliknęłam na jeden z folderów nieotwieranych od miesięcy. Wśród tysięcy zeskanowanych pracowicie starych fotografii bez trudu znalazłam tę właściwą.

– *Kukułka zakukała, ku, kuk, gniezdeczka w krąg szukała, ku, kuk, obcego se szukała, ku, kuk, bo swojego nie miała, ku, kuk. Tra lalala...* – zanuciłam, patrząc w ekran. – *I weszła do dąbrowy, u... hu, gdzie dwie siedziały sowy, u... hu, choć pięknie jęła kukać, u... hu, zaczęły na nią hukać, u... hu. Tra lalala...*

Mieszkałam w Helu niemal od urodzenia, nie pamiętałam innego domu... A jednak nigdy nie nauczyłam się języka kaszubskiego. Śpiewałam więc kaszubskie kołysanki, trochę spolszczone, po swojemu, zmieniając niektóre słowa, a inne zostawiając tak, jak były... Jak choćby „gniezdeczka” w tej piosence... Dzieciom, na szczęście, wcale to nie przeszkadzało.

Małej syrence Amelce, której zdjęcia czekały na obróbkę, też nie.

Zerknęłam jeszcze raz na czarno-białą, odrobinę nieostrą fotografię, a potem zabrałam się do pracy.

Może już czas wywołać ją i postawić obok innych? – pomyślałam wieczorem, wręczając kopertę ze zdjęciami Amelki zachwyconej blondynce.

Właściwie mogłabym zamknąć się w ciemni i zrobić to teraz, jeszcze dziś. Czemu nie? Gdybym tylko nie była tak zmęczona...

Mijały dni, a ja ciągle nie mogłam się zebrać, by wejść do ciemni i wywołać to stare zdjęcie. Po raz pierwszy w życiu nie mogłam się nawet zebrać, żeby otworzyć „Mewę” o dziewiątej, jak każdego ranka.

Przecież i tak nikt nie przyjdzie. Nie mam żadnych pilnych zleceń, żadnych umówionych klientów... Oczywiście, powinnam wykorzystać ten czas na wielkie porządki w starych negatywach, nieustannie czekających na archiwizację. Wciąż sobie obiecywałam, że to zrobię – ale naprawdę nie miałam siły.

– Odpocznij – Wiktor patrzył na mnie z wyraźną troską. – Wrócę z Gdyni najszybciej jak będę mógł, obiecuję. A może pojechałabyś ze mną? Załatwię interesy i wieczór będzie dla nas. Pójdziemy na kolację do mojej ulubionej tajskiej knajpki...

– Nie martw się o mnie – starałam się wyglądać pogodnie i bez troski. – Muszę tu zostać, przecież wiesz. Nie zamykam „Mewy” z powodu randki w Trójmieście albo bólu zęba! I wcale nie zamierzam robić sobie nagle wolnego!

– Natalio, posłuchaj....

Na pewno chciał mnie nadal przekonywać do tego wyjazdu, nie dałam mu jednak dojść do słowa.

– Jedź sam i w ogóle o mnie nie myśl! Skup się na pracy, idź na kolację ze znajomymi... Mogę ci obiecać, że nie planuję robić nic głupiego. Wezmę do „Mewy” kolejny rozdział doktoratu do porządnego przeczytania, usiądę sobie tam w fotelu, porobię notatki na marginesach, a potem odpocznę. Może nawet utnę sobie w fotelu małą drzemkę? Maks przecież nie da wejść złodziejom...

– Naprawdę odpoczniesz? Możesz mi to obiecać? – wciąż przyglądał mi się niepewnie.

– Obiecuję – odparłam całkowicie szczerze.

Schodząc do „Mewy”, miałam przecież dokładnie taki zamiar.

Los w osobie listonosza zmienił jednak w sekundę moje plany...

Maks siedział z przekrzywioną głową na dywanie, w niemal białej plamie słońca i obserwował, jak pakuję do najmniejszej torby podróżnej bieliznę na zmianę, jedwabną sukienkę i szpilki. A także wysłużony podręcznik do oznaczania kwiatów i kilkanaście

kartek zdjętych przed chwilą z drukarki.

– Musisz jechać ze mną – powiedziałam.

Oczywiście, natychmiast mnie zrozumiał. Zerwał się na chude łapki i radośnie machnął ogonkiem.

Na szczęście lubił podróże moją Mandarynką. Nawet tak długie, jak ta, w którą zamierzałam go zabrać.

Adela nie znosiła Maksa od pierwszego wejrzenia, chyba jeszcze bardziej niż mnie. Nie mogłam zostawić psa z nią samego ani zmuszać Wiktora, żeby zmienił plany z powodu trzykrotki wirginijskiej.

– Żegnaj, Adelo – powiedziałam, stając w progu pokoiku przy schodach. Kiedyś należał do mojego brata. Dziś był już „pokojem Adeli”. Wiedziałam, oczywiście, że nie powinnam się irytować.

Irytowałam się jednak jak cholera.

Udawała, że mnie nie widzi.

– Żegnaj – powtórzyłam nieco głośniej, wsadzając głowę w szparę w drzwiach.

– Żegnaj – odparła, nie zaszczycając mnie nawet przelotnym spojrzeniem. Truskawka, którą obracała w swoich smukłych palcach, była najwyraźniej znacznie ciekawsza ode mnie.

Nie miałam prawa narzekać. Wiktor lojalnie mnie uprzedził, gdy tylko zaczęliśmy mówić o wspólnym życiu... Wyjaśnił, że jest odpowiedzialny za Adelę i nie może tak po prostu zostawić jej w Poznaniu.

– Śmierć mojej żony była dla niej prawdziwym ciosem – opowiadał. – Były nierozłączne przez ponad czterdzieści lat. Irma jeszcze na łożu śmierci błagała, żebym zadbał o Adelę, zabezpieczył ją na starość. Jest na tym świecie całkiem sama...

Rozumiałam to, oczywiście. Jak mogłabym mieć coś przeciw jej obecności? Musiałam ją zaakceptować. Nie przypuszczałam tylko, że będzie to takie trudne...

CZEŚĆ III

ZNOWU RAZEM

ROZDZIAŁ 10

STRZEŻ SIĘ PSA MILCZĄCEGO I SPOKOJNEJ WODY

NATALIA

Próbowałam dodzwonić się do Niny z każdego postoju na stacji benzynowej. Bez skutku. Nie mogłam nawet zostawić wiadomości.

– Skrzynka głosowa jest pełna – informował miły, choć nieco skrzeczący głos automatu.

Nie rozmawialiśmy chyba od tygodnia, a ja naprawdę nie chciałam wpadać bez zapowiedzi. Może jest w Londynie, Nowym Jorku albo Buenos Aires, gdzie otwiera kolejną fabrykę plasterków, bandaży lub ochraniaczy na szczęki dla bokserów i hokeistów?

Postanowiłam jednak zaryzykować i podjechać na jej osiedle. Przywitać się, zobaczyć, czy wróciła już do formy, przebrać się i umalować spokojnie w jej łazience...

A poza tym naprawdę wolałam, żeby Maks został z kimś znajomym. Kto wie, jak długo będzie się ciągnęła ta dzisiejsza uroczystość? Wyjątkowo nie lubię, kiedy musi czekać na ulicy, choć jest w tym doskonały. Potrafi być niewidzialny dla przechodniów całymi godzinami.

Przy wjeździe na osiedle zatrzymał mnie szlaban. Z okienka wychylił się ochroniarz w zabawnym, niebieskawym mundurze, stylizowanym chyba na armię napoleońską.

– Dzień dobry. Ja do pani Antoniny Drop – powiedziałam. – Nazywam się Natalia Burska.

Cofnął się do budki i przez moment rozmawiał z kimś przez telefon. Nie słyszałam słów, widziałam tylko, że uśmiecha się i kiwa głową.

Nie pojawił się już ponownie, nie wystawił nawet głowy, ale szlaban powoli podniósł się w górę.

– Gdzie znajdę numer czterdzieści siedem? – zapytałam.

Bez odpowiedzi. Ochroniarz zamknął już okienko.

Musiałam poradzić sobie sama.

Rzędy identycznych, białych, szeregowych domków z równo przyszyżonymi trawnikami wyglądały jak w amerykańskim filmie o morderstwie na przedmieściu. Idealne osiedle, pełne doskonałych małżeństw. A każde z nich skrywa oczywiście ponurą tajemnicę...

Tylko dlaczego na żadnym domu nie przyczepiono numeru?

– Natalio, tutaj! – Nina wyskoczyła z narożnego domku na końcu alejki, kiedy robiłam czwarte kółko wokół osiedla. W ramionach ścisnęła coś, co w pierwszej chwili wzięłam za czarny dywanik z owczej skóry. Tyle tylko, że ten dywanik wyrywał się wściekle, wyjąc w niebogłosy.

NINA

W sanatorium poznałam psa. Psa mądrzejszego niż niejeden znany mi człowiek. Rozumiał bez słów, o co go proszę, potrafił siedzieć kilka godzin pod łóżkiem, nie wydając żadnego dźwięku, nie ruszał jedzenia w misce, dopóki nie usłyszał, że może. Po powrocie do domu, do kurewsko, cholernie, beznadziejnie pustego i cichego domu, zatęskniłam za tym małym kundelkiem z podwiniętym ogonem. Nawet fakt, że ma na imię tak samo jak Maks (wredny zdrajca Maks!), już wcale mi nie przeszkadzał.

Zapragnęłam mieć takiego psa. Skoro musiałam zaczynać wszystko od nowa, to właśnie z nim. Chciałam mieć mądrego, cudownego przyjaciela, który w lot zrozumie każdy mój gest i każdą minę.

– I dlatego wzięłaś siedmiotygodniowego szczeniaka? – Natalia patrzyła na mnie przerażona i rozbawiona jednocześnie.

Pokiwałam głową.

– Pomyślałam, że wszystkiego go nauczę! Im mniejszy pies, tym szybciej się uczy, prawda? Gdzieś nawet przeczytałam, że szczeniak jest elastyczny jak plastelina. I chłonny jak gąbka. Chciałam go ukształtować zgodnie ze swoją wizją, czyli sprawić, że będzie klonem Maksa.

– Chyba na razie średnio ci idzie? – Natalia zawiesiła wzrok na mojej prawej dłoni. Wyglądała, jakbym włożyła ją przez nieuwagę do elektrycznej maszynki do mięsa. Przemysłowej, stojącej na honorowym miejscu w fabryce wędlin. Na każdym centymetrze kwadratowym mojej skóry widać było ślady malutkich, ostrych jak igły ząbków i trochę większych, ale równie ostrych pazurków, szarpiących mnie nawet w środku nocy.

– Malowniczy wzorek – pokiwała głową, nie czekając na moją odpowiedź. – Wygląda na

to, że potrzebujesz pomocy.

Pewnie, że potrzebowałam. Pomocy, a jeszcze bardziej snu. Choćby pięciu godzin bez przerwy na siusiu, skakanie po mojej twarzy, gryzienie mojego nosa, ręki, poduszki, ramy łóżka. I, oczywiście, na zabawę piłeczką albo gumowymi kółeczkami.

– Zostaniesz ze mną kilka dni?

Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. W to, że naprawdę tu była.

– Nie dam rady. Muszę wracać do domu jutro z samego rana. Ale mogę zostawić ci Maksa, powiedzmy do niedzieli.

Ona oszalała! Albo ja ze zmęczenia miałam coś ze słuchem!

– Potrzebuję kogoś, kto mi pomoże okiełznać ten żywioł – powiedziałam, bliska rzucenia się jej do stóp i błagania, żeby nie wychodziła. – Jeden pies to dla mnie stanowczo za dużo. A ty chcesz, żebym zajęła się jeszcze drugim?

– Nie. To on zajmie się twoim szczeniakiem – wyjaśniła spokojnie. – Wychowa go lepiej niż jakikolwiek człowiek, nawet psi behawiorysta wynajęty za grube pieniądze. Przekonasz się sama.

– Ale... Ale przecież... – z wrażenia nie mogłam wydobyć z siebie głosu. – Ja naprawdę ledwo żyję. I nie chcę żadnych dodatkowych obowiązków!

NATALIA

– Imię, z tego, co widzę, uzasadnia się samo – uśmiechnęłam się, patrząc na małą puchatą kulkę, z czarną sierścią sterczącą we wszystkie strony, bez żadnego ładu i składu. – Miałam taki pompon przy czapce, kiedy chodziłam do szkoły. Czapka była koloru rozgotowanego szpinaku, więc nienawidziłam jej z całego serca. Ale pompon był cudowny, miękki, wielki, na gumce... Bawiłam się nim, siedząc na przystanku autobusowym. Nie miałam chyba wtedy żadnej pluszowej przytulanki.

– Też taki miałam – oczy Niny zwęziły się, kiedy o tym wspomniała. – Cały czarny... Dlatego takie imię od razu przyszło mi do głowy, kiedy zobaczyłam tego szczeniaka.

– Nosilaś w dzieciństwie czarną czapkę?

– I czarny płaszczyk, szalik, buciki... Tylko sprzączki przy kozaczkach były srebrne. Oczywiście bez przesady. Oksydowane srebro. Z tego, co pamiętam, oksydowane bardzo porządnie.

Uniosłam brwi w geście zdumienia, ale zaraz dotarło do mnie, dlaczego matka ubierała ją na ciemno.

– Byłyście w żałobie? Po ojcu? – odgadłam.

– Mój ojciec żyje – mruknęła, odwracając wzrok. – Przynajmniej żył w niedzielę, kiedy z nim rozmawiałam. Miał się całkiem nieźle.

– Babcia? – nie rezygnowałam. Nie widziałam innego wyjaśnienia niż żałoba. Nikt nie ubiera małych dzieci na czarno!

– Babcia Krysia ma się chyba ciągle znacznie lepiej niż ojciec – nareszcie się uśmiechnęła. – Choć od pewnego czasu widuję ją tylko na zdjęciach, które wrzuca na fejsa. A ja podglądam je z anonimowego konta, założonego, żeby sprawdzać, czy moi pracownicy nie kontaktują się przypadkiem z konkurencją.

Wzruszyłam ramionami. Nie chce mówić, to nie.

A jednak chciała. Wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie z prędkością karabinu maszynowego:

– Czerń jest elegancka, a moja matka to prawdziwa dama. Kryptomonarchistka, w wiecznej żałobie po tej analfabecie Marii Antoninie i jej rozmemłanym Ludwiczku. Czerń wyrażała doskonale jej stosunek do rzeczywistości i sprawiała, że wyglądałyśmy nieco mniej dziecinnie i beztrosko. A ona nie znosiła dzieci, zwłaszcza tych radosnych. A więc miałyśmy całą szafę ubranek w kolorze czarnym, antracytowym oraz burgundowym.

Domyślasz się na czyją cześć?

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Chciałam zamknąć ją w ramionach i ukołysać. Biedne dziecko. Od początku naszej znajomości tkiałam ze strzępków informacji, z dwuznacznych min i odwróconych spojrzeń obraz matki czterech siostrzyczek Drop. Ani przez moment nie był to obraz pogodny i krzepiący. Ale dopiero ta opowieść o czarnych ubrankach zjeżyła mi włosy na głowie. Jakie dzieciństwo miały te dziewczynki?

– Z początku chciałam wziąć sukę i nazwać ją Gilotyna albo Bastylia, na złość matce... Ale jak zobaczyłam tego puchacza na krótkich nóżkach, postanowiłam nieco zmodyfikować swoje plany.

– I całe szczęście – mruknęłam. Biedna suczka miałyby ciężkie życie. Wyśmiewana przez przechodniów na każdym rogu...

Pompon, zmęczony bieganiem za Maksem, spokojnie zasnął na śnieżnobiałym dywaniku przy oknie.

– Nie wierzę własnym oczom – Nina w napięciu wpatrywała się w zegarek. – On nigdy nie śpi dłużej niż pięć minut. I nawet przez sen cały czas biega, piszczy i wbija mi nogę w oko.

– Wszystko się zmieni, zobaczysz – na moment dotknęłam jej dłoni.

Nie odepchnęła mnie. Nie prychnęła i nie przewróciła oczami. A to znaczyło, że musi być naprawdę w kiepskiej formie.

– Opowiesz mi, po co przyjechałaś do Warszawy? – zapytała, gdy zaparzyłam kawę i wyciągnęłam z torby pudełko ciasteczek z konfiturą różaną, upieczonych przez Wiktora. Przy okazji ustawiłam na podłodze moje buty. Chciałam też odwiesić na wieszak jedwabną sukienkę, żeby trochę się rozprostowała, ale nie zdążyłam.

Nina podbiegła do mnie i uniosła w górę jeden z butów.

– Naprawdę zamierzasz założyć te szpilki? – patrzyła na mnie z niedowierzaniem. – Opowiedz mi wszystko po kolei. Albo nie... Nie po kolei. Powiedz od razu to, co najważniejsze.

– Czyli co? – nie rozumiałam.

– Powiedz mi tylko, czy twój nagły przyjazd ma coś wspólnego ze Stefanem?

Nina słuchała mnie bez słowa chyba przez dziesięć minut. Choć pewnie niełatwo jej było znaleźć sens we wszystkim, co mówiłam.

– Dlaczego przywieźli do Polski te obrazy? – szukała drugiego dna tam, gdzie go nie było.

Wzruszyłam ramionami.

– Muzea czasami wymieniają się obrazami – wyjaśniłam. – *Dama z łasiczką* Leonarda da Vinci podróżowała po świecie przez kilka lat, wbrew zaleceniom konserwatorów.

– Ale te obrazy przyjechały z trzech różnych muzeów w tym samym czasie! I wcale nie są pokazywane w Muzeum Narodowym, tylko na Zamku Królewskim. To chyba jest trochę dziwne? – nie odpuszczała.

– Nie jest – śmieszyła mnie ta jej podejrzliwość. – W organizacji wystawy brała nawet udział Ambasada Królestwa Niderlandów. Wiesz, kończy się właśnie pół roku prezydencji holenderskiej w Unii. Piękny sposób, żeby to uczcić, prawda?

Patrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Trzy obrazy, ładna mi wystawa – prychnęła. – Komu by się chciało kupować na to bilet? I to z okazji prezydencji? Przy polskiej prezydencji też tak było? Chyba nie. Jakoś sobie nie przypominam, żeby *Bitwa pod Grunwaldem* podróżowała po całej Europie!

Ta rozmowa chyba naprawdę nie miała sensu.

– Nie chodzi o to, dlaczego te obrazy przyjechały do Warszawy – stwierdziłam. – Chodzi o referat, który ma zostać wygłoszony na wernisażu. Organizatorzy wymyślili, że powinno się zebranych krótko przybliżyć nie tylko epokę, z której pochodzą te dzieła, ale także rośliny namalowane przez holenderskich mistrzów, opowiedzieć troszeczkę o

tulipanowej gorączce...

– O czym?

No tak, ona nie miała pojęcia, że na początku siedemnastego wieku za jedną cebulę Semper Augustus można było kupić kamienicę nad kanałem w Amsterdamie, a najbogatsi Holendrzy dawali córkom w posagu po jednej cebuli tulipana. Nie słyszała o krachu giełdy tulipanowej, na której ludzie w kilkadziesiąt godzin tracili potężne fortuny... O samobójstwach i całym tym szaleństwie...

– Kiedyś ci wszystko opowiem – machnęłam ręką.

– To może pójde na ten twój występ? Jeśli tylko uda mi się z kimś zostawić psa... Cholera, jestem więźniem we własnym domu! Miałam opiekunkę do Pompona, ale wymówiła mi wczoraj po tym, jak zeżarł jej torebkę przywiezioną z Turcji. Muszę dać ogłoszenie i wybrać jak najszybciej nową nianię.

– Maks się nim zajmie, nie martw się. Spokojnie możesz zostawić ich razem. Ale akurat na ten wernisaż nie musisz się wybierać ze względu na mnie. To nie ja będę wygłaszać referat o kwiatach w malarstwie holenderskim.

– Jak to? – patrzyła na mnie zaskoczona. – Myślałam, że... Skoro przyjechałaś...

Pokręciłam głową.

– Jechałaś taki kawał, żeby obejrzeć te obrazy?

– Są tego warte – uśmiechnęłam się, widząc jej zdumienie. – Ale akurat dwa z nich widziałam już kiedyś w Amsterdamie i w Hadze. Pewnie i tak przyjechałabym na tę wystawę, ale trochę później. Nie lubię wernisażowego blichtru. I wolę oglądać obrazy w mniejszym tłoku.

– A więc... – prawie podskoczyła z radości, że sama rozwiązała tę zagadkę. – Już wiem! Ten wykład, odczyt, referat, czy jak się nazywa taka przemowa na wernisażu... Wygłosi ją ktoś, kogo wyjątkowo szanujesz i bardzo chcesz usłyszeć go na żywo. Jakaś wielka postać w świecie botaniki! Holenderski profesor owiany legendą jeszcze za życia. Zgadłam, prawda?

– Niezupełnie – westchnęłam. Chciałam w tej sprawie być dyskretna... Ninie jednak należało się mimo wszystko jakieś wyjaśnienie. – Wykład inauguracyjny wygłosi ktoś, kto może nawet jest niezłym botanikiem, ale nie praktykuje od wielu lat. I nie zna się raczej na sztuce. Jeżeli powie to, co zamierza, to będzie katastrofa. Przyjechałam specjalnie, żeby jej zapobiec.

Łazienka na piętrze wyglądała jak w luksusowym spa. Wielkie jacuzzi, prysznic z dyszami w suficie i ścianach, głośniki, z których przy zapalaniu światła zaczynał się sączyć śpiew ptaków...

– Piękny dom – powiedziałam, usiłując pomalować rzęsy przy lustrze zajmującym całą ścianę. Nina siedziała na ratanowej leżance koło wanny, spod rudych loków obserwując moje wysiłki. Nie malowałam się często i pewnie było to widać. Ale na dzisiejszy wieczór musiałam postarać się bardziej niż zwykle.

Pompon przybiegł za nami, machając wesoło puszystym ogonkiem. Pokręcił się chwilę po łazience, po czym grzecznie przysiadł na progu, koło Maksa, który pojawił się jak duch, bez żadnego dźwięku, żadnego stuknięcia łap o podłogę. Jak to on.

– A gdyby nie było mnie w domu? – zapytała nagle. – Co byś zrobiła z Maksem? Chyba nie siedziałby w ten upał w samochodzie?

– Oczywiście, że nie – potrząsnęłam głową. Wiedziałam, do czego pije. W Ciechocinku Maks musiał zostać kilka razy w aucie. Nie było innego wyjścia. Jeżeli chcielibyśmy uratować go z rąk hycła, a siebie z rąk siostry przełożonej, gotowej wyrzucić nas z sanatorium za najłżejsze przewinienie... Musiał czekać za fotelem pasażera i doskonale to rozumiał. To jednak był kwiecień, parkowałam w cieniu, zostawiałam mu uchylone okno... W czerwcu nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego! Zwłaszcza w taki gorący dzień jak ten dzisiejszy.

– Maks potrafi być niewidzialny – uśmiechnęłam się, wspominając pobyt w Krakowie. Spędził wtedy kilka godzin pod kościołem Mariackim, nie rzucając się nikomu w oczy. – Ja przecież idę tam tylko na chwilę... Znalazłabym bez kłopotu jakieś miejsce, gdzie mógłby na mnie poczekać.

Rozejrzałam się po ogromnej łazience. Maks znowu zniknął, jak na zamówienie. A razem z nim zniknął Pompon. Nie słyhać było żadnego szczekania, skamlenia, dyszenia, pisków... Ani tych radosnych, ani rozpaczliwych.

To brzmiało nieco złowrogo.

– Pompon nigdy nie jest cicho. I nie zajmuje się sam sobą, nawet przez dziesięć sekund – Nina zauważyła to samo co ja, dokładnie w tej samej chwili.

– Pompon! – wrzasnęła rozpaczliwie, podrywając się z ratanowej leżanki i pędząc przez długi korytarz w stronę uchylonych drzwi prowadzących na taras.

– Maks – zawołałam, nie ruszając się z miejsca. Wiedziałam, że mnie usłyszy nawet z drugiego końca osiedla. Nigdy nie spotkałam psa o takim słuchu i węchu jak on.

Oczywiście pojawił się przy moich stopach bezszelestnie dwie sekundy później.

Przekrzywił głowę, postawił uszy i czekał spokojnie, aż wydam jakieś polecenie.

– Nie ma go! Musiał wypaść z balkonu! – Nina wbiegła z powrotem do łazienki, blada jak ściana. Drżała jej dolna warga, a rude loczki rozsypały się na wszystkie strony, podskakując jak rażone prądem.

Maks delikatnie trącił mnie nosem.

Ruszyłam za nim bez słowa.

– Jak możesz być taka spokojna? Nie rozumiesz, co się stało? Pompon nie przeżył u mnie nawet dwóch tygodni! Do niczego się nie nadaję, nie potrafiłam upilnować nawet szczeniaka! – Histeria Niny pogłębiała się z każdym oddechem, z każdym wyrzucanym z gardła słowem.

Objęłam ją i pogłaskałam po głowie.

– Pomponowi nic nie jest. Zaufaj mi.

– Mam ci zaufać? Skąd możesz to wiedzieć? – wyszarpnęła się z moich ramion, uderzając mnie łokciem w lewy policzek, oczywiście niechcący.

Syknęłam z bólu.

– Jezu, przepraszam. Nic ci nie jest? – Jej zielone oczy poruszały się we wszystkie strony, każde we własnym rytmie. – Pobiegnę na dół. Może jeszcze żyje? To przecież tylko pierwsze piętro, jest jakaś szansa, że tylko połamał nogi... albo kręgosłup.

– Uspokój się! – złapałam ją za rękę. – Maks nigdy nie pozwoliłby mu wypaść! I nie siedziałby tak spokojnie, gdyby coś się stało. Maks, gdzie jest Pomponik?

Maks wstał i podreptał na swych chudych łapkach w stronę małego, ciemnego pomieszczenia, które okazało się pralnią.

W stercie ubrań, posegregowanych przed wrzuceniem do pralki, leżała czarna, kudłata kuleczka i pochrapywała miarowo.

– Pachną tobą, czuje się tu bezpieczny – wyjaśniłam z uśmiechem.

A Ninie nagle zaczęły płynąć po policzkach łzy, wielkie jak fasolki.

– Przepraszam – niezdarnie otarła twarz wierzchem dłoni. – Strasznie się na siebie wściekłam, że nawaliłam. Że go nie dopilnowałam. Że się zabił... Tak po prostu.

Jej plecami wstrząsnął trzy razy gwałtowny szloch. A potem wyprostowała się i spojrzała mi w oczy, bezczelnie i zimno, jak to ona.

– Dobra, wystarczy ryków. Przejdźmy do tego, co najważniejsze. W co się ubierzesz dzisiaj wieczorem?

ROZDZIAŁ 11

KTO NABROIŁ, NIECH SIĘ BOI

NATALIA

Na podwyższenie wszedł profesor Voyko. Cudowne dziecko, wizjoner, jeden z tych wybrańców, którzy zdobyli tytuł profesora zwyczajnego jeszcze przed czterdziestką. Wybitny znawca sztuki gotyckiej, baroku i renesansu. Oraz potrzeb współczesnego odbiorcy.

Wystawy, które przygotowywał... Filmy o dziełach sztuki, których narracji się podejmował... To było tak bliskie pop-kultury, że w wielu kręgach budziło oburzenie.

O to mu właśnie chodziło. Każda z tych wystaw była pokazywana w głównych wydaniach informacji. Na każdą ciągnęły tłumy, co oczywiście sprawiało, że dzień czy dwa później wystawa znowu pojawiała się w wiadomościach. Tysiące ludzi szturmujących muzea. Pogotowie dyżurujące, by zabierać zemdlonych i poszkodowanych.

Media kochały takich jak on.

Miał fanki niczym gwiazdor rocka czy słynny aktor. Licealistki z wypiekami na twarzy podsuwały mu różowe notesiki z prośbą o autograf.

Do tej pory nigdy nie słyszałam profesora Voyko na żywo. I z każdym jego słowem lepiej rozumiałam te młodziutkie panienki, piszczące na jego widok.

Doskonały mówca, dowcipny, przygotowany perfekcyjnie do każdego zdania... A jednocześnie sprawiający wrażenie, że mówi bez przygotowania, spontanicznie, w pełnym kontakcie z widownią.

Ach, gdyby w Polsce było więcej takich naukowców jak on!

W ciągu dziesięciu minut Voyko przeniósł słuchaczy do siedemnastowiecznego Amsterdamu, Antwerpii, Utrechtu i Haarlemu. Sprawił, że czuli się przez moment niemal tak, jakby sami byli szczęściarzami, posiadającymi na własność drogocenną cebulę Semper Augustus. W oczach siedzących obok mnie eleganckich mężczyzn widziałam wyraźnie, że czują już w palcach złote monety... Że już meblują te piękne domy i

otwierają własne winiarnie, własne sklepiki nad kanałami...

Ups! Upadek był bolesny. Voyko błyskawicznie obudził ich z pięknego snu. Przecierali oczy z niedowierzaniem, niemal płacząc nad upadkiem tulipanowej giełdy... Nad utraconymi fortunami...

Mówca zerknął dyskretnie na zegarek. Wyraźnie zbliżał się do końca. Przedstawił kontekst historyczny, urocze dykteryjki z życia malarzy, wyjaśnił główne różnice w stylu de Heema i Mignona, jego wiernego ucznia. Jeszcze kilka zdań o Seghersie... i już. Czas zejść ze sceny i pozwolić Dorocie na zagłębienie się w analizę czysto botaniczną.

Spojrzałam przez ramię.

To niemożliwe! Wciąż nigdzie nie było jej widać... Czy zdążę szepnąć jej kilka słów? Podać kartki? Musi przecież tu być, jeżeli ma wystąpić bezpośrednio po Voyko!

Nagle na scenę wpadła długonoga hostessa w białej bluzce, z tulipaniem de Heema wyhaftowanym na kieszonce. Powiodła wystraszonym wzrokiem po sali i szepnęła coś profesorowi Voyko do lewego ucha.

Natychmiast zrozumiałam, że mamy kłopot. I że piękna dziewczyna szuka nerwowo tej samej osoby, za którą ja rozglądałam się od chwili, gdy dojechałam w okolice Zamku Królewskiego.

Cholera, czyżby nie przyszła tu przez mojego SMS-a? Nie chciałam jej zdenerwować, tylko pomóc.

Myślałam, że zna mnie na tyle, żeby to zrozumieć. Nie zamierzałam jej ośmieszyć. Przejechałam czterysta pięćdziesiąt kilometrów, żeby uchronić ją przed kłopotami. Na sali mogli być przecież botanicy... Na pewno byli też dziennikarze, którzy nagrywają każde słowo, a potem puszcza je w eter...

– Czekamy jeszcze na drugą prelegentkę... – Voyko przesłał zebrany zabójczy uśmiech. Siedząca obok mnie zimna blondynka w pudrowej garsonce natychmiast pokryła się rumieńcem.

– Może więc zmienimy nieco program? – Voyko zakrył kształtne usta dłonią i znowu zaczął szeptem konsultować się z roztrzęsioną hostessą.

Tłum wypełniający szczelnie salę zafalował gwałtownie. Wszyscy zaczęli rozmawiać, wyjmować komórki, niektórzy teatralnym gestem stukali w zegarki i przewracali oczami, wzdychając ze zniecierpliwieniem.

Chcieli w końcu zobaczyć te obrazy, o których słuchali od kilkunastu minut!

– Zobaczmy teraz obrazy, dla których się tu spotkaliśmy – zaproponował Voyko, a tłum natychmiast znieruchomiał pod jego spojrzeniem.

– Pani Dorota Wielowiejska na pewno dołączy do nas lada chwila. Wysłuchamy więc jej wykładu na deser, w sali wystawowej... Rozkoszując się widokiem kwiatów, o których będzie mówiła. Poproszę panów strażników o przeniesienie pulpitu dla prelegenta, a państwa zapraszam do środka! Niech teraz przemówi sztuka!

Ciężkie drzwi ze złotymi ornamentami otworzyły się, skrzypiąc przeciągle.

Za nimi, na ustawionej na środku sali przenośnej ścianie obciążonej czerwonym atłasem, mniej więcej na wysokości wzroku (profesora Voyko, nie mojego...) zawieszono trzy obrazy.

Patrzyłam tylko na ten środkowy, najmniejszy ze wszystkich.

Tradescantia virginiana, bez cienia wątpliwości. Ale taka, jakiej nigdy nie zobaczymy w naturze.

Musiałam powiedzieć o tym Dorocie, zanim podejdziesz do mikrofonu. Musiałam podać jej wydruk.

– Pani Natalia Burska? – hostessa, niemal identyczna jak ta, która rozmawiała z Voyko, ale ciemnowłosa, pojawiła się jak duch po mojej prawej stronie.

– Przepraszam, czy my się znamy? – intensywnie wpatrywałam się w jej twarz, ale nie mogłam jej skojarzyć zupełnie z niczym. Czyżby była córką lub wnuczką kogoś z uczelni?

– My? Chyba nie – była zaskoczona. – Dlaczego pani tak myśli?

– Wymieniła pani moje nazwisko – uśmiechnęłam się łagodnie, jakbym mówiła do małego, nieco tępawego dziecka. – Pomyślałam więc, że rozpoznała mnie pani... A ja nie mogę sobie przypomnieć, skąd się znamy. Głupia sytuacja, prawda?

Przez moment analizowała w skupieniu moje słowa, a potem roześmiała się perliście tak głośno, że kilka osób stojących najbliżej nerwowo obejrzało się przez ramię.

– Ależ ja wcale pani nie rozpoznałam! To jeden z gości, znany profesor z Wrocławia... Upiera się, że jest pani botanikiem, prawdziwym ekspertem od analizy dzieł sztuki...

– Nie przesadzajmy z tym ekspertem – zaczerwieniłam się i natychmiast pomyślałam z wdzięcznością o producencie bajońsko drogiego kryjącego podkładu znalezionej w szafce Niny. Naniósłam go w tej luksusowej łazience dokładnie na całą twarz i dekolt. Może dzięki temu moje rumieńce nie są teraz widoczne dla wszystkich zebranych...

– A więc to naprawdę pani! – hostessa niemal podskoczyła z radości. – W takim razie bardzo proszę pójść ze mną. Pan profesor Voyko i pan ambasador bardzo chcieliby na osobności zamienić z panią kilka słów...

Przyjechałam na ten wernisaż, żeby pomóc Dorocie i uratować ją przed kompromitacją, a nie po to, żeby wygłaszać referat wstępny zamiast niej. Jej jednak nie było, a zebrany przed obrazami tłum wyraźnie się niecierpliwił.

– Bardzo panią proszę, moja droga – profesor Voyko pocałował mnie w dłoń, jednocześnie ani na sekundę nie tracąc ze mną kontaktu wzrokowego. – Nikt tego nie zrobi lepiej niż pani! Czytałem o pani ostatnim odkryciu. Rukwiel na ołtarzu mariackim! To nie do wiary, że nikt jej nie zauważył przez tyle wieków.

Cóż... Tego ostatniego odkrycia dokonałam pięćdziesiąt lat temu... Teraz tylko udało mi się wreszcie zobaczyć ołtarz z bardzo bliska i ostatecznie potwierdzić to, co wywnioskowałam z fotografii. Nie chciałam jednak wdawać się z Voyko w dyskusję na ten temat. Mielśmy, jak się zdawało, znacznie większe problemy.

– Próbował pan telefonować do pani Wielowiejskiej, profesorze? – zapytałam, delikatnie uwalniając swoją prawą dłoń i powstrzymując go przed kolejnymi pocałunkami.

– Żeby to raz! Dzwonimy do niej od godziny, bez ustanku. I wszystko na nic! – teatralnym gestem załamał ręce i gwałtownie odrzucił w tył swoją bujną grzywkę. – Jest pani naszą jedyną nadzieją. Tylko pani jedna może uratować ten wieczór! Przecież na pewno jest pani w stanie rozpoznać przynajmniej niektóre z tych roślin...

Skinęłam głową, przesłałam mu słaby uśmiech, jedyny, na jaki było mnie stać w tej sytuacji, po czym na drżących nogach podeszłam do pulpitu sięgającego mi niemal do podbródka. Odłożyłam na mały, brązowy blacik wydruk przygotowany dla Doroty i futerał z okularami. W ostatniej chwili zdecydowałam jednak, że nie będę ich zakładać. Naprawdę nie potrzebowałam tego tekstu. Miałam do powiedzenia trochę ciekawych rzeczy o roślinach namalowanych przez holenderskich mistrzów. I szczerze mówiąc, wolałam trzymać się jak najdalej od tych gęsto zadrukowanych kartek. Sama myśl o nich sprawiała, że zaczynałam się denerwować.

Zgniotłam jeden z wydruków szybko w dłoni, powiodłam wzrokiem po wypełnionej tłumem sali, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam mówić...

– Pani Natalia Burska? – Na dole, przy ostatnim ze stromych schodków prowadzących na scenę stał nieznajomy mężczyzna, na oko czterdziestoletni, i wpatrywał się intensywnie w moją twarz.

Czyżby mój mini-wykład zrobił na nim aż tak kolosalne wrażenie, że teraz po prostu

absolutnie musi poprosić mnie o autograf?

– Słucham – uśmiechnęłam się łagodnie, zadowolona z tego, co udało mi się powiedzieć...

I z reakcji, jaką wywołałam u zebranych.

– Wojciech Kosaciec – przedstawił się, nie wiadomo dlaczego szeptem. – Komenda rejonowa policji...

Jechaliśmy w całkowitym milczeniu przez pięć, może dziesięć minut.

– Wie pan, co oznacza pańskie nazwisko? – zapytałam półgłosem.

– Oczywiście – odparł bez wahania. – Kosaciec to inaczej irys. Taki fioletowy kwiatek, często uprawiany w ogródkach. Moja babcia bardzo je lubiła...

Wiedziałam już, że zdołam się z nim dogadać. Wciąż tylko nie miałam pojęcia, w jakiej sprawie.

– Czy znała pani Dorotę Wielowiejską, z domu Szymczak? – zapytał, gdy nareszcie dotarliśmy do ponurego gmachu komendy i usiedliśmy w niedużym, ciasnym pomieszczeniu, po dwóch stronach odrapanego biurka.

Czas przeszły, którego użył, uruchomił pod moją czaszką dzwonek alarmowy.

– Czy Dorota... Czy jej coś się stało?

– Skąd pani o tym wie?

– O niczym nie wiem. Pan mówi o niej w czasie przeszłym, wszyscy jej szukają, powinna była dziś być na wernisażu, ale się nie pojawiła... To chyba normalne, że się niepokoję?

– A niepokoi się pani? Naprawdę? O nią czy może raczej o siebie?

Co za rozmowa!

– Nie wiem, o czym pan mówi – westchnęłam.

– Naprawdę? – znowu ten ton i to spojrzenie... – Może więc zechce pani po prostu odpowiedzieć na moje pytanie?

– A jakie było pytanie?

– Proszę nie udawać. Zapytałem panią, czy zna... – W ostatniej chwili zreflektował się i zatrzymał w pół słowa, żeby nie użyć znowu czasu przeszłego. – Pytałem, czy zna pani Dorotę Wielowiejską, z domu Szymczak.

– Znam – potwierdziłam bez wahania. – To znaczy, znałam. Nie widziałyśmy się od wielu lat...

– I dziwnym trafem, po tak długiej przerwie miałyście się panie spotkać ponownie właśnie dzisiaj, na tym wernisażu?

– Tak – powiedziałam krótko. Zbyt wiele myśli kłębiło się w mojej głowie, żebym mogła mu teraz opowiedzieć o tym, co mnie przywiodło do Warszawy w upalne popołudnie.

– Wiedziała pani, że ona tu będzie?

– Tak.

– Przyjechała tu pani z jej powodu?

– Tak.

– A ona?

– Co ona?

– Czy ona... Pani Wielowiejska... Czy ona wiedziała, że pani przyjeżdża?

– Nie... Chyba nie. Nie mam pojęcia, naprawdę.

– Jak to?

– Jak to co? – wzruszyłam nieznacznie ramionami. – Naprawdę nie bardzo rozumiem, czego próbuje się pan dowiedzieć. Proszę zapytać mnie wprost, a ja udzielę panu tak wyczerpującej odpowiedzi, jak tylko potrafię. Nie jestem dobra w takich gierkach.

– Jakich gierkach?

Boże, czy on naprawdę kompletnie nic nie rozumiał, czy tylko udawał idiotę?

– W kotka i myszkę – westchnęłam. – Proszę wyłożyć karty na stół. Czy Dorocie coś się stało?

Nie odpowiedział. Najwyraźniej nie wolno mu było zdradzić mi żadnych szczegółów.

Siedzieliśmy więc w milczeniu. On stukał miarowo palcami w stół. Naprawdę tego nie znoszę. Tylko skrobanie w szybę i łamanie styropianu działa na moje uszy gorzej niż to stukanie. Desperacko usiłowałam skupić uwagę na czymś innym.

– Ma pan plamę na klapie marynarki – powiedziałam. – Zdaje się, że to oliwa z bazylią z tej sałatki caprese podawanej na wernisażu.

Jego palce przestały wygrywać rytm na podrapanym zielonym blacie biurka. Patrzył na mnie znieruchomiały, zbaraniały wręcz.

– Dlaczego mi pani to mówi?

Teraz to ja zbaraniałam na kilka sekund.

– Lubi pan chodzić z plamami na swoim najlepszym ubraniu?

– Skąd pani wie, że to moje najlepsze ubranie?

1 : 0 dla inspektora Kosaćca.

– Przecież nie założyłby pan byle czego na imprezę w Zamku Królewskim, organizowaną przez ambasadora... Zresztą, widzę logo projektanta na mankiecie. Chyba z policyjnej pensji nie kupuje pan co tydzień takich marynarek?

Zaczerwienił się. A więc 1 : 1.

Otworzyłam torebkę.

– Co pani robi?! – zerwał się na równe nogi. – Proszę to odłożyć! Proszę nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów!

Włożył dłoń pod marynarkę. Domyśliłam się, że ma tam broń. I że właśnie ją odbezpieczył jednym szybkim gestem.

Zaczęłam się śmiać tak, że aż leciały mi łzy. Pewnie rozmazałam w ten sposób cały cudowny makijaż wykonany w łazience Niny najlepszymi kosmetykami znalezionymi w jej szafce.

– Chciałam dać panu odplamiacz w sztyfcie. Taki mały długopisik – wyjaśniłam. – Zawsze mam go przy sobie. Proszę mi wierzyć, to jeden z najbardziej przydatnych wynalazków, jakich zdarzyło mi się używać. Nie chce pan wywabić od razu tej plamy? Zaschniętą oliwę będzie potem trudno usunąć domowymi sposobami...

Przez chwilę patrzył na mnie jak na przybysza z innej galaktyki, a potem też zaczął się śmiać. Głośno i szczerze.

Miałam rację. Z człowiekiem, który świadomie nosi od tylu lat botaniczne nazwisko, wcześniej czy później musiała mnie połączyć nić porozumienia.

Dwie minuty później po plamie nie było ani śladu.

– Dziękuję – powiedział.

Schowałam odplamiacz do torebki. Piłeczka była znowu po jego stronie.

Nie odbił jej. Zamiast zadać jakieś pytanie, znowu zamilkł i zaczął stukać palcami w zielony blat.

Nie wytrzymałam.

– Czy pan wie, gdzie jest Dorota?

– A pani?

Jezusie Nazareński, jeśli coś się nie zmieni, naprawdę będziemy tak rozmawiali co najmniej do Bożego Narodzenia!

Potrząsnęłam głową.

– Powiem wszystko, co wiem, naprawdę. Ale proszę nie grać ze mną w kotka i w myszkę.

Zadumał się, wybił na stole jakąś dziwną melodię. Sądząc z długości, mogła to być VII Symfonia Beethovena. Sądząc z rytmu – raczej kompozycja szalonego rapera, który

bardzo się spieszy na pociąg.

– W porządku – oświadczył w końcu inspektor Kosaciec. – Zagrajmy w otwarte karty.

Nareszcie!

– Co chce pan wiedzieć?

– Czy spotkała się pani z Dorotą Wielowiejską przed wernisażem?

– Nie.

– Czy zamordowała ją pani z premedytacją?

– Nie... Co... Czy pan...

Powoli, naprawdę bardzo powoli, docierał do mnie sens jego słów.

Wstałam z miejsca, po czym opadłam na nie gwałtownie, walcząc z potwornymi mdłościami i zawrotami głowy.

– Chce pan powiedzieć, że Dorota nie żyje?

Obserwował mnie przez moment spod lekko przymkniętych powiek.

– Chce pani powiedzieć, że jest pani zaskoczona tą informacją?

Nie wiem, co mnie napadło. Naprawdę nie wiem.

Mdłości i zawroty głowy minęły jak ręką odjął. Poderwałam się z krzesła, zrobiłam dwa kroki naprzód, przechyliłam się przez blat, wzięłam zamach i z całej siły uderzyłam go swoją torebką w twarz.

ROZDZIAŁ 12

W NOCY WSZYSTKIE KOTY SĄ CZARNE

NINA

Natalia została zatrzymana do wyjaśnienia w sprawie morderstwa. W areszcie dopuściła się czynnej napaści na funkcjonariusza na służbie. Odezwij się do mnie jak najszybciej.

Czytałam te trzy krótkie zdania po raz dwudziesty, ale tylko ostatnie z nich było dla mnie jasne. W pozostałych dwóch ciągle nie mogłam znaleźć ani odrobiny sensu. Natalia? W sprawie morderstwa? Dopuszczała się czynnej napaści? To musiała być jakaś idiotyczna pomyłka.

Poza tym, skąd do cholery Mańka może wiedzieć takie rzeczy? Dlaczego to ona mnie o tym informuje – i to w dodatku takim dziwnym, oficjalnym językiem?

Spojrzałam na zegarek. Właśnie wybiła północ. Wróciłam ze spaceru z Maksem i Pomponem wokół osiedla. Po raz pierwszy Pompon nie próbował uciec ani odgryźć mi stopy, gdy tylko nią poruszałam... Wiedziałam, oczywiście, że przed wszystkimi szczepieniami nie powinnam wypuszczać się z nim za daleko, ale tak bardzo podobało mi się spacerowanie z niemal grzecznym szczeniakiem, że po prostu nie mogłam się oprzeć. Na naszym wymuskany, luksusowym osiedlu nie zarazi się chyba wścieklizną od jakiegoś lisa? Postanowiłam zaryzykować i zrobić dodatkowe kółko po ciemnych, pustych uliczkach.

Może jednak wychowam go na mądrego psa? Zwłaszcza jeśli wmiesza się w to Natalia z Maksem.

Komórka czekała na stole, a w niej trzy nieodebrane połączenia z centrali SIS-4, osiem od Mańki i ten SMS.

Natychmiast wybrałam numer Natalii, ale odezwała się automatyczna sekretarka.

Zadzwoniłam do Mańki.

Nie odebrała.

Pompon dreptał wokół moich stóp, piszcząc niespokojnie. Maks błyskawicznie podbiegł

do niego i zaczął zachęcać do zabawy. Nie musiał starać się zbyt długo. Szczeniak natychmiast ruszył za nim w pogoń po całym mieszkaniu.

Uśmiechnęłam się, patrząc na ich beztroskie harce. A potem poczułam, że robi mi się słabo. Gdzie ja miałam rozum, kiedy zgadzałam się, żeby Maks został u mnie w domu, choćby na kilka godzin? Jak mogłam zapomnieć, że Natalia zawsze pakuje się w kłopoty i robi coś, czego nie powinna? Ucieczka z sanatorium w Ciechocinku do Krakowa, żeby obejrzeć kwiatki na ołtarzu, wydawała się szczytem głupoty. Niesłusznie! Dziś chyba przeszła samą siebie, zrobiła kolejny krok.

Nie mogłam zrozumieć, jakim cudem dała się wrobić w morderstwo.

Zrozumiałam jednak, że jeśli się z tego nie wyplącze i spędzi w więzieniu resztę życia, Maks na zawsze zostanie u mnie. Bo przecież znalazłyśmy go razem wtedy, pod tężniami, i razem wzięłyśmy za niego odpowiedzialność.

Zamiast jednego psa, z którym nie mogę sobie poradzić, będę miała dwa.

A wtedy nie pozostanie mi nic innego, jak zamknąć SIS-4 albo przekazać firmę na dobre Mańce i Lutce.

Ta perspektywa, niestety, wcale mnie nie zachwycała. Musiałam więc zacząć działać, i to jak najszybciej.

Plan był prosty.

Po pierwsze: pojechać do Mańki i zostawić jej psy. Pompon nie może przecież pozostawać bez opieki nawet przez pięć minut, bo od razu zaczyna roznosić mieszkanie w pył i zjadać wszystko, co zdoła dopaść: listwy przypodłogowe, buty, kable, nogi krzeseł, piloty od telewizora i wieży, woreczki foliowe, guziki przy poszewkach poduszek leżących na kanapie...

Po drugie: odszukać Natalię i zastanowić się razem z nią, co robić dalej.

Szybko wrzuciłam do najmniejszej z moich walizek (tej, którą można zabrać na pokład nawet w tanich liniach) kilka rzeczy Natalii. Mokasyny, spodnie w prążki, bawełnianą bluzkę w kwiaty, w której przyjechała... Jej kosmetyczkę i moje chusteczki do demakijażu. Nie byłam pewna, czy ma własne, a pewnie do tej pory cudowny podkład na jej twarzy zamienił się w popękana skorupę.

Oczywiście miałam nadzieję, że wyciągnę ją z więzienia jeszcze tej nocy. Nie mogła przecież nikogo zamordować! Ale mimo wszystko wygodniej jej będzie wracać w mokasynach niż w tamtych niebotycznie wysokich szpilkach.

– Idziemy, Pompon – rzuciłam, szukając kluczyków do samochodu.

A on, po raz pierwszy, od kiedy ze mną zamieszkał, po prostu podszedł i usiadł spokojnie

koło mojej lewej stopy.

Bo przy prawej, rzecz jasna, siedział już Maks, przekrzywiając główkę i patrząc na mnie tymi swoimi cudownymi, mądrymi oczami. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Proszę, prowadź nas jak najszybciej prosto do Natalii”.

NATALIA

– Przysługuje mi jeden krótki telefon? – zapytałam, zastanawiając się nerwowo, kogo powinnam wybrać.

– Jeden telefon przysługuje w amerykańskich filmach. Ja mogę najwyżej powiadomić pani rodzinę o... o zaistniałej sytuacji.

– Rodzinę?

Właściwie to ja nie miałam rodziny. Jedna z moich bratanic nie żyła, druga mieszkała pod Rzeszowem i rozmawialiśmy przez telefon regularnie zaledwie sześć razy w roku: na Boże Narodzenie, Wielkanoc, moje i jej imieniny i urodziny, za każdym razem po dwie minuty. Nie sądzę, żeby rzuciła teraz wszystko i przyjechała mnie ratować.

Oczywiście, był jeszcze Mikołaj. Dzwonił ostatnio przed wyjazdem do Waszyngtonu... On stanąłby na głowie, żeby mi pomóc. Ale co może zrobić, będąc po drugiej stronie oceanu? Tylko się zdenerwuje, to zupełnie bez sensu.

Kogo więc należało powiadomić w takiej sytuacji?

– Czy to musi być osoba z rodziny? – zapytałam. – Mój bratanek i bratanica są bardzo daleko. A mój partner... Cóż, mieszkamy razem, ale nie jesteśmy małżeństwem.

Gwałtownie zmierzył mnie wzrokiem, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia.

– Ma pani partnera?

– Konkubenta – doprecyzowałam.

Pewnie podobnie jak wszyscy w Helu myślał, że powinnam raczej szykować sobie piękny nagrobek, niż zajmować się „takimi rzeczami”.

Tylko po co ja miałam dzwonić do Wiktora w środku nocy? I tak nie zdoła mi pomóc. Jest na drugim końcu Polski, nie zna nikogo w Warszawie i ma za sobą naprawdę ciężki dzień. Niech śpi, póki może. Dowie się o całej sprawie jutro, gdy będzie już po wszystkim. Będziemy śmiali się razem z tej głupiej przygody.

O ile zdołam się śmiać teraz, kiedy jestem już pewna, że Dorota nie żyje.

– Czy Stefan... Profesor Wielowiejski... Czy on już wie o śmierci żony? – zapytałam.

Kosaciec pochylił się w moją stronę i gwałtownie wciągnął powietrze.

– Sugeruje pani, żebym w pani imieniu zadzwonił do męża denatki? – patrzył na mnie jak jastrząb na myszkę. Jak wyjątkowo głodny jastrząb.

– Co w tym dziwnego? – zdziwiłam się. – Jeżeli jeszcze nikt go nie powiadomił...

Wbił wzrok w ścianę za moimi plecami.

Znowu ta cisza.

– Rozmawiał pan z profesorem Wielowiejskim?

Cisza.

Rąbnęłam pięścią w stół, chyba drugi raz w życiu.

– Nie chcę, żeby pan wydzwaniał do wdowca pogrążonego w żałobie, jeżeli został już poinformowany o śmierci żony. Ale jeżeli o niczym nie wie...

– Naprawdę uważa pani, że mamy w zwyczaju czekać z takimi wiadomościami? – prychnął.

Wzruszyłam ramionami.

– Do tej pory niewiele miałam okazji, żeby zapoznać się ze zwyczajami policjantów.

– Doprawdy? – uśmiechnął się lekko i zerknął w ekran komputera. – Mam tu dane, które pokazują zupełnie co innego...

– Jakie dane?

Nie odpowiedział.

Dłuższą chwilę zajęło mi zrozumienie, że mówi o Ciechocinku i nieboszczyku, którego znalazłyśmy z Niną w sanatoryjnym basenie.

– Jeśli nawiązuje pan do wydarzeń z kwietnia tego roku, to otrzymałam oficjalne podziękowanie z komendy wojewódzkiej za pomoc w zakończeniu skomplikowanego śledztwa. Proponowano mi nawet, żebym została biegłą w podobnych sprawach w sądzie rejonowym... Jeśli więc pan insynuuje...

– Niczego nie insynuuję, stwierdzam tylko fakt.

– Jaki fakt? – naprawdę byłam już bardzo zmęczona tą rozmową.

– Taki, że ma pani wyjątkowy talent do znajdowania się w nieodpowiednich miejscach akurat wtedy, kiedy ktoś gwałtownie umiera, niekoniecznie z przyczyn naturalnych.

Nie skomentowałam tego w żaden sposób. No bo cóż mogłabym powiedzieć?

– Czy Dorota umarła z przyczyn nienaturalnych? – zapytałam tylko.

Oczywiście nie odpowiedział.

Nie musiał. Dziesięć minut wcześniej oskarżył mnie przecież o morderstwo z premedytacją. A więc... Cóż... Dorota nie żyła. I nie umarła raczej na zawał ani nie zginęła w wypadku.

Bardzo chciałam zostać teraz sama, opłakać ją i naszą przyjaźń, zakończoną przedwcześnie i chyba zbyt pochopnie... Na razie jednak musiałam jakoś wydostać się z tego budynku. Na łzy i wspomnienia przyjdzie czas potem, gdy znajdę się już we własnym domu albo przynajmniej w domu Niny, z Maksem grzejącym mi stopy i śmiesznym czarnym Pomponem skaczącym wokół nas jak piłeczka.

– Chciałabym, żeby zadzwonił pan do Niny... pani Antoniny Drop. Nie jesteśmy spokrewnione. To moja przyjaciółka. Zatrzymałam się u niej w domu. Na pewno bardzo się niepokoi, że tak długo nie wracam, tym bardziej że zostawiłam u niej psa.

– Proszę podać mi jej numer – podsunął mi kartkę i długopis.

Sięgnęłam po torebkę.

– Nie wolno!

– Jak to nie wolno? – nie rozumiałam. – Mam numer zapisany w komórce. Żeby go panu podać, muszę przecież wyjąć telefon.

– Wykluczone. Nie wolno pani dotykać komórki.

– Jak w takim razie mam znaleźć ten numer? Nie znam go na pamięć.

– Takie są przepisy – wzruszył ramionami. – Nie może pani dotykać swojego telefonu.

– To niech pan go dotknie i odszuka Ninę na liście kontaktów.

– Nie mogę. Procedury mi tego zabraniają. Pani komórka zostanie zabezpieczona do czasu wyjaśnienia sprawy.

Teraz zdenerwowałam się naprawdę.

– Nie ma pani żadnego notesu z tymi numerami? Bardzo szkoda...

Mam notes, oczywiście. Od czasu, kiedy przy przekładaniu karty do nowej komórki straciłam wszystkie kontakty, mam w domu piękny notes w winogronowej okładce. Leży na blacie w atelier. Ponad czterysta kilometrów stąd.

Myślałam gorączkowo, skąd mogę wytrzasnąć numer Niny, nie zrywając Wiktora z łóżka i nie kazać mu iść na dół, do „Mewy” po mój notes. Pomijając fakt, że nie pamiętałam także numeru Wiktora.

– SIS-4 – powiedziałam w końcu. – Czy są jakieś przepisy, które zabraniają panu odnalezienia w komputerze albo w książce telefonicznej, jeśli ktoś jeszcze drukuje takie książki, numeru do dużej, ogólnie szanowanej firmy? Z tego, co pamiętam, na górze na ich stronie internetowej jest na czerwono wypisany numer alarmowy do centrali. Czynny dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niech pan spróbuje go odszukać, dobrze? I bez względu na to, kto odbierze, proszę go poprosić o pilne przekazanie informacji o moim aresztowaniu pani prezes.

– O zatrzymaniu – poprawił mnie wyraźnie zniecierpliwionym tonem.

Nie dyskutowałam.

Liczyło się tylko to, żeby zawiadomić Ninę.

– Proszę koniecznie jej powiedzieć, że nie musi przejmować się psem. On sam zajmie się sobą do mojego powrotu. Niech tylko da mu trochę świeżej wody... A, i jeszcze niech pan jej powie, że Maks ma uczulenie na marchewkę, więc nie powinna w żadnym wypadku podawać mu niczego, co ją zawiera. To bardzo ważne! Pies może umrzeć, jeśli dostanie marchew. Rozumie pan?

– Nie wolno mi przekazywać takich informacji – był naprawdę znudzony. – To może być szyfr, którym próbuje pani o czymś uprzedzić współników.

Zaczęłam się śmiać i nie mogłam przestać, choć wcale nie było mi do śmiechu.

Ale sama myśl o tym, że razem z Niną zaplanowałam morderstwo i teraz porozumiewam się z nią marchewkowym kodem, diabli wiedzą w jakiej sprawie, wydała mi się naprawdę wyjątkowo zabawna.

Kosaciec nie czekał, aż się opanuję. Sprawdził coś w komputerze, po czym wyszedł z telefonem na korytarz. Dzwonił w dwa albo trzy miejsca. I stawał się chyba coraz bardziej zdenerwowany.

NINA

Ostatnie, na co miałam ochotę, to jeżdżenie samochodem w środku nocy z dwoma psami szalejącymi na tylnym siedzeniu.

No dobrze, z jednym szalejącym i jednym próbującym go uspokoić.

Powinnam chyba wziąć taksówkę? Moja rehabilitantka mówiła tyle razy, że mam unikać prowadzenia auta. Ale który taksówkarz zgodzi się przewieźć Pompona dalej niż do bramy wjazdowej na osiedle? Zamówiony transporter z metalowymi drzwiczkami, odpornymi podobno na próby przegryzienia, miał dotrzeć do mnie najwcześniej pojutrze. Przewożenia Pompona w kartonie próbowałam trzy razy. Za każdym razem, jeszcze przed upływem minuty, pudło zamieniało się w strzępy. We własnym samochodzie mogłam jakoś to znieść. Ale w taksówce? Nie chciałam nawet myśleć, ile wyniosłoby odszkodowanie, które musiałabym płacić za podartą tapicerkę... Albo za spowodowanie wypadku przez psa, który w szale radości usiłował polizać kierowcę po uchu.

Wolałam już wziąć tabletkę przeciwbólową i ruszyć w drogę swoim własnym autem.

Tym bardziej że wciąż nie byłam pewna, dokąd powinnam tak naprawdę pojechać, żeby

znaleźć moją narwaną siostrzyczkę, a potem wyciągnąć Natalię z więzienia.

NATALIA

Wiele słyszałam o Czarnej Mańce. Wiedziałam, że ma nielichy temperament. To, co zobaczyłam, przeszło jednak moje najśmielsze przypuszczenia.

– Mogę mówić ci na ty? – zaczęła bez żadnych wstępów. Była młodsza ode mnie mniej więcej o pół wieku. Na ogół osoby w tym wieku nie skracały tak szybko dystansu, nie miałam jednak nic przeciwko temu. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– Jasne. Będzie nam znacznie wygodniej – pokiwałam głową. – I znacznie milej...

– No to świetnie. To jedno mamy już z głowy. A teraz słuchaj uważnie. Jakiś gliniarz dodzwonił się na naszą centralę... A centrala powiadomiła mnie o wszystkim, bo nie mogli złapać Ninki. No i całe szczęście! Ona przecież i tak nie mogłaby tu wejść, nawet na chwilę.

– A ciebie wpuścili? Jakim cudem? – kompletnie tego nie rozumiałam.

– Jestem z wykształcenia prawnikiem – uśmiechnęła się szelmowsko. – Wmówiłam im, że będę cię reprezentować. Nie wiedzą, że nie pracowałam w zawodzie ani minuty i nie masz co liczyć na to, że coś ci podpowiem. Zadzwoiłam już po adwokata, najlepszego ze wszystkich... – Mańka naprawdę była niezła! – Za chwilę, kiedy ten gliniarz wejdzie znowu do pokoju, powiesz mi głośno, że zmieniłaś zdanie i nie chcesz, żebym cię broniła. I że życzysz sobie, żebym wezwała pana mecenasa Gustawa Grotowskiego. Zapamiętasz? Grotowskiego. A kiedy już się pojawi, musisz być z nim całkowicie szczerą. Ze mną zresztą też.

Szybko pokiwałam głową. Nie do końca rozumiałam, dlaczego mam opowiadać jej o wszystkim, co się wydarzyło. Skoro nie zamierza mnie reprezentować... Ale w sumie... Dlaczego nie?

– Zatłukłaś tę sukę? – zapytała, przewiercając mnie tymi swoimi czarnymi jak węgielki oczami.

– Słucham!?

– Pytam, czy pomogłaś jej przenieść się na lepszy świat... Zresztą, nie! Nie odpowiadaj! Nie jesteśmy spokrewnione, nie będę wcale twoim pełnomocnikiem ani obrońcą, a więc sąd może mnie zmusić do powtórzenia pod przysięgą wszystkiego, czego się od ciebie dowiem. Powiesz to adwokatowi. Tylko szczerze, słyszysz? On zdecyduje, jaką linię obrony przyjąć. Ale musi znać prawdę!

Boże, co ta Nina jej o mnie naopowiadała? Naprawdę uważa, że mogłabym zabić moją przyjaciółkę? Była przyjaciółką, ale jednak...

– Ta suka ukradła ci męża – Mańka najwyraźniej знаła całą historię... Oczywiście w swobodnej interpretacji swojej starszej siostry.

– Nikogo mi nie ukradła – westchnęłam. – Stefan nie zdążył zostać moim mężem, a Dorota związała się z nim długo po naszym rozstaniu. Upewniając się przy tym trzy razy, czy ja na pewno nie jestem nim już zainteresowana.

– Nie byłaś? – wbiła we mnie świdrujący wzrok.

Co miałam jej odpowiedzieć?

Jak wyjaśnić w kilku zdaniach, że zainteresowana będę nim już zawsze... Był miłością mojego życia i nic nie mogło tego zmienić.

– Ciągłe go kochasz, no jasne... – Teraz to ona westchnęła, bardzo melodramatycznie. – Ale Guccio cię z tego wyciągnie. Jest naprawdę dobry w zbrodniach popełnionych w afekcie. Tylko nie próbuj niczego przed nim ukrywać!

Guccio, czyli mecenas Gustaw Grotowski, wyglądał jak skandynawski hipis. Jasne loki wiły się, przykrywając szyję i ramiona, czoło przecinał czarny rzemyk, a na pierś opadało kilkanaście łańcuchów i sznureczków, na których podzwaniały najróżniejsze wisiory, koraliki, amulety... Spod spranych dżinsów, poszarpanych na dole, wyłaniały się wściekle zielone mokasyny założone na gołe stopy.

Stopy mecenasa Guccia na dłuższy moment przykuły moją uwagę, były bowiem wyjątkowo duże i opalone trzy razy mocniej niż twarz.

Całości dopełniała fioletowa lniana koszula w wymyślne hafty oraz potężna torba listonoszka, z tatusiem Muminka na klapie. Gustaw wzbudził moją żywiołową sympatię od pierwszego wejrzenia. Ale czy naprawdę był tym, za kogo się podawał? Mogłabym go podejrzewać o różne umiejętności, ale raczej nie o wyciąganie starszych pań z aresztu...

– Marysia wyrwała mnie nagle z wypadu do Kazimierza – próbował chyba usprawiedliwić swój wygląd i zapracować na moje zaufanie. – Twierdzi, że wpakowała się pani w solidne kłopoty. Proszę opowiedzieć mi o wszystkim jak najdokładniej...

– Nie ma o czym mówić – wzruszyłam ramionami. – Zaszła jakaś głupia pomyłka. Przyjechałam na wernisaż, żeby wesprzeć dawną znajomą, która miała wygłaszać tu krótki referat. Znajoma się nie pojawiła, poproszono więc, żebym ją zastąpiła... A przy schodzeniu ze sceny zostałam aresztowana.

– Zatrzymana – poprawił.

Nie dostrzegałam różnicy, ale skoro wszyscy upierali się, żeby mówić „zatrzymana”, to czemu nie?

– Zatrzymana – zgodziłam się od razu.

NINA

Sięgnęłam po pilota do bramy wjazdowej, nacisnęłam czerwony guzik i nic.

Jeszcze raz.

Nic.

Czyżby wyczerpały się baterie?

W ostatniej chwili powstrzymałam się przed wduszeniem klaksonu. Minęła północ, w większości domów nie paliły się żadne światła. Czy naprawdę musiałam obudzić wszystkich sąsiadów tylko dlatego, że nie oddałam mojego pilota do przeglądu wtedy, kiedy administrator osiedla prosił o to bardzo uprzejmie w pięciu mailach i kilku ulotkach rzuconych na wycieraczkę?

Z wysiłkiem wyszłam z samochodu, trzymając Pompona na rękach.

Wyrywał się wściekle i drapał na oślep po twarzy i dekolcie. Jak to on. Wolałam nie myśleć o tym, jak wygląda moja skóra i co pomyślą Duńczycy, którzy mają jutro przyjechać do biura SIS-4 punktualnie o dziewiątej rano.

– Mam problem z pilotem – zawołałam, stukając w okienko ochroniarzy.

Zero reakcji.

Dopiero po chwili drzwi małego domku strażników otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w mundurze. W zupełnie innym mundurze niż te, które nosili pracownicy firmy ochroniarskiej.

– Pani Antonina Drop? – zapytał, salutując.

– Tak, ale...

– Podkomisarz Andrzej Miłkowski, komenda rejonowa policji. Byłem u pani w domu kwadrans temu, ale nikogo nie zastałem.

– Wyszłam na wieczorny spacer z psem – odpowiedziałam odruchowo.

– Z dwoma psami – sprostował. I widząc mój zdumiony wzrok wyjaśnił: – Właśnie przeglądam z panami nagrania z monitoringu. Twierdzili, że nie opuszczała pani od kilku godzin terenu osiedla, zaczęliśmy więc sprawdzać, gdzie mogę panią teraz spotkać. Naprawdę bardzo mi zależy na tym, żeby jak najszybciej uzyskać od pani odpowiedzi na

kilka pytań...

ROZDZIAŁ 13

JAK CIĘ WIDZĄ, TAK CIĘ PISZĄ

NATALIA

Nagle okazało się, że wszystko świadczy przeciwko mnie. Szminka, perfumy, a nawet spódnica.

– Codziennie eksponuje pani nogi? – policyjna psycholog, zerwana chyba z łóżka specjalnie po to, żeby mnie przesłuchać, wpatrywała się w moją twarz, nie mrugając w ogóle oczami. Z najwyższym trudem powstrzymałam się przed powiedzeniem jej, że przesuszenie gałek ocznych może wywołać ból, a nawet problemy z akomodacją wzroku i poważne stany zapalne, przechodzące w stan chroniczny.

Zaczynałam żałować, że zgodziłam się na tę rozmowę pod nieobecność Grotowskiego.

– Idę sprawdzić, co tak naprawdę na panią mają – oświadczył, kiedy opowiedziałam mu swoją wersję wydarzeń, dającą się streścić w zdaniu: „Nie mam zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi”. – Muszę też wpaść do domu, odświeżyć się i przebrać. Niech pani z nikim nie rozmawia do mojego powrotu. Rozumie pani? Wszystkie przesłuchania wyłącznie w obecności adwokata. Jasne?

Pokiwałam głową, najwyraźniej niedostatecznie przekonująco.

– Niech pani powtórzy – zażądał.

– Nie powiem nic bez mojego adwokata. Mam prawo poczekać, aż wróci i weźmie udział w przesłuchaniu. Powinien być tu lada chwila – tym razem postarałam się, żeby mi uwierzył.

Uniósł kciuk w górę, bardzo zadowolony, i zniknął jak kot z Cheshire. Jego promienny uśmiech pozostał w pokoju jeszcze przez chwilę, nawet po zamknięciu drzwi.

Nie zamierzałam wywiązywać się z tej obietnicy. Przecież byłam niewinna! A więc – myślałam – jeżeli ktoś zechce ze mną przez moment porozmawiać i naprawdę wsłucha się w to, co mówię, na pewno natychmiast to zrozumie i pozwoli mi wrócić do domu. Im szybciej odbędzie się taka rozmowa, tym szybciej stąd wyjdę. Nie ma na co czekać i

zawracać głowy mecenasowi. Niech sobie jedzie z powrotem do Kazimierza na tę szaloną imprezę.

Kiedy okazało się, że pierwszą chętną do rozmowy jest policyjna psycholog, zgodziłam się natychmiast. Kto jak kto, ale psycholog potrafi chyba rozpoznać zimnokrwistą morderczynię?

Okazało się, że jednak niekoniecznie.

– Często pokazuje pani nogi? – powtórzyła pytanie, a jej oczy wciąż wpatrywały się we mnie bez jednego mrugnięcia. Naprawdę, niebywałe...

– Co mają tu do rzeczy moje nogi? – wzruszyłam ramionami. – Pani spódniczka też nie należy do najdłuższych. Czy to oznacza, że zamordowała pani kogoś wczoraj wieczorem?

– Mam trzydzieści jeden lat – odparła, nieco nie na temat.

Przynajmniej tak mi się wydawało.

– Uważa pani, że jestem za stara na spódnicę do kolana... – potrząsnęłam głową, chociaż już wcale nie powinno mnie to dziwić. – Może i tak... Ale mój narzeczony twierdzi, że widok moich nóg sprawia mu ogromną przyjemność. Dlaczego więc miałabym go tego pozbawiać?

– Pani narzeczony?

– Na narzeczonego też, pani zdaniem, jestem za stara? – nie udało mi się zachować powagi. – Cóż, w pani wieku też chyba uważałam podobnie. Że ludzie po siedemdziesiątce powinni siedzieć w domach, przysypiać przed telewizorem, ewentualnie dłubać jakiś szalik na drutach, jeśli ich oczy nie odmówiły jeszcze posłuszeństwa, a palców nie wygiął artretyzm... Ale dziś już wiem, że nawet z palcami przypominającymi zasuszony korzeń mandragory lub żeń-szenia człowiek wciąż o czymś marzy, snuje plany, chce kochać i zasypiać w ramionach ukochanego... I jeśli ma tyle szczęścia, co ja, właśnie w tym wieku może przeżyć jedną z najpiękniejszych przygód w życiu.

Patrzyła na mnie zadumana, a po ustach błędził jej lekki uśmiech.

A potem wypaliła:

– I właśnie to dało pani odwagę, by zabić rywalkę? Stwierdziła pani, że najwyższy czas mieć wreszcie profesora Wielowiejskiego znowu tylko dla siebie?

Rozmowa z psycholożką trwała ponad godzinę. Powtarzałam jej w kółko to samo, ale sprawiała wrażenie, jakby kompletnie nie rozumiała.

Miała bardzo dokładną wizję całej sytuacji i nie zamierzała jej w żaden sposób

skorygować pod wpływem moich słów.

– Nigdy nie przestała go pani kochać. Nigdy nie przestała też pani mieć aspiracji naukowych. Fakt, że rywalka do serca profesora wystąpi na wernisażu, że ma nie tylko pani ukochanego mężczyznę, ale też poklask tłumów, który przecież należał się pani, wyzwoliły w pani niesłychaną złość. I przyjechała pani do Warszawy z jasno sprecyzowanym planem. Przyjechała pani, żeby zabić – pokiwała głową, zadowolona z siebie, mniej więcej w sześćdziesiątej piątej minucie spotkania. – Dobitnie świadczy o tym pani strój, obuwie, wyjątkowo staranny makijaż. Szykowała się pani krok po kroku do egzekucji rywalki.

– Zaraz, zaraz... – To było tak absurdalne, tak idiotyczne, że wciąż nie umiałam wziąć tego na poważnie i porządnie się przestraszyć. – Jestem oskarżona o to, że ładnie się ubrałam? I umalowałam usta?

– Na razie o nic nie jest pani oskarżona – sprostował z ponurą miną policjant, siedzący do tej pory bez słowa pod ścianą i słuchający moich potyczek z psycholożką. – Natomiast strój i szminka... Cóż, nie będę ukrywał, że one działają na pani niekorzyść.

NINA

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi! – powtarzałam to chyba po raz piętnasty. – Natalia Burska pojawiła się dziś u mnie całkowicie nieoczekiwanie. Szła na jakiś wernisaż, na którym żona jej znajomego miała wygłaszać referat.

– Żona znajomego? – gliniarz uniósł wysoko swoje krzaczaste brwi.

Ciągle staliśmy przy bramie, a Pompon wyrywał się coraz bardziej. Trudno mi było rozmawiać z pazurami wplątanymi we włosy i rozdzierającym wyciem, zagłuszającym moje słowa.

Maks, jak to Maks, siedział spokojnie w samochodzie i obserwował tę scenę z przekrzywioną główką.

Postanowiłam zaryzykować i wpuścić Pompona do auta. Może nie rozniesie w drzazgi deski rozdzielczej w ciągu trzech minut? Rozmowa z tym policjantem nie potrwa chyba dłużej?

– Nic nie wiem – jęknęłam, uwalniając się od piszczącego szczeniaka i zatraskując drzwi. – Pani Dorota była w czasie studiów przyjaciółką Natalii. Dziś miała przemawiać na tej wystawie... Natalia przeczytała tekst przygotowanego wystąpienia i znalazła w nim błędy. Nie chciała pozwolić na kompromitację znajomej. Nie dodzwoniła się do niej,

więc wyruszyła do Warszawy, żeby przekazać jej poprawioną wersję referatu, nad którą siedziała przez kilka godzin. Pani Dorota na pewno potwierdzi jej czyste intencje...

Brwi policjanta znowu uniosły się w górę. W pierwszej chwili myślałam, że chodzi o moje słowa, ale nie. On patrzył na walizkę stojącą na fotelu pasażera.

– Pani gdzie wyjeżdża? – zapytał.

Potrząsnęłam głową z roztargnieniem. Pompon nie szalał! Leżał spokojnie, wtulony w Maksa, na tylnym siedzeniu. Naprawdę leżał bez ruchu!

– Nie wyjeżdża pani? – głos gliniarza przywołał mnie do porządku.

Udało mi się skupić i odpowiedzieć:

– Nigdzie nie wyjeżdżam. To rzeczy Natalii Burskiej, nie moje.

Brwi znowu podjechały pod krzywą grzywkę.

– Zamierzała pani ułatwić ucieczkę pani Burskiej? Cóż, w takim razie muszę poprosić panią o udanie się ze mną na komendę.

– A ja muszę odmówić – wściekłam się nie na żarty. – Mam jutro spotkanie... Bardzo ważne spotkanie, punktualnie o dziewiątej. Chcę tylko odszukać Natalię, zabrać ją do domu... Do mojego domu. I po prostu pójść spać.

– Obawiam się, że nie może mi pani odmówić... – Brwi tym razem zostały na swoim miejscu, za to kąciki ust wykonały dziwny taniec, jakby każdy z nich poruszał się po twarzy mężczyzny zupełnie niezależnie. – Jest pani zatrzymana. Proszę za mną.

NATALIA

Byłam w szoku, kiedy policjant powiedział mi – niby zupełnie przypadkowo – że Ninę też zamknęli „do wyjaśnienia”!

Ona przecież nie miała z tym wszystkim kompletnie nic wspólnego. Nie знаła Doroty, Stefana, nie znała się na botanice ani na malarstwie holenderskim. Gdybym nie poprosiła, żeby ją zawiadomili, nie wiedzieliby w ogóle o jej istnieniu!

– Nawet jeżeli założymy, tylko na moment, że pańska układanka trzyma się kupy... – zaryzykowałam – że faktycznie zatłukłam z zazdrości kobietę, która niemal pięćdziesiąt lat temu wyszła za mojego byłego narzeczonego, że długo tłumiliłam nienawiść, knułam misterny plan albo (to może nawet lepsze?) że jej wczorajsze wystąpienie wyzwoliło we mnie cały ten ból i wściekłość... No to gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla Antoniny Drop? Jaką rolę, pańskim zdaniem, miała odegrać w moim morderczym planie?

– Wspierającą – odpowiedział Kosaciec bez chwili wahania.

A ja poczułam, że – po raz pierwszy od bardzo dawna – po prostu brakuje mi słów.

NINA

To było czyste szaleństwo.

Siedziałam chyba trzecią godzinę w ciasnym pokoju z jakimś policjantem, którego nazwiska nie dosłyszałam. Poinformowano mnie, że psy są już bezpieczne z moją siostrą, która akurat – zupełnie przypadkowo – przebywała na komendzie w chwili mojego przyjazdu.

Przypadkowo?

Moje siostry raczej nie bywają w środku nocy na komendach, komisariatach i posterunkach!

Powtarzałam wszystko, co wiedziałam. Wystarczało tego mniej więcej na minutę. Owszem, znałam historię miłosną Natalii i Stefana. Wiedziałam, że ożenił się z jej przyjaciółką. Ale co z tego? Jakie to miało teraz znaczenie?

– O co ona jest oskarżona? – pytałam raz po raz.

– O nic – powtarzał policjant, nieco znudzony. – Do oskarżenia jeszcze bardzo daleka droga...

Sytuacja była patowa.

– Jeżeli nie wyjaśni mi pan, co się stało, nie będę mogła panu pomóc – mruknęłam.

– Wystarczy, że powie mi pani, w jaki sposób pomogła pani swojej przyjaciółce w morderstwie...

– W jakim morderstwie, do diabła? – poderwałam się z krzesła, popchnęłam stół. – Nie wiem nawet, kto nie żyje... Dorota? Stefan? Nieważne! Natalia na pewno nie miała z tym nic wspólnego. Ona ma teraz nowego partnera. Układają sobie życie w jej domu, w Helu. Natalia jest nareszcie szczęśliwa. Dlaczego akurat teraz miałyby kogoś mordować? I niby dlaczego ja miałabym jej w tym pomóc?

– Sama mi pani powiedziała, że jest jej przyjaciółką. To chyba wystarczający powód, prawda?

NATALIA

Zaczynałam mieć serdecznie dość tej całej sytuacji. Naprawdę nikt w tej komendzie nie zamierzał uwierzyć w to, co opowiadałam. Nikt nie uznał po moich wyjaśnieniach, że zaszło idiotyczne, piramidalne nieporozumienie, nie przeprosił i nie odesłał taksówką do

domu.

Mecenas Gucio Grotowski, ze swoimi lokami i pękiem wisiorków, pewnie faktycznie był najlepszym prawnikiem w Warszawie... Problem w tym, że wyszedł i nie wrócił. A ja nie miałam pojęcia, jak mogę się z nim skontaktować.

Nie chciałam dłużej czekać bezczynnie ani odbywać kolejnych rozmów, utwierdzających policjantów w przekonaniu o mojej winie.

Był tylko jeden człowiek, który mógł mnie z tego wyciągnąć.

– Niech pan zadzwoni do komisarza Szprota z Bydgoszczy – powiedziałam nad ranem. – On wszystko panu o mnie opowie, szczerze, jak policjant policjantowi... Zdążył mnie poznać całkiem nieźle, i mnie, i panią Antoninę Drop, kiedy w naszym sanatorium w Ciechocinku znaleziono tajemnicze zwłoki w basenie solankowym.

– Kiedy PANIE znalazły te zwłoki, o ile się nie mylę – poprawił mnie Kosaciec, wpatrując się w komputer ze słabo maskowanym rozbawieniem.

– Owszem – mruknęłam. – Znalazłyśmy ciało pływające w basenie pośladkami do góry. Ale to nie czyni z nas morderczyń, prawda?

– Niczego takiego nie sugerowałam... – Chyba też był już zmęczony i bardzo senny.

– Proszę zadzwonić do komisarza – powtórzyłam.

– Już dzwoniłem – wreszcie powiedział do mnie coś wprost, bez owijania w bawełnę. – Został oddelegowany do tej sprawy i jest już w drodze do Warszawy.

– To wspaniale! – odetchnęłam z ulgą.

Jeżeli sprawą zajmie się sobowtór Clarka Gable'a w policyjnym mundurze, to na pewno wszystko dobrze się skończy.

– Na pani miejscu nie tryskałbym takim entuzjazmem... – Kosaciec nie odrywał wzroku od swojego komputera.

– Nie rozumiem – odpowiedziałam ostrożnie i absolutnie zgodnie z prawdą.

– Po prostu... Cóż, to żadna tajemnica, i tak za chwilę dowie się pani tego od adwokata... Pan komisarz w krótkiej rozmowie telefonicznej przekazał nam kilka informacji, które poważnie panią obciążają. Na ich podstawie zamierzamy rano złożyć wniosek do sądu o tymczasowe aresztowanie.

Adwokat zwany Guciem objawił się nareszcie pół godziny później. Zdążył już przebrać się w garnitur, na nogach miał jednak ciągle te zwariowane, wściekle zielone mokasyny, a na piersi okrytej białą koszulą wciąż huśtał się pęk wisiorków.

Zrugał mnie solidnie za to, że rozmawiałam z psycholożką i z Kosaćcem pod jego nieobecność, a potem oświadczył z marsową miną:

– Obciąża panią roślina. Taki mały żółty kwiatek.

– Żonkil? Pięciornik? Jeden z jaskrów? Knieć błotna? Wrotycz?

Mogłam wymieniać rośliny o żółtych kwiatach choćby do południa, tyle że kompletnie nie rozumiałam, dlaczego którakolwiek z nich miałyby mnie obciążać. Wciąż nie wiedziałam, jak zabito Dorotę, ale na litość boską, chyba nie kwiatem?!

Gustaw Grotowski zajrzał do notatek i odczytał z odrazą:

– Glistnik jaskólcze ziele! Czy ta nazwa może coś pani mówi?

Czy coś mi mówi? Oczywiście, że tak... Moje zainteresowanie roślinami z ołtarza Wita Stwosza, a potem z innych dzieł sztuki, zaczęło się właśnie od glistnika. Spod ręki mistrza Wita wyszły liście doskonałe. Mogłam wpatrywać się w nie godzinami. Żartowałam nawet, że kiedyś wejdem na ołtarz i zabiorę jeden z tych liści tylko dla siebie.

– Pisałam pracę magisterską o symbolice glistnika – wyjaśniłam. – Pomysłowi studenci dopadli niedawno fragmenty, nie wiadomo jak i gdzie, i wrzucili je do sieci. Zanim uczelnia zdążyła zainterweniować, trafiły już na kilka egzotycznych serwerów...

– Policja już ma te fragmenty i uważnie je analizuje – oświadczył adwokat, całkowicie mnie tym zaskakując.

Co ten Szprot im naopowiadał? Co ich obchodzi fakt, że alchemicy próbowali wykorzystać złotawy sok mleczny glistnika do produkcji bryłek złota... Zaś mit, że jaskółka przemywa tym sokiem powieki pisklętom, żeby przejrzały na oczy, uczynił z glistnika ważny symbol religijny, oznaczający leczenie ze ślepoty duchowej...

– Kompletnie nie rozumiem, jaki to ma związek ze śmiercią Doroty Wielowiejskiej – westchnęłam.

Mecenas Gustaw Grotowski nie skomentował tego w żaden sposób. Pochylił się za to nad stołem, pobrząkując wisiorami, i spojrzał mi głęboko w oczy:

– Podobno ma pani pierścionek z liściem tej roślinki? Proszę niczego przede mną nie ukrywać...

Czy ja wspominałam Szprotowi coś o pierścionku?! Czy raczej adwokat dowiedział się tego od Niny... Albo od Mańki, która znała całą historię z opowieści siostry?

Zresztą jakie to miało w tej chwili znaczenie?

– Proszę mi o tym opowiedzieć – nie odpuszczał hipis przebrany za poważnego prawnika. – Nie będę mógł pani pomóc, jeśli nie zacznie pani ze mną naprawdę współpracować.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób moja współpraca w sprawie glistnika może zaważyć na tym, czy spędzę w więzieniu resztę życia, czy też wyjdę stąd jeszcze dzisiaj. Ale proszę bardzo, skoro mu zależy, mogę o tym mówić choćby do wieczora...

– To było bardzo dawno temu. Nie było pana jeszcze na świecie... Pańscy rodzice byli wtedy pewnie małymi dziećmi... – Świadomie próbowałam opowiadać o tych wydarzeniach tak, jakbym opowiadała bajkę o czymś kompletnie nierealnym. Może dzięki temu wspomnienia nie zetną mnie z nóg tak jak ostatnio, kiedy w Ciechocinku rozmawiałam o zaręczynach z Niną.

– Od kogo dostała pani ten pierścionek? – Adwokatowi z jakiegoś powodu wydawało się to szalenie ważne dla sprawy.

Nie umiałam odgadnąć, dlaczego.

– Mój narzeczony, Stefan, znał tę moją fascynację glistnikiem – wyrzuciłam z siebie jednym tchem. – Obstałował więc u złotnika pierścionek zaręczynowy z jednym małym liściem, dokładnie skopiowanym z ołtarza, ze sceny pokłonu trzech mędrców...

– Przyjęła pani ten pierścionek?

– Tak, oczywiście, że tak – wzruszyłam ramionami. – Planowaliśmy przecież ślub.

– Pani i Stefan, tak? Profesor Wielowiejski? – upewnił się z poważną miną.

– Wtedy nie był jeszcze profesorem – uśmiechnęłam się. – Nie miał nawet doktoratu.

– Kto o tym wiedział?

– O tym, że nie ma doktoratu? Chyba wszyscy, którzy go znali – wzruszyłam ramionami. – Nie robił z tego tajemnicy, nie podszywał się pod żadnego naukowca...

– Na Boga, niech się pani nie wygłupia w takiej sytuacji! – mecenas poderwał się na nogi i zaczął nerwowo spacerować po pokoju. – Nie pytam o doktorat, tylko o to, kto wiedział o państwa związku. I o tych zaręczynach.

Potrząsnęłam bezradnie głową.

– Znajomi, przyjaciele, koledzy ze studiów doktoranckich, profesorowie... Sądzę, że również kilka bibliotekarek, pani z baru mlecznego i z bufetu na naszym wydziale.

– Bufetowa wiedziała o zaręczynach? – nareszcie przestał chodzić i oparł się o ścianę. – Ogłaszaliście to państwo przez megafon?

– No dobrze, o zaręczynach mogła nie wiedzieć – zgodziłam się po chwili namysłu. – O związku wiedziała na pewno. Wystarczyło na nas popatrzeć. Nie ukrywaliśmy niczego, trzymaliśmy się za ręce...

Teraz adwokat milczał przez moment, stukając palcami w ścianę. Pewnie układał sobie w głowie coś, co dla mnie pozostawało wciąż zagadką.

– Nie ukrywaliście tego związku? Ani zaręczyn? – upewnił się, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Powtórzy to pani do protokołu, dobrze? Chciałbym, żeby ta informacja znalazła się w aktach...

Kosaciec, z coraz większymi cieniami pod oczami, zabrał mnie do innego, znacznie obszerniejszego pokoju z dwoma biurkami i potężnym komputerem. Posadził mnie i mecenasa pod ścianą, a sam zajął miejsce przed monitorem i powoli, dwoma palcami zapisywał to, co mówiłam.

O mojej znajomości ze Stefanem, o zaręczynach i o pierścionku. I o tym, dlaczego nie dotrzymałam słowa i nie zostałam panią Wielowiejską.

– I to już cała historia – westchnęłam, zadowolona, że udało mi się opowiedzieć wszystko szybko, logicznie i bez rozklejania się przy najtrudniejszych wątkach.

– Cała? – policjant spojrział na mnie znad klawiatury. – Mam rozumieć, że nie widziała się pani z byłym narzeczonym od tamtej pory aż do dziś? Nie doszło do żadnego spotkania?

Milczałam.

Było spotkanie. Oczywiście, że było. Kwietniowe spotkanie w Krakowie... Kilka godzin spędzonych w małżeńskim łóżku Stefana tylko po to, by złapać trochę snu przed męczącą powrotną jazdą do Ciechocinka...

Jak ja miałam o tym opowiedzieć, żeby obydwaj zrozumieli, że nie romansowałam z narzeczonym sprzed półwiecza?

– Widzieliśmy się dwa miesiące temu.... – bardzo starannie doбираłam słowa. – W kościele Mariackim. Stefan pomógł mi spełnić dawne marzenie, obejrzeć z bliska ołtarz.

– Znowu chodziło o to jaskółcze ziele, tak? – Kosaciec patrzył na mnie ponuro.

– O glistnik, tak... Ale nie tylko o niego. Ołtarz Wita Stwosza jest pełen roślin! Niemal niewidocznych z dołu. Obejrzałam je, zrobiłam zdjęcia...

– A potem? Pożegnała się pani z profesorem i pojechała do domu?

– Tak... To znaczy... – kurczę, wszystko to brzmiało zupełnie nie tak, jak powinno. – Pożegnałam się, ale chwilę później wpadłam jeszcze na niego na ulicy. Byłam bardzo zmęczona, miałam przed sobą jazdę przez całą Polskę. Profesor zaproponował więc, żebym nieco u niego odpoczęła.

– Przystała pani na tę propozycję, ale nie spotkała się pani wtedy z jego żoną?

– Nie. Dorota była wtedy w Niemczech – wyjaśniłam, próbując nie widzieć miny

mecenasa, siedzącego pół metra ode mnie. – Zdrzemnąłam się tam trochę... Stefan wyszedł, kiedy spałam. Zostawił mi kanapki na półmisku i kefir z kajzerkami na drogę.

– Bardzo romantycznie... – w ustach Kosaćca zabrzmiało to jak obelga.

– Bardzo – zgodziłam się poważnie. – Kupował mi kefir, kajzerki i konwalie, kiedy studiowaliśmy...

– Konwalie? Też je pani wtedy dostała? – niemal przestał oddychać, patrząc na mnie w napięciu.

Adwokat próbował dawać mi jakieś znaki.

Zignorowałam go.

– Tak, dostałam konwalie – uśmiechnęłam się, kiwając głową. – Tylko, wie pan... To wszystko to naprawdę nie miało już wtedy znaczenia. To znaczy miało, ale nie takie, o jakie panu chodzi.

Jak ja miałam mu to wyjaśnić?

– Skąd pani wie, o co mi chodzi? – spojrzał na mnie znowu surowo.

– Nie wiem. Ale wiem, co próbuję panu powiedzieć. Bardzo proszę, niech mi pan nie przerywa, tylko przez moment.

Pokiwał głową na znak, że się zgadza.

– Chciałbym porozmawiać z klientką. Poproszę o pięć minut przerwy – Grotowski jak oparzony poderwał się nagle na równe nogi.

– To nie będzie konieczne – zaprotestowałam. – Nie zrobię sobie krzywdy, mówiąc prawdę, niech pan się o mnie nie boi.

Mecenas usiadł, poszarzały na twarzy.

Wzięłam głęboki oddech.

– Stefan wciąż jest dla mnie młodym chłopakiem – powiedziałam najprościej, jak umiałam. – Złapałam się kilka razy na tym, że macham zza kierownicy do jakiegoś dwudziestolatka. Bo wygląda tak, jak Stefan pół wieku temu. Nigdy nie miał pan wrażenia, że dostrzega pan w sklepie swoją dziewczynę sprzed lat? Wyglądającą ciągle dokładnie tak, jak wtedy, kiedy chodziliście do liceum?

Nie odpowiedział ani słowem.

Adwokat dawał mi zza pleców gliniarza coraz bardziej nerwowe znaki. Chyba naprawdę nie podobało mu się to, co mówię.

– No to kolegę, z którym był pan na obozie harcerskim – poprawiłam się, chyba trochę za późno. – Widzi pan przyszczatego szesnastolatka, otwiera pan usta, żeby zawołać: „Michał, kopę lat!”, i nagle dociera do pana, że Michał jest teraz po czterdziestce i walczy

raczej z zakolami i siwizną niż z trądzikiem młodzieńczym.

– To bardzo ciekawe, proszę mówić dalej... – ton policjanta stał w całkowitej sprzeczności z wypowiedzianymi przez niego słowami. No, chyba że cierpiał na narkolepsję i głębokie zainteresowanie tematem sygnalizował nam przez sen...

Mecenas znowu zaczął wykonywać dziwną pantomimę. Niestety, zupełnie nie mogłam pojąć jej znaczenia.

ROZDZIAŁ 14

SEN JEST NAJLEPSZYM LEKARZEM

NATALIA

– Czy pani zwariowała? – zapytał Gustaw Grotowski, gdy zostaliśmy sami. – Po co mu pani to wszystko opowiadała?

– Miałam kłamać?

– Nie, ależ skąd! – zamachał gwałtownie rękami. – Jak mógłbym coś takiego pani zasugerować? Chodzi mi tylko o to, że... Ta historia naprawdę mogła się obejść bez kilku szczegółów.

– Może i mogła – westchnęłam. Byłam już bardzo zmęczona. – Nie wypuszczą mnie dzisiaj do domu?

– Raczej nie – powiedział, tłumiąc ziewnięcie.

Tak myślałam... Nie było sensu się awanturować. To tylko pogorszyłoby moje położenie.

– Czy mogę się tu gdzieś zdrzemnąć? – zapytałam cicho.

Pokiwał głową.

– Oczywiście, zaraz zaprowadzą panią do...

– Do celi? – podsunęłam.

– Oficjalnie nazywa się to pokojem dla osób zatrzymanych – sprostował szybko. – Ale faktycznie często mówimy o celi przejściowej.

– Jak znał, tak znał – wzruszyłam ramionami. – Bylebym mogła zdjąć te upiorne szpilki...

NINA

– Nie przekazemy tej walizki pani Burskiej. Niczego jej nie przekazemy. Ani ubrań, ani butów, ani grzebienia czy szczoteczki do zębów...

– A chusteczki do demakijażu? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Też nie. Nie możemy, rozumie pani? Nic. Absolutnie nic. Każdy z tych przedmiotów może stanowić tajny kod... wiadomość, którą chciałyby jej pani przesłać – gliniarz w ogóle

nie podnosił wzroku znad notatek. – Przesłępcy są bardzo pomysłowi.

– Nie jestem przestępcą – jęknęłam. – Natalia też nie. No, chyba że drogowym...

– Słucham?!

O, proszę, coś go jednak zainteresowało!

– Chce ją pan zamknąć za przekraczanie prędkości i ignorowanie znaku „stop”? Tak jak kiedyś Ala Capone zamknęli za podatki, bo nie mogli go dorwać za korupcję, morderstwa, przemyt, stręczycielstwo i kilka innych potężnych spraw?

Przez twarz gliniarza przebiegło coś na kształt uśmiechu. Ale trwało to tylko sekundę, może półtorej. Natychmiast spoważniał i oświadczył:

– Jeśli pani Burska jest winna, zostanie skazana za morderstwo. Jeśli nie jest, zostanie wypuszczona. Nie musimy uciekać się do żadnych sztuczek. A teraz proszę za mną. Czeka na panią adwokat.

Miałam nadzieję, że Mańka załatwiła mi tego swojego Gucia Grotowskiego. Nikt nie traktuje go poważnie przez te długie jasne włosy, rzemyczki i pęk wisiorków dyndających mu koło pępka. A on to oczywiście bardzo sprytnie wykorzystuje. Jest ostry jak brzytwa i ma chyba największy współczynnik wygranych spraw spośród wszystkich warszawskich adwokatów. O ile istnieje taki współczynnik? Coś jak procent asów serwisowych Radwańskiej albo wykorzystanych rzutów karnych, zawsze wyświetlany w przerwie meczu piłki nożnej.

Nieważne.

Zamiast Grotowskiego pojawiła się kobieta. Była zjawiskowo piękna. Wyglądała jak modelka wyrwana na moment z sesji zdjęciowej na środku pustyni. Nienagannie zgrabna, wysoka, o orientalnej urodzie, w zielonej sukni do ziemi i pomarańczowym turbanie. Na jej szyi pobrzękiwało jeszcze więcej wisiorków niż na szyi Gutka.

Co ta Mańka ma z tymi wisiorkami? Z Grotowskim sypiała jeszcze na studiach, ale z tą pięknnością chyba nie? Jej temperamencik i skłonność do przelotnych romansów były powszechnie znane, do tej pory gustowała jednak raczej w mężczyznach...

– Mariola Woźniak – przedstawiła się dziewczyna w turbanie, ku memu szczeremu zdumieniu. Spodziewałabym się po niej raczej imienia typu Penelopa, Inez albo jakaś... Czy ja wiem? Macademian Girl. Ale Mariola Woźniak?!

– Możemy przejść na ty? – zaproponowała od razu. – Będzie nam łatwiej, znam Marysię jeszcze ze studiów.

Ani imię i nazwisko, ani jej maniery raczej nie zwały mnie z nóg.

No nic, trudno. Najważniejsze, żeby była dobrym adwokatem.

– Spodziewałaś się Gustawa Grotowskiego, prawda? – od razu odgadła, że nie jestem zachwycona jej obecnością. – Niestety, nie może reprezentować jednocześnie i ciebie, i tej Burskiej. Mogłoby się przecież okazać, że w tej sprawie wasze interesy wykluczają się wzajemnie.

No tak, oczywiście. Ja będę wrabiać Natalię, a ona mnie. Jak mogłam o tym nie pomyśleć?

– Mamy taki sam interes – westchnęłam ciężko. – Chcemy stąd wyjść, i to jak najszybciej.

– Pracuję nad tym.

No tak, jasne. W takim razie pozostawało mi czekać. Ale najpierw miałam jeszcze jedno pytanie.

– Powiedz mi, dlaczego tu siedzę. O co oni nas właściwie podejrzewają?

Orientalna Mariola Woźniak przyglądała mi się przez moment w milczeniu, obracając w palcach jeden z wisiorków z czerwonymi koralikami.

– Naprawdę jeszcze nikt ci nie powiedział? Zamordowano tę kobietę, która miała wygłaszać odczyt. Byłą przyjaciółką Burskiej, żoną jej kochanka.

– Stefan nie jest jej kochankiem! – zaprotestowałam natychmiast.

Spojrzała na mnie jak na łatwowierną idiotkę.

– Wiele wskazuje na to, że załatwiła ją Burska. Gustaw nie będzie miał lekko. Może zwali wszystko na jej wiek i niepoczytalność, żeby dostała niższy wyrok? Ale ja mam plan, nie martw się! Spróbuję cię stąd wyciągnąć, dowodząc, że o niczym nie wiedziałaś i w żaden sposób nie ułatwiłaś przyjaciółce wprowadzenia całego planu w życie. Musisz mi tylko powiedzieć wszystko, co wiesz.

– Nic nie wiem! – wściekłam się natychmiast. – Naprawdę nic! Nie widziałam Natalii od wyjazdu z Ciechocinka. Nie widziałam jej nawet w dniu wyjazdu...

– Często rozmawialiście przez telefon?

– No... Zdarzyło się nam kilka razy... Może kilkanaście?

– Policja dostanie rano bilingi z waszych telefonów, już o nie wystąpili... – Mariola spojrzała na mnie poważnie spod turbanu. – Długie, częste rozmowy nie będą przemawiać na twoją korzyść.

– Nie wolno rozmawiać z własną przyjaciółką?

– Ta przyjaźń może się wydawać podejrzana... Wiesz, taka różnica wieku – potrząsnęła

głową, a długie kolczyki zabrzączały miarowo jak małe dzwoneczki. – No, ale nie mnie to sądzić... Jedźmy dalej. Nie widziałyście się od kwietnia, rozmawiałyście kilka razy przez telefon... I co dalej?

– Nic – wzruszyłam ramionami, coraz bardziej wkurzona. – Opowiadałam to już policji chyba cztery razy. Przyjechała dzisiaj bez zapowiedzi, zostawiła u mnie psa, przebrała się w elegancki strój i pojechała na wernisaż. Miała wrócić za dwie godziny.

– Mówiła, po co tam jedzie?

– Po to, żeby uchronić Dorotę przed kompromitacją – pamiętałam dokładnie te słowa. – Chodziło o jakąś roślinkę, której nie rozpoznała prawidłowo. Gdyby powiedziała to publicznie, to byłby wstyd, jakich mało.

– O roślinkę? – Znowu to spojrzenie wielkich, okolonych grubą czarną kreską oczu. – Wiesz może konkretnie, jaka to była roślina?

– Nie mam pojęcia – mruknęłam. – Ona wymienia zawsze tyle nazw... Tam była cała masa pomylnych roślinek, ale jakaś jedna, konkretna, była pomylna najgorzej... Jakoś tak, wiesz, najbardziej obciachowo.

– Faktycznie, niewiele masz do powiedzenia. No dobrze, prześpij się, a ja spróbuję rano wyciągnąć cię z tego gówna.

– Jak to rano? – patrzyłam na nią wstrząśnięta. – Ja mam rano ważne spotkanie! Muszę się wyspać, wziąć prysznic, założyć coś odpowiedniego...

– O której to spotkanie?

– O dziewiątej.

Wystukała szybko jakiegoś SMS-a na swoim wielkim smartfonie.

– Wyśpisz się tutaj, a ja postaram się, żebyś zdążyła. Najwyżej przywiozę ci jakieś ciuchy ode mnie z domu albo szybko podskoczę do którejś z twoich sióstr...

NATALIA

– Udało mi się znaleźć pusty pokój – Kosaciec powiedział to takim tonem, jakby przywiózł mnie właśnie do pięciogwiazdkowego spa. – Choć oczywiście nie mogę zagwarantować, że tak będzie do rana. W nocy w Warszawie dochodzi do wielu przestępstw...

– Oczywiście. Rozumiem. Dziękuję – mówiłam jak automat, śmiertelnie zmęczona tą całą sytuacją. Chciałam tylko zdjąć buty! Nie umiałam myśleć o niczym innym niż ten piekący, potworny ból.

Szliśmy długim korytarzem, oddzielonym od reszty pomieszczeń ciężką kratą. Ostatnie drzwi po lewej, w których straszyły dwa potężne zamki, były uchylone.

– To tutaj – Kosaciec unikał mojego wzroku.

Czyżby czuł się nieswojo, zamykając staruszkę stojącą nad grobem?

– Niech się pan nie przejmuję – przesłałam mu coś, co było w założeniu krzepiącym uśmiechem. – Spałam w gorszych miejscach.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Chętnie bym o tym posłuchał – szepnął. A potem wrócił szybko do służbowego tonu: – Tu jest toaleta. Tu guzik, którym może nas pani wezwać w razie potrzeby. Do tego kosza proszę włożyć wszystkie rzeczy osobiste. Torebkę, telefon, zegarek, buty...

– Buty? Wszyscy aresztowani, przepraszam: zatrzymani, chodzą bosy po zimnych kafelkach?

– Chodzi o obcasy – wyjaśnił, znowu wyraźnie zakłopotany. – Szpilki są zabronione. Można nimi wybić oko albo złamać komuś palec.

Nie zamierzałam z tym dyskutować. Podłoga z lśniących, białych kafelków była jednak naprawdę lodowata. Przycupnęłam na tapczanie, unosząc lewą nogę i rozcierając w niej palce.

– Poszukam ciepłych skarpetek – Kosaciec wysunął się szybko za drzwi. – Nie ręczę jednak za ich urodę ani rozmiar...

NINA

Krata za szybą, gęsta siatka przed szybą. Pancerne drzwi z wizjerem, przez który można było w każdej chwili sprawdzić, co dzieje się tutaj, w środku. Podłoga i wszystkie ściany pokryte glazurą jak w dworcowej toalecie. Stolik i łóżka przykręcone do podłogi.

A na łózkach...

Nie wierzyłam własnym oczom.

Na tym najbliższej okna spała jakaś potężna postać postury Hagrida z *Harry'ego Pottera*, okryta szarą szmatą. Chrapała też jak Hagrid. Nie ma mowy, nie zmrużę oka w takich warunkach!

Na drugim tapczaniku, koło którego właśnie stałam, leżała z kolei kobieta w kompletnym stroju gejszy, z twarzą pomalowaną na białą i wściekle czerwonymi ustami.

Wpatrywała się w sufit szeroko otwartymi oczami. Przez moment bałam się nawet, że nie żyje.

– Nie ma się na co gapić. Jestem śpiewaczką operową – mruknęła, wciąż wybałuszając oczy. – Miałam dziś śpiewać w *Madame Butterfly*. Zgarnęli mnie z garderoby.

Wolałam nie pytać, co przeskrobała.

Może nic, tak jak ja?

Przycupnęłam na trzecim łóżku. To miało być moje miejsce, przynajmniej na tę noc.

Nagle przypomniał mi się internetowy mem podpatrzony pewnie na czyimś profilu na fejsie.

Jak to było?

Jestem oazą spokoju. Pierdolonym, kurwa, zajebicie wyluzowanym kwiatem na tafli jeziora.

Właśnie tak się w tej chwili czułam. Z każdym oddechem i każdym ruchem wskazówki na wielkim zegarze w kolorze rozgotowanej wątróbki, wiszącym wysoko nad drzwiami, byłam coraz większą oazą spokoju.

Jak zwykle w krytycznych sytuacjach próbowałam policzyć do dziesięciu. A potem od dziesięciu do jednego. Bardzo powoli.

A potem zaczęłam walić pięściami w drzwi.

NATALIA

Kosaciec przyniósł mi koc, białe frotowe skarpety w rozmiarze dla wielkoluda oraz jakąś piżamę. Na oko męską, ale przynajmniej miękką w dotyku i pachnącą świeżym praniem.

Z wahaniem przebrałam się w tę piżamę i założyłam skarpety, po czym zmyłam z twarzy tyle makijażu, ile się dało za pomocą mydła, wody i papieru toaletowego... A potem przykryłam się ciężkim kocem i nareszcie udało mi się zasnąć.

Na dworze było już całkiem szaro. Śniłam jakieś niespokojne, duszne sny o helskiej szkole, fokach i gotowaniu bobu. Bardzo męczące i niestety bez żadnego znaczenia symbolicznego.

„Pierwszy sen na nowym miejscu zawsze się sprawdza” – mawiała moja mama. Ten chyba nie miał szansy. Szkoła i foki owszem, nie były nierealne. Ale bób!? Ja naprawdę nie gotuję bobu i nie zamierzam zacząć! Pod żadnym pozorem.

Uśmiechnęłam się do siebie, próbując zachować spokój. Niedługo będzie nowy dzień i cała ta idiotyczna pomyłka na pewno się wyjaśni.

Nagle zamek w drzwiach odsunął się i ktoś wszedł cicho do celi, wyraźnie próbując mnie nie obudzić.

– Proszę się tutaj położyć i postarać się zasnąć – szepnęła postać w mundurze, pewnie policjantka, do jakiejś kobiety.

– Dziękuję – odpowiedziała cichutko ta druga i posłusznie usiadła na łóżku pod przeciwległą ścianą.

Leżałam bez ruchu z zamkniętymi oczami, w nadziei, że nikt nie będzie próbował ze mną rozmawiać. Zadziało! Policjantka postąpiła chwilę w drzwiach, a potem wyszła na korytarz i szybko przekręciła klucz w obu zamkach.

Kobieta na pryczy obok mnie nie poruszyła się, nie położyła, nie rozebrała. Jedynym dźwiękiem, który dobiegał do moich uszu, był cichy szloch... Szloch tak rozpaczliwy, tak rozdzierający, że po prostu musiałam zareagować. Choć nie zamierzałam rozmawiać z nikim poza Guciem i policjantami!

– Co się stało? – zapytałam, siadając na łóżku.

Jasnowłosa dziewczyna w dżinsach i koszulce z Myszka Miki, na oko nieco młodsza od Niny, spojrzała na mnie w popłochu, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie jest w tym pomieszczeniu sama.

A potem zaczęła mówić... Nerwowo, szybko, jednym tchem.

Jakby ta jej historia od dawna czekała, żeby wyostać się na światło dzienne.

Słuchałam w milczeniu, bojąc się, że ją spłoszę. Nawet odдыchać próbowałam jak najciszej. Wiedziałam, że nie znajdzie w sobie szybko siły, żeby wyrzucić z siebie to wszystko jeszcze raz. Że pewnie minie wiele lat, zanim opowie to komuś znowu, po raz drugi.

I dobrze wiedziałam, że wcześniej czy później będę musiała coś zrobić z tą jej opowieścią... Bo sam fakt, że ją poznałam, czynił mnie współodpowiedzialną. Przynajmniej w moich oczach.

NINA

– Nie chcę żadnych cholernych tabletek nasennych! – wrzeszczałam, wytrącając buteleczkę z dłoni wezwanej pielęgniarki.

– Musi się pani uspokoić i trochę zdrzemnąć – mówiła do mnie jednostajnym tonem, chyba już po raz trzeci.

Zdrzemnąć?

Jeszcze czego! Ostatnim, czego potrzebowałam o siódmej rano, była drzemka!

– Muszę być w dobrej formie – powiedziałam odrobinę spokojniej. Nie zależało mi

przecież, żeby wsadzili mnie w kaftan bezpieczeństwa i wywieźli do szpitala do Tworek lub na Sobieskiego. – Za dwie godziny mam bardzo ważne spotkanie służbowe, proszę mnie zrozumieć!

Pielęgniarka przewróciła oczami. Pewnie była przekonana, że wymyślam jakieś bzdury, byle tylko wydostać się z aresztu. Nie pierwsza i nie ostatnia... Ludzie w więzieniu próbują różnych sztuczek.

– Moja adwokat zaraz tu będzie – uśmiechnęłam się do niej promiennie, ale nie odpowiedziała tym samym. – Przywiezie mi kosmetyki i ubrania... Kostium, buty na obcasie... Wie pani, jestem prezesem wielkiej firmy, muszę dziś przyjąć gości z fabryki w Kopenhadze. Mecenasa Woźniaka na pewno przyjedzie w ciągu kilkunastu minut, tak jak obiecała.

– Oczywiście, oczywiście. Wszystko będzie dobrze – pielęgniarka wreszcie zdobyła się na uśmiech. – Musi pani tylko trochę się przespać...

Jednym szybkim ruchem złapała mnie za ramię i wbiła w nie igłę.

– Auuuu! – zawylałam, wywijając się jej... To znaczy próbując się wywinąć. Kręgosłup zabolął mnie tak, jakby znów pękał na kawałki.

Jej palec zdołał jednak wcisnąć do końca tłok strzykawki.

– Auuuu! – zawylała pielęgniarka, kiedy z całej siły wgryzłam się w jej rękę.

Kręgosłup miałam chory, ale zębom, na szczęście, nic nie dolegało.

Do pokoju wpadły dwie policjantki i mecenas Mariola Woźniak, tym razem bez turbanu i sukni do ziemi.

– Jaka ładna sukienka – powiedziałam na jej widok. – Naprawdę powinnaś częściej odsłaniać kolana.

– Co ci odbiło? – patrzyła na mnie z politowaniem. – Miałaś na mnie spokojnie czekać, a nie gryźć policjantkę i walić pięściami w drzwi celi. Poskarżyły się na ciebie obie zatrzymane, które były świadkami tego wydarzenia. Podobno znieważylaś też policjanta usiłującego cię uspokoić.

– Zapłacę im wszystkim porządne odszkodowanie...

Nie udało mi się dokończyć tego zdania.

Głowa opadła mi bezwładnie. Usiadłam na podłodze, oparta o lodowatą ścianę, a potem bardzo powoli osunęłam się w dół.

Chciałam dodać jeszcze, że musimy się pospieszyć. Że Duńczycy na pewno już wylądowali na Okęciu.

Nie dałam rady.

Ostatnim, co usłyszałam, było zdanie:

– Położę ją w izolatce, po tym zastrzyku prześpi spokojnie co najmniej cztery godziny.

A potem zapadłam się w nicość.

ROZDZIAŁ 15

ŻONATY MEŹCZYŻNA TO MARTWY MEŹCZYŻNA

NINA

Obudziłam się w pustym białym pokoju. W pierwszej chwili nie pamiętałam zupełnie niczego. Wiedziałam, że to nie jest mój dom. Nie miałam jednak pojęcia, gdzie i dlaczego się znalazłam.

Czy ja znowu miałam wypadek? – myślałam w panice. – A może jestem po kolejnej operacji? Tylko że przecież ona jest zaplanowana dopiero na jesień. Niemożliwe chyba, żeby już był listopad?

Lekko poruszyłam ręką. Potem drugą. Nic mnie nie bolało. Nie miałam wenflonu ani opaski z nazwiskiem i grupą krwi na nadgarstku. Nigdzie nie zauważyłam też stojaka z kroplówką.

Usiadłam na łóżku. Kręgosłup zabolął tylko odrobinę, tak jak co rano od powrotu z Ciechocinka. Przedtem było znacznie gorzej... Nie mogłabym tak usiąść po operacji. Nie ma mowy.

Musiało być inne wyjaśnienie.

Spojrzałam za okno. Zakratowane, przykryte gęstą siatką okno. I nagle zrozumiałam, gdzie jestem.

Cholera ciężka! Zebranie! Duńczycy! Dubaj! Dokumenty dla urzędu celnego, które miałam podpisać z samego rana!

Jak ja mogłam się wpakować w taką historię?

Podbiegłam do drzwi, gotowa walić w nie pięściami, ale w tym momencie przypomniałam sobie, do czego to doprowadziło poprzednio, zaledwie kilka godzin temu. Właśnie przez te wrzaski i dobijanie się do drzwi siedziałam teraz tutaj zamiast przekonywać Duńczyków do zainwestowania w fabrykę na Ukrainie.

Opuściłam bezradnie ręce.

Wciąż jeszcze kręciło mi się w głowie, nawet przy najlżejszym ruchu. Miałam niemiłe

wrażenie, że za momencik zacznie mi się migrena. Już się czaiła gdzieś głęboko pod czaszką...

Przysiadłam na łóżku, próbując zebrać myśli.

Cisza aż kłuła w uszy. Bez chrapania Hagrida, bez pochlipywań gejszy...

Grzecznie nacisnęłam czerwony guzik koło poduszki i czekałam, powtarzając sobie raz po raz, że teraz już nie dam się wyprowadzić z równowagi.

Po chwili ciężkie drzwi otworzyły się powoli i stanęła w nich policjantka, której nie spotkałam nigdy przedtem.

Poranna zmiana – pomyślałam.

Krok za nią stała Mariola Woźniak w grzecznej sukience w pepitkę.

Chyba już ją widziałam w takim stroju, sekundę przed tym, jak straciłam przytomność.

– Możesz wyjść – powiedziała, podając mi jakiś papier. – Strasznie narozrabiałaś i będziesz musiała za to zapłacić... Co cię napadło, żeby gryźć funkcjonariusza na służbie!

– Ja tylko... – zaczęłam, ale nie pozwoliła mi dokończyć zdania.

– Nieważne. Porozmawiamy później o tej sprawie. Zostaniesz wezwana na przesłuchanie za dzień lub dwa. Najważniejsze, że możesz już wyjść. Nic nie wskazuje na to, że pomagałaś Natalii i jesteś zamieszana w sprawę morderstwa.

NATALIA

Rozmowa z tą dziewczyną sprawiła, że przestałam być senna.

Biedna mała!

Głaskałam ją po zapłakanej buzi, aż spokojnie zasnęła. Cały czas ścisnęła mocno moją dłoń. Musiałam jakoś jej pomóc. Jeżeli tylko poda mi swój numer telefonu, po powrocie do domu stanę na głowie, żeby wyciągnąć ją z kłopotów, w które wpadła po same uszy.

Zanim zdążyłam spokojnie się nad tym zastanowić, w drzwiach pojawił się wysoki policjant z kozią bródką.

– Proszę za mną – powiedział krótko.

Dopiero w połowie drogi długim, ciemnym korytarzem zorientowałam się, że maszeruję w skarpetach frotté i męskiej piżamie w kratę.

– Przepraszam, czy mogę wrócić? Chciałabym założyć coś odpowiedniejszego...

Już nawet nieświeża jedwabna sukienka i szpilki byłyby lepsze na przesłuchanie!

Policjant nie zwolnił, nie odwrócił się w moją stronę, nie odezwał się ani słowem.

Nie to nie, trudno. Pewnie są przyzwyczajeni do podejrzanych, czy też zatrzymanych,

składających zeznania w piżamach za dużych o pięć rozmiarów.

A ja pewnie będę musiała się przyzwyczaić do takich strojów, jeżeli nikt nie powie mi, co właściwie się stało, i nie uwierzy w moje wyjaśnienia.

– Pani Burska – rzucił gburowaty z bródką przez otwarte drzwi na końcu korytarza.

Weszłam do środka.

Za biurkiem siedział komisarz Baltazar Szprot.

– Pani Natalio, co za niekonwencjonalny strój! – roześmiał się serdecznie, całując mnie w rękę. – Wygląda na to, że znowu znalazła się pani w złym miejscu i czasie. Proszę mi wszystko spokojnie opowiedzieć, a razem na pewno znajdziemy rozwiązanie.

Nie do wiary, to naprawdę był on!

Nogi ugięły się pod mną z ulgi i radości.

Może jednak nie zgniję w więzieniu, skoro zabójczo przystojny detektyw o rybitim nazwisku zaangażował się w sprawę!

– Proszę usiąść i opowiedzieć mi, co się stało. Albo... Może najpierw przebierze się pani w coś choć trochę wygodniejszego?

NINA

– Co z Natalią? Ją też już wypuścili? – zapytałam, gdy adwokatka podwiozła mnie pod firmę.

Potrząsnęła głową.

– Siedzi po uszy w gównie – powiedziała. – Zabiła tę babkę, to więcej niż pewne. Zostawiła przy łóżku ofiary coś, co wskazuje jednoznacznie właśnie na nią. Bez cienia wątpliwości. Równie dobrze mogła tam położyć własnoręcznie napisane przyznanie się do winy.

Nie zrozumiałam.

– Co takiego? – uśmiechnęłam się niepewnie. – Nóż z jej odciskami palców? Pistolet z pozwoleniem na broń, wystawionym na jej nazwisko?

Pod koniec podstawówki i przez całe liceum namiętnie oglądałam w telewizji seriale kryminalne. *Ekstradycję*, *Policjantów z Miami*, *Gliniarza i prokuratora*... A potem oczywiście *C.S.I. Kryminalne zagadki Las Vegas*. Prawie zawałam przez nie jakiś ważny egzamin na studiach!

Wydawałoby się, że repertuar mam spory, ale powoli brakowało mi pomysłów.

Skupiłam się jeszcze na moment i wykrzesalam z siebie ostatnią porcję:

– Jakąś charakterystyczną apaszkę? Okulary? Wizytówkę? Szklanę, z której zebrano jej DNA?

– Niezła jesteś – zachichotała Woźniak. – Ale nie zgadłaś. To subtelniejszy podpis, choć w tym przypadku naprawdę równie wyraźny. Mały wazonik z bukietem konwalii i kilkoma gałązkami przywędłych żółtych kwiatków. Mają taką dziwną nazwę... Poczekaj, aż zjadę z runda, zaraz ci przeczytam. Na pewno zapisałam ją w notesie...

– Nie musisz – potrząsnęłam głową, czując, jak przebiega mi po plecach zimny dreszcz.
– To glistnik jaskółcze ziele, tak?

Roślina, na punkcie której Natalia miała od lat prawdziwą obsesję.

NATALIA

Moje spodnie, mokasyny, bluzka... Grzebień... Ukochana pasta do zębów... Nie mogłam uwierzyć własnym oczom!

– Skąd pan to wziął? – zapytałam, siadając dziesięć minut później ponownie naprzeciwko Szprota.

– Pani Drop bardzo zależało, żeby już w nocy przekazać pani te rzeczy. Z początku prowadzący śledztwo nie chcieli się na to zgodzić, ale ich przekonałem. Wziąłem na siebie całą odpowiedzialność, mimo że mi to odradzano. Naprawdę nie wierzę, żeby pani Nina przekazywała pani tajne informacje zaszyte w nogawce spodni.

Obydwoje roześmialiśmy się, wyobrażając sobie Ninę z igłą i nitką w ręku.

– Dziękuję – szepnęłam. I zapytałam szybko: – Naprawdę ona też jest aresztowana? To znaczy... zatrzymana do wyjaśnienia?

– Zwolniono ją przed chwilą – potrząsnął głową, jakby było w tym coś bardzo śmiesznego. – Ależ ona potrafi narobić zamieszania!

Czekałam, czy powie coś więcej. Nie powiedział. Najwyraźniej chciał, żebym zaczęła już opowiadać o tym, jak tu trafiłam.

Zacząłam więc, od samego początku:

– Przyjechałam do Warszawy wczoraj po południu. Wpadłam do Niny, zostawiłam u niej psa i kilka swoich rzeczy... A potem pojechałam na wernisaż.

– Cofnijmy się trochę – poprosił. – Chciałbym się dowiedzieć, jak pani się o tym wernisażu dowiedziała i co skłoniło panią, by jechać na niego przez pół Polski. Bo chyba nie ma pani w zwyczaju zjawiać się na inauguracjach wszystkich interesujących wystaw sztuki w naszym kraju?

– Niestety nie – uśmiechnęłam się, uspokojona jego obecnością. Nawet zakratowane okno i upiorne drzwi z ciężkimi zamkami przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. – Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym mogła tak sobie jeździć, od jednego muzeum do drugiego, z Poznania do Wrocławia albo Kielc... Ale niestety, nie mogę zostawić zakładu fotograficznego.

– Ciągłe go pani prowadzi sama? – spojrzał na mnie z troską. Nie wierzył w to, że kogoś zamordowałam. Widziałam w jego oczach, że w to nie wierzy.

– Nie protokołuje pan moich zeznań? – zapytałam niewinnie.

Strzał był celny.

– Protokołuję, oczywiście – zaczerwienił się, wyciągając spod sterty papierów jakąś kartkę. – Muszę to robić osobiście... Nie ma akurat nikogo wolnego... Odbywa się tu dzisiaj wyjątkowo dużo przesłuchań od samego rana.

Zlitowałam się nad nim i nie ciągnęłam tematu.

Nie wierzył w moją winę i już. I nie zamierzał zapisywać niczego, co mogłoby wprowadzić do sprawy niepotrzebne zamieszanie.

– A więc dlaczego wybrała pani akurat ten wernisaż? – zapytał, wracając do oficjalnego tonu.

Żeby podkreślić powagę sytuacji, zastukał nawet kilka razy długopisem w blat.

– To trzy bardzo piękne, cenne obrazy z epoki, która wyjątkowo mnie interesuje... Ze wspaniałymi przedstawieniami wielu gatunków roślin, rzadko pojawiających się na innych siedemnastowiecznych obrazach.

Przewrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: „Dobra, niech ci będzie, a teraz podaj prawdziwy powód”. Bardzo mu było do twarzy z tym zniecierpliwieniem.

– Ale tak naprawdę przyjechałam z powodu Doroty Wielowiejskiej, mojej dawnej przyjaciółki i żony mojego... mojego byłego narzeczonego.

Wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Wyglądał teraz jak kot. Ale nie ten uśmiechnięty tłusciosek z Cheshire, po którym zostaje sam uśmiech... Kotem z *Alicji w Krainie Czarów* mógł być wyłącznie mecenas Grotowski. Szprot wyglądał jak dziki kocur, który nie jadł nic od dwóch dni, a teraz przycisnął właśnie łapą do podłogi wyjątkowo tłustą mysz i zaraz wbije w nią zęby.

– Czy może pani doprecyzować, co oznacza: „z powodu Doroty Wielowiejskiej”? W jaki sposób dała ona pani powód do tego przyjazdu?

Westchnęłam ciężko.

– Znowu muszę z panem rozmawiać o roślinach i dziełach sztuki. Postaram się nie

wdawać w szczegóły, prawdopodobnie w ogóle nieistotne dla sprawy. Muszę jednak nieco nakreślić tło, żeby zrozumiał pan, o czym mówię... Dlaczego naprawdę musiałam tu przyjechać.

Pokiwał głową, odkładając długopis, i uśmiechnął się od ucha do ucha tym swoim nieprzyzwoicie uroczym uśmiechem przedwojennego amanta filmowego.

– Niech pani opowiada. Bardzo lubię te pani małe wykłady z pogranicza nauk. Pochlebiamy, że wygłasza je pani specjalnie dla mnie. Chociaż, mówiąc całkiem szczerze, wolałbym ich słuchać w nieco innych okolicznościach.

Nie narzekaj, mój chłopcze – pomyślałam. Ty możesz wstać i wyjść, kiedy tylko zechcesz... A ja, póki co, mogę najwyżej wrócić na pryczę i wskoczyć z powrotem w męską piżamkę. A potem czekać na kolejną atrakcję, czyli przesłuchanie, wizytę mecenasa z wisiorkami albo miskę chłodnawej zupy mlecznej z wielkim kozuchem na wierzchu.

Nie powiedziałam jednak tego wszystkiego głośno. W końcu to, że się tu znalazłam, nie było ani trochę winą Szprota.

– Dziękuję, że pan przyjechał z Bydgoszczy... Tak od razu...

– Byłem ciekaw, co panie tym razem wymyśliły – przyznał. – A teraz wróćmy, jeśli można, do wczorajszych wydarzeń.

Proszę bardzo, wracajmy... Chociaż moim zdaniem nie miały one zupełnie nic wspólnego ze śmiercią Doroty.

– Dostałam pocztą tekst wystąpienia Doroty na tym wernisażu. Przeczytałam i...

– Zaraz, powoli... – Szprot nie dał mi się rozpędzić. – Od kogo go pani dostała? Od autorki?

– Nie, nie – pokręciłam głową. – Dorota chyba w ogóle nie wiedziała, że mi go przesłano. Przyszedł z redakcji „Przeglądu Botanicznego” z dołączoną karteczką o treści: „Pewnie Panią zainteresuje”. Miał zostać wydrukowany w następnym numerze, razem z relacją z wernisażu.

– Współpracuje pani z tą redakcją?

– W zasadzie nie. Napisałam dla nich kilka tekstów pół wieku temu, no i teraz, w maju, umówiliśmy się na kolejny.

– O ołtarzu Wita Stwosza? – uśmiechnął się szelmowsko.

Potwierdziłam, lekko się rumieniąc. Związałam mu z Ciechocinka, wbrew policyjnemu zakazowi, żeby sfotografować ołtarz z bliska. Kilka z tych zdjęć miało ilustrować mój nowy artykuł. Czułam, że ciągle jeszcze ma do mnie żal o tamtą ucieczkę... O to, że go oszukałam. Chociaż właściwie powinien być mi wdzięczny! To dzięki mnie rozwiązał

jednocześnie dwie sprawy: krakowskich złodziei, okradających kościół Mariacki, i trupa w ciechocińskim basenie. I nawet dostał awans na komisarza...

– Czy to normalne, że redakcja wysyła pani artykuł jeszcze przed drukiem? – zapytał, zapisując coś maczkiem na pustej kartce. – To ich stała praktyka?

– Raczej nie. Nie recenzuję dla nich, formalnie nie mam nic wspólnego z botaniką od tylu lat... Ale wie pan, tam pracowało kilkoro moich znajomych. Bardzo przeżyli to, że wyjechałam z Krakowa, rzuciłam doktorat... Mieli w zwyczaju wysyłanie mi ciekawych tekstów z mojej dziedziny. Na druk w „Przeglądzie” teksty czekają czasami ponad rok. Kilka razy przesłali mi coś przed publikacją, niby to prosząc o dodatkową opinię... Bo przecież nie wolno rozpowszechniać artykułów przed drukiem. Chcieli mnie namówić w ten sposób do powrotu.

– Już tam nie pracują? – Nie podnosił głowy znad kartki, notując coś skrupulatnie.

– Chyba nie. Ale ich młodszy koledzy przejęli ten zwyczaj. I raz na kilka miesięcy dostają taką przesyłkę z czymś ciekawym... Albo z całym nowym numerem i gorącymi pozdrowieniami...

– Nie było więc w tym nic nadzwyczajnego? – upewnił się Szprot.

– Zupełnie nic – potwierdziłam. – Poza faktem, że był to artykuł Doroty. Przeżyłam prawdziwy wstrząs, widząc jej nazwisko...

Wreszcie oderwał się od notowania i spojrzał na mnie uważnie.

– Nie wiedziała pani, że koleżanka ze studiów wyszła za pani... znajomego?

– Nie, ależ skąd. Nie o to chodzi! O wszystkim wiedziałam od samego początku. Chodzi o botanikę... Miałam wrażenie, że Dorota nie zajmuje się nią czynnie od wielu lat. Nie chciała pisać doktoratu... Po studiach uczyła w szkole, przez pięć czy sześć lat. Bardzo to lubiła. Zrezygnowała po urodzeniu pierwszego dziecka i potem była już po prostu panią profesorową. Żoną przy mężu, dbającą o dom, o dzieci, urządzającą herbatki, brydże, kolacyjki... Myślę, że świetnie się odnalazła w tej roli. A tu nagle artykuł? I wystąpienie na wernisażu?

Dał mi ręką znak, żebym przerwała, i szybko zapisał coś na kartce. Pewnie uznał informacje o Dorocie za bardzo ważne dla śledztwa.

– Jeżeli uważa pan, że zabił ją były uczeń to... Cóż, to raczej mało prawdopodobne – uśmiechnęłam się do tej wizji. – To są już dzisiaj ludzie koło sześćdziesiątki, myślą o własnej emeryturze... Trudno sobie wyobrazić, że ktoś z nich przez tyle lat pielęgnował w sercu nienawiść i pragnienie zemsty.

Zamilkłam, bo brzmiało to dziwnie podobnie do tego, co powiedziała mi ostatniej nocy

policyjna psycholog. Że przez pół wieku nosiłam w sobie żal do Doroty, karmiłam go, podlewałam, podsypywałam nawozami... I wreszcie wybuchł na wieść o jej wystąpieniu na wernisażu.

No, może nie mówiła nic o karmieniu, podlewaniu i o nawozach. Ale sens był dokładnie taki sam.

– Nie podejrzewamy nikogo z byłych uczniów pani Wielowiejskiej – uśmiechnął się Szprot. – Choć to bardzo ciekawa koncepcja...

Lubiłam tego gliniarza. Gdyby nie złota obrączka na jego palcu, zrobiłabym wszystko, żeby pchnąć Ninę w jego objęcia. Byliby doskonałą parą.

Nie mogłam jednak ignorować faktów. On już uszczęśliwił swoim towarzystwem jakąś kobietę. Ninie musiałam więc znaleźć innego narzeczonego...

– Pani Natalio, możemy kontynuować? – Szprot patrzył na mnie z troską. – Źle się pani czuje?

– Nie, nie, wszystko dobrze... – Z wysiłkiem wyszłam z roli swatki, w której czułam się znakomicie, i wróciłam do wydarzeń ostatnich dni.

– Byliście przy artykule pani Doroty – przypomniał. – Wyjęła go pani z koperty i co? Od razu pani przeczytała, czy tylko rzuciła okiem? A może zajrzała pani do niego dopiero po kilku dniach?

– Przeczytałam natychmiast, przy kuchennym stole – westchnęłam ciężko przy tym wspomnieniu. – Spaliłam rosół, wyobraża pan sobie? Niełatwo jest odparować cały rondel rosółu... A jednak mnie się udało.

– Imponujące osiągnięcie – powiedział ze śmiertelną powagą. – Nie będę tego protokołować, dobrze? Chyba że szczególnie pani na tym zależy.

Nie zależało mi ani trochę. Mój wybitny antytalent kulinarny był i tak powszechnie znany. Naprawdę nie musiał trafiać jeszcze do akt policyjnych...

Opowiadałam więc dalej:

– Przeczytałam ten artykuł raz, drugi... Poszłam do pokoju, aby wyjąć z półki kilka książek... Zajrzałam do Internetu... Przeczytałam jeszcze raz...

– A rosół cały czas wesoło pyrkał na kuchence? – upewnił się Szprot.

– Moim zdaniem to pyrkanie nie było już wesołe, przynajmniej przy trzecim czytaniu. To już było rozpaczliwe wołanie o pomoc. Ja jednak w ogóle go nie słyszałam...

– Aż tak wciągnął panią artykuł koleżanki?

Potrząsnęłam głową.

Chciałam powiedzieć to delikatnie. Ze względu na dawną przyjaźń z Dorotą i wszystko,

przez co razem przeszliśmy. Ale także ze względu na to, co łączyło mnie ze Stefanem. W końcu opinia o żonie dotyka też jego, przynajmniej w jakimś stopniu... Zwłaszcza że sam jest naprawdę wybitnym naukowcem.

– Ona nie żyje, proszę mówić szczerze – ulubiony policjant najwyraźniej zauważył moje wahanie.

Nie było sensu silić się na delikatność.

– To był najgorszy artykuł na temat roślin w malarstwie, jaki czytałam – powiedziałam więc prosto z mostu. – A może w ogóle najgorszy artykuł, jaki czytałam kiedykolwiek na jakikolwiek temat? Wszystko w nim było nie tak. Masa błędów, idiotyczne zdrobnienia, pomieszane gatunki, nawet tam, gdzie gołym okiem widać, że coś jest ostróżką, a nie ostróżką...

– Ostróżką, a nie ostróżką? – powtórzył Szprot, nieco rozbawiony. – Ostróżeczka to chyba mała ostróżka, prawda?

– Zdecydowanie nie. Ale pan pozwoli, że daruję sobie teraz wykład na ten temat. Pomylenie dwóch gatunków nie dyskwalifikowałoby całego referatu. Gorzej, że w tekście wyraźnie widać niezrozumienie dla siedemnastowiecznych malarzy... Dla dokonywanych przez nich wyborów i świata, w którym żyli.

Słuchał mnie z uwagą. Z zainteresowaniem, które wykraczało chyba poza prowadzone śledztwo. Ośmieliło mnie to, żeby powiedzieć coś więcej. Podać jakiś mały przykład, czytelny nawet dla laika.

– Może się pan postarać o moją torebkę? – poprosiłam. – Trafiła do depozytu. Są w niej wydruki z reprodukcjami wszystkich trzech obrazów. Czarno-białe, ale w miarę czytelne. Bardzo nam się przydadzą przy tej opowieści.

– Jasne, już idę – podniósł się z krzesła... i natychmiast znowu na nim usiadł. – Nie wystarczy Internet? – zapytał. – Moglibyśmy znaleźć te reprodukcje duże i kolorowe... Obejrzeć z bliska każdy kwiatek.

Oczywiście, Internet był jeszcze lepszy! Przeliterowałam mu wszystkie trzy nazwiska: Seghers, de Heem, Mignon.

Po chwili mieliśmy na monitorze trzy otwarte okna, z trzema obrazami.

– Piękne... – Szprot wpatrywał się w nie po kolei. – Jakie realistyczne. Prawie jak zdjęcia!

No dobrze, skoro wywołał już ten temat, to zacznijmy od realizmu.

– Dorota też użyła tego słowa – pokiwałam głową. – Napisała w trzech miejscach, że są to obrazy bardzo realistyczne, malowane na podstawie prawdziwych kompozycji

roślinnych... Bukietów, festonów, wieńców. To oczywiście nieprawda!

– Malowanie takiego obrazu z mnóstwem detali trwa chyba bardzo długo? – Szprot wpatrywał się w monitor, lekko mrużąc oczy. Czyżby już potrzebował okularów? – Nie da się namalować wszystkich tych kwiatów w dwa czy trzy dni. A potem zaczynają pewnie więdnąć, jeden po drugim...

– Ma pan rację – uśmiechnęłam się. Będą z niego ludzie! Potrafi patrzeć, naprawdę. – Ale chodzi o coś więcej. Nie da się stworzyć takich bukietów, rozumie pan? W rzeczywistości niektóre z tych kwiatów i owoców nigdy nie spotykają się ze sobą w naturze. Śnieżyczka przebiśnieg na przykład kwitnie od lutego do marca, może kwietnia. Brzoskwinia, nieszpuka czy jeżyna – owocują dopiero w sierpniu. De Heem nie mógł mieć do nich dostępu w tym samym czasie. A jednak namalował je obok siebie w *Festonie z owoców i kwiatów*. Tak samo Mignon: połączył wiosenne tulipany z jesiennym owocem miechunki...

Szprot patrzył na mnie z uznaniem.

Zaczynałam się rozkręcać.

– To jeszcze nie wszystko. Nierealne są też same kompozycje. Proszę popatrzeć jeszcze na ten feston. Czy ciężka dynia, wszystkie te pomarańcze, granaty, śliwki utrzymałyby się na takiej cienkiej wstążce, niestarannie zawiązanej na kokardkę? No i bukiety! Powiększy pan *Kwiaty w szklanym wazonie* Mignona? Dziękuję bardzo. Widzi pan? Ta biedna wykrzywiona firletka nie sięgałaby w ogóle wody... Mak musiałby mieć łądygę długości ponad pół metra. I chyba musiałaby być opleciona drutem, żeby stał tak prosto, na baczność, ponad innymi kwiatami. A cienie? Niech pan spojrzy! Czarnuszka wydaje się być oświetlona od spodu... Cień wyraźnie pada w górę. W pomarańczy zaś cień małego owocu znajduje się niżej, a więc jest oświetlony od góry. To niemożliwe. Naturalne światło nie może oświetlać bukietu jednocześnie z kilku kierunków. W dodatku...

– Wystarczy, wystarczy... – Szprot gwałtownie zamachał rękami, patrząc na mnie z niedowierzaniem. – Jest pani niebываła, naprawdę. Przejdźmy dalej. Co pani zrobiła po znalezieniu tych wszystkich błędów?

– Wypisałam je na kartce. Łącznie siedemdziesiąt dwie sztuki. Z czego w trzynastu przypadkach rośliny zostały błędnie zidentyfikowane, bez cienia wątpliwości.

– Ostróżka zamiast ostróżeczki? – zapytał, bardzo zadowolony, że udało mu się coś zapamiętać.

– Ostróżeczka! Bez cienia wątpliwości – zdenerwowałam się. – Niewybaczalne błędy merytoryczne, właśnie tak. Wypisałam je wszystkie... No i ten jeden, kuriozalny,

dotyczący trzykrotki.

Nie odezwał się ani słowem, uznałam więc, że mogę mówić dalej.

– Seghers, *Bukiet kwiatów* – przechyliłam się przez biurko, chwyciłam za myszkę i powiększyłam odpowiedni fragment. – Widzi pan tutaj, na samej górze?

– Niebieski kwiatek? – zbliżył twarz do monitora i patrzył przez moment w milczeniu. – To właśnie jest ta trzykrotka?

Pokiwałam głową.

– Trzykrotka wirginijska – sprzecyzowałam z poważną miną. – Każdy z jej kwiatów żyje tylko jeden dzień, ale w kwiatostanie jest ich sporo. Rankiem ze sterczącego w górę pączka rozwija się tylko jeden kwiat, wieczorem zaś przekwita, a jego szypułka zwiesza się w dół. W kolejnym dniu zakwitnie następny. Kwiaty pochylone w dół są już przekwitnięte i mają całkowicie zaciśnięte działki okwiatu. Seghers zrobił błąd. Może nigdy nie widział prawdziwej trzykrotki i malował ją, korzystając ze wzornika? To było w tamtych czasach bardzo częste. U niego bowiem aż trzy kwiaty trzykrotki sterczą równocześnie ku słońcu.

– Ale to błąd Seghersa, a nie pani Wielowiejskiej – mruknął Szprot.

– Do tego momentu tak – pokiwałam głową. – Ale kiedy Dorota... pani Wielowiejska... zaczyna wychwalać w swoim referacie niezwykle dokładne, realistyczne przedstawienie trzykrotki, twierdząc uparcie, że artysta musiał malować ten fragment na podstawie żywej rośliny, to już jest także jej błąd. Nie jedyny. Zidentyfikowała też na obrazie miechunkę peruwiańską, podczas gdy nie jest możliwe, żeby Seghers widział ją w Europie w siedemnastym wieku. Ona trafiła na nasz kontynent dopiero w dwudziestym stuleciu! A to oznacza, że na obrazie jest inny gatunek. Prawdopodobnie miechunka rozdęta, choć owoc wydaje się nieco...

– Wypisała pani to wszystko na kartce, tak?

– Tak, oczywiście. Kartka jest ciągle w mojej torebce. Chciałam po prostu pomóc Dorocie – wyjaśniłam szybko. – Dzwoniłam chyba osiem albo dziewięć razy. Nie odbierała. Jej mąż, profesor Wielowiejski, też nie. Nie odpowiadał na SMS-y, na nagrane na pocztę głosowej wiadomości... Byłam pewna, że ktoś z zaproszonych na wernisaż botaników zauważy błędy Doroty i bezlitośnie je wytknie przy ambasadorze i tłumie gości. Postanowiłam do tego nie dopuścić. Zaproszenie już miałam... Redakcja dołączyła je do artykułu... Nie było na co czekać. Naniósłam poprawki na jej referat, wydrukowałam nową wersję, a potem...

– A potem wskoczyła pani w swoją pomarańczową błyskawicę i pomknęła w stronę

Warszawy? – uśmiechnął się bez cienia złości.

Pokiwałam głową.

– Zamierzałam dopaść Dorotę przed wernisażem i dać jej te kartki. Czekałam w drzwiach, ale nie przyszła. A potem musiałam wygłosić wykład w jej zastępstwie, bo ktoś rozpoznał moją twarz. Byłam wściekła, ale teraz... Może w ten sposób zapewnię sobie alibi? Na pewno ktoś pamięta, jak stałam koło tych drzwi!

Popatrzył na mnie przez moment, zadumany, a potem po prostu podniósł się i wyszedł, zostawiając mnie w pomieszczeniu całkiem samą.

ROZDZIAŁ 16

OD PRZYBYTKU GŁOWA NIE BOLI

NATALIA

Czekałam na powrót Szprota bardzo ciekawa, co planuje. Czy postawi mnie w szeregu z dziesięcioma innymi kobietami, żeby ktoś, kto był wtedy na wernisażu, wskazał, którą z nas mijał przy wejściu?

Tak byłoby na pewno w amerykańskim filmie.

To jednak nie był film i pewnie dlatego nikt nie zawołał mnie, żebym zaprezentowała się przed lustrem weneckim, za którym czai się spanikowany świadek. Zamiast tego drzwi do pokoju otworzyły się i stanął w nich jakiś policjant w towarzystwie Gustawa Grotowskiego.

Tym razem mój Guccio założył zwyczajne półbuty, idealnie wypastowane, a na piersi (pod eleganckim garniturem) podzwaniały zaledwie cztery wisioriki. Pewnie wybierał się do sądu. Ciekawe, czy w mojej sprawie?

Nie zdążyłam go o to zapytać. Ani nawet powiedzieć „dzień dobry”. Zatrzasnął za sobą z wściekłością drzwi i krzyknął, nie wiadomo czy do mnie, czy do policjanta:

– Jak można przesłuchiwać zatrzymaną beze mnie? To złamanie podstawowych reguł! Ja tego tak nie zostawię! Chcę natychmiast zobaczyć protokół!

– Zaraz poproszę pana komisarza... – policjant zrobił się czerwony jak burak. – Za momencik...

– Podpisała pani protokół? – w oczach mecenasa widać było wyraźne rozczarowanie moją postawą. – Bez konsultacji ze mną? Podejrzewam, że to bardzo skomplikuje pani sytuację... Zaraz pójdzie wniosek o tymczasowy areszt i nie wróci pani do domu przed końcem wakacji. Zobaczę, co pani tam naopowiadała... Co pani strzeliło do głowy, żeby zeznawać beze mnie? Przecież mówiłem w nocy wyraźnie...

Zamierzał chyba jeszcze solidniej mnie zrugać, ale nie zdążył. Bo oto drzwi otworzyły się ponownie i stanął w nich Szprot, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Jest pani wolna – oświadczył. – Proszę tylko powiadomić mnie o miejscu swojego pobytu. Zamierza pani zostać w Warszawie na dłużej?

– Nie, absolutnie nie... – Trudno mi było pozbierać myśli. Sytuacja zmieniła się diametralnie dosłownie w ułamku sekundy. Jeszcze przed chwilą widziałam oczyma duszy, jak zapuszczam korzenie w kazamatach komisariatu, a tu nagle „wolna”? – Muszę wracać do domu, do Helu. Jak najszybciej. Gdy tylko odnajdę swój samochód i psa...

NINA

Wyglądałam okropnie w zbyt długiej sukience, którą Woźniak wyjęła dla mnie ze swojej szafy, z tłustymi włosami spiętymi byle jak, gładko do tyłu, bez makijażu...

– O, Boże, pani prezes! – Nowa recepcjonistka pisnęła i poderwała się na mój widok na bacność. Z jej kolan na podłogę zjechało pudełko z sałatką w burym, gęstym sosie.

– Proszę to posprzątać – jęknęłam. – I to bardzo dokładnie. Jeżeli na wykładzinie zostanie plama, potrączę pani z pensji koszt wezwania profesjonalnej ekipy czyszczącej dywany.

– Ja bardzo... – zrobiła się czerwona jak burak. – Już nigdy więcej...

– Oczywiście, że nigdy więcej – uśmiechnęłam się z politowaniem. – Zostaje pani zwolniona dyscyplinarnie. Nie ma usprawiedliwienia dla obżerania się na oczach gości w najbardziej eksponowanym miejscu w firmie. W dodatku: dla obżerania się czymś tak nieapetycznym, jak ta sałatka. Proszę szybko spakować swoje rzeczy.

Dziewczyna – z tego, co pamiętałam z jej akt personalnych, Beata Ozimska, lat dwadzieścia sześć, studentka zaocznego marketingu i zarządzania – spurpurowiała jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe, i popędziła do łazienki.

– Za tydzień dostanie pani ostatnią wypłatę! – zawołałam za nią. – I proszę naprawdę przyłożyć się solidnie do szorowania tej wykładziny!

Drzwi sali konferencyjnej uchyliły się i zobaczyłam w nich przerażoną twarz Lutki.

– Ninka, Jezus Maria, jak ty wyglądasz? Wypuścili cię? Ale dlaczego w takim stroju?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zza pleców Lutki wychyliła się Mańka, miotając iskry z oczu, i zaczęła mi dawać nerwowo jakieś znaki.

Nie mogłam dopatrzeć się w nich sensu.

– Duńczycy? – szepnęłam. – Jeszcze tu są?

Spotkanie miało się przecież odbyć z samego rana i potrwać najwyżej pół godziny. Mieli chyba nawet zarezerwowany lot powrotny jeszcze przed lunchem?

Minęła już piętnasta, a więc nie mieli prawa tu być.

Mańka wciąż kreśliła w powietrzu dziwne znaki. Jakby spadające z drzew liście? I kij, którym próbuje kogoś zabić?

– Nic nie rozumiem – powiedziałam, wzruszając ramionami, i zdecydowanym krokiem wmaszerowałam do sali.

Bez względu na to, kto w niej siedział, na pewno czekał na spotkanie właśnie ze mną.

Musiałam stawić mu czoła, nawet w tej sukience... Z tłustymi włosami... Z migreną nasilającą się z każdą chwilą i z potwornym bólem kręgosłupa. Jedno i drugie było nieuniknione po nocy spędzonej na wąskiej, twardej pryczy, w sąsiedztwie chrapiącego jak smok Hagrida i podrabianej gejszy. Zastrzyk uspokajający i walka wręcz z pielęgniarką też raczej nie wyszły mi na zdrowie...

Hamish!?

Szlag by to trafił. Przy okrągłym stole siedział Hamish McLaren. Człowiek, dzięki któremu SIS-4 weszła na zupełnie inną orbitę. Podpisał z nami cholernie duży kontrakt na dostawy przez osiem lat, na cały amerykański i kanadyjski rynek... Wynegocjowany w dodatku przez moje siostrzyczki w czasie, gdy ja walczyłam w sanatorium z siostrą przełożoną.

Do tej pory był w Polsce tylko raz, przez kilka godzin, żeby podpisać dokumenty w świetle reflektorów i kamer. Wyglądał jak młody bóg, mówił zabawnie, krótko i na temat, media więc chętnie pokazywały tamto wydarzenie w głównych serwisach.

Wszystkie inne sprawy załatwialiśmy przez Internet. Hamish uwielbiał telekonferencje, organizował je regularnie, przynajmniej raz w tygodniu. Dlaczego tym razem przyjechał osobiście? I to bez żadnej zapowiedzi?

– Antonina, moja droga! – zawołał, podrywając się z miejsca i całując mnie w obie dłonie, zupełnie nie po kanadyjsku.

Kanada, no jasne. Czerwone liście i kij do hokeja... To właśnie próbowała mi pokazać na migi Czarna Mańka, żeby jakoś przygotować mnie do tego spotkania.

Na litość boską! Lepiej by było, żeby podała mi przez szparę w drzwiach jakąś szminkę! I dezodorant!

Hamish odsunął się o dwa kroki. Chyba zapach, którym przesiąkałam w więziennej celi, drażnił zbyt mocno jego wrażliwe kanadyjskie nozdrza.

– Przepraszam za swój strój... I w ogóle... – mruknęłam, nie patrząc mu w oczy. – Miałam dziś małą wycieczkę do jednej z naszych fabryk...

Nie wiem, dlaczego pobyt w fabryce miałby usprawiedliwiać nieumytą głowę oraz

zakładanie na siebie za dużej sukienki w dziwaczne pasy.

– Do fabryki? – Hamish uniósł lekko brwi, wyraźnie zaskoczony. – Słyszałem, że wzięłaś dzisiaj dzień wolny na wycieczkę rowerową.

Wycieczkę rowerową? Czy one oszalały? Mogły przynajmniej jakoś mnie uprzedzić...

– Miałam jechać na wycieczkę, faktycznie – gorączkowo szukałam jakiegoś logicznego rozwiązania. – Ale okazało się, że jestem potrzebna w fabryce. Wiesz jak to jest, taka nieoczekiwana zmiana planów.

Hamish na szczęście nie pytał o nic więcej. Wrócił na swoje miejsce za wypolerowanym stołem i wyjął ze skórzanej teczki gruby plik wydruków.

– Nieoczekiwana zmiana planów, tak... – powtórzył za mną. – Mnie też to nagle spotkało.

Zamarłam. Czyżby chciał przez to powiedzieć, że zrywa umowę? Że nie chce już naszych dostaw do Kanady? Po tym, jak uruchomiłyśmy dwie nowe linie produkcyjne specjalnie po to, żeby sprostać jego zamówieniom?

– Postanowiłem na jakiś czas zamrozić kilka pomysłów i wszystkie środki rzucić na nowy, obiecujący rynek – powiedział.

Miałam rację: zamraza nasz projekt.

Przyjechał zerwać umowę. Cholera, cholera, cholera jego mać!

– Maria opowiedziała mi o swojej wizycie w Dubaju – uśmiechnął się promiennie, dotykając lekko ręki Mańki. – Uważam to za szalenie ciekawy projekt. Nie zaangażuję się w niego jednak, przynajmniej na razie. I wam sugerowałbym to samo. Wiem, że to wspaniała możliwość rozwoju, ale mam na oku coś znacznie większego. Jestem szalenie zadowolony z naszej dotychczasowej współpracy... Wasze dostawy są terminowe, jakość nie pozostawia żadnych wątpliwości... Stąd moja wizyta. Uznałem, że właśnie z wami chcę zrobić ten ważny, wielki krok.

– Jaki krok? – nie rozumiałam. Więc jednak nie zerwał umowy? I nawet chciał zawrzeć kolejną?

Ale na co?

– Możemy podbić razem cały azjatycki rynek parafarmaceutyków, jeżeli dostaniemy ten kontrakt. Działając w pojedynkę, jesteśmy bez szans, ale po połączeniu sił szanse mamy spore. Są tylko dwa warunki. Po pierwsze, o sprawie nie dowie się nikt oprócz naszej czwórki. Nawet oddani kierownicy działów czy dyrektorzy fabryk. To musi być utrzymane w najściślejszej tajemnicy. Opracujemy system porozumiewania się bezpiecznym kanałem, poza firmowymi sieciami.

– Mamy w tym doświadczenie – uśmiechnęła się Mańka z dłonią ciągle opartą o wypielegnowany nadgarstek Hamisha. – Dwa lata temu realizowałyśmy kontrakt dla armii sporego państwa...

– Wiem – pokiwał głową, jakby to było coś najnormalniejszego na świecie. – Sprawdziłem was dokładnie, zanim podpisaliśmy tamtą umowę.

– A drugi warunek? – Migrena rozłupywała mi czaszkę na milion części. Musiałam stąd jak najszybciej wyjść i położyć się w ciemnym pomieszczeniu, z kawałkiem imbiru w zębach i zimnym okładem na oczach. Najlepiej w pozycji embriona, z poduszką między kolanami, tak jak nauczył mnie pan Hubert... To był jedyny sposób, żeby ukoić choć trochę przeszywający przy każdym ruchu ból kręgosłupa.

– Drugi warunek to ty, Antonino – uśmiechnął się, patrząc mi intensywnie w oczy. – Musisz osobiście przygotować cały projekt. Ty jedna masz doświadczenie w tego typu sprawach. Pamiętasz, co robiłaś pięć lat temu dla Włochów? To będzie podobna dokumentacja, tylko w zupełnie innej skali...

Nad tamtym projektem spędziłam miesiąc. Nie śpiąc i nie jedząc nic oprócz jogurtów z płatkami owsianymi. Ta dokumentacja, sądząc z opowieści Hamisha, miała wyłączyć mnie z życia na jakieś pięć lat.

– Do kiedy mamy czas? – zapytałam.

Nie usłyszałam jednak odpowiedzi, bo w tym momencie drzwi do sali konferencyjnej otworzyły się z hukiem i do środka wpadła... Kostka. Z jej lewego policzka kapłała krew, przez czoło przebiegała ciemna szrama...

– Nie może zostać u mnie ani chwili dłużej! – wrzasnęła, rzucając we mnie smyczą. – Zrzuńował całą kuchnię, zerwał pazurami tapetę. Koty siedzą wystraszone, cztery mają z nerwów sraczkę. Jak ja je pokażę nowym właścicielom, którzy się umówili ze mną dzisiaj na odbiór maluchów?

Nie musiała dodawać nic więcej.

A więc Mańka wtrynęła jej pod opiekę Pompona. Bardzo słusznie... Kostka miała przecież doświadczenie z trudnymi zwierzętami.

Najwyraźniej jednak nie z aż tak trudnymi, jak on.

– Gdzie on jest? – zapytałam słabo słabym głosem.

– A skąd ja mam wiedzieć? Lata po całym biurze jak kula armatnia! Na pewno za chwilę usłyszysz czyjeś krzyki. Idź w ich kierunku, a znajdziesz tego małego diabła. Ja już mam dosyć. Do widzenia. Aaaa... Przepraszam, że wam przerwałam.

Hamish wpatrywał się w całą scenę z dziwną miną, bardziej chyba rozbawiony niż

wystraszony.

Bezradnie bawiłam się smyczą.

Czy miałam wrócić do rozmowy, czy raczej wybiec i szukać Pompona po wszystkich pomieszczeniach, łącznie z kotłownią?

Nagle coś poruszyło się koło mojej nogi.

– Maks? – z niedowierzaniem patrzyłam w jego mądre oczy. – Skąd się tu wziąłś?

– Był cały czas pod stołem – wyjaśniła Lutka. Wyglądała, jakby właśnie przeszła ciężki zawał serca. – Nie miałyśmy pomysłu, co z nim zrobić. Kostka nie chciała nawet słyszeć o dwóch psach. Przyjechał więc z nami do biura i siedział od rana jak trusia. Zupełnie niewidzialny.

Cały Maks, no jasne. Niewidzialny, bezproblemowy... Najmądrzejszy pies świata.

Trącił mnie główką, jakby chciał mi koniecznie powiedzieć coś bardzo ważnego.

Ale co?

– Odszukasz Pompona? – zapytałam. – Zajmiesz się nim?

– Jasne, zajmie się, nakarmi i wyprowadzi na spacer – roześmiała się Mańka, potrząsając głową. – Zwariowałaś?

Nie odpowiedziałam jej na te złośliwości ani słowem. Nie spojrzałam w jej stronę.

Uchyliłam tylko drzwi, a Maks spokojnie wyszedł na korytarz, z nosem przy wykładzinie.

– Znajdzie go zaraz, zobaczycie. Możemy kontynuować – uśmiechnęłam się, obserwując ogonek znikający za zakrętem korytarza.

– Chyba nie mamy już czego... – Mańka zacisnęła pięści tak mocno, że aż zbielały jej kostki. – Nie sądzę, żeby nasz gość... Nie wymienię jego imienia, żeby nie zorientował się, że mówię o nim... Nie sądzę, żeby on jeszcze chciał z nami rozmawiać po tym, co zobaczył tu przed chwilą. Swoją drogą, gdzie była recepcjonistka? Dlaczego nie zatrzymała Kostki albo nie wywołała którejś z nas na korytarz? Zaraz ją zwolnię, naprawdę jest beznadziejna.

– Już ją zwolniłam, trzeba szybko zawiadomić dział kadr – oświadczyłam, walcząc z kolejnym atakiem migreny przetaczającej się przez moją czaszkę. Z najwyższym wysiłkiem przeszłam na angielski. – Wracajmy do rozmowy. Hamish, czy mógłbyś podać nam teraz odrobinę więcej szczegółów?

NATALIA

Uściskałyśmy się mocno, serdecznie, po raz pierwszy w życiu.

A potem odjechałam, obserwując w lusterku, jak macha mi szczupłą, niemal białą dłonią. Jak z każdym przemierzonym przeze mnie metrem staje się coraz mniejsza, coraz bardziej niewyraźna, aż wreszcie jej odbicie zamienia się w rudy łebek od szpilki, z czarną kulką futra miotającą się koło jej stóp.

Szkoda, że Maks nie miał szansy poniańczyć Pompona chociaż przez tę jedną noc. Szybko by wyprostował jego szaleństwa.

Dopiero na autostradzie, gdy nie musiałam już pilnować zjazdów i czerwonych świateł, poczułam, jak bardzo jestem zmęczona i smutna.

Dorota nie żyje. Ktoś zamordował ją z zimną krwią. A ja ciągle, nie wiadomo dlaczego, pozostawałam w kręgu podejrzanych.

Dorota, z którą dzieliłam pokój przez całe studia. Której powierzałam największe sekrety. Która przybiegła do mnie zapytać, czy nie kocham już Stefana, zanim pocałowała go po raz pierwszy. I potem jeszcze raz, przed samym ślubem.

Zawsze lojalna, kochana, roześmiana.

Dorota nie żyje.

To zdanie cały czas obijało mi się po głowie, coraz szybciej i szybciej.

Walczyłam z drżeniem rąk, czując, że lada chwila całkiem przestanę nad sobą panować.

Niebieski znak, obiecujący zjazd na parking już za pięćset metrów, pojawił się po prawej naprawdę w ostatniej chwili.

Gwałtownie skręciłam kierownicę i zatrzymałam się w pierwszej zatoczce, z dala od innych kierowców, którzy prostowali nogi, pili kawę z automatu przyklejonego do ściany toalet albo do tych toalet wchodzili.

Wyłączyłam silnik i wreszcie zaniosłam się płaczem zbierającym się pod powiekami już od tylu godzin...

Bardzo chciałam zadzwonić do Stefana i opłakać Dorotę razem z nim. Wiedziałam jednak, że powinnam się powstrzymać, przynajmniej na razie.

Tym bardziej że z półsłówek Szprota wywnioskowałam, że Stefan jest w Stanach z cyklem wykładów. I chyba ma tam jakieś kłopoty z roamingiem. Skoro zawiadamiali go o śmierci żony za pośrednictwem konsulatu...

CZEŚĆ IV

CZARCI CYPEL

ROZDZIAŁ 17

SERCE NIE SŁUGA

NINA

Nie planowałam żadnego wyjazdu. Chciałam siedzieć kołkiem i przygotowywać dokumentację. Dokładnie to sobie przekalkulowałam. Jeśli nie będę spać dłużej niż trzydzieści dziewięć minut dziennie i zacznę żywić się wyłącznie zamawianą przez telefon pizzą albo – jak wtedy, przy projekcie dla Włochów – zapasem jogurtów, zajmującym całą lodówkę, mam cię szansy, że zdążę...

To znaczy, miałabym, gdybym nie mieszkała z nieprzewidywalnym, koszmarnym, krwiożerczym potworem o imieniu Pompon.

Przy nim nie zdołam napisać nawet maila z informacją, że nie zdążyłam niczego przygotować. W ogóle nie będę w stanie włączyć komputera ani porozmawiać przez moment przez telefon.

Nic tylko piłeczki, sznureczki, chrupeczki, pogryzione kaptcie... i moje najlepsze szpilki Jimmy Choo. Jedyne, których odcień pasował do tej kobaltowej sukienki, którą noszę w szczególnie zimne dni na szczególnie ważne spotkania.

Miałam ochotę go rozszarpać.

Dochodziła północ. Właśnie próbowałam usiąść po raz siódmy czy ósmy do komputera. W chwili gdy prosił o hasło, Pompon zaczynał pisać. Wpisywałam pierwsze dwie litery, a on już był i drapał w drzwi. Tym razem przy trzeciej literze sąsiadka nie wytrzymała i uderzyła pięścią w ścianę.

Stanowczo powinnam wyprowadzić się z nim z szeregowca na jakieś pustkowie! Tak, żeby nikomu nie przeszkadzało to szczekanie i potępiénce wycie.

Wzięłam szczeniaka na ręce i zesłam po schodkach na dwór. Który to już raz dzisiaj? Dwudziesty drugi? Czy może dwudziesty trzeci?

Komórka zawibrowała w mojej kieszeni.

Natalia? O tej porze?

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że dojechałam. Nie musisz się już niepokoić.

Nie niepokoiłam się ani przez chwilę. W zasadzie to zapomniałam już całkiem o jej odwiedzinach i ich niespodziewanych skutkach ubocznych. Pobyt w areszcie z perspektywy tych kilku godzin wydawał mi się już kompletnie nierzeczywisty i nawet nieco zabawny. Szkoda tylko, że straciłam w ten sposób dwie noce... Jedną, spędzoną w celi z gejszą i Hagridem w spódnicy, i drugą, której nie zdołam poświęcić na pracę, bo będę musiała ją przespać, żeby nareszcie pozbyć się migreny i bólu kręgosłupa.

Wiedziałam już, że tych dwóch nocy będzie mi bardzo brakować na ostatniej prostej ściśle tajnego projektu pod kryptonimem „Biały tygrys”.

– Nina? Wszystko w porządku? – Natalia była taka kochana i troskliwa. A ja nie poświęciłam jej ani jednej myśli, od kiedy wyszła z mojego mieszkania!

– Wszystko w porządku, tak – odpowiedziałam automatycznie, próbując powstrzymać Pompona przed zjedzeniem woreczka foliowego, leżącego na ziemi.

– Wydajesz się zdenerwowana – Natalia nie odpuszczała. – Kontaktowała się z tobą policja? Mieli cię chyba jeszcze wezwać na przesłuchanie, prawda?

– Policja? – W pierwszej chwili nie miałam pojęcia, o czym ona mówi. – Nie, nie... Nie było tu żadnej policji. Ja po prostu... Pompon, do cholery, zostaw tego trupa!

– Jakiego trupa? – zapytała grzecznie.

– No trupa, normalnego. Chyba wiewiórki. Chociaż przy tym świetle i stanie rozkładu nie mogę mieć pewności...

Prychnęła, jakbym powiedziała coś zabawnego, a potem westchnęła:

– Nie daje ci spać?

– Ja nie chcę spać! Chcę pracować! I nie mam na to szansy! Nie wiem, co będzie, Natalia. Ja bardzo cię przeproszam, ale nie mam czasu rozmawiać. Zadzwoń za pięć tygodni, dobrze? Albo za sześć... Jak już będzie po wszystkim! Muszę siedzieć w domu nad ściśle tajną koncepcją... Skupić się tylko na niej. Nie będę nawet jeździć do firmy. Inne projekty przejmują Mańka i Lutka, a ja muszę rozwinąć kompletną koncepcję... Nieważne. Nie mogę o tym mówić. Po prostu trochę się denerwuję, bo nie mam pojęcia, jak mogłabym tego dokonać. Potrzebuję cudu, żeby zdążyć. Ty wiesz przecież najlepiej, jak teraz jest u mnie w domu.

– Wiem – mruknęła.

Pewnie to właśnie wtedy przyszedł jej do głowy ten pomysł ze ściąganiem mnie na Hel.

NATALIA

– Natalio, wyjdź za mnie... – Wiktor wyglądał jak uczeń, stojąc, jak zwykle o jedenastej, na progu atelier z kawą i ciasteczkami.

Tym razem na tacy, oprócz filiżanek, dzbanuszek z mlekiem i dwóch talerzyków z maleńkimi kruchymi trójkącikami, wypełnionymi konfiturą różaną, stało pudełeczko z bursztynem. Niedużym, owalnym, z... Czy to możliwe?!

Szybko wzięłam go do ręki i położyłam na blacie do retuszu. Używałam go coraz rzadziej, bo retusz komputerowy był jednak szybki i wygodny... Ale czasami wciąż jeszcze lubiłam się pobawić w ręczne dopieszczanie zdjęć. Włączyłam lampę, wzięłam do ręki szkło powiększające i pochyliłam się nad bryłką bursztynu.

Nie wydawało mi się! Ona naprawdę tam była!

– Inkluzja roślinna! – z trudem wydobyłam z siebie głos. – I to jaka! Nie jakies tam drobnutkie włoski gwiazdziste, ale cały owoc soczysty, utrwalony w bursztynie! Niesłychane! Skąd wzięło się tu takie чудо?

Wiktor ani drgnął. Stał wciąż z tą tacą z parującymi filiżankami (w tej chwili parowały już jakby odrobinę słabiej) i z idiotyczną miną.

– Wiktor, skąd ty to masz? Widziałam tylko raz podobną inkluzję, chyba w muzeum w Gdańsku. Wygląda na owoc czarnej jagody, ale poczekajmy, aż zobaczą to eksperci. Fantastyczny okaz! Czy został znaleziony na polskim wybrzeżu?

– Na duńskim – mruknął.

Taca zadrżała w jego dłoniach, a filiżanki leciutko stuknęły o siebie.

– Coś nie tak? – z wysiłkiem oderwałam wzrok od cennego okazu.

– Czy ty w ogóle słyszałaś, co powiedziałem przed chwilą? Wyjdź za mnie. Ten bursztyn... Przepraszam, że nie jest jeszcze oprawiony. Miał być pierścieniem, ale nie zdążyłem. Kurier przyniósł go dopiero dziś rano. A ja nie chciałem już czekać ani minuty dłużej. Wyjdź za mnie, Natalio.

Lupa wypadła mi z dłoni.

Cholera jasna, co mu przyszło do głowy? Dlaczego właśnie teraz?

– Przecież już o tym rozmawialiśmy – odpowiedziałam, próbując nie patrzeć mu w oczy. – Nie potrzebujemy żadnego głupiego papierka...

– Potrzebujemy – odstawił wreszcie tacę na biurko i złapał mnie mocno za rękę. – Zrozumiałem to, kiedy cię aresztowano.

– Zatrzymano do wyjaśnienia, a nie aresztowano – poprawiłam odruchowo.

– Nieważne. Nie miałem z tobą kontaktu. Nie odbierałaś telefonu, niczego nie mogłem się dowiedzieć. A kiedy już jakimś cudem ustaliłem, że jesteś na komendzie, nikt nie

chciał mi udzielić żadnych informacji. Nie mogłem nawet porozmawiać z tym policjantem... Bo przecież w świetle prawa jestem dla ciebie nikim!

– Nie jesteś nikim – mruknęłam, czując, że ta cała rozmowa idzie w niewłaściwym kierunku. Oświadczyzny powinny być chyba romantyczne? Albo przynajmniej radosne?

– A jeśli nagle zachoruję? Poślizgnę się na mydle i złamię nogę? Nie będziesz mogła mnie nawet odwiedzić w szpitalu.

– Odwiedzałam różne osoby w szpitalu. I nigdy nie proszono mnie w drzwiach o dowód osobisty czy akt małżeństwa.

– Przy odbieraniu zwłok dowód na pewno będzie niezbędny. I wykazanie pokrewieństwa ze zmarłym.

Wściekłam się nie na żarty. Na litość boską, przy jakim odbieraniu zwłok?

– Prosisz mnie o rękę czy zapraszasz na pogrzeb? – zapytałam obcesowo.

I zaraz zrobiło mi się wstyd.

Nie powiedział przecież nic złego. Nieszczęście mogło się zdarzyć w każdej chwili, zwłaszcza w naszym wieku. Śmierć mojego ojca i Olka pokazała mi, jak kruche jest życie... Jak szybko wszystko może się zmienić... I ta śmierć Doroty, ciągle niewyjaśniona... Z pewnością nieoczekiwana i gwałtowna...

Dlaczego więc słowa Wiktora wyprowadziły mnie z równowagi?

– Przepraszam – powiedziałam. – Chyba jeszcze nie doszłam do siebie po powrocie z Warszawy, po tym, co stało się z Dorotą... Przejdę się z Maksem na spacer i porozmawiamy po południu, dobrze?

– Chcesz to przemyśleć? – patrzył na mnie z miną zbitego psa. Chociaż, prawdę mówiąc, chyba nigdy nie widziałam aż tak smutnego psa...

Co ja miałam przemyśleć? Jego hipotetyczną rychłą śmierć?

– Przecież robiłeś badania miesiąc temu, podobno wszystko jest świetnie...

– Natalio, na litość boską! Mówię o ślubie. Chyba nie zapomniałaś, że proszę cię o rękę?

Nie zapomniałam? Oczywiście, że nie. Jak mogłabym zapomnieć o czymś takim?

Zapomniałam, naprawdę. Albo przynajmniej robiłam wszystko, żeby zapomnieć.

– Potrzebujesz czasu? – powtórzył z tym bezbrzeżnym smutkiem w oczach.

– Dziękuję – przywołałam najczulszy ton i najmiłszy z moich uśmiechów. – Naprawdę nie przypuszczałam, że coś takiego jeszcze mnie spotka. Ja... Ja po prostu muszę ochłonąć. Przejdę się z Maksem i porozmawiamy potem, dobrze?

– Oczywiście, kiedy tylko będziesz chciała. A pierścionek?

– Jaki pierścionek? – nie rozumiałam.

– No, czy mogę dać ten bursztyn do oprawienia, tak jak zamierzałem...

– Absolutnie nie! – złapałam bryłkę, w której odbijały się promienie słońca, i zacisnęłam na niej dłoń. – To jest unikat, powinien jak najszybciej trafić do ekspertyzy, na biurko profesora Grochali, a potem pewnie do muzeum. Jeżeli to naprawdę kompletny owoc... Skąd ty w ogóle wytrzasnąłeś coś takiego?!

– Kupiłem specjalnie dla ciebie. Pomyślałem, że będzie ci miło nosić taki niezwykły kamień z prawdziwą roślinką w środku...

„Z prawdziwą roślinką”! On naprawdę nie miał pojęcia, co chciał mi założyć na palec!

Ale czy to był powód, żeby powiedzieć mu „nie”?

Zdjęłam buty i maszerowałam z Maksem szybkim krokiem, zostawiając za plecami skąpany w południowym słońcu cypel. Zimna woda co jakiś czas obmywała mi stopy.

Może powinnam zanurzyć w niej głowę, żeby odzyskać jasność myślenia? A może jeśli wydłużę i przyspieszę krok, już w okolicach Chałup zmęczenie zmusi mój umysł do spokojnej pracy?

W jakiejś recenzji mojego ukochanego *Hotelu Marigold* przeczytałam zdanie, które na długo zapadło mi w pamięć: „Starzy ludzie w książkach i filmach są zawsze tacy cudowni. Nie miotają się, rozumieją, co jest najważniejsze w życiu, i dobrze wiedzą, czego chcą”.

W książkach i filmach może faktycznie tak było. W życiu, niestety, starość nie zawsze szła w parze z mądrością. A ja w tej chwili zupełnie nie czułam się dojrzała i dobrze wiedząca, czego chcę. Miotalam się jak mucha obijająca się o szybę. I powoli omdlewały mi skrzydełka.

Mogłabym tak spacerować z Maksem do wieczora.

Po raz pierwszy od dawna zupełnie nie miałam ochoty wracać do domu.

Cholera jasna... Przecież powinnam być wniebowzięta? Ślub uszczęśliwiłby Wiktora i wszystkich sąsiadów. Może nawet znowu zaczęliby mi mówić „dzień dobry” i zaglądać do mojego atelier?

O co tak naprawdę mi chodziło?

Czy to był tylko głupi bunt? Niechęć do robienia tego, czego oczekują inni? U nastolatki może to być nawet urocze. Ale u pani po siedemdziesiątce? Chyba tylko żałośnie śmieszne. Nikt nie opisał jeszcze syndromu pod nazwą „bunt siedemdziesięcioletek”. Jeśli nie minie mi niebawem, psycholodzy i psychiatrzy zjadą się z całej Europy do Helu, żeby zdiagnozować pierwszy taki przypadek w historii.

Już sobie wyobrażałam opis w podręcznikach psychiatrii:

Zewnętrzne atrybuty buntu (analogiczne do kolczyków w pępku i języku u nastolatek): spódnica przed kolano, czerwona szminka, zbyt wysoki obcas (tylko okazjonalnie), wibrator (albo kilka) w szufladzie sekretarzyka.

Typowe zachowania: niepohamowana chęć szokowania opinii publicznej (pocałunki w miejscach publicznych, sprowadzenie kochanka pod swój dach), odrzucenie tradycji, norm i rytuałów usankcjonowanych kulturowo (niechęć do zawarcia małżeństwa), popadanie w konflikty z prawem.

Tak, to będzie sensacja omawiana na niejednym kongresie i międzynarodowej konferencji!

Uśmiechnęłam się pod nosem, widząc oczami wyobraźni tłum naukowców spacerujących z notatnikami po Helu i rozpytujących sąsiadów o moje najdziwniejsze zachowania.

Niestety, dobry humor minął mi bardzo szybko.

Wciąż nie wiedziałam, czego tak naprawdę chcę i dlaczego czuję się tak kompletnie rozbita.

Nie chciałam rozmawiać o tym z Wiktorem. Nie chciałam wracać do domu, w którym Adela panoszy się coraz bardziej, dosłownie z dnia na dzień... Nie było ostatnio dnia, żebym nie czuła, że mój domek staje się odrobinę mniej mój... Że coraz mniej jest w nim dla mnie miejsca, że robi się w nim za ciasno dla całej naszej trójki.

Ostatnio Adela stanowczo odmawiała wychodzenia z pokoju. Widywałam ją już tylko w tych krótkich chwilach, gdy Wiktor otwierał drzwi, żeby wejść do niej z tacą, na której stały moje najlepsze filiżanki (jedyne filiżanki, jakie miałam!) i oczywiście talerzyk pełen ciasteczek. Naturalnie w wersji bez konfitury, bo mogłaby jej zaszkodzić.

Czy piekł je regularnie co trzy dni z troski o mnie, czy może tak naprawdę chodziło głównie o to, by zrobić JEJ tę przyjemność?

Czy to możliwe, że byłam zazdrosna?

Głos Adeli, z tym ledwo uchwytnym rosyjskim akcentem prześladował mnie nawet we śnie.

„Wiktorr, skarrrie!” – Nienawidziłam, kiedy wołała go w ten sposób.

I nienawidziłam siebie, bo nie potrafiłam być ponad to. Powinno być mi jej żal i w

pewien sposób, oczywiście, było...

Ale żywiłam też przekonanie, że moje życie z Wiktorem byłoby znacznie lepsze, gdyby nie obecność Adeli o każdej porze dnia i nocy. Nasłuchiwała, co dzieje się w naszej sypialni, gotowa przerwać nawet najbardziej namiętne chwile. Czasami miałam wrażenie, że w ogóle nie sypia! Że sensem jej życia jest podsłuchiwanie nas i robienie nam na złość...

Kto wie, może te nagłe kłopoty Wiktora... Może winny był nie wiek ani stan zdrowia, lecz stres związany z tym, że ona jest tuż obok i lada moment może go zawołać do siebie „na koniaczek”?

Najchętniej kochałam się z nim na dole, na zapleczu „Mewy”. Tam nie mogła nas dopaść, nie opuszczając swojego pokoju. A przecież stanowczo odmawiała wyjścia z niego, choćby na krótką chwilę.

Tylko w „Mewie” byliśmy bezpieczni...

Nagle kątem oka zauważyłam coś, czego nie było tu jeszcze niedawno.

W pierwszej chwili nie rozumiałam, co przyciągnęło moją uwagę. Stałam i rozglądałam się dookoła. Maks natychmiast też się zatrzymał, tuż przy mojej łydce. Po prostu stał i czekał.

A potem, niczym pies myśliwski, którym raczej nie był, uniósł jedną łapkę i wystawił zwierzynę.

Jaką zwierzynę, na litość boską?

Spojrzałam w kierunku, który mi wskazywał.

I natychmiast zauważyłam karteczkę przyczepioną na białym płotku miniaturowego osiedla kolorowych domków.

Wczesną wiosną wyrosły nagle przy plaży, ponad kilometr od ostatnich helskich zabudowań.

Nie mogłam pojąć, dlaczego postawiono je właśnie w tym miejscu.

Te ziemie jeszcze niedawno należały do wojska. Wyprzedawane działka po działce, cieszyły się coraz większym zainteresowaniem... Pod lasem pojawiły się już dwa czy trzy osiedla z apartamentami na wynajem. Jakiś minister budował sobie podobno kawałek za cmentarzem willę z krytym basenem...

Te trzy kolorowe chatki, wyglądające jak domki dla lalek, tworzyły chyba jednak najbardziej absurdalne osiedle, jakie powstało kiedykolwiek na naszym półwyspie. Daleko od drogi, niemal na wydmie. O ile mogłam dostrzec, miało nawet własną ścieżkę prowadzącą na plażę.

Cudowna lokalizacja, tyle że bez drogi dojazdowej! Pan Anatol z piekarni widział ponoć,

jak przywieźli domki w elementach... Wielkie drewniane płyty z fabryki domków kanadyjskich. Przyjechały plażą, transportowane jakimś ciężkim sprzętem wynajętym od wojska. Bo od strony drogi, bez wycinki kilkunastu drzew, nie dałoby się dojechać do osiedla nawet moim małym fiacikiem.

Podczas jednego z naszych pierwszych helskich spacerów zastanawialiśmy się z Wiktorem, jak właściciel zamierza wynajmować turystom takie domki bez dojazdu i bez parkingu.

– A może wcale nie zamierza ich wynajmować? Może właśnie o to mu chodzi, żeby nikt nie zakłócał spokoju na osiedlu? – powiedział wtedy Wiktor.

Przyznałam mu rację. Przecież nie wszyscy budują domki na półwyspie po to, żeby na nich zarabiać. Jakiś miłośnik spokoju... Troje miłośników... Mogło postawić te małe, śmieszne kolorowe pudełeczka zwyczajnie, tylko dla siebie.

– Może trzy pary przyjaciół chcą tu zamieszkać na emeryturze? – od razu zaczęłam snuć różne scenariusze. – A może jacyś biznesmeni z Warszawy potrzebują odpoczynku na całkowitym odludziu? Nie, biznesmeni jednak nie... Oni zadbaliby o parking.

Zawsze z ciekawością zerkiałam w stronę domków. Wyglądały na całkowicie gotowe, z firaneczkami w oknach, z uroczym białym płotkiem oddzielającym je od wąskiej, piaszczystej ścieżki... Nigdy jednak nikt nie kręcił się w pobliżu, nie kosił suchych traw, nie siał i nie podlewał... Ani razu nie zauważyłam, by któreś okienko było uchylone.

A teraz, po raz pierwszy, dostrzegłam kątem oka jakąś zmianę. Ktoś podniósł nieco rolety zasłaniające szyby w drzwiach wejściowych do wszystkich trzech domków. Na płocie zaś zawieszono białą karteczkę z odręcznym napisem: „Wynajmę tanio” i numerem telefonu.

Ciekawe, kto miałby ją zauważyć na tym odludziu, daleko za miastem?

Ścieżką przez las chodzili tylko miejscowi, i to głównie ci niezbyt trzeźwi, zostawiający po sobie butelkę lub dwie gdzieś na wydmie...

Zdarzały się też dzieciaki palące w cieniu drzew pierwsze papierosy lub całujące się po raz pierwszy w życiu pary nastolatków...

Jeszcze niedawno chodzili też tędy niesforni chłopcy do swojej „bazy” w zapomnianych, zarośniętych zielskim bunkrach. Raz, w środku nocy, gdy wracałam moją Mandarynką z pracy przy jakimś weselu, zobaczyłam czterech wyrostków ciągnących przez las starą kanapę. Chcieli postawić ją w „bazie”. Spoceni, zdyszani, błagali, żebym nikomu nie zdradzała ich sekretnego miejsca.

To były czasy!

Teraz jednak bunkry zostały ogrodzone, wyremontowane i przyciągały od wiosny do jesieni tłumy turystów. Między potężnymi schronami jeździła nawet wojskowa kolejka wąskotorowa! Cieszyłam się, że ktoś się tym zajął, że tak pięknie pokazywano historię półwyspu... Ale trochę mi było żal tych nastolatków, odciętych od swoich tajnych baz, od zakradania się na poligon, do małego gaju, od duchów generałów straszących w kartoflaku – czyli wielkim bunkrze stanowiącym w czasie wojny magazyn żywności...

No, ale życie nie znosi próżni. Podobno teraz robili sobie bazy w opuszczonych budynkach przetwórcy ryb.

A kiedy i ją ktoś przejmie? Cóż, znajdą coś innego... Na naszym wąskim cypelku szczęśliwie zapomnianych przez Boga i ludzi miejsc ciągle nie brakowało.

Na razie jednak nastolatki nie biegały tędy do swoich baz, turyści zaś do Muzeum Obrony Wybrzeża dojeżdżali samochodami albo szli asfaltem, nie myśląc nawet o zbaczaniu głęboko w las. Na plażę też tą ścieżką raczej nie wędrowano. Nie było jej na mapach rozdawanych w informacji turystycznej i w knajpkach na Wiejskiej. Turyści nie mieli więc pojęcia, że da się tędy przejść nad morze. To oznaczało dla mieszkańców trzech śmiesznych domków niemal stuprocentową gwarancję spokoju.

Ale jednocześnie szansa, że ktoś zainteresowany wynajmem zobaczy tutaj tę kartkę, była bliska zeru...

A jednak zdarzył się cud.

Zobaczyłam ją właśnie ja...

Teraz, kiedy nieoczekiwanie okazało się, że muszę wynająć mały, spokojny domek na kilka tygodni.

Szybko wyciągnęłam z kieszeni komórkę i wybrałam numer zapisany na karteczce starannym, nieco dziecinnym pismem.

– Proszę zostawić wiadomość po sygnale – powiedział automat po trzech dzwonekach.

Nienawidzę nagrywać się na pocztę głosową, nie miałam jednak wyjścia.

– Jestem zainteresowana wynajęciem domku na miesiąc lub dwa. Lokatorką będzie samotna, niekłopotliwa trzydziestolatka, która potrzebuje miejsca, żeby spokojnie popracować.

ROZDZIAŁ 18

NIE BUDŹ LICHA, KIEDY ŚPI

NINA

Jak co wieczór siedziałam przy biurku ze słuchawkami na uszach, a Pompon był w niebogłosy zamknięty w łazience.

Matka bliźniaków mieszkająca w domku przyklejonym do mojego waliła w ścianę na piętrze. Ciekawe, czym? Chyba kijem od szczotki? Przynajmniej na początku... Bo po chwili, sądząc z odgłosów, przerzuciła się raczej na granatnik. Jeszcze parę minut, a dwie lub trzy z moich ścian oraz sufit nad parterem zostaną w całości pozbawione tynku. A także oświetlenia, które zaraz spadnie prosto na moją głowę. Zbrodnia doskonała. No, prawie... Zabita przez lampę nie zdołam już uspokoić Pompona. Ani wypuścić go z łazienki.

Wibrujący telefon wędrował po blacie, lekko trącając mnie w palce.

Natalia?

O, matko, czy ona nie rozumie, że nie mam czasu? To chyba niemożliwe, żeby się nagle tak postarzała i chciała zawracać mi głowę co dziesięć minut, po prostu z nudów?

Przez moment walczyłam z pokusą, żeby odrzucić połączenie.

Wycie Pompona przybierało na sile.

Zsunęłam słuchawki na szyję i odebrałam, przekrzykując psa.

– Natalio, przepraszam, ale ja naprawdę...

– Wiem. Nie masz czasu – weszła mi w słowo, co stanowczo nie było w jej stylu. – Ale ja mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia. Powiedz mi tylko szybko: malina, brzoskwinia czy limonka?

NATALIA

Opierała się przez mniej więcej pół minuty. Że nie chce, nie może, że straci cały dzień, żeby się spakować i dojechać na Hel. W dodatku w towarzystwie Pompona...

– Będzie mieszkał u mnie. A ty będziesz spokojnie pracować – wyjaśniłam.

I to ją przekonało.

Wybrała kolor limonkowy. A więc domek stojący w środku, między dwoma pozostałymi. Może to i lepiej? Jako stuprocentowa dziewczyna z miasta będzie się czuła znacznie pewniej, mając jakiś budynek po lewej i po prawej, a nie tylko las, las, las i – dla odmiany – morze...

– Muszę powiadomić policję, że wyjeżdżam – przypomniała sobie, kiedy ustaliłyśmy już najważniejsze szczegóły jej przeprowadzki na półwysep. – Chyba nie mogą mi zabronić spędzenia kilku tygodni poza Warszawą?

– Na pewno nie. Wiesz co? – w głowie zakiełkował mi chytry plan. – Zadzwoń do Szprota i sama mu o tym powiem. Na pewno ucieszy się, że ma nas w jednym miejscu...

– Po co?

– No... Ot tak, na wszelki wypadek. Gdyby miał nagle jakieś pytania. O ile on jeszcze w ogóle jest jakoś zaangażowany w tę sprawę... W sumie nikt przecież nas nie poinformował, czy oddelegowano go do niej na stałe, czy też jego rola skończyła się na przesłuchaniu mnie tamtej nocy...

– Nie widzieliście się na pogrzebie Doroty? – zdziwiła się Nina. – Jeżeli ciągle zajmuje się śledztwem, powinien tam być i wszystko obserwować, prawda? Jak w klasycznych kryminałach, w których morderca zawsze pojawia się na cmentarzu.

– To nie jest kryminał, tylko życie – mruknęłam.

– Widziałaś się ze Szprotem na tym cmentarzu, czy nie? – drażyła dalej.

Ona naprawdę o niczym nie wiedziała! Nie miała pojęcia, że rodzina Doroty wciąż nie ma prawa odebrać jej ciała z zakładu medycyny sądowej, nie mówiąc już o pochowaniu jej jak trzeba w grobowcu Wielowiejskich na Cmentarzu Rakowickim.

– Podobno wszystkie te procedury, badania, testy, mogą potrwać jeszcze kilka tygodni – wyjaśniłam krótko. – Niewiele im mówią... Chyba policja sama do końca nie wie, w jaki sposób ją zamordowano. Podejrzewają otrucie, ale nie wiedzą, jakiej substancji użyto ani w jaki sposób ją podano.

– Rozmawiałaś ze Stefanem?! – zapytała z niedowierzaniem.

Nie rozmawiałam. Nie miałam odwagi do niego zadzwonić, choć chyba powinnam. Co jednak mogłabym powiedzieć? „Szczere kondolencje”? Czy raczej: „Przysięgam, że jej nie zamordowałam”?

Czy w ogóle odebrałby telefon od kogoś, kogo aresztowano... zamknięto do wyjaśnienia... w sprawie śmierci Doroty?

– Rozmawiałam z jej młodszą siostrą – wyznałam. – Znamy się z czasów studenckich... Studiowała polonistykę, zaczęła, kiedy byłyśmy na trzecim roku. Twierdzi, że przystojniaczek z twarzą Clooneya kręci się przy tej sprawie. To musi być Szprot. Tobie też skojarzył się od razu z Clooneyem, pamiętasz? A więc poinformuję go, że będziesz na półwyspie. Może zechce nas odwiedzić? Z Bydgoszczy na Hel nie jest przecież wcale tak daleko...

– Natalio, co ty kombinujesz? – Nina знаła mnie już lepiej niż bym chciała. – Nie będziesz chyba próbowała sama rozwiązać zagadki śmierci Doroty?

– Ja? – zdziwiłam się najpiękniej jak potrafiłam. – Co ci też przyszło do głowy? Nie myślałam o tym ani przez chwilę.

– Aha – westchnęła ciężko. – A więc jednak spróbujesz to zrobić. Błagam cię tylko, bądź ostrożna. Tu nie chodzi o nieszczęśliwy wypadek w basenie. Ktoś naprawdę zabił tę kobietę z zimną krwią.

– I z premedytacją próbował zwalić na mnie winę – mruknęłam.

Już tylko to jedno wystarczyłoby, żebym uznała, iż muszę znaleźć mordercę.

A były przecież jeszcze dwa powody...

Po pierwsze fakt, że zabił właśnie Dorotę. Nasze drogi rozeszły się niemal pół wieku temu, ale to nie miało w tej sprawie znaczenia. Zawsze miałam poczucie, że jest mi bliska, że mogę do niej zadzwonić, gdybym była w kłopotach. Że nie odmówi mi pomocy, jeżeli w środku nocy stanę w jej progu, mimo tych wszystkich lat ciszy, mimo tego, co nas podzieliło... Teraz, po jej śmierci, bardzo mi brakowało tej świadomości. Była jedną z najwspanialszych osób, jakie znałam. I należało się jej szczęście u boku Stefana.

A Stefan? To był właśnie drugi powód. Dawno, dawno temu uciekłam z jego życia, żeby osiągnął wszystko to, o czym marzył. Żeby był spełnionym, szczęśliwym człowiekiem. A teraz złamano mu serce. Musiałam dowiedzieć się, kto i dlaczego to zrobił.

NINA

Kostka spędziła u mnie pół dnia, pakując, układając i znosząc do samochodu moje rzeczy.

– Zawiozę cię – proponowała co dziesięć minut mimo swojej niechęci do siadania za kierownicą. – Nie powinnaś prowadzić, lekarz mówił to wyraźnie.

– Mówił to kilka tygodni temu – protestowałam. – I nie, że nie powinnam, tylko że powinnam stopniowo i powoli powracać za kierownicę. I właśnie to robię.

– Weź Sebastiana. Albo Szczepana. Agnieszkę, Malinę... Kogokolwiek! – nie ustępowała.
– Nie pchaj się sama! To przecież tyle godzin, tyle kilometrów do przejechania...
– Nie mogę jechać z nikim z firmy – powiedziałam, nie wdając się w szczegóły. Kostka wciąż stała raczej z boku, w sprawy SIS-4 angażowała się tylko wtedy, kiedy naprawdę nie miała innego wyjścia. Nie było sensu wtajemniczać jej w to, co uknułyśmy z Hamishem. – To jest naprawdę tajny projekt. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, gdzie jestem... i po co tam wyjeżdżam.

Kostka myślała przez chwilę, a potem wcisnęła mi do ręki komórkę.

– Zadzwoń do Szczepana – poprosiła. – To naprawdę fajny i dyskretny chłopak.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? – zdziwiłam się szczerze. – Myślałam, że nie interesujesz się nikim z pracowników.

– Kilku znam. Tych, którzy są w firmie od początku: Agnieszkę, Sebastiana, Malinę... No i Szczepana. To dobry chłopak – zaczerwieniła się uroczo, kiedy o nim mówiła. – Kilka tygodni temu pomógł mi nawet w transporcie trzech kociaków. Jeden miotał się po całym samochodzie, uciekł z pudełka, nie dał się trzymać na rękach... Wbił się Szczepkowi w kark pazurami, a on mimo to zdołał spokojnie dotrzeć na miejsce. Nie spowodował żadnego wypadku, nie zjechał nawet na pobocze!

– Właśnie dlatego usiłujesz mnie uszczęśliwić jego towarzystwem?

– Właśnie dlatego – potwierdziła najmłodsza z moich sióstr. – Coś mi się zdaje, że podróż z Pomponem będzie doświadczeniem dość ekstremalnym.

Miała rację. Pompon podróżował w transporterku ze wzmocnionymi drzwiczkami, nareszcie dostarczonym przez kuriera. To był jedyny sposób, żeby nie zawisł mi na plecach jak tamten kot z opowieści Kostki. Wył jednak w niebogłosey, sprawiając, że nawet podróż do weterynarza, siedem przecznic od domu, stawała się koszmarem. Czteryście dziewięćdziesiąt kilometrów w jego towarzystwie mogłoby mnie wykończyć.

Skapitulowałam. Nie mogłam jednak zdradzić prawdziwego celu podróży. Obiecałyśmy przecież Hamishowi, że nie powiemy nikomu, absolutnie nikomu. Moim zdaniem miał lekką paranoję na punkcie tajności tego projektu. No ale obietnica to obietnica, mimo wszystko. Nie zamierzałam jej łamać.

– Jadę do Gdyni – oświadczyłam Szczepanowi przez telefon. – Na kilka tygodni. Muszę zabrać ze sobą psa. Z pociągu mnie z nim wyrzucą w ciągu minuty. Zostaje mi samochód i pomyślałam...

Nie zdążyłam dokończyć zdania.

– Jasne, odwiozę cię. Nie ma sprawy – jego głos brzmiał tak, jakby bardzo się cieszył na

tę podróż. – Kiedy chcesz jechać? Zaraz kupię sobie bilet na pociąg powrotny do Warszawy.

Z dworca głównego w Gdyni na koniec Półwyspu Helskiego jedzie się nie dłużej niż dwie godziny. Oczywiście, w normalnych warunkach.

Ja jechałam pięć i pół. Pompon wył, drapał, rozwalił transporterek, zrobił w nim kupę, siusiu, zwymiotował dwa razy... Byłam wykończona. Zatrzymywałam się niemal na każdej stacji benzynowej.

Z siódmego albo ósmego postoju wysłałam do Kostki SMS-a.

Dziękuję. Miałaś rację.

Bez wsparcia Szczepana jechałabym przecież autem z Warszawy do Helu mniej więcej przez miesiąc.

NATALIA

Im bliżej było do ich przyjazdu, tym więcej kłębiło się w mojej głowie pytań i wątpliwości. Nie byłam już pewna, czy zaproszenie Pompona, żeby ze mną zamieszkał, to naprawdę tak dobry pomysł, jak wydawało mi się na początku.

Maks świetnie sobie radzi ze szczeniakami... Nie jest jednak cudotwórcą.

A ja muszę pracować, mimo wszystko.

Mimo tego, że drzwi „Mewy” już niemal się nie otwierały. Ludzie nagle nie chcieli robić żadnych zdjęć, nawet tych najzwyklejszych, do paszportu, dyplomu, CV czy wniosku wizowego...

Ale z drugiej strony, naprawdę dobrze będzie mieć Ninę znowu blisko siebie, przynajmniej przez kilka tygodni. Może uda się znaleźć kogoś, kto sprawi, że jej serce zacznie bić szybciej i wreszcie zapomni o tamtym draniu?

No i może wspólnie zdołamy rozwiązać zagadkę śmierci Doroty? Albo przynajmniej choć trochę zbliżymy się do tego rozwiązania?

Musiałam zadzwonić do Szprota i przekonać go jakoś, żeby odpowiedział na kilka moich pytań... A potem spokojnie usiąść i rozpisać na kartce wszystkie możliwości.

Na razie jednak były pilniejsze sprawy. Odbiór kluczy do limonkowego domku... Zawiezenie do niego kilku drobiazgów... No i obiad. Nina musiała przecież coś zjeść po tak długiej podróży!

Coś, co uda mi się ugotować, nie doprowadzając do katastrofy w kuchni.

NINA

– Nie będę ci przeszkadzać? – zapytałam.

Nie chciałam rujnować jej planów. Miała na pewno mnóstwo pracy, no i przecież był Wiktor. On też powinien mieć coś do powiedzenia. Może wcale nie ma ochoty jeść ze mną obiadu?

– Nigdy mi nie przeszkadzasz – uśmiechnęła się serdecznie. – Przecież wiesz.

– No tak, ale teraz nie jesteś tu sama. Jeżeli Wiktor miałby coś przeciwko temu...

– Wiktor? Ależ skąd! Znasz Wiktora. On jest naprawdę życzliwy każdemu, zwłaszcza tobie. Zresztą teraz, przez całe lato, aż do końca września, więcej go nie ma, niż jest. Jeździ do Poznania, do Wrocławia, lata do Włoch. Dzisiaj z samego rana poleciał na trzy dni do Chorwacji...

– Do Chorwacji? – zdziwiłam się. – Miał przecież już nie pływać z turystami? Widzę, że jednak nie wytrzymał...

– Nie pływa z turystami, chociaż wiem, że trochę za tym tęskni – wyjaśniła. – Po prostu kupił jeszcze jeden jacht i teraz chce go osobiście we wszystko wyposażyć, popłynąć kawałek z nową załogą...

– Smutno ci bez niego – domyśliłam się od razu.

– Nie o to chodzi. Po prostu... Wiesz, Adela dość kiepsko znosi te jego nieobecności. A ja, szczerze mówiąc, po prostu nie cierpię zostawać z nią w domu sama.

– Z jaką Adelą? – Nigdy przedtem nie słyszałam tego imienia! – Kim ona jest? Skąd się wzięła?

– Nie opowiadałam ci o Adeli? – westchnęła. – To chyba niemożliwe. A więc... Cóż... Przyjechała tu razem z Wiktorem...

Zatrzęsłam się z oburzenia. Przywiózł ze sobą jakąś babę? Bo przecież nie żonę? Żona Wiktora umarła, opowiadał nam o tym w Ciechocinku... Od tamtego czasu minęło chyba osiem czy dziewięć lat.

– Ale przecież jego żona... – zaczęłam.

– Jego żona – przerwała mi Natalia – prosiła, żeby zaopiekował się Adelą. Była jej najlepszą przyjaciółką. Błagała o to wiele razy, nawet na łożu śmierci.

– A on szlachetnie i honorowo musiał dotrzymać danego słowa? – prychnęłam. – Szkoda, że twoim kosztem...

– Nie jest tak źle... – Nie znałam jej takiej, słowo daję. Zawsze umiała walczyć o swoje i mówiła jasno, że coś jej nie odpowiada. – Ona po prostu niezbyt mnie lubi. Musimy dać jej

trochę czasu, ta sytuacja dla niej przecież też nie jest łatwa...

Natalia otworzyła drzwiczki we wnęce za kasą i szepnęła:

– Przywitaj się z nią. Tylko wiesz, pewnie nie będzie zbyt miła. Nie bierz tego do siebie...

Na palcach weszłam po schodach prowadzących z atelier do prywatnej części domu, próbując nie rozglądać się zbyt natarczywie.

– Dzień dobry – zawołałam w stronę ciemnego korytarzyka, wskazanego przez Natalię.

– Dzień dobry? – Donośny damski głos, z delikatnym wschodnim akcentem dosłownie wbił mnie w podłogę. – Nawet tak nie żartuj! Nie żartuj tak już nigdy więcej!

Odruchowo cofnęłam się o krok.

– Nie przejmuj się... – Natalia położyła mi rękę na ramieniu. – Ona nie wie, co mówi. Nie rozumie, naprawdę...

Jak to „nie rozumie”? Czyżby Wiktor wcisnął Natalii pod opiekę staruszkę z chorobą Alzheimerera, a sam pojechał pilnować biznesu? Nagle poczułam, że moja sympatia do tego niziutkiego faceta o błękitnych oczach bardzo gwałtownie topnieje. Chciałam złapać za telefon, zadzwonić i powiedzieć mu, co myślę o takim zachowaniu!

– Nie powinnaś się na to godzić – jęknęłam. – On cię wykorzystuje z zimną krwią...

– Przesadzasz... – Natalia przesłała mi uśmiech, który miał być chyba beztroski i radosny. Średnio się jej udało. – Wejdz do jej pokoju, chociaż na moment – poprosiła. – Porozmawiaj z nią chwilę. To naprawdę powinno ją uspokoić.

Nie zdążyłam spełnić jej prośby. W tym momencie bowiem z ogródka za oknem dobiegło do moich uszu rozdzierające skomlenie.

Skomlał Maks, a nie Pompon!

Obydwie jak na komendę rzuciłyśmy się w stronę stromych schodów.

– Dzień dobry! – wrzasnęła rozwścieczona Adela za moimi plecami.

Chrzanić Adelę! Niech wyjdzie z pokoju i pomoże nam ratować zwierzaki. Albo niech czeka spokojnie, aż wrócę i znajdę czas na towarzyską pogawędkę z agresywną staruszką bez szóstej klepki.

NATALIA

– Co to jest?! – patrzyłam zaskoczona na zawartość pudełka. Nina wyjęła je przed chwilą z samochodu i postawiła na blacie w moim atelier. – Będziemy urządzały jakiś bal?

– Bal? Dlaczego?

Wzięłam do ręki paczkę kolorowego konfetti. Potem jakiś plastikowy pistolet na wodę, podobny do tych, z którymi dzieciaki biegają po całym Helu w lany poniedziałek. No i serpentyny z dziwnej, pomarańczowej taśmy.

– To są akcesoria karnawałowe, prawda? – uśmiechnęłam się, obracając je w palcach. – Ale to? Czy to kamizelka kuloodporna dla niemowlaka? A ta tutaj? To druga, trochę większa?

– Natalio, przestań – zacisnęła usta i pokręciła głową z dezaprobatą. – To nie jest śmieszne...

Ja przecież wcale nie żartowałam. Naprawdę nie miałam pojęcia, do czego służyły te wszystkie rzeczy, wypełniające karton po brzegi, i w jakim celu mi je przyniosła.

– Przywiozłam to wszystko, żeby ci chociaż trochę ułatwić opiekę nad Pomponem – oznajmiła, zaskakując mnie kompletnie.

To miało służyć do opieki nad psem? Pistolet na wodę i kamizelki kuloodporne w rozmiarze XXS?!

– Opowiadaj, tylko po kolei – poprosiłam stanowczo. – A ja będę notować, jak mam używać tych wszystkich serpentyn i karabinów...

Nina przez moment wpatrywała się w moją twarz, niepewna, czy jednak się z niej nie nabijam, po czym wyjęła z pudełka konfetti.

– To są smaczki. Przysmaczki. Smakołyki. No wiesz, do nagradzania psa, jak prawidłowo wykona komendę.

– Jaką komendę? – zainteresowałam się raptownie. Czyżby Pompon nauczył się reagować na jakieś polecenia w tym krótkim czasie, który minął od mojego wyjazdu z Warszawy?

– No nie wiem... Jakąkolwiek – wzruszyła ramionami. – Trzeba zaczynać od małych kroków, prawda? A więc na przykład jeśli na mnie spojrzy, kiedy wypowiadam jego imię...

Prawdziwy sukces, jak na kilka tygodni pod jednym dachem! Na szczęście miałam dość oleju w głowie, by nie powiedzieć tego głośno.

– To też smaczki... – Kolejna torebka zawierała kulki koloru i wielkości kozich bobków. – Z mięsem renifera...

– Pompon jada renifery? – tym razem nie zdołałam powstrzymać się przed prychnięciem. Niewielu ludzi jadało tak luksusowo jak ten pies!

– A także kuropatwy, jelenie, bizona amerykańskie, antylopy i ptaki kiwi. Gdzie ja wsadziłam te chrupki z mięsem kiwi? – Nina nerwowo przerzucała zawartość pudełka. – Cholera, chyba nie zabrałam ich z domu! A wyjątkowo mu smakowały... Cholera... No ale

przynajmniej mam spaghetti z dzikich kaczek. Dobre i to...

Spaghetti z dzikich kaczek? To najwyraźniej była ta pomarańczowa serpentyna...

W kartonie były jednak ciekawsze rzeczy. Naprawdę musiałam o nie zapytać.

– Pistolet na wodę nie ma chyba nic wspólnego z przysmakami?

– Oczywiście, że ma – wyciągnęła z dna plastikową zabawkę, kształtem przypominającą kałasznikowa. – To jest wyrzutnia chrupek. Podobno niezbędna, żeby pies nie nudził się w domu i polował aktywnie, tak jak w naturze.

Nie byłam pewna, czy polowanie na prasowaną chrupkę o wyglądzie i zapachu kupy bobra, wystrzeloną z wściekle pomarańczowej broni pneumatycznej, ma cokolwiek wspólnego z naturą. Ale skoro Nina uważała tę wyrzutnię za świetny wynalazek...

– Często z niej korzystasz? – starałam się, przysięgam, żeby w moim głosie słychać było wyłącznie życzliwość i zrozumienie.

– Lubisz się ze mnie nabijać – westchnęła Nina.

Cóż, widocznie powinnam postarać się mocniej.

Wzięła wyrzutnię do ręki i obracała przez moment z nieszczęśliwą miną, po czym oświadczyła:

– Prawdę mówiąc, Pompon okropnie się tego boi. Ucieka, gdy tylko sięgam do szuflady, w której trzymam wyrzutnię chrupek i psie szachy.

– Szachy?

Chyba jednak musiałam się przesłyszeć?

– Mam je w samochodzie, są strasznie duże... Taka zabawka strategiczna dla psa. Wiesz, musi odpowiednio przesuwac figury, przewidywać ruchy, żeby dostać się do jedzenia. Miałam nadzieję, że to zajmie go na dłużej i będę mogła pracować, choćby przez kwadrans, w spokoju. Ale chyba jest jeszcze za mały na takie zabawy...

Maks miał piłeczkę. Zwyczajną, tenisową, znalezioną na plaży. Ten pierwszy Maks, pięćdziesiąt lat temu. Obecny Maks, którego zawołałam tym imieniem odruchowo, żeby uratować go z rąk hycła, i który zaakceptował je od pierwszej sekundy, piłeczki nie posiadał. Dopiero teraz dotarło do mnie, że był najmądrzejszym psem świata, ale nigdy nie próbował się ze mną bawić. Rzucony na plaży patyk, owszem – błyskawicznie przynosił i oddawał, ale bez merdania ogonem. Wypełniał zadanie i tyle. Nie chodziło w nim o psią przyjemność, ale o obowiązek. Tak jakby nikt go nie nauczył w dzieciństwie bez troskiej zabawy. Może powinnam spróbować?

Kłopot w tym, że w kartonie nie było żadnej zwyczajnej zabawki. Była kaczką z długą szyją, której z ciekawości dotknęłam jednym palcem. Wydała rozziewający kwik i

podskoczyła w konwulsjach. Była też piłka na elastycznym sznurku, wracająca do rzucającej ją osoby.

– Dwa razy uderzyła mnie w czoło – wyznała Nina. – A Pompon i tak się nią nie zainteresował... Może jak będzie starszy?

Były też piszczące sztuczne kości i większe od nich gryzaki przypominające rozrośnięte kaktusy. No i te kamizelki.

– Co to za ubranka? – zapytałam, biorąc jedną do ręki, naprawdę bardzo ostrożnie.

– To jest kamizelka antystresowa... – Nina pokazała mi szybko, jak ją zapiąć. – Ma uspokajać nadpobudliwe psy. A ta większa to strój chłodzący. Podobno bardzo potrzebny w upalne dni. Pomyślałam, że przyda się nad morzem...

Kręciłam głową z niedowierzaniem.

– Śmiesz cię to? Uważasz, że zwariowałam?

– Nie, ale skąd! Po prostu nie miałam pojęcia o całej gałęzi przemysłu rozwijającego się gdzieś tuż obok mnie! – wyjaśniłam zgodnie z prawdą.

No, prawie zgodnie z prawdą. Bo co do stanu umysłu Niny miałam jednak pewne wątpliwości...

– Ile wydałaś na to pieniędzy? – zapytałam. – Nie gniewaj się, ale nie mam pojęcia, ile kosztują takie rzeczy.

Nina chyba odrobinę się zaczerwieniła, bo piegi na czubku jej nosa zrobiły się ciemniejsze niż zwykle.

– Nie tak dużo. Najdroższy był plecaczek trekkingowy dla psa, świetny na wakacje, ale szczeniakowi nie można go zakładać, więc na razie nie kupowałam. I siedem stówek zostało w kieszeni. Ta kamizelka chłodząca kosztowała chyba czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć złotych (właśnie była promocja), wyrzutnia chrupek sto pięćdziesiąt... Szachy sto czy sto dwadzieścia... Nie tak drogo, prawda? Jak na taką zabawkę?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, zresztą chyba wcale tego nie oczekiwała. Rozpędziła się ze swoją wyliczanką na dobre.

– Wiesz, są też takie fajne foteliki podwieszane na normalnym krześle, żeby mały piesek mógł siedzieć przy stole w czasie posiłku. Na podłodze jest mu przecież smutno... Ale muszę poczekać, aż Pompon trochę zmądrzeje i nie będzie zrzucał wszystkich talerzy... No i przystawka do hulajnogi, żeby można było jeździć razem z psem.

– Jeździsz na hulajnodze? – zdołałam wreszcie jej przerwać.

Pokręciła głową, zdziwiona.

– Nie, ale może zacznę? Jeżeli uda mi się sprowadzić z Anglii tę przystawkę...

NINA

Jej mina mówiła wszystko. Miała mnie za wariatkę.

I może nawet wcale się nie myliła? Spojrzałam trzeźwo na zawartość pudła. Litości! Wyrzutnia chrupek? I kamizelka chłodząca za pięć stówek?

– Może powinnaś pomyśleć o dziecku? – mruknęła Natalia.

Wściekłam się natychmiast.

– Niby z kim miałabym mieć to dziecko? I po co? Myślisz, że ja mam czas na pieluchy i smoczki? Nie wydałam tej całej kasy na debilne gadzety po to, żeby zaspokoić instynkt macierzyński i stroić pieska w kaftaniki! Ja po prostu rozpaczliwie walczę o chwilę czasu na pracę. Choćby piętnaście minut spokoju... O jedną jedyną spokojną noc.

Nagle poczułam, że wszystkie bariery puszczają i zalałam się łzami.

– Chciałam mieć mądrego, fajnego psa. Takiego jak Maks. Tęskniłam za nim po wyjeździe z Ciechocinka. Pomyślałam, że byłoby mi z nim różnie w dużym, pustym domu. Ale Pompon... To wariat! Już ze trzydzieści razy chciałam dać w sieci ogłoszenie, że wyjeżdżam za granicę i oddam psa w dobre ręce. Ale wtedy on przekrzywił ten kudłaty łebek i patrzył na mnie tak... No wiesz...

– Wiem – uśmiechnęła się ciepło. – Przestań się martwić. Wychowamy go na mądrego psa. Bez tych wszystkich zabawek i kaftaników uspokajających. A na razie usiądź do stołu, zjedz zupę. Potem pojedziemy na Czarci Cypel i zaniemiemy do twojego domku wszystkie rzeczy. Na pewno od razu zakochasz się w tym miejscu.

– Na Czarci Cypel? – zapytałam nieufnie. – Co to za dziwna nazwa?

Natalia wzruszyła ramionami.

– Stara jak świat. Kiedyś w tym miejscu była mała wypustka... Taki dodatkowy cypelek na helskim cyplu. Podobno miał kształt diabelskiego kopyta...

– Diabelskiego? A czym się różni kopyto diabła od kopyta konia albo krowy? – natychmiast poczułam się nieswojo. Naprawdę wolałabym zamieszkać na Krowim Cyplu! Albo nawet na oślim, gdyby taki istniał...

– Nie denerwuj się, to tylko głupia nazwa sprzed setek lat. Dzisiaj półwysep jest w tym miejscu gładki jak kolano. Zaraz przekonasz się sama...

ROZDZIAŁ 19

TAM DOM TWÓJ, GDZIE SERCE TWOJE

NINA

Byłam w wielu cudownych miejscach. Na greckich wyspach. Na północy i na południu Włoch. W Portugalii, Tajlandii, na Kanarach. A jednak właśnie tutaj stałam bez słowa, oczarowana tym, co zobaczyłam. Chyba nigdzie na świecie nie było takich plaż... Na pierwszym planie stary piękny las, za nim ta wydma, na której stał mój domek, a w tle szeroki pas drobniutkiego, niemal białego piasku.

– Jakim cudem jest tu tak pusto? – spojrzałam na Natalię ze zdumieniem. – Powinny przecież być tłumy... Lista rezerwowa ludzi, którzy chcą dostać się na półwysep, ale już się nie zmieścili...

– Jesteśmy prawie dwa kilometry od miasteczka – przypomniała mi Natalia. – Sezon tak naprawdę dopiero się zaczyna. A poza tym, wiesz, Hel to nie Jastarnia ani Jurata. Ludzie często kręcą nosem na odpoczynek na tym cyplu na końcu świata.

– Niby dlaczego? – nie rozumiałam. – Za daleko?

– Za daleko od Warszawy, Poznania, Wrocławia – przytaknęła Natalia. – A poza tym, wiesz, turyści chcą mieć plażę pod hotelowym oknem, żeby mogli na nią dotrzeć w ciągu trzydziestu sekund. A tu trzeba przejść przez las... Nie wszyscy to lubią.

Idioci! Co może być fajniejszego niż taki las tłumiący wszystkie odgłosy z drogi, pachnący jak skondensowany olejek aromatyczny w małej buteleczce, szumiący rytmicznie... Jestem dziewczyną z miasta, ale ten las zachwycił mnie od pierwszego wejrzenia. Zwłaszcza że na jego końcu było morze... i mały limonkowy domek, wypisz wymaluj jak z bajki o skrzatach.

MÓJ domek. Przynajmniej na kilka tygodni. Z tą nieprawdopodobną werandą wchodzącą wprost na plażę.

Dzięki Natalii weranda tonęła w kwiatkach.

– Przyniosłam kilka skrzynek pelargonii... Akurat zakwitły – uśmiechnęła się skromnie, widząc mój zaskoczony wzrok.

– Ale to nie te... te cenne okazy wyhodowane z jednej małej pelargonii, którą miałaś ze sobą w Ciechocinku? – wydukałam.

– Oczywiście, że nie, głuptasie! Tamte rosną spokojnie w mojej kuchni. Kiedy przyjdzie czas, dowie się o nich cały świat. Te tutaj, w skrzynkach, to zupełnie zwyczajne pelargonie rabatowe. Wyjątkowo łatwe w utrzymaniu. Masz też fuksje, tutaj po lewej... A w gazonach posadziłam surfinie. Tylko uważaj, nie dotykaj ich liści, bo wiele osób ma na nie uczulenie, nawet o tym nie wiedząc. Jeśli do nich należysz, będziesz miała bolesny odczyn alergiczny na rękę... Pod sufitem zawiesiłam donice z begoniami. Naprawdę świetnie się tu komponują. No i masz jeszcze kocanki włochate w skrzynkach przy schodkach...

W życiu nie słyszałam o żadnych kocankach! I to w dodatku włochatych! Wyglądały jednak całkiem miło. I chyba nie były wymagające, skoro Natalia postanowiła je oddać pod moją opiekę?

NATALIA

Klucze do domku odebrałam kilka godzin przed przyjazdem Niny z rąk młodego człowieka pracującego w jednej z nowo otwartych smażalni ryb.

– Proszono mnie o przyjęcie pieniędzy i przekazanie pani tego – powiedział, nie zdejmując fioletowych słuchawek z uszu.

Podaliśmy mu odliczoną kwotę, przelaną mi przez Ninę z samego rana, i wzięłam z jego ręki kopertę, w której pobrzękiwały dwa małe klucze.

Napisano na niej drobnymi, nieco dziecinnymi literkami... Takimi samymi jak te, którymi została wykaligrafowana kartka przy furtce z ogłoszeniem o niedrogim wynajmie pastelowych chatek:

Domek nr 2

Czarci Cypel

Zastygłam w pół gestu z kopertą w ręku.

– Czy coś się stało? – chłopak zawahał się i nawet ściągnął na moment słuchawki. Musiałam wyglądać na naprawdę zaskoczoną.

– Nie, nic. Zupełnie nic – uśmiechnęłam się, wpychając kopertę do torebki. – Po prostu... Ta nazwa... Znają ją chyba już tylko najstarsi mieszkańcy Helu. A ja, nie wiadomo dlaczego, byłam pewna, że te śmieszne kolorowe domki wybudował ktoś, kto nie pochodzi z półwyspu.

Chłopak wzruszył ramionami, tracąc od razu zainteresowanie całą sprawą.

– Ja nic nie wiem – mruknął. – Miałem tylko przekazać klucze i pobrać pieniądze za wynajem.

– Oczywiście, oczywiście – uśmiechnęłam się przepaszająco.

Jeden z pracowników sezonowych... Pewnie sam przyjechał z Gdańska albo z Warszawy... Skąd miałby wiedzieć cokolwiek więcej?

Pożegnałam się szybko i popędziłam do samochodu. Zostało niewiele czasu, a ja musiałam zajrzeć do tego domku i sprawdzić, czy Nina naprawdę będzie miała na czym spać i gdzie pracować.

Maks zjeżył sierść, kiedy przechodziliśmy przez furtkę. Przez moment nawet zawahał się, jakby w ogóle nie chciał tam wchodzić.

– Co się dzieje? – zapytałam.

Znałam go przecież zbyt dobrze, by ignorować takie sygnały...

Powęszył jeszcze przez moment, a potem ostrożnie, bardzo ostrożnie wszedł po trzech schodkach na mały ganek.

Odetchnęłam z ulgą. Pewnie po prostu wyczuł zapach jakiegoś bezpańskiego kota albo ptaka, który skakał po ogrodzie chwilę wcześniej.

W środku na szczęście było wszystko, co niezbędne, by wygodnie przeżyć kilka tygodni. I niewiele więcej. Z wdzięcznością pomyślałam o tajemniczym właścicielu domku, który nie zagracił wnętrza meblami i bibelotami, próbując stworzyć w nim małą Prowansję albo nieudaną podróbkę kaszubskiej chaty sprzed stulecia. Widziałam zbyt wiele takich wnętrz... I bardzo się bałam, że znajdę tu właśnie jedno z nich.

Wyposażenie było jednak absolutnie bezpretensjonalne. Od razu przywodziło na myśl sklepy IKEA. Może faktycznie meble zostały kupione właśnie tam? Niskie, proste kanapy, stoliki, białe szafki w kuchni otwartej na pokój... Zdjęcia z plaży – mogłabym przysiąc, że robione tutaj, na półwyspie – w zwyczajnych antyramach...

Rolety w oknach były podniesione, więc wewnątrz dosłownie kąpało się w promieniach nieco zamglonego dziś słońca.

A za przeszkloną ścianą, wychodzącą na plażę, rozciągał się widok najpiękniejszy z możliwych. Bezkresne morze i niebo przenikające się i tworzące jeden cudowny obraz. Ani

przez sekundę nie pozostawał on taki sam. Chmury i fale poruszały się, marszczyły, to znów pędziły przed siebie w dzikim, szalonym tańcu.

Mogłabym patrzeć na ten spektakl natury godzinami, nie miałam jednak chwili do stracenia.

Musiałam przewietrzyć, zapełnić lodówkę, wejść na górę, gdzie zgodnie z zapewnieniami właściciela miały znajdować się dwie sypialnie oraz wygodna łazienka... Powlec pościel, a potem wrócić przez las do mojej Mandarynki i wyciągnąć z tylnego siedzenia skrzynki i donice oraz worek ziemi. Ziemię i skrzynki zapakowałam do walizki na kółkach. Inaczej nie poradziłabym sobie z taszczeniem wszystkiego przez las. Walizka zakopała się siedem czy osiem razy w piachu, a szyszka wbiła się w jedno z kółek, unieruchamiając je skutecznie.

Nie poddałam się, wyciągnęłam resztki szyszki ostrą gałązką i ruszyłam znowu w stronę miniaturowego osiedla za białym płotkiem.

Dawno już zrozumiałam, że dom bez kwiatów nie jest nigdy prawdziwym domem. A ja bardzo chciałam, żeby to miejsce na Czarcim Cyplu stało się domem dla Niny. Choćby na kilka tygodni.

Sądząc z jej pierwszej reakcji, z zachwyty, który malował się na jej twarzy, kiedy stanęła na werandzie, naprawdę mi się udało...

– Będę tu mogła spokojnie pracować – oświadczyła z ulgą. – Może faktycznie uda mi się przygotować ten projekt na czas?

I wreszcie zapomnieć o tym draniu, który przepadł bez wieści gdzieś między Polską a Afryką... – dokończyłam w myślach.

Wiedziałałam jednak, że absolutnie nie powinnam mówić tego głośno.

NINA

Hel okazał się malutkim, miłym miasteczkiem, znacznie mniej zatłoczonym, niż się spodziewałam. Po półgodzinnym spacerze w towarzystwie Natalii wiedziałam już dokładnie, jak się po nim poruszać. Znałam rondo z supermarketem (jedynym w Helu), stację kolejową, z której szynobusem mogłam dojechać do Jastarni, Juraty albo Gdyni, nie martwiąc się o korki i parkowanie... Wiedziałam, gdzie kupić najlepsze jagodzianki, gdzie iść po świeże ryby, gdzie wysłać list i wypłacić pieniądze z bankomatu...

Wbrew moim obawom nie musiałam przeciskać się wśród setek ludzi i stać po wszystko

w kolejkach. Turyści gromadzili się tłumnie właściwie tylko w trzech miejscach: na plaży nad zatoką (nad małym morzem – jak mówiła Natalia), w słynnym fokarium tuż przy tej plaży i na głównym deptaku, czyli na ulicy Wiejskiej.

To właśnie tam, wciśnięta między dwa wyższe budynki, stała „Mewa”. Uroczy zakład fotograficzny Natalii z przepięknymi zdjęciami wywieszonymi w witrynie. I z przytulnym mieszkaniem na piętterku.

Przeszłam obok ostrożnie, na palcach, z niepokojem nasłuchując, czy Pompon wyje, szczeka, czy może rozrywa na kawałki tapicerkę z jakiegoś mebla.

Nic. Cisza.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Maks naprawdę był cudotwórcą. Maks... albo Adela.

– Adela nie zdenerwowała się ani trochę obecnością jeszcze jednego psa? – zapytałam.

– Adela? – roześmiała się Natalia. – Adela jest wściekła i zdenerwowana, od kiedy tu przyjechała. Nieważne, czy w domu jest tylko Maks, czy stado dzikich bestii... Cały czas jest zdenerwowana dokładnie tak samo.

Cóż za urocza staruszka! Naprawdę, marzyłam o tym, żeby ją poznać i powiedzieć jej prosto w oczy, co o niej myślę. Wepchnęła się Natalii do domu, każe się obsługiwać i jeszcze stroi fochy od rana do nocy. Ze mną nie pójdzie jej tak łatwo, jak z Natalią! Nie dam się nabrać na te łzawe opowieści o przyjaźni z żoną Wiktora i jej prośbie wyszeptanej gasnącymi ustami na łożu śmierci!

Pewnie tylko kombinuje, jak pozbyć się Natalii i przejąć jej dom... I mieć Wiktora znów na wyłączność, tak jak przez kilka ostatnich lat, po śmierci jego żony.

– I tak dobrze, że nie zabrał jej ze sobą do Chorwacji na ten rejs – mruknęłam. – Na pewno próbowałyby wykorzystać sytuację i jakoś się do niego zbliżyć. A przede wszystkim odciągnąć go od ciebie...

– Adela nie cierpi latać samolotem. Rejsy pełnomorskie też jej nie służą... Była z Wiktorem chyba dwa razy, kiedy pływał między Wyspami Kanaryjskimi, ale źle znosiła bujanie i ciągle przeciągi... – wyjaśniła Natalia, kłaniając się jednocześnie jakiejś kobiecie wychodzącej z salonu fryzjerskiego, z milionem loczków ułożonych na głowie na kształt kruczoczarnego stożka.

Czy mi się zdawało, czy tamta w ogóle jej nie odpowiedziała?

– Co to za larwa ze *Star Treka*? – zdenerwowałam się natychmiast. – Młodsza od ciebie, a nie raczyła nawet buzi otworzyć, żeby się z tobą przywitać.

– Tak to bywa – westchnęła Natalia, odwracając wzrok w stronę sklepiku z pamiątkami.

Wyraźnie coś tu nie grało.

Kiedy opowiadała mi w Ciechocinku o swoim życiu w Helu, przez chwilę nawet jej zazdrościłam. Miałam wrażenie, że zna tam każdy kąt, przyjaźni się ze wszystkimi, sąsiedzi wpadają do niej na ploteczki... Jak w ciepłym, angielskim filmie o życiu na prowincji.

Niestety, kiedy się tu pojawiłam, okazało się, że w tym filmie główną rolę gra raczej Hiacynta Bucket albo panna Marple. Za delikatnymi koronkowymi firaneczkami czają się demony, ludzie są gotowi utopić sąsiadów w szklance wody, a Natalia... Ten kolorowy ptak, który gwizdże na konwenanse... Blednie w oczach, słabnie i przemyka główną ulicą ze spuszczoną głową, zamiast radośnie zamieniać kilka zdań z każdym przechodniem.

Czyli? Jest tu dokładnie tak, jak wszędzie... Oaza szczęścia, w której króluje ekscentryczna właścicielka zakładu „Mewa”, istnieje tylko w mojej wyobraźni.

– Sporo się tu zmieniło po moim powrocie – westchnęła Natalia zmienionym głosem. – A właściwie... po przyjeździe Wiktora. Niektórzy nie mogą znieść faktu, że nieszkodliwa stara panna postanowiła nagle ułożyć sobie życie.

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to w żaden sensowny sposób. Wyciągnęłam więc tylko rękę i niezdarnie pogładziłam ją po włosach.

W Ciechocinku to ona musiała ciągle mnie pocieszać i dodawać mi odwagi. Czyżby tym razem role miały się odwrócić?

NATALIA

Głupio mi było, że tak się rozkleiłam, od razu pierwszego dnia po jej przyjeździe.

Wydawało mi się, że doskonale nad wszystkim panuję. Że ta cała sytuacja z sąsiadami spływa po mnie jak po kaczce.

Niestety, bardzo się myliłam.

Kiedy Marzenka zignorowała mnie na samym środku ulicy, a Nina natychmiast to zauważyła, poczułam się nagle tak, jakby ktoś dał mi w twarz.

Miałam ochotę po prostu usiąść na chodniku i zalać się łzami.

Ale oczywiście nie było mowy, żebym to zrobiła. Płakałam na ulicy tylko raz w życiu i stanowczo nie zamierzałam tego powtarzać.

– Pójdziemy coś zjeść? – powiedziałam do Niny, ocierając ukradkiem dwie nieposłuszne łzy, które skorzystały z chwili mojej nieuwagi i zdołały wymknąć się spod powieki. – Skoro to twój pierwszy wieczór nad morzem, to chyba muszę zabrać cię na rybkę? A

potem, kiedy ludzie zejda z plaży, przejdziemy się wzduż domków rybackich... Opowiem ci historie, których nie wyczytasz w żadnym przewodniku...

NINA

Nad zatoką, koło odwróconej do góry dnem podrapanej łodzi, stała jakaś para z córeczką, na oko pięcioletnią. Rodzice, przytuleni do siebie, wyjmowali z opakowania wielki lampion. Dziewczynka trzymała w dłoniach podobny, tylko duzo mniejszy.

– Zaraz je podpalą i puszcza w niebo – mruknęła Natalia, dziwnie zdenerwowana.

– Fajny zwyczaj – powiedziałam.

Chyba naprawdę nie jest ze mną najlepiej. Na stare lata robię się sentymentalna! I to w taki okropny, kiczowaty sposób... Puszczenie w nocy lampionów szczęścia wydało mi się nagle szalenie romantyczne. Pomyślałam nawet, że jeśli kiedyś jeszcze się zakocham, też wypuszczę taki w niebo razem z moim narzeczonym.

Co za nedorzeczny pomysł! Moje siostrzyczki umarłyby ze śmiechu, słysząc, jak snuję takie plany!

Facet wyswobodził się z objęć szczupłej blondynki, podniósł córeczkę w powietrze i postawił ją wysoko na łodzi. Mała zachwiała się niepewnie. Łódka zachybotała na piachu.

Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę.

– Niech pan tego nie robi! – Natalia ruszyła zdecydowanym krokiem w jego kierunku.

Stanął jak wryty. Jego dłoń zawisała w powietrzu w pół gestu, z palcem na spuście zapalniczki.

– Niech pan nie puszcza lampionów... – Natalia była już przy mężczyźnie. Wspięła się odrobinę na palce, żeby spojrzeć mu w twarz. – Czy pan wie, jakie to niebezpieczne?

Mężczyzna wciąż nie odzywał się ani słowem, zszokowany nagłym atakiem.

Odezwała się za to jego żona:

– Co może być niebezpiecznego w bańce z papieru? Doceniam pani troskę, ale proszę się nie martwić, naprawdę. Uważamy bardzo, żeby córeczka nie poparzyła sobie rączek i nie zaglądała do środka. Wszystko będzie dobrze...

– Nie chodzi o państwa uroczą córeczkę – Natalia dyszała jak lokomotywa i kłapała szczękami jak stary wściekły krokodyl. – Chodzi o zwierzęta. Czy pani wie, że one próbują zjadać resztki lampionów spadających na pola, na pastwiska czy na lasy? Ranią przy tym przelyki drutami, na których rozpięta jest ta konstrukcja. Ptaki uciekają z gniazd, porzucając pisklęta, bo te bańki działają jak strachy na wróble. Jeśli wylądują

wśród gałęzi, gniazda natychmiast opustoszeją. Lampiony zagrażają też samolotom, zdarzały się już wypadki z powodu takiego papierowego baniaka, który dostał się do silnika.

– Ale... – mężczyzna usiłował jej przerwać, jednak bez powodzenia.

Natalia ciągnęła dalej:

– No i jeszcze kwestia ognia. Pożary w stodołach, w lasach, płonące zbiorniki z paliwem... Naprawdę nie warto tego robić, żeby chwilę coś ładnie wyglądało na niebie.

– Mamusia mówiła, że te lampiony psynosą szczęście – wtrąciła się nagle dziewczynka.

Natalia uśmiechnęła się do niej i bez namysłu sięgnęła do kieszeni.

– Co to jest? – zapytała mała.

Natalia szepnęła jej coś do ucha. Dziewczynka rozpromieniła się, zacisnęła mocno paluszki na niewidzialnym – przynajmniej z mojego punktu widzenia – przedmiocie i bez wahania zeskoczyła z łodzi na zimny piach.

– Co ty jej dałaś? – zapytałam kilka minut później, gdy szliśmy już same wzdłuż betonowego nabrzeża.

– Guzik – odparła Natalia. – Jedyne, co miałam przy sobie, a co mogło zamienić się w magiczny przedmiot, spełniający życzenia...

– Uwierzyła ci? – patrzyłam na nią sceptycznie.

– Sama byś mi uwierzyła na jej miejscu... – Natalia miała świetny humor.

Nie byłam na jej miejscu.

Rodzice dziewczynki też nie. I niestety, nie dostali od nikogo magicznego guzika.

– Jak pani śmie? – blondyna zrobiła krok w stronę Natalii. Wyglądała, jakby chciała ją uderzyć. Zaciśnięte pięści, głowa wysunięta do przodu... Jej mąż chyba też to zauważył, bo złapał ją za ramiona i przytrzymał w miejscu.

– Proszę zostawić nas w spokoju – powiedział, starając się, by jego głos brzmiał niemal uprzejmie. – To dla naszej rodziny wyjątkowo ważny dzień. Chcemy go uczcić...

– Mordując zwierzęta, a przy okazji, jeśli dobrze pójdzie, wywołując jakiś pożar? – Natalia pokręciła głową, patrząc mu prosto w oczy. – Świetny plan, naprawdę. Nie będę państwu przeszkadzać.

Mężczyzna wrócił do rozkładania lampionów. Zauważyłam, że trochę drżą mu ręce.

Natalia jednak wcale nie skończyła.

– Byłaś w fokarium? – zapytała dziewczynkę z szerokim uśmiechem.

– Ctely lazy – odpowiedziała mała, wciąż ściskając w palcach magiczny guzik. – I jutro pójdę jeszcze lazy. Nie zjadłam gofla po obiatku, żeby mieć pieńców złotych na jutro, wie pani?

Wolała patrzeć na foki niż jeść pysznego gofra z polewą czekoladową? Dzielną dziewczynka!

Ja na samą myśl o gofrach z tego okienka, które mijałyśmy na rogu Wiejskiej i... chyba Kaszubskiej?... miałam prawdziwy ślinotok. Od razu przykuły moją uwagę. Przechodząc obok, zobaczyłam chłopaka płacącego właśnie drobnymi i z trudem powstrzymałam się przed wyrwaniem mu gofra z dłoni. Wyglądał niesamowicie (gofr, nie chłopak). Z tymi jagodami spadającymi na rękę, z gęstą bitą śmietaną...

Ciekawe, czy smakowała tak samo jak ta, którą jadłam z Czarną Mańką – wtedy po prostu z Marynią – w Hortexie w niedzielne poranki, po wyjściu z babcią z kina. Kostka i Lutka były wtedy za małe na kino... Przynosiłyśmy im jednak do domu odrobinę bitej śmietany w słoiczku albo rurki z kremem, zapakowane przez ekspedientkę w Hortexie w szary papier. Ach, jak ja chciałam zostać kiedyś taką panią stojącą za ladą w różowym fartuszku i czepeczku, z gracją napełniającą rurki bitą śmietaną, z jednej strony, a potem z drugiej...

Tu, w Helu, na narożnym budynku pomarańczowymi literami napisano: „Niebo w gębie”. Nie byłam pewna, czy to nazwa cukierni, czy slogan reklamowy, ale mu uwierzyłam. Ta śmietana wyglądała tak, jakby miała smak tamtych chwil. Najpiękniejszych chwil mojego dzieciństwa.

Zerknęłam na zegarek. Może jeszcze będzie czynne? Może zdążę zjeść gofra, rozparta wygodnie w wiklinowym foteliku, jeszcze przed powrotem do mojej chatki na odludziu?

Zadumana nad smakiem bitej śmietany sprzed ćwierć wieku na chwilę oderwałam się od rozmowy Natalii z małą dziewczynką. I najwyraźniej zrobiłam błąd. Tam chyba działo się coś ciekawego!

– Dlaczego pani mówi, że jutło fokarium może być niecynne? – głos dziewczynki brzmiał, jakby miała się zaraz rozpląkać.

– Proszę natychmiast przestać, słyszy mnie pani? Proszę stąd odejść i nie denerwować mojej córki! – blondyna znowu zacisnęła pięści i poruszyła się gwałtownie do przodu.

Natalia jednak nie cofnęła się nawet o centymetr.

– Mówię prawdę – jej głos brzmiał spokojnie, ale stanowczo. I chyba tylko ja dostrzegałam, że z trudem panuje nad sobą. – Jeśli puścicie państwo te lampiony przy takim wiatyku od strony wody, jaki wieje w tej chwili, polecą one prosto nad fokarium. Wystarczy, że jeden z nich spadnie do basenu... Foki są bardzo mądre, ale też bardzo łakome. W czasie sekcji zwłok Krysi, która zdechła kilka lat temu, z jej żołądka wyciągnięto prawie siedemset monet. Turyści wrzucali je do wody, metal pobłyskiwał jak

rybie łuski, i Krysia łapała je radośnie...

– Co to za brednie? – głos blondynki stał się teraz skrzekliwy jak źle nastrojone skrzypce. Powstrzymałam się z całej siły, żeby nie skrzywić się, kiedy tak świdrowała poszczególnymi samogłoskami. – Proszę nie straszyć mojego dziecka!

– Ja nikogo nie straszę – Natalia mówiła niemal szeptem, patrząc gdzieś w stronę Gdyni błyskającej światłami za lewym uchem tej kobiety. – W fokarium można zobaczyć zdjęcie z sekcji zwłok biednej Krysi. Wisi tam nie po to, żeby kogoś straszyć, ale ku przestrodze. Żeby pomyśleć, zanim się rzuci beztrosko srebrny pieniążek... Dziwne, że państwo nie zauważyli sporego plakatu, odwiedzając to miejsce z córeczką już tyle razy.

– Nie zamierzamy rzucać żadnych pieniążków – wściekła się blondyna. – Będziemy po prostu puszczać kolorowe lampiony...

– Z drutami w środku – dokończyła Natalia. – Jeżeli taki lampion spadnie na teren fokarium i jeśli foka uzna ten kawałek drutu za rybę, a jest to bardzo prawdopodobne, umrze w męczarniach i z pewnością nie będzie to widok, który ucieszy pani córeczkę.

Mała zaczęła płakać i zgniatać lampion w dłoniach.

– Nie chcę go! Nie chcę! – wołała.

– No i co pani narobiła? – mężczyzna wysunął się z za żony, wyraźnie wściekły. – Musi nam pani oddać pieniądze za zniszczony lampion!

– Koleżanka niczego państwu nie zniszczyła – poczułam, że w końcu muszę się wtrącić... Stanąć w obronie Natalii.

– Zrobiła to państwa córka... Jedyna osoba w waszej rodzinie, która ma jeszcze trochę oleju w głowie... – Cóż, Natalia chyba jednak wcale nie potrzebowała mojej pomocy.

– Pani nas napastuje! To powinno być zabronione! – fuknęła blondynka, odwracając się na pięcie.

– Puszczenie tych lampionów też powinno być zabronione. I jest, w bardzo wielu krajach – zawołała za nią Natalia.

– Popsuła nam pani taki miły wieczór – westchnął mężczyzna, biorąc córeczkę za rękę i drepcząc trzy kroki za żoną.

– Dobrze, że państwo nie popsuliście go żadnej foce – wrzasnęłam.

A Natalia uniosła kciuk w górę i puściła do mnie oko. Albo tylko tak mi się wydawało w tej ciemności?

Stałyśmy chwilę bez ruchu, czekając, aż urocza rodzinka wysypie piasek z butów, wdrapie się na schodki i przejdzie z plaży na chodnik prowadzący wzdłuż ogrodzenia fokarium.

– Nie wiedziałam, że jesteś taka...

– Jaka? Klótliva? – uśmiechnęła się Natalia.

– Nie, taka... – szukałam w myślach odpowiedniego słowa. – Taka zaangażowana.

Westchnęła, patrząc przez moment na łódkę leżącą do góry dnem. Tę samą, na której kilka minut temu stała mała sepleniąca dziewczynka z lampionem w rączkach.

– Wiesz, nie lubię bezmyślności i głupoty – odpowiedziała w końcu. – A co do zaangażowania... Kiedyś mi go zabrakło. Mogłam coś zrobić, ale milczałam. Myślałam, że mnie to nie dotyczy. Myliłam się. Dotyczą nas nawet sprawy, których zupełnie o to nie podejrzewamy.

– Takie jak te lampiony? – zapytałam, chyba dość głupkowato.

– Właśnie takie – odparła. I nie dodała już nic więcej. Nie miałam więc pojęcia, co miała na myśli.

Postaliśmy tak jeszcze chwilę, patrząc bez słowa w ciemną wodę.

Uśmiechałam się do siebie. To była ta Natalia, którą znałam. Bezkompromisowa, mówiąca, co myśli, pomysłowa. Przez moment, pod salonem fryzjerskim wydawało mi się, że moja Natalia gdzieś zniknęła. Że zabiły ją kłopoty dnia codziennego. Ale ona wciąż tutaj była.

Od razu poczułam się lepiej.

Byłam gotowa, żeby wracać do siebie i przygotować się porządnie do telekonferencji z Hamishem. Mieliliśmy omawiać nasz tajny projekt codziennie, tylko we dwoje. A raz na cztery dni urządzać wielką burzę mózgow z Lutką i Mańką. Dzisiaj wypadał właśnie ten wieczór. Cała trójka miała na mnie czekać online dokładnie o północy. Oczywiście o ile Natalia faktycznie zadbała o wszystko i w ogóle będę miała tam zasięg. I jeśli pozbędę się krwiożerczego potwora...

– Nie zmieniałaś zdania? Pompon naprawdę może u ciebie zostać do jutra? – upewniłam się po raz dwudziesty.

– Oczywiście – uśmiechnęła się, machając sandałami, które trzymała w lewej dłoni. – Zostanie u mnie znacznie dłużej niż do jutra. Maks się nim zajmie i zrobi z niego porządnego, mądrego psa. Nie musisz się o nic martwić.

No tak, oczywiście. Wszystko załatwione. Pora udać się do mojego małego, uroczego domku na odludziu i skupić się na pracy.

Zerknęłam na zegarek.

– Muszę chyba zjeść coś słodkiego – jęknęłam po chwili wahania. – To był niespodziewanie emocjonujący wieczór...

– Idź na tego swojego gofra – oczywiście od razu odgadła, dokąd mnie ciągnie nieposkromione łakomstwo. – Ja podejść kawałek dalej, zapalić lampkę ojcu i Olkowi. I znajdę cię na Wiejskiej.

Wybierała się na cmentarz? O tej porze?

– Na Helu nie zamykają cmentarza na noc? – zdziwiłam się szczerze.

– Nie idę na cmentarz – odpowiedziała, patrząc w czarną toń morza. – Chcę postawić znicz tutaj, przy wejściu do portu wojkowego. Jak co tydzień, od prawie pięćdziesięciu lat...

Chciałam zapytać, czy właśnie w tym miejscu widziano ich po raz ostatni. Bałam się jednak, że to zabrzmiałoby niegrzecznie, wścibsko... Natalia mogła uznać, że wtrącam się w nie swoje sprawy. A więc po prostu obserwowałam w milczeniu jej ruchy. A potem ruszyłam za nią, momentalnie zapominając o gofrach.

ROZDZIAŁ 20

IM DALEJ W LAS, TYM WIĘCEJ DRZEW

NATALIA

Tego wieczoru mój telefon brzęczał znacznie częściej niż zwykle.

Pierwszy raz rozdzwonił się, gdy szłam z Niną w ciemności wzdłuż nabrzeża. Byłam wdzięczna, że poszła ze mną postawić tę świeczkę... Że o nic nie pytała, tylko po prostu była tam ze mną. Przemierzałam tę trasę sama już setki razy...

– Dzień dobry, czy to zakład fotograficzny „Mewa”? – zapytał szybko damski głos w słuchawce.

Nie zdążyłam przytaknąć ani wyjaśnić, że do „Mewy” lepiej jednak, mimo wszystko, dzwonić na numer stacjonarny. Kobieta nie dała mi dojść do słowa.

– Chcę sobie zrobić sesję – oświadczyła. – Bardzo proszę, niech mi pani przez chwilę nie przerywa. Jeżeli przestanę mówić, prawdopodobnie nie odważę się już nigdy więcej. Chodzi o sesję kobiecą. Wie pani, co mam na myśli? O takie zmysłowe zdjęcia w jakimś woalu, lekko przejrzystej sukience albo całkiem bez niej. Ale nie żadne porno! Chodzi o to, żeby wyciągnąć z modelki kobiecość, piękno i...

– Wiem, oczywiście, o czym pani mówi – zdołałam wtrącić przynajmniej to jedno zdanie. – Ale...

– Proszę, niech pani mi tylko nie radzi, żebym to jeszcze przemyślała! – znowu wyrzucała z siebie słowa jak z karabinu, szybko, bez oddechu... – I niech pani nie mówi, błagam, że to nie wypada! Wybrałam właśnie panią nie bez powodu. Pani akurat nie bardzo chyba wypada mówić, że czegoś nie wypada, prawda? Mogę być jutro o dwunastej. Co pani na to?

– Świetnie – mruknęłam oszołomiona. – Jesteśmy umówione.

– Świetnie – potwierdziła z ulgą i zakończyła rozmowę bez choćby słowa pożegnania.

Nawet nie zapytała o koszt takiej sesji.

Może to i lepiej? Ja przecież nie miałam pojęcia, ile powinnam za nią wziąć... Nigdy w

życiu nie robiłam zdjęć tego typu.

– One są obrzydliwe, ale zrobiły się ostatnio naprawdę bardzo modne. Najwyraźniej ta moda dotarła właśnie na półwysep. Na pewno fantastycznie sobie poradzisz. – Nina, gdy dowiedziała się, jakie zamówienie przyjąłam przed chwilą, nieudolnie usiłowała ukryć oburzenie. – Szkoda, że nie mam teraz czasu, żeby zostać i pomóc ci przygotować studio... Widziałam taką sesję buduarową jednej z naszych menadżerek. Wrzuciła zdjęcia na fejsa. Moim zdaniem taki brak wstydu i wycucia naprawdę fatalnie o niej świadczy, nie ma co marzyć o kolejnym awansie... Ale kilka pomysłów z tych jej zdjęć pewnie sprawdziłoby się dobrze i u ciebie.

NINA

Dziwnie się czułam, jadąc tym rowerem pustą drogą, w niemal całkowitej ciemności. Mdłe, żółtawe światło wysokich latarni sprawiało, że ze wszystkich stron otaczały mnie tańczące anemicznie cienie. Koło mojego lewego ramienia przemknął nagle motocyklista w zielonym kasku. Przeszył mnie dreszcz.

Jeszcze dwieście, może dwieście pięćdziesiąt metrów i będę musiała zjechać z głównej drogi, którą z rzadka przemykały rozpędzone samochody, pełne rozbawionych wczasowiczów lub zmęczonych pracowników sezonowych, wracających do domu po dwunastu godzinach w smażalni, lodziarni albo sklepiku z pamiątkami. Zostawię ich za plecami i wjadę w głęboki las.

– To zaledwie pas drzew między jezdnią a plażą – uspokajała mnie Natalia, kiedy opowiadała mi przez telefon o cudownym domku, który dla mnie wynajęła. – Jest tylko jeden feler: nie dojedziesz do tej wydmy samochodem. Zostawisz go u mnie pod domem i weźmiesz mój rower. To piętnaście minut spokojnej jazdy spod mojej furtki. Z tego, co pamiętam, rehabilitant zalecał ci regularne pedałowanie...

– A jeśli po drodze będzie się czaił jakiś psychopatyczny morderca? Albo gwałciciel? – zapytałam natychmiast.

– Jeżeli kiedykolwiek tam był, dawno umarł z głodu – roześmiała się głośno. – Czekanie na takim pustkowiu na ofiarę trwałoby latami. Nie mamy na półwyspie zbyt wielu morderców... A jeśli jacyś się pojawiają, to raczej tam, gdzie w sezonie ofiary same pchają się w ręce. W centrum Helu, na molo w Juracie... Na pewno nie w środku lasu!

Wtedy wydało mi się to całkiem logiczne.

Dzisiaj, skręcając w las i oddalając się z każdym obrotem kół od cywilizacji, uważałam

to za kompletny idiotyzm.

Na pewno połowa Helu już wie, że jakaś samotna babka z Warszawy wynajęła środkowy domek. A druga połowa dowie się o tym jutro rano. Psychopatyczny morderca może pojawić się w każdej chwili.

Możesz przenieść się do mnie w każdej chwili. Nawet w środku nocy. Jeżeli tylko uznasz, że samotność na odludziu jednak ci nie służy...

Te słowa Natalii tłukły się jak mantra, wciąż od nowa, pod moją czaszką.

Miałam wielką ochotę zawrócić i popędzić do jej małego, przytulnego mieszkanca nad zakładem fotograficznym.

Powstrzymywało mnie tylko jedno: komputer, który zostawiłam razem z innymi rzeczami wczesnym popołudniem w limonkowym domku. I telekonferencja z Hamishem i dziewczynami, która zbliżała się nieubłaganie...

NATALIA

– Nie gniewasz się?

– Nie żartuj! Dlaczego miałabym się gniewać? – potrząsnęłam głową, choć nie mógł tego zobaczyć. – Załatw wszystko do końca, tak jak musisz, przedłuż ten pobyt choćby i o tydzień, jeśli dzięki temu łódź będzie lepiej wyposażona, a ty spokojniejszy... Ja przecież doskonale rozumiem, że musisz wszystkiego dopilnować...

– Brakuje mi ciebie – westchnął. I, zanim zdążyłam odpowiedzieć, że mnie też go brakuje, zapytał niepewnym tonem: – Jak czuje się Adela? Bardzo się złościła, że wyjechałam bez pożegnania?

– Powiedziała, że zachowałeś się jak nędzny tchórz i nie chce cię widzieć już nigdy więcej na oczy – wypaliłam bez zastanowienia.

Po drugiej stronie zapanowała całkowita cisza.

– Żartuję! – zachichotałam – Tak naprawdę Adela jest w całkiem niezłej formie. Dzisiejsza wizyta Niny i obecność Pompona dobrze jej zrobiły. Wychodzi z siebie ze złości i nie ma czasu na tęsknotę.

– Powiedz jej, że niedługo wrócę – wyszeptał.

Mimowolnie zacisnęłam pięści ze złości.

– Zaraz jej to powtórzę – obiecałam.

Nie dotrzymałam jednak słowa.

Gdy tylko skończyłam rozmowę z Wiktorem, usiadłam przy biurku, na którym

rozłożone były notatki do ostatniego rozdziału mojego doktoratu. Naprawdę powinnam wreszcie do nich wrócić.

I wrócę, ale nie dzisiaj.

Dzisiaj było coś znacznie pilniejszego... Coś, co domagało się całej mojej uwagi i skupienia.

– Gdzie moja herrrbatka? – wrzasnęła Adela zza drzwi. – Chcę herrbatkę! Terrraz!

– W dupę sobie wsadź swoją herbatkę! – odkrzyknęłam wesoło.

A potem wyjęłam z szuflady czysty zeszyt, żeby zapisać w nim wszystko, co wiem na temat śmierci Doroty. I to, czego się tylko domyślałam.

Nie zdążyłam jednak napisać ani słowa, bo nagle przy mojej nodze pojawił się Pompon, uderzając czymś głucho o podłogę. O nie! Kulki gejszy! Moje najlepsze, silikonowe kulki zamieniły się właśnie w gryzak...

NINA

Chciałam mieć spokój i ciszę. No to miałam. Natalia, jak zwykle, załatwiła wszystko perfekcyjnie. Jak by to ona powiedziała? Spisała się na medal...

Tylko, prawdę mówiąc, nie spodziewałam się AŻ TAKIEGO spokoju. I ciszy tego rodzaju.

Od najbliższych zamieszkałych domów dzieliło mnie co najmniej półtora kilometra.

Z jednej strony miałam wydmnę, szeroką, całkowicie pustą (nawet w takie wczesnowakacyjne popołudnie jak dziś!), plażę i morze, z drugiej – gęsty stary las. No i te dwa puste domki, różniące się od mojego tylko kolorami.

W pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć, dlaczego nikt nie wynajął ich na lato. To był przecież prawdziwy raj. Oaza spokoju między dwoma pełnymi ludźmi kurortami.

Teraz, w środku nocy, rozumiałam to już naprawdę doskonale.

Szum tysięcy otaczających mnie drzew i skrzypienie starych pni zlewały się w jeden dźwięk, któremu towarzyszyły ciche trzaski suchych traw pod moimi stopami i rytmiczne pomruki fal rozbijających się o brzeg... Wszystko tonęło w całkowitej ciemności.

Tylko gdzieś w oddali można było dostrzec wśród drzew jedną jedyną, nieco jaśniejszą plamę. Najwyraźniej docierała tam jeszcze odrobina światła latarni, stojącej za lasem, na zakręcie drogi. Zamglona resztką jej blasku.

Przez moment żałowałam nawet, że zostawiłam Pompona u Natalii. Z nim byłoby mi raźniej, jazgotałby i kręcił młynki po całej wydmie, a potem pewnie wykopałby w niej

wielką dziurę i uciekł na plażę. Szukałabym go do świtu, nawołując i gwizdząc. Nie usiadłabym nawet na sekundę do komputera, byłabym wściekła...

Wzięłam głęboki wdech.

Miałam zająć się pracą, a nie wyobrażać sobie duchy snujące się wśród drzew.

Jutro pewnie i tak Natalia wyrzuci Pompona ze swojego przytulnego mieszkania i każe mi go zabrać tutaj, do żółtozielonego domku.

Muszę więc wykorzystać tę jedyną samotną, spokojną noc do maksimum. Porozmawiać z dziewczynami i z Hamishem, a potem pisać, pisać i pisać. Aż do bladego świtu.

Odstawiłam rower i wyjęłam klucz z kieszeni spodni. Trawy na wydmie znowu zatrzeszczały tak, jakby ktoś stawiał na nich ostrożne kroki.

Nie, zdecydowanie nie. Nikt nie stawia żadnych kroków. To tylko moja wyobraźnia po raz kolejny płata mi głupie figle.

Jeszcze dziesięć sekund i będę w środku. Zasłonię rolety i wreszcie zajmę się pracą.

NATALIA

Zapisałam maczkiem dziewięć stron.

Kto by przypuszczał, że wiem aż tyle o sprawie, o której oficjalnie ciągle nie przekazano mi żadnych informacji?

Mecenas Grotowski był na mnie wyraźnie obrażony. Zdenerwowało go to, że rozmawiałam bez niego z policyjną psycholog, a potem ze Szprotem. Powinnam przecież poczekać, aż Guccio wróci i będzie świadkiem mojego przesłuchania! Powtórzył mi dwanaście razy, że na pewno wynikną z tego dla mnie ogromne kłopoty.

W końcu nie wytrzymałam i przypomniałam mu delikatnie, że właśnie dzięki tej drugiej rozmowie wyszłam tak szybko na wolność. Szprot przecież nie znalazł żadnych powodów, żeby mnie trzymać za kratkami i zdołał przekonać o tym pozostałych gliniarzy. Adwokat zasępił się, milczał chyba przez dwie minuty, a potem oświadczył:

– To dopiero początek. Naprawdę wszystko świadczy przeciwko pani.

Z rozpędu zdradził mi kilka szczegółów, które zapisałam na pierwszej stronie mojego zeszyciku. Mogłam uważać je za w miarę pewne... Przecież słyszałam o nich bezpośrednio od prawnika.

Tak więc wiedziałam, że Dorotę zamordowano w warszawskim hotelu, którego nazwa nic mi nie mówiła. Wynajęła w nim pokój tylko na jedną noc. Przyjechała przed południem, w dniu, kiedy miała wygłosić ten nieszczęsny referat. Nie wyjaśniono jeszcze,

w jaki sposób została zabita.

– Prawdopodobnie trucizna, ale nie wiadomo jaka – oświadczył Grotowski w czasie naszej ostatniej, krótkiej rozmowy. – Raport toksykologiczny będzie gotowy dopiero za kilka tygodni, to zawsze zajmuje mnóstwo czasu.

W całym pokoju starannie wytarto wszystkie powierzchnie: stół, drzwi od szafy, ramę lustra i okna.... No i oczywiście klamki. Policjantom udało się zebrać tylko jakieś fragmenty odcisków palców. Niedopasowane na razie do nikogo.

– I który z tych faktów świadczy pana zdaniem o mojej bezspornej winie? – zapytałam mecenasa.

Pokręcił z politowaniem głową i pożegnał mnie chłodno.

Od tamtej pory nie odbierał telefonów.

Kolejny fragment układanki zdradziła Ninie jej prawniczka. A właściwie: była prawniczka. Bo Nina chyba w tej sprawie już nie była brana pod uwagę jako współwinna. Czy choćby... Jak to było? Pełniąca rolę wspierającą.

– Ona twierdzi, że przy łóżku Doroty stał w wazoniku bukiet konwalii. I wyjątkowo marnie wyglądające jaskółcze ziele – opowiadała mi, wciąż roztrzęsiona i blada jak ściana, gdy spotkałyśmy się w jej mieszkaniu po tej długiej, dziwacznej nocy spędzonej za kratkami.

Czy to mógł być przypadek?

Mógł, na pewno. Ale kto trzyma koło poduszki świeży glistnik? Nie znam nikogo takiego... Zwłaszcza jeżeli przyjeżdża do obcego miasta i spędza w anonimowym, hotelowym pokoju tylko jedną noc. I jeśli jest botanikiem, który musi zdawać sobie sprawę, że glistnik absolutnie nie nadaje się do przetrzymywania w wodzie!

Marysia, piękna czarnowłosa siostra Niny, którą miałam okazję poznać na komendzie, dowiedziała się następnego dnia jeszcze dwóch ciekawych rzeczy – i oczywiście natychmiast się nimi podzieliła z Niną, a Nina ze mną...

Po pierwsze: nigdzie nie znaleziono zaproszenia na konferencję ani tekstu wystąpienia, które miała wygłaszać Dorota, na wydruku albo pendrivie.

Po drugie: na stoliku przy łóżku oprócz wazonika był jeszcze woreczek z suszonym jaskółczym zieleciem i wszyscy spodziewali się, że sekcja potwierdzi jego obecność w organizmie ofiary. A wtedy moja sytuacja – jak twierdził tajemniczy informator Marysi – będzie naprawdę bardzo skomplikowana.

Ja, oczywiście, uważałam zupełnie inaczej. Gdyby ktoś mnie zapytał, mogłabym łatwo wyjaśnić przynajmniej tę sprawę. Dorota od wczesnej młodości cierpiała na kamienie

zółciowe. Jakaś stara lekarka poleciła jej picie co rano naparu z glistnika. Moja przyjaciółka robiła to przez cały czas, gdy mieszkaliśmy razem w akademiku. Miała specjalny kubeczek, w którym parzyła te swoje ziółka obowiązkowo jeszcze przed śniadaniem.

Stefan zawsze żartował, że idzie do pokoju Panienek Glistniczanek. Jedna z nas leczyła się glistnikiem, a druga pisała o nim pracę magisterską.

Może znajomość takiego faktu ułatwiłaby trochę śledztwo? I zdjęła ze mnie przynajmniej część podejrzeń?

Nikt jednak nie zapytał mnie o ten glistnik, oficjalnie w ogóle o nim nie wiedziałam. I chyba nie mogłam z nikim o tym rozmawiać, nie sprowadzając jednocześnie problemów na głowę Marysi... Bo przecież ona nie miała prawa wiedzieć takich rzeczy! To była wiedza ścisłego zarachowania – o ile istnieje coś takiego... Wiedza dostępna tylko dla tych, którzy to śledztwo prowadzą...

Zapisałam w zeszycie nie tylko fakty, ale też pytania, na które odpowiedzi powinny choć trochę przybliżyć nas do prawdy.

Takie jak to o tekst wystąpienia, którego nie znaleziono w pokoju Doroty. Byłam tym zaskoczona chyba nawet bardziej niż policja mająca na co dzień niewiele wspólnego z pracownikami naukowymi. Nie mogłam uwierzyć, że Dorota zamierzała mówić do takiego audytorium z pamięci, bez żadnych notatek czy też bez prezentacji wyświetlanej na ekranie... Owszem, pracowała przez kilka lat jako nauczycielka przyrody... Ale to jednak całkiem co innego. Nie występowała codziennie przed tłumem słuchaczy, wśród których jest sam ambasador... Nie zajmowała się botaniką od tylu lat, o pewnych gatunkach roślin – sądząc z tego, co napisała w swoim tekście – słyszała po raz pierwszy w życiu. Musiała zabrać z domu jakieś notatki! Dlaczego morderca nie chciał, żeby trafiły w ręce policji?

Tak, to pytanie na pewno warto było zapisać w moim zeszyciku. Tak jak i nazwiska osób, z którymi koniecznie powinno się porozmawiać.

Na pierwszym miejscu, rzecz jasna, znajdowało się nazwisko Stefana. Policja na pewno przesłuchała go bardzo dokładnie, gdy tylko wrócił z Ameryki, ale ja nie miałam dostępu choćby do strzępków tych zeznań. Nawet wszechmocna Marysia nie zdołała na razie dowiedzieć się swoimi kanałami, co powiedział.

Powinnam po prostu do niego zadzwonić i porozmawiać o tym wszystkim, co się stało. Popłakać razem, pomilczeć... A potem wypytać o ostatnie godziny życia Doroty i o to, czy miała jakiegoś wroga. Ale ja nie potrafiłam się jeszcze na to zdobyć. Miałam nadzieję, że

zobaczymy się na pogrzebie... Pogrzebu jednak ciągle nie było i nikt nie wiedział, kiedy się odbędzie.

Pozostawał mi tylko telefon.

Może zrobię to jutro? Jutro przecież też jest dzień, Scarlett O'Hara miała w tej sprawie całkowitą rację...

Po godzinie pracy śledczej poczułam, że muszę zrobić sobie małą przerwę. Zaparzyć herbatę, rozprostować nogi, zabrać psy na spacer.

To nie do wiary, jaki spokojny był Pompon w obecności Maksa. Szczeniak biegał za nim po całym domu przez piętnaście minut, a potem spał trzy godziny. I znowu, kwadrans biegu i długi sen... Bez żadnej wyrzutni przysmaków, szachów i kamizelek antystresowych... Nawet silikonowe kulki gejszy poszły w ką, gdy tylko pojawił się Maks.

Właściwie nie powinnam być zaskoczona.

Robiłam kiedyś zdjęcia na zjeździe weterynarzy w Jastarni. I przy okazji słuchałam fragmentów różnych referatów. Jeden dotyczył socjalizacji szczeniaka i wpajania mu norm obowiązujących w ludzkim świecie. Słyszałam tylko kawałek wyrwany z kontekstu, ale główna myśl była w nim bardzo klarowna: żaden człowiek nie wychowa psa równie szybko i skutecznie jak inny pies. Pod warunkiem oczywiście, że sam jest dorosły i dobrze wychowany.

Maks wyszkolony był idealnie.

Znowu zastanowiłam się przez moment, kim był jego poprzedni właściciel. W jaki sposób nauczył go tych wszystkich umiejętności.

Miałam nadzieję, że któregoś dnia się tego dowiem. Chociaż nie miałam pojęcia, jak.

Wrzaski na temat herbatki przybrały na sile.

– Utop się w tej herbacie – mruknełam pod nosem i otworzyłam drzwi prowadzące na cichą i ciemną ulicę Wiejską.

Maks na sygnał „spacer” natychmiast stanął na baczność przy mojej lewej nodze. Dziesięć sekund po nim przybiegł zasapany Pomponik. Wyglądał na najśladszego i najszczęśliwszego szczeniaka świata.

NINA

Na ganku nie było oczywiście żadnej lampki. Szybko włączyłam komórkę, żeby w

świetle rzucanym przez ekranik odszukać zamek i włożyć do niego klucz.

Gdy jednak zobaczyłam ikonkę z siedemnastoma nieodebranymi połączeniami... Gdy zobaczyłam, kto usiłował się do mnie dodzwonić, kiedy pedałowalam przez las, natychmiast zapomniałam o kluczu i telekonferencji, do której powinnam się szykować.

Z trudem usiadłam na chłodnych, chropowatych deskach oparta plecami o drzwi i próbowałam uspokoić oddech.

Czy mój świat, poskładany z takim wysiłkiem, miał właśnie się skończyć po raz kolejny?

NATALIA

Wyszłam spod prysznicza owinięta wielkim granatowym ręcznikiem i cichutko, na palcach przeszłam pod drzwiami Adeli. Żeby tylko jej nie obudzić, nie słuchać znowu tych awantur...

Pompon, zmęczony spacerem, spał wtulony w Maksa. Coś mi mówiło, że prześpi całą noc, może po raz pierwszy w swym krótkim życiu. Szkoda, że Nina nie może tego zobaczyć!

Zbierałam się właśnie, żeby zejść do atelier po aparat i sfotografować oba psy śpiące w rozkosznej pozie, gdy nagle zabrzączał mój telefon leżący na kuchennym stole.

Po raz trzeci tego wieczoru... Już właściwie nocy.

Kto mógł wydzwaniać o takiej porze?!

Oczywiście, była tylko jedna osoba, która mogła – a nawet powinna – do mnie zatelefonować. Nina. Na pewno to ona dzwoni, powiedzieć, że dojechała bezpiecznie.

Tylko dlaczego dopiero teraz?

– Wiktorrrr, kochanie! – Szlag by to trafił, dzwonek mojej komórki oczywiście obudził Adelę. – Wiktorrrr!

– To nie Wiktor, Adelo – zawołałam w stronę drzwi. – Śpij spokojnie!

Numer na wyświetlaczu nic mi nie mówił.

To nie była Nina.

Poczułam nagle ukłucie niepokoju.

Miała przecież zadzwonić, gdy tylko dojedzie na na Czarci Cypel!

– Halo? – odebrałam ze ściśniętym ze strachu gardłem.

– Natalio, czy to ty?

– Nina, dzięki Bogu! Gdzie jesteś, dziecino? Dlaczego dzwonisz z jakiegoś innego numeru?

– Tu Marysia, siostra Niny... Marysia Drop. Poznałyśmy się na komendzie...

Marysia, oczywiście. Podobny głos, ale inna intonacja... I inny numer telefonu.

– Czy Nina jest z tobą? – zapytała.

Zimny dreszcz przebiegł mi po kręgosłupie.

– Była tu, owszem... Ale już wróciła do siebie, do domku na... – w ostatniej chwili powstrzymałam się przed powiedzeniem: „na Czarcim Cyplu”. Ta nazwa raczej by się jej nie spodobała. – Do domku na plaży. To naprawdę urocze miejsce.

– Martwimy się o nią, Natalio... – Marysia nie dała się wciągnąć w rozmowę o walorach wizualnych małego domku, w którym umieściłam Ninę, i jego najbliższego otoczenia. – To niepodobne do Ninki. Nie odbiera telefonu. Nie zalogowała się do sieci. Czekamy na nią od kwadransa na telekonferencji... – W tej chwili głos Czarnej Mańki wcale nie przypominał już głosu Niny. Jego właścicielka była jednocześnie wściekła i śmiertelnie wystraszona. – Czy jesteś pewna, że dotarła na miejsce?

– Może ma problem z zasięgiem – powiedziałam bez przekonania. Zasięg był najważniejszą sprawą, o którą pytała Nina. Trzy razy o różnych porach dnia i nocy, w różnych warunkach atmosferycznych chodziłam z Maksym pod furtkę limonkowej chatki, żeby sprawdzić, czy komórka i komputer łączą się z siecią bez problemu. Internet nie był może najszybszy na świecie, ale był. Przez telefon zaś udawało się rozmawiać nawet w czasie burzy.

– Może... – słysząc było wyraźnie, że nie bardzo wierzy w takie wyjaśnienie.

Była już chyba tylko jedna rzecz, którą mogłam teraz powiedzieć.

– Zaraz tam pojedę i zadzwonimy do ciebie razem z Niną. Niczym się nie denerwuj, Marysiu. Na pewno jest jakieś proste wyjaśnienie...

CZEŚĆ V

WERANDA

ROZDZIAŁ 21

PRAWDA I CNOTA GINIE OD ZŁOTA

NATALIA

Zostawiłam samochód z włączonymi światłami i włączonym silnikiem oraz, oczywiście, z kluczykiem w stacyjce. Ryzykowne, wiem... Uznałam jednak, że szansa, że ktoś go ukradnie w środku nocy, w głębokim lesie za miastem jest znacznie mniejsza niż szansa – a właściwie niemal pewność – że akumulator rozładuje się, zanim wrócę, jeżeli włączę światła i zgaszę silnik.

Noc była ciemna, pochmurna. Na niebie nie było widać ani jednej gwiazdy.

Szłam wąską ścieżką między drzewami, oświetlaną reflektorami Mandarynki zza moich pleców. Pompon spał jak niemowlę w moich ramionach. Maks swoim zwyczajem biegł metr przede mną, oczywiście z nosem przy ziemi.

Obserwowałam go uważnie. Nie jeżył swojej krótkiej sierści, nie warczał, nie zatrzymywał się ani na moment. A więc było bezpiecznie.

Niestety, było też całkowicie ciemno. Za ostatnimi drzewami rysowały się już na tle nieba sylwetki trzech domków. W żadnym z nich nie paliła się najmniejsza choćby lampka.

Co to mogło oznaczać? Cholera... Czy to możliwe, że Nina zabłądziła w drodze z miasteczka? Dlaczego nie odprowadziłam jej jednak lub nie odwiozłam samochodem, nie bacząc na jej protesty? Przynajmniej ten jeden raz?

– Maks, do mnie – szepnęłam.

Pies posłusznie przykleił się do mojej łydki i szedł tuż przy niej, dokładnie w tym samym tempie, co ja.

Jeszcze kilka kroków i już byliśmy przy furtce.

Światła samochodu już tu nie sięgały. Trzymałam latarkę w dłoni, wciąż jednak nie odważyłam się jej włączyć. Jeżeli ktoś naprawdę czai się w mroku, będzie mnie miał jak na widelcu...

Pchnęłam furtkę. Zaskrzypiała przeciągle, bujając się na zawiasach.

Obluzowane. Trzeba by je dokręcić, następnym razem przyniosę śrubokręt – zarejestrowałam odruchowo w pamięci.

A potem zmrużyłam oczy, próbując wypatrzyć w ciemności choćby zarys drogi na ganek.

Rower! W pierwszej chwili ulżyło mi, gdy go zobaczyłam. Skoro tu jest, to nie ma wątpliwości, że Nina dotarła bezpiecznie na miejsce.

Dotarła... I co potem?

Czy to możliwe, że wyłączyła telefon i położyła się spać, zapominając o planowanej telekonferencji?

Absolutnie nie. Nina podłączyłaby się do sieci, nawet gdyby musiała czołgać się do komputera całymi kilometrami z otwartym złamaniem nogi... Widziałam w Ciechocinku, że pracowała naprawdę w każdych warunkach.

A to oznaczało, że coś musiało się stać – już tutaj, po jej powrocie.

Czyżby naprawdę ktoś czaił się w ciemności? A ja, idiotka, bagatelizowałam zagrożenie i zapewniałam ją, że to najbezpieczniejsze miejsce na Ziemi?

Poczułam zimne mrowienie na karku.

Przeżyłam tyle lat... A jednak wcale nie byłam gotowa, żeby umrzeć. Jeszcze nie teraz, nie tutaj, nie z ręki jakiegoś zbira.

Maks delikatnie trącił mnie nosem. Wyraźnie chciał coś mi pokazać.

– Co znalazłeś? – zapytałam, posłusznie wchodząc za nim po chybottliwych schodkach.

Pompon cały czas rozkosznie pochrapywał w moich ramionach. Odłożyłam go ostrożnie pod ścianę i w tym momencie zobaczyłam Ninę. Leżała na ganku zwinięta w kłębek, osłaniając rękami twarz, jakby broniła się przed ciosami.

Przez krótką chwilę myślałam, że nie żyje.

A potem usłyszałam jej szloch.

NINA

Czekałam na jego telefon, na jednego krótkiego SMS-a całymi tygodniami... Chowałam godność do kieszeni i dzwoniłam, pisałam, nagrywałam na pocztę głosową błagania, żeby się odezwał.

Bez skutku.

Musiałam nauczyć się żyć bez niego. Pozbyć się tej cholernej białej sukni i wszystkich wspólnych planów na przyszłość.

Przełknąć świadomość, że ktoś mnie odrzucił – i nie ma mowy o negocjacjach, zmianie warunków umowy, dopasowaniu oferty. Odrzucił w całości wszystko, co miałam do zaproponowania, zamknął drzwi, zniknął i już.

Teraz, ponad trzy miesiące później, było już trochę lepiej. SIS-4 rozwijała się w tempie, które zaskakiwało nawet mnie samą. Moje siostrzyczki nie tylko nie doprowadziły firmy do ruiny, ale nadały jej prawdziwy rozpęd.

Absolutnie nie miałam już czasu na rozmyślanie o niespełnionej miłości.

Było, minęło, mówi się trudno.

Jak by to powiedziała Natalia? Z pierwszą miłością jest jak z pierwszym naleśnikiem – prawie nigdy się nie udaje...

Mnie też się nie udało... I trzeba było z tym żyć.

Żyłam więc, i to całkiem nieźle. Miałam zwariowanego psa, nowy projekt na głowie, największy w historii naszej firmy. A ten wyjazd na koniec świata, na... Jak to się nazywało? Diabelski Cypel? Wydawało się, że to naprawdę świetny ruch.

Byłam pewna, że odzyskam tutaj w końcu spokój ducha i zacznę cieszyć się życiem.

I właśnie teraz, pierwszego wieczoru, zadzwonił on.

Maksymilian Bogumił Łysak we własnej osobie.

Zostawił mi na poczcie głosowej dwanaście wiadomości. A może i więcej? Po siódmej i tak przestałam je odsłuchiwać. To było ponad moje siły.

„Nina, kochanie... Wiem, że cię skrzywdziłem, ale musimy porozmawiać”.

„Nina, skarbie... Bez ciebie to wszystko po prostu nie ma żadnego sensu”.

„Nina, Kocham cię. Nic się nie zmieniło. Błagam, porozmawiaj ze mną, wysłuchaj spokojnie, co mam ci do powiedzenia”.

„Porozmawiajmy, proszę. Daj mi dziesięć minut. Pięć. Cztery. Wszystko ci wyjaśnię”.

„Ninka, gdzie jesteś? Byłem u ciebie w domu, ale ochroniarz przy bramie nie chciał mnie wpuścić. Powiedział, że wyjechałaś na dłużej. Czy coś się stało? Dzwoniłem do SIS-4, oczywiście nie podając prawdziwego nazwiska, ale też mnie spławili... Bardzo się martwię, naprawdę!”

„Odbierz, błagam. Kocham cię”.

„Kochanie, uwierz...Przez cały ten czas starałem się o tobie zapomnieć, ale nic z tego. Nie jestem w stanie. Nawet całując inną kobietę, widzę twoją twarz i szepczę twoje imię”.

Co takiego? Całując inną kobietę?!

To właśnie po tej wiadomości przestałam odsłuchiwać kolejne, nagrane na mojej skrzynce. Nie chciałam nic wiedzieć o jego nowych partnerkach i ich namiętnych

pocałunkach. Nie chciałam sobie tego wyobrażać.

Za późno. I tak sobie wyobraziłam.

I znowu dopadło mnie to uczucie, że rozlatuję się na milion kawałeczków.

Cisnęłam komórką byle dalej, gdzieś w trawę. Nie chciałam już nigdy słyszeć jego głosu.

– Odpierdol się ode mnie raz na zawsze! – wrzasnęłam w ciemność ile sił w płucach. –

Odpierdol się ode mnie, ty tępy chuju!

Zanosilałam się płaczem, chyba po raz pierwszy od dzieciństwa wylałam takie morze łez.

Nie mogłam przestać. Wylałam, ryczałam, gryzłam się w rękę, żeby nie wyć, i znowu wylałam.

I kiedy wydawało się, że już nie mogę poczuć się gorzej, że limit koszmarów na tę noc został już wyczerpany... Kiedy już prawie byłam gotowa dźwignąć się z tych desek, otrzepać, wejść pod zimny prysznic i zacząć telekonferencję z Hamishem i dziewczynami, komórka nagle zabrzęczała w piachu, może metr ode mnie. Ekranik migał rytmicznie, jakby chciał powiedzieć: „Podnieś mnie”.

Nie dałam się skusić.

Niestety, w czasie twardego lądowania telefon najwyraźniej przestawił się na tryb głośnomówiący.

Coś w nim pisnęło trzy razy, a potem rozległ się głos Maksa:

– Nina, odbierz, błagam. Musisz poznać prawdę. Twoje siostry... To one zmusiły mnie, żebym zniknął. Zapłaciły mi za to, zaszantażowały... Nie dały wyboru. Ale ja nie mogę tak żyć... Nie chcę, żebyś myślała, że cię zostawiłem... Nina, naprawdę musimy porozmawiać. Jeżeli nie chcesz wyjaśnień przez telefon, powiedz mi tylko, gdzie jesteś. Przyjadę i wszystko ci opowiem. Nina, błagam...

NATALIA

Maks lizał ją po twarzy, uszach, rękach. Nie reagowała. Leżała na ganku skulona jak niemowlę, któremu śni się coś złego. Jej ciałem co chwilę wstrząsał potężny dreszcz.

Z wysiłkiem podniosłam ją z tych nieheblowanych desek, posadziłam koło siebie i ciasno objęłam ramionami.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęłam.

Chlipnęła żałościwie i przywarła mocno do mojej wątlej piersi.

– Poukłada się, zobaczysz. Nawet jeżeli teraz w to nie wierzysz – powiedziałam, modląc się w duchu, żeby nie okazało się to obietnicą bez pokrycia. Jej wygląd nie pozostawiał

złudzeń: musiało wydarzyć się coś strasznego. I być może już nigdy nic nie będzie takie jak przedtem. Jeżeli wymordowano jej całą rodzinę... Podpalono dom i firmę... Zdiagnozowano epidemię wirusa ebola na jej osiedlu... W takiej sytuacji raczej nic się nie poukłada i wcale nie będzie dobrze, jak ją zapewniałam.

Ale przecież rozmawiałam z jej siostrą dosłownie dwadzieścia minut temu. Robiła wrażenie całej, zdrowej i solidnie zaniepokojonej.

– Twoje siostry bardzo się martwią – szepnęłam, głaszcząc ją po głowie. – Dzwoniła do mnie Marysia... Nie pojawiłaś się na telekonferencji, nigdy wcześniej ci się to nie zdarzyło, więc trudno się dziwić, że wszystkie trzy szaleją już z niepokoju...

– Możesz do nich zadzwonić? – Nina otarła łzy wierzchem dłoni i spojrzała na mnie z taką rozpaczą, że aż zrobiło mi się zimno.

– Oczywiście, zaraz wybiorę numer i będziesz mogła z nimi porozmawiać – wyciąganie komórki, kiedy jednocześnie trzyma się kogoś w ramionach, nie jest wcale takie proste. W końcu jednak jakoś mi się udało.

– Nie chcę z nimi rozmawiać – chlipnęła rozdzierająco. – Przekaż im tylko wiadomość, dobrze?

– Dobrze, kochanie. Jak sobie życzysz.

– Nie mów do mnie „kochanie”! – wrzasnęła, podrywając się nagle na równe nogi. – Nigdy więcej tak do mnie nie mów! A tym głupim krowom powiedz, żeby raz na zawsze odpierdoliły się ode mnie i od mojego życia! Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego!

ROZDZIAŁ 22

NIE WCHODZI SIĘ DWA RAZY DO TEJ SAMEJ RZEKI

NATALIA

To była naprawdę dramatyczna noc.

Chyba godzinę zajęło mi wyciągnięcie z Niny, co tak naprawdę się stało. Siedziała skulona, obejmując kolana i kiwając się rytmicznie w tył i w przód, i powtarzała jak katarynka:

– Nieważne. Nie chcę o tym mówić. Błagam, nie rozmawiajmy już na ten temat.

Nie dała się nawet zaprowadzić do środka. Siedziałyśmy więc w kompletnej ciemności na ganku, na chropowatych deskach. Nina płakała, ja głaskałam ją po włosach, a Maks na zmianę to lizał ją po twarzy, to znowu układał się tuż przy niej, kładł głowę na jej stopach i zastygał w bezruchu, jakby chciał ją w ten sposób uspokoić.

Pompon, nieświadomy trzęsienia ziemi przetaczającego się przez życie jego właścicielki, spał jak zabity. I całe szczęście! Bez niego i tak dostatecznie dużo się działo...

Korzystając z momentu jej nieuwagi, wysłałam SMS-a do Marysi:

Nic jej nie jest. Zadzwonię rano.

Miałam nadzieję, że do rana uda mi się jakoś dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

NINA

– Musiałaś coś źle zrozumieć – powtarzała Natalia chyba po raz dziesiąty.

– Zrozumiałam doskonale – chlapałam jej w ramię. – Zresztą, to się chyba musiało nagrać? Jeżeli tylko znajdę telefon...

Zapaliła latarkę i oświetliła kawałek trawnika, czy raczej wydmy, przed domem. Telefon leżał nie dalej niż dziesięć kroków od nas. Nie byłam w stanie się po niego ruszyć. Natalia odczekała dłuższą chwilę, a potem wstała i zeszła, żeby mi go podać.

Nie wróciła jednak na ganek. Zastygła z tą komórką w dłoni, wpatrzona gdzieś w dal.

– Co się dzieje? – zapytałam z najwyższym trudem, podnosząc oczy na Natalię.

– Nie słyszę silnika. I nie widzę światła – jej głos brzmiał w tym momencie naprawdę kiepsko. – Zostawiłam samochód na biegu jałowym, żeby oświetlić sobie drogę. I oczywiście znowu zagotował się płyn w chłodnicy. Po co ją montowałam?

– Albo po prostu skończyła się benzyna – podsunęłam. I zaraz znowu zaczęłam płakać. Nad sobą, nad tym, co usłyszałam od Maksa, i nad biedną Natalią, która nie wróci tej nocy do domu.

– Zrobię sobie spokojny spacer, a rano wezwę pana Wiesława, mojego mechanika – ona zupełnie nie widziała problemu.

– Spacer z Pomponem? Taki kawał? Powodzenia! – wydałam z siebie zduszony chichot. – Nie masz pojęcia, jakich sztuczek wymaga przejście z nim prosto choćby dziesięciu metrów.

– Przy Maksie twój piesek będzie szedł jak po sznurku. Już przecież raz to widziałaś! – powiedziała, szykując się do drogi.

Wzięłam głęboki oddech. Łzy znowu zaczęły płynąć jak głupie.

– Nie zostawiaj mnie. Nie dzisiaj – poprosiłam.

Cholernie rzadko proszę o coś innych ludzi. I Natalia doskonale o tym wiedziała.

NATALIA

Naprawdę poprosiła, żebym została! Nie mogłam jej odmówić.

– Wejdziemy do środka? – zapytałam.

Pokręciła głową.

– Zgubiłam gdzieś klucz. Wypadł mi, kiedy zobaczyłam, kto do mnie dzwonił.

Wydawałoby się, że znalezienie na pustym ganku klucza, nawet jeśli ma się do dyspozycji tylko niedużą latarkę, nie może być trudne.

A jednak było.

Po dwudziestu pięciu minutach poszukiwań postanowiłam dać sobie spokój.

Sprawdziłam wszystkie okna i wielkie, przeszklone drzwi wychodzące na plażę. Bez skutku, wszystkie były szczelnie pozamykane.

Do świtu zostały pewnie ze dwie godziny. Może trzy? Wtedy klucze same się znajdą.

– Posiedzimy na werandzie – postanowiłam. Są tam wygodne foteliki...

– Zimno mi – pisnęła Nina żałośnie.

Przyniosłam więc z samochodu dwa koce i butelkę wody gazowanej, która leżała w bagażniku chyba od Wielkanocy. Ale przecież woda mineralna nie może się zepsuć? Na

pewno nie w ciągu kilku miesięcy?

Zabrałam też kluczyki. Rychło w czas!

Kiedy wróciłam, Nina siedziała już na werandzie między skrzynkami pelargonii i mechanicznym ruchem głaskała Pompona leżącego na jej kolanach.

– Odsłuchaj tę jego wiadomość – poprosiła. – Zobaczysz, że nic sobie nie uroiłam...

Odsłuchałam więc, trzy razy pod rząd. A Nina za każdym razem płakała coraz bardziej.

– Widzisz? – chlipnęła.

Widziałam. To znaczy, słyszałam. Bardzo dokładnie. I ani trochę mi się to nie podobało.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – powiedziałam, chyba niezbyt przekonująco. –

Musisz z nimi porozmawiać.

– Nie ma mowy! – machnęła ręką tak, że doniczka z begoniami nad jej głową kiwnęła się gwałtownie w przód i w tył. – Nie mam już z nimi o czym rozmawiać. Podzielimy SIS-4 i każda z nas pójdzie swoją drogą. To jedyne rozwiązanie. Po czymś takim nigdy już nie zdołam im zaufać.

Wzięłam głęboki wdech.

– Na razie znasz tę historię tylko z ust Maksa – przypomniałam. – A on już raz bardzo boleśnie zawiódł twoje zaufanie. Na siostrach do tej pory zawsze mogłaś polegać. A więc daj im szansę na wyjaśnienie tego wszystkiego.

– Nie słyszałaś? – znowu zaczęła wymachiwać rękami. – One go szantażowały! Nie chciał mnie zostawić, ale nie miał innego wyjścia!

– Uwierzyłaś w każde jego słowo? – westchnęłam. – Bez cienia wątpliwości?

W głosie Maksa na tym nagraniu faktycznie było coś, co kazało mu wierzyć. Ale z drugiej strony...

– Nie znam zbyt dobrze twoich sióstr – zaczęłam ostrożnie. – Konstancję widziałam przez chwilę, w dość niecodziennych okolicznościach.

– Przy łapaniu rozwścieczonego kota na parkingu – pokiwała głową Nina. Czyżbym słyszała w jej głosie cień rozbawienia tym wspomnieniem?

Mówiłam więc dalej:

– Marię spotkałam w sytuacji jeszcze bardziej dla mnie niezwykłej.

– Za kratami. – Tym razem to już naprawdę był uśmiech! – Do dziś zresztą nie wiem, jak ona zdołała się tam dostać!

No właśnie. Marysia dokonywała rzeczy niemożliwych, żeby pomóc najstarszej siostrze... Oraz jej przyjaciółce, czyli mnie.

– Ludwiki jeszcze w ogóle nie miałam okazji poznać – dodałam. – Ale z tego, co

widziałam i co słyszałam, kiedy rozmawiałaś z siostrami w czasie pobytu w Ciechocinku, wszystkie cztery poszłybyście za sobą w ogień...

– Ja za nie na pewno – mruknęła, ciasniej otulając się kocem. – Ale one...

– One też – dotknęłam jej dłoni. Nie odsunęła się, nie zabrała ręki. – Ja po prostu nie wierzę, że z premedytacją zrobiły coś przeciwko tobie. Naprawdę musisz ich wysłuchać.

– Teraz?

Spojrzałam na zegarek i szybko pokręciłam głową.

– Teraz raczej nie. Na pewno poszły już spać. Poczekajmy do rana. Ty też powinnaś się trochę zdrzemnąć. Będę tu siedzieć i czuwać. Zsuniemy dwa foteliki, wyprostujesz nogi i...

– Nie zmrużę oka na tej werandzie! W ogóle nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam usnąć w tym domu!

– Za pusto i za cicho jak na twoje potrzeby? – uśmiechnęłam się pod nosem.

– Cicho? Chyba zwariowałaś! To morze szumi tak, że nie słyszę swoich własnych myśli!

– Nie spodziewałaś się tego?

Zastanowiła się przez moment.

– Chyba nie. Wiem, że to głupie, ale ja nigdy nie słuchałam morza. Nigdy nie siedziałam tak długo na plaży... W dodatku w środku nocy, kiedy nikt nie gada za parawanem po lewej, nie gra w piłkę nad twoją głową, nie nawołuje dzieci, nie słucha na tranzystorze relacji z olimpiady...

Wyraźnie wracała do formy. Potrafiła już skupić się na moment na czymś innym niż Maks... i domniemane kłamstwo jej sióstr.

Postanowiłam iść dalej tym tropem i zająć czymś jej myśli. Przynajmniej do świtu...

– Chciałabym jutro zadzwonić do Szprota, wyciągnąć z niego kilka informacji...

– W sprawie Doroty?

– A niby w jakiej innej sprawie mogłabym go niepokoić? Nie wiem tylko, czy ciągle zajmuje się tym śledztwem, czy może już wrócił do Bydgoszczy, do innych obowiązków. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że oddelegowali go do tego morderstwa na dłużej, skoro nas zna i tak stanowczo wstawił się za mną tamtej nocy...

– Nie daje ci to spokoju – spojrzała na mnie zaskoczona. – A przecież już oczyścili nas z zarzutów, możesz zapomnieć o wszystkim raz na zawsze...

– Nie postawili nam żadnych zarzutów, więc z niczego nas nie oczyścili – sprostowałam. – Śledztwo dopiero się zaczęło i nikt nie wie, dokąd doprowadzi trop. Za chwilę możemy znowu znaleźć się pod lupą policjantów.

– Nie baw się w detektywa! – spojrzała na mnie błagalnie swoimi zapłakanymi,

zielonymi oczyma. – To nie jest Ciechocinek... A ty nie rozwiążesz sama tej zagadki. Nie masz laboratorium, nie przeprowadzisz sekcji zwłok. Nawet nie dowiesz się, co ona tak naprawdę wykazała...

– Na razie jeszcze nic – mruknęłam. I w porę ugryzłam się w język, żeby nie przypomnieć, że sama przyniosła mi tę wiadomość od Marysi. Wymienianie imienia którejkolwiek z jej sióstr raczej nie było w tym momencie wskazane... Nie potrzebowałam przecież na tej werandzie kolejnego ataku hysterii.

Mogłam za to spokojnie opowiedzieć Ninie o rozmowie z Zosią, moją znajomą sprzed wielu lat, jeszcze z czasów krakowskich, która przepracowała czterdzieści cztery lata w pracowni toksykologii... Dziś była już na emeryturze, ale ciągle od czasu do czasu robiła ekspertyzy w szczególnie skomplikowanych sprawach. Występowała też regularnie jako biegła sądowa.

Ucieszona moim telefonem, bez żadnych oporów odpowiedziała na kilka pytań. Wiedziałam więc, że w toksykologii wielkiego przełomu w ostatnich latach nie było. Przeanalizowanie wszystkich wydzielin, płynu z gałki ocznej czy z błędnika, włosów i paznokci po prostu musi zająć trochę czasu.

– Co innego sprawdzenie, czy we krwi znajduje się jedna, konkretna substancja... Jakiś lek czy narkotyk... To można zrobić często bardzo szybko – tłumaczyła Zosia. – Ale pełna analiza, pozwalająca stwierdzić, w jakim stanie był zmarły, czego nadużywał i czy do jego śmierci mogła przyczynić się jakaś trucizna albo lekarstwo po prostu musi potrwać. W niektórych przypadkach zajmuje to nawet dwa miesiące.

– To dlatego ciągle czekamy na pogrzeb mojej znajomej – westchnęłam teatralnie. – Rodzina już się niecierpliwi... Muszę zadzwonić i im wyjaśnić, że to zupełnie normalne...

Oczywiście Zosia natychmiast żywo zainteresowała się tematem.

– Mogę zadzwonić do Warszawy, podpytać znajomych w laboratorium o tę konkretną sprawę – zaproponowała. – Może uda się trochę przyspieszyć wydanie ciała rodzinie.

Musiałam, niestety, grzecznie odmówić. Nie chciałam podawać jej nazwiska Doroty. Natychmiast skojarzyłaby je ze Stefanem... A skoro ze Stefanem, to i ze mną. W tamtych latach byliśmy przecież nierozłączni.

– Ciągle nie było pogrzebu? – Nina pokręciła głową z niedowierzaniem. – Zastanawiałam się nawet wczoraj, kiedy w końcu wybierasz się do Krakowa... Myślałam, że już skończyli te wszystkie korowody z sekcją zwłok i uroczystość opóźnia się tylko z powodu pobytu Stefana w Ameryce.

– Stefan już wrócił – mruknęłam niewyraźnie.

Nie zwiodłam jednak czujności Niny.

– W końcu do niego zadzwoniłaś? Wie, że aresztowali cię, to znaczy... zatrzymali do wyjaśnienia w związku z tą sprawą?

– Jeszcze nie rozmawialiśmy – przyznałam zgodnie z prawdą.

Przez chwilę walczyłam z pokusą, żeby zakończyć na tym swoją opowieść. Musiałam jednak zająć czymś Ninę... Odwrócić jej uwagę od sprawy Maksa i jej młodszych sióstr. Co nadawało się do tego lepiej niż opowieść o Stefanie?

– Ciągle nie mam odwagi do niego zadzwonić. Odkładam to z dnia na dzień. Wymieniłam z nim jednak kilka SMS-ów – powiedziałam, nie patrząc jej w oczy. – No, może kilkanaście.

Nina aż podskoczyła na krześle, kiedy to usłyszała.

– No wiesz! Romansujesz z wdowcem! Z takim świeżym wdowcem! Natalio, poczekaj... Poczekaj przynajmniej do pogrzebu!

Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Była autentycznie oburzona!

Kolejna strażniczka moralności na mojej drodze! Ostatnio wszyscy uważali za konieczne wtrącanie się w moje życie uczuciowe i zwracanie mi uwagi, że robię coś niestosownego. Od Niny jednak przyjmowałam takie uwagi łatwiej niż od pani Halinki z przychodni.

Tym bardziej że akurat w sprawie Stefana nie miałam sobie zupełnie nic do zarzucenia.

– Romansuję tylko z Wiktorem i naprawdę jestem mu wierna – uśmiechnęłam się do siebie. Kto by pomyślał, że będę musiała się tłumaczyć z takich rzeczy właśnie teraz, po siedemdziesiątce? – Stefanowi złożyłam po prostu kondolencje... Zapewniłam go też, że może na mnie liczyć, jeżeli będzie czegoś potrzebował, choćby przy organizacji pogrzebu. Tak, wiem, nie patrz tak na mnie. On ma dzieci, wnuki, całą rodzinę... Ale kto wie, może będą szukać namiaru na kogoś z dawnych znajomych albo starych zdjęć Doroty z czasów, kiedy nie byli jeszcze parą. W końcu to ze mną dzieliła na studiach pokój, byłyśmy przyjaciółkami... I Stefan doskonale wie, że zawsze dobrze sobie życzyłyśmy....

– Morderca też musiał wiedzieć, że się przyjaźniłyście... – Nina uniosła się z krzesła, zaskoczona swoim odkryciem. – Te kwiaty w wazoniku... Suszone jaskólcze ziele w woreczku... Zupełnie, jakby chciał wskazać cię palcem, prawda?

Pokiwałam głową. Myślałam o tym setki razy, odkąd dowiedziałam się, że przy łóżku Doroty znaleziono konwalie i glistnik jaskólcze ziele.

O tym, że pisałam pracę magisterską na temat symboliki glistnika, wiedziało mnóstwo osób. Tym bardziej teraz, kiedy jej fragmenty wyciekły do sieci i nie dawały się z niej usunąć.

Ale konwalie? To była bardzo stara historia... Stefan przynosił mi je zawsze, kiedy miałam ważny egzamin, jakąś rozmowę albo po prostu ciężki dzień. Obsypywał mnie konwaliami co roku, przez całą wiosnę. To była taka nasza mała, prywatna tradycja. Bukieciak konwalii, kajzerka lub dwie, a do tego butelka kefiru. Bo przecież zawsze zapominałam o śniadaniu...

Nigdy nie czułam się taka kochana, taka otoczona opieką i troską, jak wtedy, gdy wyjmowałam z papierowej torby te kajzerki i wtulałam nos między pachnące konwalie.

Ale o tym nie wiedział chyba nikt poza kilkoma osobami z naszego roku i panią Ewą z dziekanatu, zawsze kibicującą uczelnianym parom.

Poza tym... Na litość boską! Przecież to było pół wieku temu!

Przez cały ten czas, przez prawie pięćdziesiąt lat, spotkałam Stefana tylko raz, kilka miesięcy temu. Oglądaliśmy razem ołtarz Wita Stwosza, a on znowu dał mi bukieciak konwalii.

Ten jeden jedyny raz... Po tylu latach.

– Widzieliście się jeszcze po twojej ostatniej wizycie w Krakowie? – Nina patrzyła na mnie uważnie.

Pokręciłam głową.

– Odzywał się do mnie kilka razy, namawiając do udziału w jakiejś konferencji naukowej... Sprawdzając, czy pracuję nad artykułem o ołtarzu i nad doktoratem. Od kiedy zrobiło się głośno o moim odkryciu, o tym, że wypatrzyłam w kościele Mariackim rukwiel nadmorską, której nie zauważył na ołtarzu nikt inny przez ponad pięćset lat, ciągle mnie gdzieś zapraszano.

– Nie miałaś ochoty pojechać na jakąś wielką konferencję i narobić zamieszania swoim referatem?

Zastanowiłam się przez moment nad odpowiedzią. Chciałam, żeby była całkowicie szczerą.

– Przez dzień czy dwa wydawało mi się, że to dobry pomysł. Kusiło mnie, żeby zobaczyć miny tych wszystkich, którzy pięćdziesiąt lat temu kpili z wybranego przeze mnie tematu i powtarzali, że na ołtarzu nie da się odkryć już nic nowego. A potem... Potem mi się odechciało.

– Tak po prostu?

– Całkiem po prostu – uśmiechnęłam się, widząc jej zdumioną minę. – Uznałam, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Poprosiłam Stefana, żeby w ogóle nie przesyłano mi tych wszystkich zaproszeń przychodzących na adres naszego wydziału. Pracuje tam,

więc wie najlepiej, co wyrzucić, a co przekazać któremuś z doktorantów albo adiunktów... Nie chciałam w ogóle wiedzieć, co mnie omija. To już nie było moje życie.

– Doktoratu też nie dokończysz? – w głosie Niny słyszałam autentyczny żal.

– Dokończę – oświadczyłam. – Siedzę nad nim od dnia, kiedy wróciłam z Ciechocinka.

Dwa razy jeździłam do biblioteki w Gdańsku, kupiłam przez Internet chyba z pięćdziesiąt książek. I wiesz, naprawdę niewiele mi już zostało do napisania. Trochę poprawek w pierwszej części, dopisanie paru akapitów w obszernym rozdziale z podsumowaniem i oczywiście dyskusja z odkryciami innych badaczy... Temat na szczęście w ogóle się nie zestarzał przez pięćdziesiąt lat! A ja po prostu czuję, że muszę to zrobić. Dla samej siebie... Po to, żeby przez resztę życia nie żałować, że nie napisałam tego doktoratu. Żeby wykreślić go z listy niezrealizowanych spraw.

– Masz taką listę?

Pokiwałam głową. Moja lista naprawdę istniała. Nie była długa, ale każdy z zapisanych na niej punktów sprawiał mi ból... A każdy przypominał o sobie i regularnie domagał się załatwienia.

Doktorat był wyjątkowo czasochłonny, ale chyba i tak najprostszy w realizacji.

– Cztery, może pięć punktów – westchnęłam. – Takich, o których myślę codziennie, zanim podniosę się z łóżka... I potem, chwilę przed snem.

– Niezrealizowane sprawy potrafią dać w kość. Coś o tym wiem – oświadczyła Nina, patrząc przed siebie, na fale rozbijające się o ciemny brzeg.

Zaskoczyła mnie tym wyznaniem. W jej młodym, pełnym sukcesów życiu nie powinno być przecież takich spraw, przez które człowiek budzi się zlanym potem!

– Myślałaś o doktoracie codziennie, przez prawie pięćdziesiąt lat? – ona też była zaskoczona tym, co powiedziałam jej przed chwilą.

Skinęłam głową.

– Stał się dla mnie symbolem tego wszystkiego, z czego musiałam zrezygnować, gdy dowiedziałam się o śmierci ojca i Olka... Symbolem życia, które miałam prowadzić w Krakowie. Spełnienia na każdym polu. Muszę dociągnąć go do końca, żeby już nigdy nie śnić o tym, jak inaczej mogłyby wyglądać wszystkie lata, które spędziłam za kontuarem zakładu fotograficznego „Mewa”, gdyby nie tamten telegram odebrany w paryskim hoteliku...

Popatrzyła na mnie uważnie i przykryła moją dłoń swoją. Wciąż zimną i drżącą.

Jeszcze trochę, a ta dziewczyna naprawdę nauczy się czułości i empatii! Jeżeli tylko Maks i trzy nieprzewidywalne siostrzyczki Drop nie zamrożą na dobre jej serca dziwną

historią, o której dowiedziałyśmy się tej nocy...

ROZDZIAŁ 23

CO Z OCZU, TO I Z SERCA

NATALIA

Nina, wbrew zapowiedziom, że nie zmruży oka w tym hałasie, spała spokojnie i nawet uśmiechała się do siebie. Szum fal najwyraźniej bardzo jej służył.

Delikatnie okryłam ją kocem. Biedne dziecko! Niech odpoczywa, póki może. Rano czekała ją przynajmniej jedna ciężka rozmowa.

A może i dwie?

To, że musi wyjaśnić z siostrami wszystko, do samego końca, nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości. Były rodziną i z tego, co widziałam, naprawdę bardzo się kochały. Może to będzie bolesne i potwornie trudne – ale na pewno przyniesie ulgę. One przecież zawsze trzymały się razem.

Ale co zrobić w sprawie Maksa?

Zastanawiałam się przez chwilę, co powinnam jej powiedzieć, jeśli poprosi o radę. Czy namawiać ją na rozmowę z cudownie odnalezionym narzeczonym i szczere wyjaśnienie wszystkiego do końca? Czy raczej przekonywać, że – w myśl zasady: „co z oczu to z serca” – najlepiej będzie już tę sprawę zostawić i dać ranom spokojnie się zasklepić?

Chyba jednak to pierwsze. Ja nigdy nie wyjaśniłam ze Stefanem tych najważniejszych spraw. Schowałam się przed nim, kiedy przyjechał, słuchałam z za drzwi jego rozmowy z Mariką... Nie spojrzałam mu w oczy, nie powiedziałam „żegnaj”.

Wtedy wydawało mi się, że tylko tyle mogłam zrobić. Teraz coraz częściej myślałam, że to był cholerny błąd... Że nasza miłość zasługiwała jednak na tę pożegnalną rozmowę.

Podjęłam w życiu sporo głupich decyzji i naprawdę nie byłam właściwą osobą, żeby cokolwiek Ninie doradzać. Ale jeżeli zapyta, powiem jej, że powinna spotkać się z Maksem, spojrzeć mu w oczy, wysłuchać go. I dopiero wtedy dać mu kolejną szansę... Albo zapomnieć o wszystkim.

Przymknęłam oczy, jak mi się zdawało tylko na moment.

Gdy je otworzyłam, poraził mnie blask czerwonej kuli wyłaniającej się z wody. Wschód słońca! Jak dawno nie oglądałam go na plaży...

Kiedyś, przed wyjazdem do sanatorium, często budziłam się przed świtem. Leżałam i patrzyłam, jak ciemność ustępuje szarości, a potem do sypialni zaczynają wpadać przez szpary w okiennicach pierwsze promienie słońca.

Potem zamieszkał ze mną Maks i myśl o długich wczesnych spacerach po pustej plaży nagle zaczęła mnie cieszyć.

Zanim ją wprowadziłam w życie, pojawił się jednak w moim progu Wiktor ze swoją walizką (kilkoma walizkami, prawdę mówiąc) i nagle przestałam budzić się przed świtem. A jeśli już się obudziłam, wtulałam się w niego i zasypiałam ponownie. Albo, od czasu do czasu, zauważałam, że i on otworzył już oczy... I wtedy witaliśmy świt razem, w sposób niemający nic wspólnego ze spacerem brzegiem morza, ale chyba nawet od niego przyjemniejszy...

Uśmiechnęłam się do wspomnień z tego ostatniego poranka przed jego wyjazdem do Chorwacji. Po poduszce przesunął się pierwszy promyk słońca, a my kochaliśmy się niespiesznie, co chwilę gubiąc rytm, żeby popatrzeć sobie w oczy, wymienić kilka pocałunków albo powiedzieć coś zabawnego.

Wiktor potrafił żartować nawet w sypialni. Nawet wtedy, gdy wszystko szło nie tak i wydawało się, że o pewnych radościach będziemy już mogli mówić wyłącznie w czasie przeszłym.

– Widzisz, że warto czasami zaufać lekarzowi? – szepnął mi do ucha tamtego poranka.

Widziałam. Znowu wszystko było w idealnym porządku.

– Bardzo lubię twojego lekarza – odpowiedziałam, całując go raz jeszcze... Który to już raz, od kiedy obudziliśmy się w szarym świetle świtu?

– A ja twojego farmaceutę – wyszeptał, oddając mi pocałunek. I dokładając kilka kolejnych, w różnych miejscach na mojej skórze.

– Farmaceutkę – poprawiłam go, chichocząc, bo bardzo łaskotał mnie w pępek.

Nie śmiałabym pójść do pana Jacka, prowadzącego od trzydziestu lat aptekę tuż koło „Mewy”, po nawilżający żel do pochwy, wzbogacany estrogenami. Nie sądzę, żeby miał coś tak nieprzyzwoitego na swojej półce. A nawet gdyby miał, to przecież nie dla mnie!

Już raz, ponad czterdzieści lat temu, poprosiłam go o podanie trzech paczek prezerwatyw. Kupowałam je w zupełnie niewinnym celu... To był początek lat siedemdziesiątych. Chciałam urządzić Mikołajowi bajeczne przyjęcie urodzinowe, a na całym półwyspie nie sposób było kupić serpentyn, konfetti czy baloników. Serpentyny i

konfetti wykonałam we własnym zakresie. W końcu od czego są nożyczki i dziurkacz? Baloniki też wyprodukowałam własnoręcznie, przemalowując słynne Erozy na niebiesko, żółto, zielono i fioletowo.

– Dlaczego mi pani od razu nie powiedziała, że to na baloniki? – zapytał farmaceuta z pretensją w głosie tydzień później. Najwyraźniej mama któregoś z małych gości opowiedziała mu o tym, skąd się wzięły w moim domu wszystkie cudowne dekoracje.

– A dlaczego miałabym panu o tym mówić? – nie rozumiałam.

Obraził się chyba na dwa tygodnie.

Stare panny wychowujące trójkę bratanków nie powinny kupować takich bezceństw i kropka. A jeżeli już muszą, to wyłącznie z dokładnym wyjaśnieniem, w jakim celu to robią.

Bardzo stare panny mieszkające z kochankami nie powinny nawilżać swoich pochw. Jeśli jest za sucho, powinny zacisnąć zęby i cierpieć w milczeniu. Może jeśli cierpienie będzie dostatecznie okropne, nareszcie raz na zawsze wywietrzeją im z głowy takie głupoty jak seks!

Kupiłam więc żel we Władysławowie, klnąc pod nosem i obiecując sobie uroczyście, że to już ostatni raz.

Niech tylko wszyscy w Helu przyzwyczają się nieco do Wiktora, a wtedy pójdę po kolejną tubkę do pana Jacka w godzinach największego aptecznego ruchu. Poczekam, aż zrobi się kolejka, dwukrotnie zakręcana, i powiem bardzo głośno, co ma mi podać. A potem niech sobie gadają na nasz temat na każdym rogu i pokazują nas palcami! Nie dam się przekonać, że robię coś złego.

Nie i już.

Czerwona kula była coraz wyżej, rzucając na morze jaskrawe błyski. Dziś mogłabym zrobić naprawdę piękne zdjęcia... Gdybym tylko zabrała ze sobą z domu aparat!

Spojrzałam z pretensją na moją małą torebkę. Wrzuciłam do niej tylko klucze, komórkę i zeszyt z notatkami na temat śmierci Doroty – chyba dlatego, że gdy odebrałam telefon od Marysi, leżał tuż obok kluczy. Musiałam schować go do torby odruchowo... Bo przecież nie zamierzałam prowadzić śledztwa w środku nocy na Czarcim Cyplu?

Teraz jednak okazało się, że weranda Niny to idealne miejsce na małą, poranną gimnastykę dla szarych komórek. Było na tyle jasno, że bez kłopotu mogłam czytać swoje notatki. I w spokoju zastanawiać się, co z nich wynika.

Przejrzałam je uważnie. I jeszcze raz.

Zanotowałam, że muszę zadzwonić do redakcji „Przeglądu Botanicznego”. W tym artykule Doroty było coś dziwnego. Tak naprawdę było w nim bardzo wiele dziwnych rzeczy. Pomyłek, przejęzyczeń, nieprawidłowo oznaczonych roślin... Poważnych błędów merytorycznych i całkowitej ignorancji w kwestiach historycznych i artystycznych...

Dorota nie pracowała w swoim zawodzie od kilkadziesiąt lat. Nigdy nie chciała robić kariery naukowej. Nie pisała artykułów nawet do uczelnianej gazetki, a co dopiero mówić o poważnych periodykach, w których każdy tekst jest surowo oceniany przez dwóch recenzentów... Ale mimo wszystko była magistrem botaniki... I na pewno nie można jej było nazwać niefrasobliwą idiotką.

Jakim więc cudem oddała do redakcji coś tak marnego? Tekst, w którym dosłownie roiło się od błędów? Zupełnie jakby nie miała dostępu nie tylko do biblioteki, ale nawet do polskiej wersji Wikipedii!

I – to dopiero było naprawdę zadziwiające – jakim cudem ten artykuł, urągający elementarnej wiedzy z zakresu botaniki i historii sztuki przeszedł redakcyjne sito, a potem, zgodnie z obowiązującymi w „Przeglądzie” procedurami, otrzymał pozytywne recenzje dwóch samodzielnych pracowników naukowych, co najmniej z tytułem doktora habilitowanego? I, jakby tego było mało, został do mnie wysłany jako wyjątkowo interesujący?

Nie byłam pewna, kto z nas oszalał: ja, Dorota, recenzenci, czy młodzi botanicy pracujący w redakcji „Przeglądu”. I czułam, że koniecznie muszę się tego dowiedzieć.

Miałam też kilka pytań do Szprota. Często powtarzał, że jeszcze nie spłacił swojego długu wdzięczności wobec mnie. No to teraz nadarzy mu się okazja! Nawet jeżeli uczestniczył w tym śledztwie tylko przez pół dnia, to chyba wie, jak wyglądały ostatnie godziny życia Doroty? Opowie mi o tym jak na spowiedzi... I wreszcie będziemy kwita.

Była jeszcze trzecia rozmowa, którą musiałam odbyć – ze Stefanem. Wiedziałam, że nie zdołam rozwikłać zagadki śmierci jego żony, jeżeli mi nie powie, dlaczego to akurat ona pisała ten artykuł... No i czy ciągle miała zwyczaj pić codziennie napar z glistnika, tak jak przed laty w akademiku.

Stefan...

Naprawdę wolałabym rozmawiać z nim w nieco innych okolicznościach.

Uśmiechnęłam się, wspominając słowa zbulwersowanej Niny: „No wiesz! Romansujesz z wdowcem! Z takim świeżym wdowcem! Natalio, poczekaj... Poczekaj przynajmniej do pogrzebu!”.

Nie romansowałam z nim.

I wcale nie zamierzałam romansować.

Ale czy fakt, że był wolny, że – czysto teoretycznie – po tylu latach mogłam znowu mieć go dla siebie, naprawdę niczego tu nie zmienił? Czy podświadomie nie byłam zła na Wiktora, że pojawił się właśnie teraz? Ten bursztyn z bajeczną inkluzją... Zastanawiałam się, czy zareagowałabym na jego widok równie nerwowo, gdyby Dorota wciąż żyła...

Nie zdążyłam sobie odpowiedzieć na to pytanie, bo nagle Maks, pochrapujący przy moich stopach, poderwał się z głębokiego snu na równe cztery łapy. Bezszelestnie zrobił kilka kroków na skraj werandy, nastawił uszy i czekał.

– Co się dzieje? – szepnęłam niemal bezgłośnie, żeby nie obudzić Pompona.

Maks stał bez ruchu, wyprężony jak struna. Tylko jego nos drżał leciutko, najwyraźniej próbując się zorientować, czy ma do czynienia z wrogiem, czy z przyjacielem.

A może tylko z mewą?

Nie, mewy ignorował od samego początku. Nie zerwałyby się nogi tak raptownie z powodu jakiegoś ptaszyska.

I na pewno nie machałyby teraz wesoło ogonem, słysząc jego kroki!

– Pani Natalio? Jest pani tutaj? – od strony ganku odezwał się cichy damski głos.

Pompon podskoczył jak oparzony i zaczął jazgotać tak, że chyba było go słychać nad małym morzem, mniej więcej w okolicy Chałup.

Nina gwałtownie poderwała się z krzesła, zrzucając koc na ziemię. Zaplątany w niego Pompon już nie czekał, lecz wył. Nie wątpiłam, że Puck, Władysławowo i Rzucewo też się już obudziły. Ależ on miał głosik w tym małym ciele!

– Kostka? – Nina zrobiła się blada jak ściana. – Co ty tu robisz?

– Jakim cudem nas pani znalazła? – zapytałam.

Najmłodsza z sióstr Niny nienawidziła prowadzić samochodu i rozmawiać przez telefon. Tej nocy najwyraźniej musiała przełamać się w obu sprawach.

– Mańka zadzwoniła do mnie w stanie hysterii. Akurat szłam spać, miałam o szóstej rano wyjechać z moją czempionką na krycie... Ale kiedy się dowiedziałam, że one nie mogą ruszyć się sprzed komputera, próbując ugłaskać Hamisha, a ty zaginęłaś bez śladu na jakiejś Diabelskiej Wyspie...

– Na Czarcim Cyplu – poprawiłam ją szybko.

– No właśnie – zgodziła się od razu, leciutko się rumieniąc. Była w tym taka podobna do Niny... Tylko jeszcze bardziej krucha, jeszcze subtelniejsza... – Mańka podyktowała mi dokładnie wszystko, co opowiadałaś jej o tym miejscu. Tylko trzy kolorowe domki, ponad

kilometr przed miasteczkiem, w głębokim lesie. Zapytałam jakiegoś rowerzystę, czy kojarzy takie miejsce, a on od razu wskazał mi drogę. I naprawdę cię tutaj znalazłam! – zrobiła krok w stronę siostry, chcąc ją przytulić, ale Nina natychmiast się cofnęła.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Konstancji. Jeszcze nie wiedziała, że tej nocy coś się zmieniło...

– Zaraz zadzwonię do dziewczyn, że nic ci nie jest! – powiedziała wesoło.

– Zadzwon i wracaj do swojej czempionki – głos Niny był zimny jak stal. – I nigdy więcej nie próbuj się ze mną kontaktować.

– Zwariowałaś? – młodsza siostra patrzyła na nią zszokowana. – O co ci chodzi? Wszyscy się zamartwiają! Pędziłam przez pół Polski na złamanie karku, żeby cię odszukać.

– Odszukałaś. Dziękuję. Do widzenia – wyrzuciła z siebie Nina jednym tchem, po czym ruszyła biegiem w stronę plaży... I dalej przed siebie, prosto do wody.

Za nią pędził oczywiście Maks w towarzystwie rozdzierająco ujadającego Pompona.

NINA

Może wbieganie o szóstej czy siódmej rano po same uszy do lodowatego morza nie było najmądrzejsze, zwłaszcza w dzinsach i ciężkiej frotowej bluzie. Na pewno jednak pomogło mi błyskawicznie odzyskać spokój. I stracić z oczu tę zdrajczynię.

Nie chciałam z nią rozmawiać.

Nie chciałam słuchać, co ma mi do powiedzenia.

Stałam w wodzie, trzęsąc się z zimna, z trudem łapiąc oddech między kolejnymi falami zalewającymi mi twarz... I wcale nie chciałam się cofnąć.

Przez moment miałam nawet ochotę zrobić jeszcze jeden, ostatni krok.

Straciłam przecież wszystko, w co wierzyłam. Najpierw miłość Maksa, teraz lojalność moich sióstr. Pewnie niebawem odbiorą mi też SIS-4. A może planowały to od początku?

Zostanę sama jak palec.

– Brawo, Pomponik! Brawo! – krzyczała Natalia za moimi plecami. – Nina, widziałaś?

On naprawdę umie pływać!

Nagle do mojej twarzy przywarło coś mokrego, kudłatego i głośno dyszącego.

– Pompon! – złapałam go szybkim ruchem i z całej siły uniosłam w górę, żeby go nie zalała kolejna z nadciągających fal. – Pompon, kruszyno...

Moje łzy mieszały się ze słoną morską wodą.

Maleńki piesek naprawdę rzucił się do morza, bo myślał, że go potrzebuję.

Więc może jednak nie będę całkiem sama. Zostanie mi Pompon... i Natalia.

Będę musiała znowu zaczynać wszystko od początku, mając przy sobie tylko zwariowaną starszą panią i oszalałego szczeniaka.

NATALIA

Nina siedziała na piachu i głaskała Pompona, który biegał wokół niej, bardzo z siebie dumny.

Ja też byłam z niego dumna.

Ale teraz musiałam wyjaśnić wszystko Konstancji.

– Niech pani mówi do mnie po prostu Kostka – poprosiła. – Nienawidzę tego królewskiego imienia, jak my wszystkie. Mamusia naprawdę się postarała, żeby złamać nam życie.

– Niech pani mówi do mnie Natalia. Tak jak dwie z pani sióstr... – zaproponowałam, nie wdając się w dyskusję o ich matce i nietypowych imionach.

Podąła mi rękę na znak przejścia na ty. A potem zaczęła płakać.

– O co jej chodzi? – chlipnęła. – Dlaczego tak mnie potraktowała?

Zanim odpowiedziałam, Nina, która zdążyła właśnie wstać z piachu i dotrzeć na werandę, zaczęła wrzeszczeć jak szalona:

– Idź stąd! Idź! Wypierdalaj, rozumiesz? Natalio, błagam, powiedz jej, że mówię poważnie! Zabierz ją stąd! Zabierz jak najszybciej!

Kostka posłusznie ruszyła w stronę furtki.

Maks natychmiast podreptał za nią z dumnie uniesionym ogonem.

Nie było wyjścia, ja też podniosłam się z miejsca. Może Nina faktycznie potrzebuje więcej czasu, żeby ochłonąć?

– Będziemy u mnie w domu! Przyjdź, kiedy zechcesz! – zawołałam na odchodne.

A potem przypomniałam sobie o kluczu. Nie mogę jej przecież zostawić na werandzie, całej mokrej, bez dostępu do domu.

Weszłam na ganek. Klucz błyszczał wciśnięty między deski, może trzy centymetry od drzwi.

– Znalazłam klucz! Możesz otworzyć i wejść do środka – krzyknęłam jeszcze, wsuwając go w zamek.

A potem zatrzasnęłam furtkę, objęłam Kostkę i zaprowadziłam ją do auta.

Jej auta, rzecz jasna. Bo moje musiało poczekać na pana Wiesława.

ROZDZIAŁ 24

KTO PYTA, NIE BŁĄDZI

NATALIA

Wsiadłyśmy do samochodu bez jednego słowa.

Kostka była naprawdę wstrząśnięta tym, co zobaczyła i usłyszała na Czarcim Cyplu. Cały czas ocierała łzy. Aż chciałam zaproponować, że zamienię się z nią za kierownicą. Zdołała się jednak jakoś opanować i dojechać ze mną pod „Mewę”, nie powodując wypadku i nie zjeżdżając do żadnego rowu.

Przez całą drogę żadna z nas nie poruszała tematu Niny. Ciszę przerywały tylko moje krótkie wskazówki:

– W lewo... Uważaj, zaraz rondo... Za tym białym domem w prawo, do końca ogrodzenia... Zwolnij, zaraz będziemy na miejscu...

Chciałam opowiedzieć jej wszystko w domu, przy herbacie i resztkę ciasteczek Wiktora. Ale nie zdążyłam. Na progu „Mewy” czekał Baltazar Szprot.

Maks natychmiast go rozpoznał i odtańczył na jego widok szalony taniec radości.

Szprot przedstawił się Kostce, uruchamiając ten swój filmowy uśmiech, a ona wreszcie przestała pochlipywać. Wcale się nie dziwiłam. Kto by chciał płakać przy sobowtórce Rhetta Butlera?

– Muszę z panią porozmawiać, pani Natalio – oświadczył, gdy otworzyłam drzwi.

– To świetnie się składa, bo ja z panem też – uśmiechnęłam się, zapraszając go do atelier. – Możemy usiąść tutaj? Muszę otworzyć zakład, i tak spóźniłam się prawie pół godziny przez poranne zawirowania...

Kostka przestępowała z nogi na nogę.

Z nią też powinnam porozmawiać. Też przyjechała z daleka. I chyba w ogóle nie zmrużyła oka przez całą noc.

– Połóż się dziecko na górze, odpocznij. Jesteś wykończona po tej podróży – powiedziałam. – Porozmawiam chwilę z panem komisarzem, a potem spokojnie napijemy

się herbatki...

Zaprowadziłam ją do pokoju przy kuchni, dałam koc, dodatkową poduszkę i puchaty zielony ręcznik. Pokazałam, gdzie jest łazienka i jak zamknąć okiennice, a potem szybko zeszłam do Szprota.

Wbrew obietnicy złożonej Kostce zapowiadała się całkiem długa rozmowa.

Skoro pojawił się tu dzisiaj rano, to chyba wciąż bierze udział w śledztwie? Może nawet je przejął od Kosaćca i jego kolegów?

I bardzo dobrze. On nie da się zwieść pozorom... Wyjaśni tę sprawę jak należy, do samego końca.

Albo wyjaśnię ją ja dzięki wiadomościom, które od niego wyciągnę.

– O co mnie pani chciała zapytać? – uśmiechnął się, siadając w fotelu, w którym zwykle fotografowałam młodych rodziców z dzieckiem na ręku. Wygodnym, z wysokim oparciem i podłokietnikami...

– A pan? – odbiłam piłeczkę. Wolałam, żeby on zaczął... I wskazał mi w ten sposób wątki, które są dla niego najbardziej interesujące.

– Tak naprawdę mam tylko jedno pytanie – otworzył notes i przez moment w milczeniu bawił się długopisem. – Czy jest ktoś, kto naprawdę bardzo pani nienawidzi i chciałby, żeby spędziła pani resztę życia za kratkami?

NINA

Telefon zabrzączał jeszcze raz, mniej więcej pięć minut po odjeździe Natalii i Kostki.

To nie był numer Maksa ani żadnej z moich sióstr.

– Halo? – odebrałam niepewnie.

– Nina, błagam. Porozmawiaj ze mną... – Numer nie należał do Maksa, ale głos już tak.

– Nie rozłączaj się. Błagam. Chcę ci to wszystko wyjaśnić. Spotkaj się ze mną na pięć minut. Jesteś w Warszawie?

– Nie, na Helu – odpowiedziałam bez zastanowienia i od razu tego pożałowałam.

Jak mogłam być taka głupia???

– Przyjadę! – postanowił natychmiast. – Powiedz, gdzie mogę cię znaleźć?

– Nigdzie. Nie chcę cię widzieć na oczy – wydyszałam. Powinnam rozłączyć się jak najszybciej, ale... Nie byłam w stanie.

– Nina, kocham cię... – Nie chciałam tego słuchać, naprawdę. – Nigdy nie przestałem. Twoje siostry szantażowały mnie, zapłaciły mi, żebym zniknął. Nie miałem wyjścia.

– Mam nadzieję, że naprawdę dobrze ci zapłaciły – rzuciłam, trzymając już palec na ikonce z przekreśloną słuchawką. – Nie ma nic smutniejszego niż tanio sprzedana miłość.

Czerwony guzik.

A potem od razu drugi. „Przytrzymaj przez 3 sekundy, żeby wyłączyć telefon”.

Dla pewności przytrzymałam przez dziesięć sekund. Albo i piętnaście.

Nie chciałam rozmawiać z tym dupkiem.

Nie i już.

Z tymi wrednymi, dwulicowymi zdrajczyniami, czyli moimi siostrzyczkami, też nie.

Chociaż właściwie... Było jedno pytanie, które bardzo chciałam im zadać. Musiałam się tego dowiedzieć, zanim zamknę tę sprawę na dobre i zacznę nowe życie. Bez nich wszystkich, licząc tylko na siebie.

– Idziemy, Pompon – zawołałam, otwierając drzwi.

A on, o dziwo, od razu pojawił się koło moich nóg i spokojnie, prawie spokojnie, pozwolił zapiąć sobie smycz.

NATALIA

Pytanie Szprota kołatało mi się w głowie jeszcze długo po zakończeniu naszej rozmowy. Czy ktoś może mnie nienawidzić? Tak naprawdę, z całego serca? Tak bardzo, żeby z zimną krwią chcieć zrobić mnie w morderstwo?

– Wszystkie tropy prowadzą w pani kierunku. Ale mamy wrażenie, że to wszystko jest szyte grubymi nićmi... Ktoś bardzo chce nas przekonać, że jest pani winna. Za bardzo, żebyśmy mogli w to uwierzyć.

– Potwierdził pan moje przypuszczenia – westchnęłam. – Musiałabym być całkowitą idiotką, żeby zostawić przy łóżku Doroty ten wazonik...

– I suszone jaskólcze ziele – podsunął Szprot, patrząc na mnie uważnie. – Czy pani zdaniem ono może naprawdę zabić dorosłego człowieka?

Nie byłam pewna, po co zadaje mi to pytanie. Miał przecież sztab ludzi w laboratorium, biegłych sądowych, lekarzy, toksykologów. Moja opinia na pewno nie będzie tak profesjonalna, jak ich.

Więc może potrzebował tej odpowiedzi tylko po to, żeby ostatecznie oczyścić mnie z zarzutów albo... pograć na dobre?

– Glistnik jaskólcze ziele to roślina lecznicza, którą jednak trzeba stosować bardzo ostrożnie. Zawiera około trzydziestu alkaloidów – wyrecytowałam. – Ich stężenie w

korzeniu i soku mlecznym jest znacznie większe niż w liściach. Teoretycznie może być zabójczy. Trudno jednak nim zabić, dodając glistnik do jedzenia czy serwując zamiast herbaty. Jest bardzo niesmaczny, potwornie gorzki, a trzeba byłoby go zjeść całkiem sporo, żeby osiągnąć aż taki efekt.

Pisząc pracę magisterską, czytałam o różnych przypadkach zatrucia glistnikiem. U dzieci, które bawiły się dojrzałymi torebkami z nasionami, i u miłośników medycyny naturalnej, eksperymentujących z sokiem i wywarem. Ale morderstwo? Pokręciłam głową. Naprawdę trudno mi było to sobie wyobrazić.

– Dorota została otruta glistnikiem? Suszonym zieleń z woreczka? – zapytałam z niedowierzaniem. Nie mogłam pojąć, jakim cudem zabójca wlał w nią taką ilość naparu... Gdyby to chociaż był korzeń albo mleczny sok, a nie liście, byłoby to odrobinę bardziej prawdopodobne. Ale same części zielone? – Moim zdaniem taka porcja nie wystarczyłaby, żeby otruć niemowlę, a co dopiero dorosłą kobietę.

Szprot drgnął leciutko, poruszony być może wizją trucia niemowlaka za pomocą gorzkiego naparu.

– Nie mamy jeszcze raportu toksykologów... – Widać było, że wyjątkowo go ten fakt irytuje.

– I ciągle nie ma pan żadnych podejrzeń, co tak naprawdę ją zabiło? – zapytałam. Pokręcił głową.

– Dopóki nie dostaniemy raportu, będziemy poruszać się po omacku. Ale tak naprawdę najważniejsze jest chyba nie to, czym ją zabito, ale w jaki sposób tego dokonano.

Całkowicie się z nim zgadzałam. I tego właśnie zamierzałam się teraz dowiedzieć! Nie mogłam jednak poprosić wprost, żeby mi opowiedział po kolei wszystko, co ustalili. Wciąż pozostawałam przecież w kręgu podejrzanych...

– Na hotelowym korytarzu powinny być chyba kamery monitoringu – mruknęłam, niby do siebie.

Szprot natychmiast złapał przynętę!

– Były, owszem – pokiwał głową. – Przy windach i na końcu korytarza. Nie obejmowały klatki schodowej ani żadnych drzwi na piątym piętrze.

– Nie wiadomo więc, czy ktoś ją odwiedzał... i czy wchodziła lub wychodziła z pokoju? Jego mina wystarczyła mi za odpowiedź.

– Nie mają tam kart magnetycznych? – zapytałam. – To chyba nowy hotel? Na kartach zapisane są ostatnie zdarzenia, sto, dwieście, czasami pięćset... Można w sekundę sprawdzić, czy opuszczała pokój i o której do niego wracała.

– Skąd pani to wie, na Boga? – spojrzał na mnie wyraźnie rozbawiony.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie pamiętam. Chyba czytałam jakiś artykuł.

Milczał przez chwilę, kręcąc głową z niedowierzaniem, a potem oświadczył:

– Niestety, w tym hotelu są klucze. Bardzo tradycyjne i nieprzydatne dla potrzeb śledztwa. Podobno mają wielu klientów w... dojrzałym wieku.

– Starych – podsunęłam.

– W kwiecie wieku – skinął mi lekko głową. – A tacy klienci nie ufają kartom...

Wcale się im nie dziwiłam. Sama spędziłam kiedyś godzinę uwięziona w upiornie dusznym korytarzu jakiegoś biurowca w Gdyni tylko dlatego, że karta z napisem: „Gość” przepuściła mnie przez jedne szklane drzwi, ale przez drugie – już nie. Nie pozwoliła mi ani się cofnąć, ani pójść dalej. I, jakby tego było mało, moja komórka nie miała tam zasięgu. Dźwigałam cały sprzęt. Miałam robić zdjęcia wszystkim kierownikom działów.

Sesja została odwołana. Po godzinie w szklanej klatce bez klimatyzacji ledwo widziałam na oczy. Wciąż jednak byłam gotowa wykonać swoją pracę. Zrezygnowali kierownicy, zbyt roztrzęsieni moim zaginięciem, żeby pozować do zdjęć!

Tak, emerycy mieli rację, opowiadając się za zwyczajnymi, metalowymi kluczami. Niestety, w ten sposób śledztwo ciągle nie posuwało się do przodu...

– Recepcjonista nic nie pamięta? – zaryzykowałam zadanie wprost przynajmniej jednego pytania.

Szprot nie robił uników. Odpowiedział po prostu:

– Zapisał, że przyjechała kwadrans po jedenastej. Zgadza się to z rozkładem jazdy pociągów... i biletem, który znaleźliśmy w jej torebce. Przyszła do hotelu prosto z dworca. I od razu, kiedy się meldowała, poprosiła o wezwanie taksówki na wieczór.

– Przyjechała wyłącznie z damską torebką? – nie mieściło mi się to w głowie.

– Nie, nie. Miała ze sobą małą walizeczkę z rzeczami na jedną noc. Nikt z obsługi nie zauważył, żeby wychodziła po zameldowaniu się w hotelu. Nie zamawiała niczego przez telefon, nie korzystała z baru...

– A wieczorem znaleziono ją martwą. Gotową do wyjścia na wernisaż, tak?

Pokiwał głową.

– Ubrana w odprasowaną garsonkę, umalowaną, starannie uczesaną. W torebce miała kopertę, w której wysłano zaproszenie do Zamku Królewskiego, i reprodukcje trzech obrazów... Samego zaproszenia jednak tam nie było. Nie było też żadnych odcisków palców. Żadnych, nawet ofiary... Ktoś musiał szorować cały pokój co najmniej przez

godzinę!

– Chyba zdradza mi pan tajemnice śledztwa? – uśmiechnęłam się do niego niepewnie. – Nie powinien pan...

Wstał z głębokiego fotela i podszedł do okna.

– Jakie tajemnice? – fuknął z oburzeniem, kompletnie dla mnie niezrozumiałym. I zaraz wyjaśnił: – Cała Polska wie, w jakich okolicznościach znaleziono Dorotę Wielowiejską! Dwa największe brukowce w tym kraju opisały wszystko z detalami! Dodając od siebie sporo bzdur! Naprawdę nie czytała pani tych artykułów?

Urażona, wzruszyłam ramionami.

– Nie czytuję prasy tego typu.

– Oczywiście, przepraszam...

Podszedł i pocałował mnie w rękę.

A ja obiecałam sobie natychmiast, że gdy tylko wyjdzie, odnajdę te artykuły w Internecie.

Najpierw jednak musiałam załatwić dwa telefony: do „Przeglądu Botanicznego” i do Stefana. Zaczęłam od tego, który wydawał mi się dużo łatwiejszy.

– Pani Natalio, jak miło!

Miałam szczęście. W redakcji „Przeglądu” odebrał Mateusz, doktorant Cecylki, mojej koleżanki z roku. To znaczy: pani profesor Cecylii Romaniuk-Jaworskiej... Jednej z nielicznych botaników, z którymi po tylu latach wymieniałam wciąż życzenia bożonarodzeniowe i wielkanocne. I która aż do dziś nie pogodziła się z tym, że porzuciłam karierę naukową dla zakładu fotograficznego.

Pan Mateusz był uroczym młodym człowiekiem, autentycznie zainteresowanym symboliką roślin w kulturze starożytnej. W rozdziale swojej dysertacji dotyczącym Starego Testamentu odwoływał się nawet do mojego artykułu sprzed półwiecza. Dzwonił kiedyś z polecenia Cecylki, żeby dopytać o źródła, z których korzystałam, i o to, jakie owoce rosły na drzewie poznania dobra i zła... I czy Biblia mówi gdziekolwiek, że to były jabłka.

Doskonale pamiętał tamtą rozmowę i tropy, które mu podrzuciłam.

– Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że na tym drzewie rosły jakieś owoce cytrusowe – szepnął do słuchawki, zupełnie jakby to był nasz wspólny sekret, ukrywany przed całym światem.

– Warto poszukać podobnych interpretacji w dziełach sztuki z różnych epok. Podeślę panu potem listę tych, w których na rajskim drzewie pojawia się cytron. To ciekawe, prawda? Wie pan doskonale, że nawet na jednym drzewie owoce mogą przyjmować bardzo różne kształty, co czyni z cytronu doskonały symbol dzieła stworzenia. Niech pan się tym zainteresuje – wyrzuciłam z siebie jednym tchem, po czym uznawszy, że Mateusz jest moim sojusznikiem i odpowie szczerze na każde pytanie, gładko przeszłam do ataku: – Kto recenzował artykuł Doroty Wielowiejskiej? Ten, który miał się ukazać po jej wystąpieniu na wernisażu na Zamku Królewskim?

Poszperał przez chwilę w papierach, skonsultował się z kimś półgłosem, najwyraźniej zakrywając słuchawkę, po czym wymienił dwa nazwiska... Nazwiska naprawdę znaczące wiele w botanicznym świecie. Pierwsze należało do prodziekana z Warszawy. Drugie – do profesora Voyko.

Voyko przepuścił te brednie? Wiedział, co ona zamierza powiedzieć, i nie zaprotestował?! To było naprawdę niewiarygodne...

– Obaj wystawili entuzjastyczne recenzje – Mateusz wyraźnie był zachwycony. Postanowiłam natychmiast poszukać namiarów na Voyko. I na prodziekana ze stolicy.

– To trochę dziwne, że napisała artykuł jeszcze przed wygłoszeniem referatu, prawda? – mruknęłam pod nosem. – Zwykle przecież robi się odwrotnie. Najpierw jest wystąpienie, a dopiero potem jego rozszerzona wersja, czyli artykuł... Czy recenzenci nie zasugerowali jej, żeby się tak nie spieszyła i trochę nad nim jeszcze popracowała? Naprawdę żaden z nich nie zwrócił uwagi na oczywiste błędy? Na kuriozalny entuzjazm w sprawie trzykrotki, no i ten fragment o miechunce peruwiańskiej? – zapytałam, jak mi się wydawało, czysto retorycznie.

Wytykanie zaniedbań recenzentowi nie należy do dobrego tonu. Miałam jednak w nosie wszelkie zasady. I coraz wyraźniej czułam, że ten artykuł stanowi klucz do całej historii.

– Chwileczkę – odparł Mateusz i już po chwili usłyszałam serię szybkich uderzeń w klawisze. – Sprawdź jeszcze inaczej, ale... Tak, miałem rację. W tym artykule nie ma ani słowa o miechunce peruwiańskiej. Występuje miechunka rozdęta, z dużym znakiem zapytania. Wątpliwości budzi proporcja owocu i kielicha. Trzykrotka wirginijska zaś, z tego, co widzę, opisana jest jako wyraźna pomyłka Seghersa. Nie ma tutaj naprawdę cienia entuzjazmu autorki...

ROZDZIAŁ 25

ŻONA CEZARA JEST POZA PODEJRZENIEM

Poprosiłam Mateusza o dwie rzeczy.

Po pierwsze, miał sprawdzić, kto przesłał mi artykuł w szarej kopercie z pieczętką wydawcy, z dołączonym zaproszeniem na wernisaż. Po drugie – wysłać mi go ponownie, tym razem mailem. Na wszelki wypadek.

Kwadrans później wiedziałam już na pewno, że nikt z pracowników „Przeglądu Botanicznego” nie pakował takiej przesyłki i nie adresował koperty na moje nazwisko. Wiedziałam też bez cienia wątpliwości, że artykuł, który przyszedł mailem, różni się od pierwszej otrzymanej przeze mnie wersji w co najmniej dziewięćdziesięciu miejscach.

Nie miałam tylko pojęcia, co z tego wynika.

Dorota nie skompromitowałaby się swoim wystąpieniem. To była naprawdę bardzo dobra praca, w pełni zasługująca na entuzjastyczne recenzje i prezentację na Zamku Królewskim w obecności ambasadora i wielu znawców tematu.

Dlaczego więc ktoś pozmieniał tekst i narobił w nim celowo tyle błędów? Czyżby specjalnie dla mnie? Tylko po co?

Żebym przyszła na ten wernisaż. To była jedyna możliwa odpowiedź.

Ale czy naprawdę ten ktoś mógł mieć pewność, że tam pójdę? Że nie pozwolę przyjaciółce zrobić z siebie idiotki? Przecież mogłabym nie kiwnąć nawet palcem, uznać to za zabawne... Albo po prostu nie mieć ochoty pomagać komuś, kto „ukradł mi narzeczonego”. Nina wciąż uważa, że tak było, mimo że opowiadałam jej tę historię tyle razy... Wiele innych osób z pewnością myśli tak samo. Sądzą, że przez prawie pół wieku pielęgnowałam żal do Doroty...

Nie czytuję kryminałów od czasu studiów, wciąż jednak pamiętam kilka złotych myśli Sherlocka Holmesa czy Herkulesa Poirota. Ta, którą powtarzali chyba najczęściej, brzmiała: „Zwykle mordercą jest ten, który ma na tej śmierci najwięcej do zyskania”.

Czyli ja?

Sama pewnie bym tak uznała, gdyby ktoś opowiadał mi tę historię.

Zwłaszcza gdyby dodał, że w kwietniu spędziłam kilka godzin w domu Stefana i Doroty.

Siedziałam przy ich stole, jadłam z ich talerza, korzystałam z łazienki pełnej kosmetyków pani domu... Choć sama pani domu była wtedy w Monachium czy Dortmundzie, u najstarszego syna... Spałam w ich małżeńskim łóżku... Spałam w nim sama, śmiertelnie zmęczona nocną jazdą samochodem w deszczu i ostatnim wiosennym śniegu... Stefan, prawdziwy dżentelmen, siedział tylko obok i patrzył...

Może tamto wydarzenie sprawiło, że postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i odzyskać ukochanego po tych wszystkich latach?

Czy tak właśnie brzmiałoby rozwiązanie w książce Agaty Christie?

Chyba jednak nie.

Po pierwsze, o tym, że tam byłam, nie wiedział nikt oprócz mnie i Stefana. I Niny, której to opowiedziałam. Po drugie, skoro wszystkie dowody wskazują na mnie, to przecież nie mogę być winna? To byłoby zbyt proste... A więc ktoś mnie wrobił. Zwabił na wernisaż... Bo gdybym tam nie przyszła, trudno by było mnie powiązać z ofiarą, przynajmniej w pierwszej chwili... Zwłaszcza że Stefan wyjechał dzień wcześniej do Ameryki i nie można było go od razu zapytać o te konwalie i glistnik zostawione przy łóżku... A tylko on wiedział, że wskazują mnie jako winną.

Tak, zdecydowanie musiałam jak najszybciej porozmawiać ze Stefanem.

I kiedy właśnie miałam wybrać jego numer, posypała się lawina...

W drzwiach prowadzących z prywatnej części domu do mojej „Mewy” stanęła zaspana Konstancja.

– Nina nie odbiera. Wyłączyła telefon – powiedziała ponuro. – Muszę do niej iść i wreszcie dowiedzieć się, o co chodzi.

Zanim zdążyłam zebrać myśli i coś jej odpowiedzieć, pisnęła moja komórka.

SMS od Mikołaja:

Ciociu, lecę do Polski. Będę w domu jutro wieczorem. Do zobaczenia! Niczego nie szykuj, ja ugotuję kolację!

Uśmiechnęłam się, widząc, że wciąż mówi „dom” o tym miejscu, o swoim pokoiku przy kuchni. Tym samym, w którym przed chwilą spała Konstancja.

Tyle tylko, że to chyba naprawdę nie był dobry moment na odwiedziny...

Ale jak miałabym mu to powiedzieć?

– Zjedz coś, dziecko – mruknęłam roztargniona do Konstancji. – Pójdę z tobą na górę, nastawię wodę na herbatę.

Nie zdążyliśmy zrobić ani kroku.

Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich jakaś kobieta z naręczem

ubrań.

Patrzyłyśmy na nią obydwie z otwartymi ustami.

– Ja na sesję buduarową – oświadczyła. – Byłam dziś umówiona. Czyba pani nie zapomniała?

Zapomniałam. No oczywiście, że zapomniałam. Cholera jasna, po raz pierwszy w życiu zapomniałam na śmierć o umówionym kliencie!

I to teraz, kiedy klienci naprawdę nie walą do mojego zakładu drzwiami i oknami...

– Bardzo przepraszam – uśmiechnęłam się czarująco... Przynajmniej miałam nadzieję, że tak to wyglądało. – Za momencik się panią zajmę. Dosłownie dwie minuty, dobrze?

Nie dotrzymałam słowa.

Bo w tym momencie drzwi otworzyły się jeszcze raz i progu pojawiła się Nina. Z wykończonym, dyszącym, słaniającym się na nogach Pomponem.

NINA

Nie mogłam jechać z Pomponem na rowerze. Przez chwilę myślałam, żeby wsadzić go do kosza umocowanego na kierownicy... Ale przecież nie zmusiłabym tego diablątka, żeby siedziało spokojnie. Musiałabym go chyba związać, a to oznaczałoby kolejne rany szarpane na twarzy, rękach i dekolcie.

Zresztą i tak nie miałam sznurka.

Poszliśmy więc pieszo.

Dwie godziny! Szliśmy przez cholerne dwie długie godziny!

Bo przecież Pompon musiał obwąchać każdy krzaczek, zakręcić się ze smyczą wokół każdego drzewa i odmówić przejścia przez jezdnię, kiedy już do niej doszliśmy. Przez połowę drogi niosłam go na rękach. A on wył, drapał i gryzł mnie po uszach i palcach. Wolałam nie zastanawiać się, jak wyglądam i co myślą ludzie w mijających nas samochodach. Może już lepiej było go związać paskiem od spodni i wrzucić do koszyka na ramie roweru? Byłabym tak samo pogryziona i podrapana, a przynajmniej dotarłabym na miejsce godzinę wcześniej.

Marzyłam o tym, żeby znowu być u Natalii w domu. Żeby oddać jej Pompona pod opiekę, a potem spakować się i uciec jak najdalej. I nigdy już go nie odebrać.

– Nina, dziecino! – Natalia patrzyła na mnie z nieukrywanym przerażeniem. Musiałam wyglądać po prostu fantastycznie...

– Nina, nareszcie! – Kostka za to patrzyła na mnie z tą swoją szczerą, dziecięcą

radością.

Szczerą! Dobrze sobie!

– Jak mogłyście to zrobić? – wybuchłam. – Jak mogłyście zapłacić Maksowi, żeby zniknął z mojego życia? Jakim prawem?

Kostka stała przez moment bez słowa, a potem spuściła oczy i pokiwała głową.

– Masz rację. Nie powinniśmy w ogóle dyskutować z tym skurwielem, tylko od razu zadzwonić na policję.

– Na policję? – nie rozumiałam. – Zdrada i porzucenie nie są chyba karalne...

– Nieuczciwa konkurencja, kradzież informacji, baz danych i pomysłów na szczęście są, i to surowo. Powinniśmy to wszystko zgłosić, a nie jeszcze mu płacić... Ale chcieliśmy cię chronić. I uznaliśmy, że lepiej przyjmiesz wiadomość, że poznał inną dziewczynę i został za granicą, niż to, że całymi latami kradł twoje pomysły, opatentowane receptury produktów, kosztorysy i dane klientów. I dzięki nim rozkręcił właśnie w Niemczech fantastyczny biznes...

Maks?!

Słowa Kostki bardzo, bardzo powoli docierały do mojej głowy. Poczciwy, kochany Maks, który bez słowa sprzeciwu zrezygnował z pracy w SIS-4 w imię naszej miłości... Który tak jak ja uważał, że nie wolno łączyć pracy i życia prywatnego... Notował wszystko, co mówiłam przy kolacji, podsłuchiwał moje rozmowy, kopiował dokumenty...

– Czy on naprawdę zamierzał wziąć ze mną ślub? – chlipnęłam.

Kostka pokiwała poważnie głową.

– Oczywiście, że tak. Nie mógłby przecież odpuścić sobie połowy twoich udziałów w SIS-4, które przypadłyby mu po rozwodzie.

– Proponował mi podpisanie intercyzy – zaprotestowałam. – Nie robiłby tego, gdyby...

– ... gdyby nie znał smutnej historii intercyzy naszych rodziców – dokończyła Kostka. – Słyszał ją tyle razy, że wiedział, że nie będziesz chciała podpisać niczego takiego. A więc niewiele ryzykował, wychodząc ze swoją szlachetną propozycją.

– Oszukałyście mnie – szepnęłam, siadając na podłodze i powoli rozciągając kręgosłup.

Maks i Pompon natychmiast przybiegli, żeby mnie pocieszyć.

Na psy, cholera jasna, można jednak zawsze liczyć. Nie to, co na ludzi...

NATALIA

Wiedziałam już, że sobie poradzą. Że Nina wybaczy siostrze kłamstwo, a one wesprą ją,

jak zwykle...

Będzie musiała jeszcze uporać się z nieuczciwością Maksa. Z koszmarną świadomością, że człowiek, którego kochała, okłamywał ją przez wszystkie lata znajomości.

Nie będzie jej łatwo.

Niewiele rzeczy boli tak mocno, jak kłamstwo. Ale jest silna i dzielna. I ma trzy wspaniałe siostry. Spokojnie mogłam zostawić ją teraz z Kostką, wycofać się cicho i w końcu zająć kobietą, która przyszła na sesję z naręczem seksownych strojów.

Kobietą, która już wyszła... Kompletnie nie wiedziałam kiedy.

No cóż, może to i lepiej. To nie był dobry dzień na robienie takich zdjęć.

Mogłam więc pójść na górę, zajrzeć do Adeli, zaparzyć herbatę... i szybko zadzwonić do Stefana.

Nie zdążyłam jednak zrobić ani kroku, bo drzwi „Mewy” otworzyły się po raz kolejny i stanął w nich Baltazar Szprot. Tym razem w mundurze i z bardzo oficjalną miną.

Mina zresztą zmieniła się gwałtownie, kiedy zobaczył dwie rude, rozczochrane, zapłakane dziewczyny, tulące się do siebie na podłodze... I dwa psy skaczące wokół nich i próbujące polizać każdy wolny kawałek ich skóry.

NINA

– Zatrzymała się pani u pani Burskiej? – zapytał Szprot, kiedy już zmyłam z twarzy łzy, błoto i krew oraz zakleiałam najgłębszą ranę zadaną przez Pompona w czasie przechodzenia przez rondo.

Nie mogłam odpowiedzieć, bo miałam w ustach kawałek świeżej, pachnącej bułki z masłem i dżemem. Odpowiedziała więc za mnie Natalia.

– Nina wynajęła na kilka tygodni domek przy samej plaży, na Czarcim Cyplu.

Znowu przeszył mnie dreszcz, kiedy usłyszałam tę nazwę.

Natalia natychmiast to zauważyła.

– Mówiłam ci już, to tylko nazwa jakich wiele.

– Tak, wiem – pokiwałam głową. I wyjaśniłam Szprotowi: – Podobno kiedyś, przed wiekami, był tam mały cypelek o kształcie diabelskiego kopyta. Ale i tak robi mi się zimno, kiedy to słyszę. Mam wrażenie, że zaraz spod wody wyskoczą jakieś potwory i wciągną mnie w ciemność...

– Takie rzeczy mogłyby się zdarzyć raczej po drugiej stronie półwyspu – uśmiechnęła się Natalia. – Kawałek od tej zatłoczonej plaży przy fokarium zaczyna się Cmentarna Toń.

– Co takiego? – miałam wrażenie, że się przesyłałam.

Policjant i moja siostra przestali jak na komendę jeść bułkę i wpatrywali się w Natalię zaskoczeni.

– Cmentarna Toń – powtórzyła spokojnie. – Tam mogłabyś się spodziewać.... No, może nie diabłów, ale ludzkich kości, całych szkieletów, nagrobego krzyża albo fragmentu trumny...

Z trudem złapałam powietrze.

– Ludzie pływają sobie spokojnie przy strzeżonej plaży, w centrum miasteczka, i nagle spod wody wyskakuje wieko trumny? Albo jakaś czaszka? – patrzyłam na nią jak na wariatkę.

Kostka nie odzywała się ani słowem. Miała tylko coraz bielsze policzki i coraz większe oczy.

Cała Kostka!

Szprot zaś zapisywał coś szybko w swoim czarnym notatniku. Czyżby interesowały go kaszubskie legendy? Tego się po nim raczej nie spodziewałam...

– Tak źle nie jest... – Natalia zaczęła się śmiać, widząc moją minę. – To jest jednak trochę dalej, w stronę Juraty, tam gdzie jest port wojskowy. I dalej od lądu, na głębszej wodzie, kilkaset metrów od brzegu... Więc takie niespodzianki zdarzały się raczej rybakom, zanim wojsko nie zakazało połowów i przepływania przez okolice portu. Znajdowali w sieciach kości albo cmentarne krzyże.

– To tylko legenda, prawda? – szepnęła Kostka lekko fioletowymi wargami.

Natalia wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, ile jest w tym prawdy... Legendy mówią o dzwonach, które słycać spod wody... W to raczej bym nie wierzyła. Ale cofanie się półwyspu, zjedanie jego brzegu przez morze, głównie od strony zatoki, na pewno jest faktem. Ten cypel, czyli sam koniec naszego półwyspu, jest dziś o ponad dwieście metrów węższy niż w piętnastym wieku.

– A skąd my niby możemy o tym wiedzieć? – Nie rozumiałam. Historia, o dziwo, wciągnęła mnie na tyle, że zapomniałam na moment o Maksie i moim złamanym sercu.

– W muzeum w Pucku i w gdańskich archiwach są stare mapy. Widać wyraźnie, że były tu w pewnym momencie dwa miasta. Nowy Hel, w którym jesteśmy teraz, i Stary Hel. Miał prawa miejskie, dziewięć winiarni, tawerny i ratusz z mechanicznym zegarem. Takim, jakiego nie mieli nawet w Gdańsku.

Spojrzałam zdumiona przez okno. Dzisiaj to wszystko było gdzieś pod wodą?

– Nikt tego nie próbuje odszukać i sfotografować? – zapytałam.

Natalia wzruszyła ramionami.

– Ruiny kościoła ze Starego Helu znaleziono w latach trzydziestych przy budowie portu wojennego. Pisano o tym w gazetach, mój ojciec znalazł na strychu w starociach po poprzednim właścicielu domu egzemplarz jednej z nich... Uwielbialiśmy z Olkiem czytać ten artykuł.

– I co?

– I nic. Zbliżała się wojna, trzeba było przyspieszyć prace nad portem. To nie był dobry czas dla archeologów...

– No dobrze, może i nie był. Ale dziś? Dziś chyba każdemu powinno zależeć na tym, żeby tam dotrzeć! I nurkom na pewno by się to udało...

– Tym kawałkiem morza wciąż rządzi wojsko. I wszystko, co leży na dnie, musi tam pozostać...

W jej głosie było coś... Jakaś nowa nuta. Spojrzałam na nią uważniej i nagle zrozumiałam.

– Twój ojciec? – szepnęłam.

Pokiwała głową.

– Ojciec i brat... Ich też zabrała Cmentarna Toń.

NATALIA

Nie chciałam tego wspominać. Nie teraz.

Strata ojca i brata łączyła się w mojej głowie nierozzerwalnie ze zmianą wszystkich planów... Z utratą Stefana...

Teraz mogłam go stracić po raz drugi.

Kolejne fragmenty układanki wskakiwały na swoje miejsce jeden po drugim.

Musiałam z nim porozmawiać.

A może lepiej nie?

– Profesor Wielowiejski wyjechał do Stanów dzień wcześniej? – zapytałam szybko.

Baltazar Szprot, oderwany od rozmowy z Niną i Konstancją, z zaskoczenia po raz kolejny udzielił mi prawdziwej i bardzo wyczerpującej odpowiedzi, nie zasłaniając się tajemnicą śledztwa. To była na niego znakomita metoda!

– Wyleciał z lotniska w Balicach we wtorek o szóstej rano. Bez cienia wątpliwości. Piętnaście godzin później przemawiał już do setki studentów w Nowym Jorku. Panią Dorotę widziano zaś całą i zdrową, w świetnej formie, w hotelowej recepcji w środę tuż po

jedenastej. Jej mąż pozostaje więc poza jakimkolwiek podejrzeniem.

– Niesłusznie... – mruknęłam z zaciśniętym gardłem, podchodząc do regału i wyciągając kilka zakurzonych książek. – Całkowicie niesłusznie... Pozwoli pan tylko, że sprawdzę kilka faktów...

Pięć minut później scenariusz w mojej głowie właściwie nie miał już dziur. Rozwiązanie całej sprawy wyglądało spójnie i logicznie. Nie dawał mi spokoju tylko ten glistnik w wazonie. Czy Stefan wstawiłby do wody roślinę, która absolutnie się do tego nie nadaje? Wiedząc, że nie postoi w wazonie nawet kilku godzin?

ROZDZIAŁ 26

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

NATALIA

Wszystko się zgadzało.

Absolutnie wszystko, poza glistnikiem w wazonie.

Stefan był jedyną osobą, która mogła przeczytać artykuł Doroty w pierwszej wersji i pozmieniać go tak, żeby mnie zaszokował liczbą błędów i zignorowanych faktów.

Bez trudu mógł wejść do redakcji „Przeglądu Botanicznego”. Bywał tam przecież nie raz, znał wszystkich pracowników... A wyniesienie koperty ze stemplem nadawcy albo szybkie podstemplowanie własnej, przyniesionej w teczce z pewnością nie stanowiło dla niego żadnego problemu.

On jeden wiedział, że zrobię wszystko, żeby pomóc Dorocie. Że pojedę przez pół Polski na ten wernisaż, jeśli się nie dodzwonię do niej ani do niego. I wiedział, że się nie dodzwonię, bo on był najpierw w samolocie, a potem w Nowym Jorku, i absolutnie nie zamierzał odbierać moich telefonów... A jej numeru przecież nie posiadałam! Zdobyć go zajęło mi sporo czasu. Nie kontaktowałyśmy się od tylu lat. Nie mogąc dostać go od Stefana, próbowałam szczęścia u wspólnych znajomych... Pomogła mi jedna z koleżanek. Nie miała co prawda komórki Doroty, ale posiadała numer stacjonarny do jej siostry. Siostra odebrała po kilku godzinach. Kiedy wreszcie zaczęłam wydzwaniać i wysyłać SMS-y do Doroty, ona pewnie leżała już martwa.

Stefan z pewnością to przewidział.

Wiedział też, jak ją zabić, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń.

Zaplanował wszystko perfekcyjnie.

Pozostawało tylko pytanie, po co.

„Mąż ofiary jest zawsze pierwszym podejrzanym”. Tę starą prawdę też znałam doskonale z książek Agaty Christie.

Czyżby to on – a nie ja, jak wydawało się policji – uznał, że nie może dłużej żyć w taki

sposób? Po tamtym kwietniowym spotkaniu... Po kilku godzinach, które spędziłam w jego domu... Czyżby uczucie do mnie wybuchło z nową siłą?

Była to bardzo miła i romantyczna wizja, zwłaszcza dla kobiety w moim wieku.

Tylko dlaczego w takim razie postanowił zrobić w to morderstwo właśnie mnie? Jaki sens miało usunięcie Doroty z drogi... i przy okazji wtrącenie mnie, na długie lata, za kraty?

Może nie chodziło ani o nią, ani o mnie, tylko o jakąś trzecią?

Bzdura. Nie było żadnej trzeciej. A Stefan nie był żadnym Adoniszem gotowym robić takie rzeczy dla jakiejś przelotnej znajomości.

Był człowiekiem honoru. Wtedy, w kwietniowe popołudnie, naprawdę chciał mnie przytulić, pocałować, położyć się koło mnie... Wiedział, że nikt by się o tym nie dowiedział. Dorota była za granicą, dzieci od dawna z nimi nie mieszkały, pomoc domowa, wpadająca dwa razy w tygodniu, akurat miała wolne... A jednak nie zrobił tego. Nawet nie spróbował.

Bo był jej mężem. Lojalnym i wiernym, bez względu na wszystko.

A teraz miałby ją otruć z zimną krwią nasionami rącznika?

– Przyznaję, że profesor Wielowiejski byłby naszym głównym podejrzanym, gdyby nie stuprocentowe alibi – westchnął Szprot, nieco zniecierpliwiony. – Nie rozumiem, jak, pani zdaniem, mógłby zabić żonę, będąc po drugiej stronie oceanu.

Podaliśmy mu więc otwartą książkę i postukałam palcem w odpowiedni fragment.

– Rącznik pospolity. Na przykład. To tylko jedna z możliwości, najbardziej oczywista i powszechnie znana. Na naszym wydziale zawsze było mnóstwo nasion rącznika, studenci wysiewali je co roku na początku kwietnia do doniczek, a po Zimnej Zośce przenosili rozsadę do gruntu... Pewnie nadal to robią. Tym bardziej że rącznik staje się coraz popularniejszy jako roślina ozdobna.

– Nigdy o nim nie słyszałam – zmarszczyła brwi Nina.

– Rycynus – podałam szybko drugą, powszechnie używaną nazwę. – Zależnie od warunków może być drzewem albo rośliną jednoroczną. Błyskawicznie kiełkuje i pod koniec lata może mieć nawet cztery metry wysokości... Wszystkich zachwycają zwłaszcza jego ogromne, palczaste, czerwone liście.

Pokazałam Ninie ilustrację w podręczniku.

– Jest trujący? – zapytała Konstancja.

Pokiwałam głową.

– Bardzo trujący. Czasami wystarczą trzy nasiona, żeby zabić dorosłego człowieka.

W Szprota wstąpiło nowe życie.

– Mógł dać żonie te nasiona na drogę! – powiedział. Po czym sam roześmiał się, słysząc, jak to zabrzmiało. – Oczywiście, nie same. Mógł je włożyć w kanapkę albo dodać do sałatki... Tylko, niestety, jej żołądek w chwili śmierci był niemal pusty...

– To nie ma nic do rzeczy – wyjaśniłam. – Rącznik działa stopniowo, z dużym opóźnieniem. Trudno przewidzieć dokładnie, z jakim. To zależy od dawki i sposobu podania... Od tego, w jakim miesiącu zebrano nasiona i czy zostały rozgryzione, czy połknięte w całości... Znane są przypadki śmiertelnych zatruc po przypadkowym zjedzeniu kilku nasion, a innym razem ta sama dawka nie daje niemal żadnych objawów toksykologicznych... Z rącznikiem naprawdę trudno cokolwiek przewidzieć...

Policjant poderwał się od stołu. Powstrzymałam go jednak ruchem ręki.

– Proszę poczekać jeszcze z tym aresztowaniem. – Ciągłe coś mi w tej sprawie nie grało. Oczywiście, najbardziej nie pasował mi fakt, że Stefan, cudowny, wrażliwy, honorowy Stefan, miałby skazać żonę na takie męczarnie. Ale chodziło o coś jeszcze... Niestety, zupełnie nie wiedziałam, o co.

Miałam jednak nieodparte wrażenie, że rozwiązanie znajduje się ciągle tuż przed moim nosem.

Że je widziałam wtedy, w Krakowie, w mieszkaniu Stefana i Doroty. Że jest coś, o czym powinnam sobie przypomnieć...

– Co pani robi? – zapytał Szprot, wystraszony, kiedy zobaczył, że sięgam po telefon.

Oczywiście doskonale wiedziałam, że nie spodoba mu się to, co planowałam.

– Obiecuję, że nie uprzedzę podejrzanego o pana zamiarach. Nie będę rozmawiać z nim o truciznach – powiedziałam. – Ale muszę... Po prostu muszę zadać mu kilka pytań.

Szprot położył dłoń na mojej komórce. Przez moment mierzyliśmy się wzrokiem.

– Niech pani dzwoni – zdecydował w końcu, wzdychając ciężko. – Ale muszę być przy tej rozmowie.

Nina i Kostka jak na komendę wyszły do małego pokoju. Tego samego, który powinnam posprzątać na przyjazd Mikołaja...

Maks spojrział na mnie pytająco, a potem – najwyraźniej uznawszy, że można zostawić mnie ze Szprotem – wybiegł za dziewczynami.

Zaraz za nim na swoich króciutkich nóżkach oczywiście podreptał Pomponik.

Stefan odebrał po jednym sygnale. Wcisnęłam przycisk z głośnikiem i poczułam, że coś gwałtownie dławi mnie w gardle. Jak ja z nim miałam rozmawiać w obecności policjanta na temat ostatnich chwil życia jego żony? To wszystko było takie idiotyczne, takie

nierzeczywiste... Takie dalekie od tamtych godzin, spędzonych w jego mieszkaniu... Godzin wykradzionych terażniejszości w hołdzie dla przeszłości. Pięknej i bez happy endu.

Terażniejszość, niestety, również nie rysowała się optymistycznie.

– Jest tu ze mną komisarz Baltazar Szprot, jeden z prowadzących śledztwo w sprawie śmierci Doroty – powiedziałam oficjalnym tonem od razu, na samym początku. Może dzięki temu Stefan powstrzyma się od powiedzenia czegoś, co postawi nas obydwoje w kłopotliwej sytuacji?

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał rzeczowo.

– Chciałam zapytać cię o ten wernisaż i o artykuł Doroty – zauważyłam zdumiony wzrok Szprota, kiedy to mówiłam. Pewnie uważał, że to kompletnie nieistotne dla sprawy. Zaraz zrozumie, że bardzo się myli... – Jak to się stało, że się tym zajęła?

– Sam często się nad tym zastanawiam – westchnął Stefan z takim żalem, że chyba nawet Szprot musiał nabrać wątpliwości co do jego morderczej natury.

– Nie sądziłam, że ona w ogóle interesuje się jeszcze botaniką... I że kiedykolwiek obchodziło ją to, co dzieje się na styku biologii, historii i sztuki.

– Ja też nie! – Stefan najwyraźniej ważył słowa, wiedząc, że słyszę go nie tylko ja, ale też policjant o rybim nazwisku, którego chyba nie miał nigdy okazji spotkać osobiście. – Przynosiłem z uczelni do domu różne zaproszenia. Od pewnego czasu także te, które przychodziły do ciebie.

– To było zaproszenie do mnie? – zapytałam znowu ze ściśniętym gardłem.

– Tak, ale przecież... – Chyba przestraszył się, że mam pretensje, że mi go nie przekazał. – Przecież wtedy, kiedy zaczęły napływać taką strugą, po tym jak ogłosiliśmy informację o rukwieli na ołtarzu mariackim... Przecież mówiłaś wyraźnie, że nie chcesz żadnych zaproszeń widzieć na oczy!

– Nic się nie zmieniło, nie chcę ich dostawać, nie chcę o nich wiedzieć. To już od dawna nie jest moje życie, nie interesują mnie konferencje i gościnne wykłady – uśmiechnęłam się, chcąc mu pokazać, że wszystko jest w porządku, chociaż on, oczywiście, nie mógł tego zobaczyć. – Chodzi mi tylko o to, że to ja... To ja miałam tam być zamiast Doroty...

– Myśli pani, że zaszła pomyłka? – Szprot nie wytrzymał i wtrącił się krótko do naszej rozmowy. – Że to pani miała zginąć w tym hotelu?

– Nie, nie... Na pewno nie – znowu musiałam szybko dołożyć do tej układanki nowe klocki i sprawdzić, czy cały obrazek wreszcie nabiera choć trochę sensu. – Hotel był przecież rezerwowany na nazwisko Doroty, ona figurowała w programie... Nikt nie mógł przypuszczać, że tam będę...

Milczeliśmy przez moment wszyscy troje, a potem Stefan zaczął mówić. Cicho i bardzo, bardzo powoli:

– Dorota lubiła przeglądać papiery, które przynosiłem z uczelni. Czasami czytała jakieś artykuły pisane przez znajomych. Albo te dotyczące roślin psiankowatych, którymi zajmowała się w czasie studiów. Ale nigdy wcześniej nie chciała sama niczego napisać ani tym bardziej występować publicznie. Aż do chwili, gdy przyszło to zaproszenie. Uparła się, że pojedzie do Warszawy i opowie o kwiatach na holenderskich obrazach...

– Myślałam, że się na tym nie znała – mruknęłam niepewnie.

– Oczywiście, że się nie znała – potwierdził ze złością. Nie byłam pewna, na mnie, czy na nią...

– Ależ jej referat był bardzo dobry! – zawołałam szybko w poczuciu lojalności wobec Doroty. – Naprawdę, aż się zdziwiłam, do ilu źródeł sięgnęła, jak sprawnie opisała symbolikę dyni, granatów i brzoskwini, jak świetnie zinterpretowała nekrozę liścia cytrusa u Seghersa...

– To nie ona – powiedział cicho Stefan. – Nie chciałabyś czytać tego, co napisała. Obiecałem, że nikomu tego nie pokażę... Ale teraz chyba nie ma to już większego znaczenia.

– Poprosiła cię o pomoc? – zapytałam, czując, że nareszcie coś zaczyna się w tym wszystkim zgadzać... Choć ciągle nie wiedziałam, co z tego wyniknie.

– Ależ skąd! Nie chciała mi pokazać, co pisze... Powiedziała, że musi chociaż ten jeden raz w życiu zawdzięczać coś wyłącznie sobie samej. Znalazłem jej tekst w komputerze i zamarłem z przerażenia. Na pierwszy rzut oka dostrzegłem w nim kilkadziesiąt rażących błędów. Było za późno, żeby się wycofała. Wydrukowano już jej nazwisko w programie wernisażu. W dodatku biegła do redakcji „Przeglądu”, uparła się, że odda artykuł z rozszerzoną wersją wystąpienia jeszcze przed wyjazdem do Warszawy, nie wiadomo po co... Nie miałem wyjścia. Przez tydzień siedziałem w bibliotece, żeby choć trochę to poprawiać.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?

Roześmiał się gorzko.

– Dorota by mi tego nie darowała. Musiałem jej przysiąc, że tego nie zrobię. Bardzo się bała kompromitacji w twoich oczach. Wolałaby chyba ośmieszyć się na wernisażu niż poprosić o pomoc akurat ciebie.

Znowu przestawiłam w myślach wszystkie klocki.

– Zadzwonię później – powiedziałam.

I nie czekając, aż Szprot zapyta, dokąd się wybieram, wybiegłam z domu. Moim celem była nasza helska biblioteka. Miałam nadzieję, że znajdę tam to, czego szukam. Małą książeczkę, której nie miałam w ręku od czasu studiów.

NINA

Siedziałyśmy z Kostką na podłodze urządzonego po spartańsku pokoiku koło kuchni.

– Nie rycz już, głupia – szturchnęłam ją w bok, tak jak kiedyś, w dzieciństwie.

Kostka zawsze płakała z byle powodu. Nawet nad osą zabitą przez Czarną Mańkę na kawiarnianym stoliku na Starym Mieście.

„Nie mogłam pozwolić, żeby pogryzła nas albo te dzieci, które kupują lody” – tłumaczyła jej Mańka. Na próżno. „A nie pomyślałaś, że osa też pewnie ma dzieci?” – chlpała Kostka.

– „I one nie zobaczą już nigdy swojej biednej matki, rozgniecionej gazetą!”

Była niereformowalna.

Dziś jednak ilość wylanych przez nią łez była stanowczo za duża. Nawet jak na Kostkę.

– Wiesz, mimo wszystko bardzo się cieszę, że tu przyjechałam – chlpięła. – Ten domek na Czarcim Cyplu jest taki piękny. Chciałabym go wynająć choćby na weekend. Pobyć tam sama albo... no wiesz, z jakimś kotem. Tam jest cudownie, tak spokojnie i cicho... Zupełnie jak w rajku.

– W czarcim rajku – roześmiałam się, przyciągając ją do siebie i mierzwiąc jej włosy.

A potem nagle przyszło mi coś do głowy.

– Wezmę od Natalii numer do właścicieli – postanowiłam. – Może chcieliby sprzedać te trzy śmieszne chatki? Nikt nie przyjeżdża ani do tej malinowej, ani do brzoskwiniowej... Miałybyśmy gdzie uciekać, żeby spokojnie popracować...

Oczy Kostki rozszerzyły się z zachwytem. A potem nagle się rozryczała.

O, nie!

– Co znowu? – jęknęłam z niedowierzaniem. To wcale nie wyglądało na łyzy szczęścia.

– Domki są trzy, a nas cztery – wysapała. – Więc dla mnie nie będzie miejsca... Za mało udzielam się w SIS-4... Nie należy mi się taki domek, nie zapracowałam na to, żeby w nim spędzić choćby jedną noc.

– Głuptasku – pogłaskałam ją po głowie jak wtedy, gdy miała cztery latka i co noc przybiegała z krzykiem prosto do mojego łóżka. – Należą ci się wszystkie trzy domki. Tak jak każdej z nas. One będą nasze wspólne, będziemy z nich mogły korzystać, kiedy tylko zechcemy... Same, z kotami, psami, przyjaciółmi... A może kiedyś któraś z nas z jakimś

mężem i gromadką tłustych bachorków? A poza tym pamiętam, że koło tego malinowego jest jeszcze spory kawałek wolnej ziemi. Możemy dostawić czwarty domek, jeżeli naprawdę je kupimy.

NATALIA

Musiałam przejrzeć cały regał, zanim znalazłam ten cienki tomik z czterema opowiadaniem Agaty Christie. Szybko podałam go uśmiechniętej bibliotekarce, żeby odnotowała wypożyczenie, a potem ze zdobyczą pod pachą popędziłam do domu.

Znalezienie stosownego fragmentu zajęło mi tylko krótką chwilę.

Czytałyśmy te opowiadania na głos na pierwszym czy drugim roku studiów. Ja, Dorota, Hanka i Baśka z sąsiedniego pokoju, która lubiła wpadać do nas wieczorami i robić z nami kolację. Zasady były proste: która odgadnie mordercę jako pierwsza, jest zwolniona ze zmywania.

Dorota prawie zawsze wygrywała.

Dopiero pod koniec studiów wyznała mi w wielkiej tajemnicy, że czytała te książki już wcześniej, jeszcze w liceum. Jej mama była bibliotekarką. I miłośniczką kryminałów.

Konwalie... To one były kluczem do wszystkiego.

Konwalie przy hotelowym łóżku.

I te, które stały w małżeńskiej sypialni Stefana, kiedy się obudziłam wtedy, w kwietniu. Nie było go w domu... Musiał iść na uczelnię. Zostawił mi kanapki, bułki i kefir na drogę... Bukieciak konwalii i krótki liścik wsunięty pod półmisek z kanapkami.

Pamiętałam każde słowo.

Srebrna Natalio!

Jak dobrze było znów Cię zobaczyć. Znów siedzieć i patrzeć, jak śpisz, pochrapując rozkosznie. Chciałbym zatrzymać czas. A jeszcze lepiej: cofnąć go o pięćdziesiąt lat. I nigdy nie wypuścić Cię z ramion. Myślałem wtedy, że wychodzisz na chwilę, że za kilka dni znowu będziemy razem. Do głowy mi nie przyszło, że tracę Cię na zawsze.

Do dziś nie wiem, co zrobiłem nie tak. Cokolwiek to było – wybacz, jeśli potrafisz.

Czas pędzi, Srebrna Natalio. Srebrzy nam skronie.

Myślałem, że już nigdy nie usłyszę tego pochrapywania... I tego śmiechu...

Dziękuję Ci.

Dziękuję za ten dzień.

Nie daj umrzeć marzeniom. Pisz! Niech cały świat botaników i historyków sztuki padnie przed Tobą na kolana.

Ja zrobię to jako pierwszy.

Jedź ostrożnie. I pisz! Pisz, Natalio! To wszystko powinno się stać dawno temu.

Zawsze Twój

S.

Zabrałam wtedy kajzerki, kefir i te konwalie. Stały potem w pokoju w sanatorium i pachniały upojnie... Nie pozwalając zapomnieć.

Szybko wybrałam numer Stefana.

Odbierz, odbierz! – błagałam w myślach.

Odebrał, jak poprzednio, już po pierwszym sygnale.

– Zniszczyłeś ten liścik? – zapytałam drżącym głosem, dziwnie pewna, co odpowie.

– Jaki liścik? – O, Boże. On naprawdę nie rozumiał, o czym mówię.

– Wtedy, w kwietniu... Napisałeś do mnie karteczkę... Pamiętasz? I zostawiłeś ją na stoliku, koło konwalii.

– Cytowałem na niej chyba Gałczyńskiego, jak tyle razy przedtem? – wyraźnie uśmiechnął się do wspomnień: – „*O, zielony Konstanty, o, srebrna Natalio! Cała wasza wieczerza dzbanuszek z konwaliaq...*”

– Niezupełnie – westchnęłam, modląc się, żeby to nie była prawda. Żeby za chwilę układanka znowu się rozsypała. – Napisałeś troszeczkę więcej. A ja przeczytałam ten liścik... Przeczytałam go mniej więcej sto razy i wyszłam. I... Stefan, przepraszam... Ja naprawdę nie wiem, jak to się stało...

– Nie zabrałaś go ze sobą do Ciechocinka? – zapytał z niedowierzaniem.

– Chyba nie... Musiał gdzieś spaść, kiedy wychodziłam... Miałam zadzwonić, zapytać, ale wtedy w sanatorium tyle się działo... Czekala na mnie policja... I chyba całkiem wyleciało mi to z głowy. Naprawdę, bardzo cię przepraszam.

Milczał, wystraszony.

Ja też.

Morderstwa upozorowane na samobójstwo zdarzają się pewnie często. Samobójstwa udające morderstwo po to, by kogoś ukarać, znacznie rzadziej...

Ale Dorota dobrze znała *Morderstwo w zaułku*. I pisała pracę o roślinach psiankowatych, wśród których nie brakowało gatunków trujących.

Nie była wybitnym botanikiem, ale miała dostateczną wiedzę i wyobraźnię dokarmianą od dzieciństwa najlepszymi kryminałami. Poświęciła dla Stefana naprawdę wszystko. Dzieci mieszkały za granicą, wnuki nawet nie mówiły po polsku, widywała je dwa razy w roku. Stefan był sensem jej życia.

Jeżeli myślała, że ją zdradził, że nigdy nie przestał mnie kochać, to nic nie miało już sensu. Musiała naprawdę być wściekła, na mnie i na niego. Wściekła i zrozpaczona jednocześnie.

Z łatwością mogła uknuć i zrealizować swój plan.

ROZDZIAŁ 27

SOLA DOSIS FACIT VENENUM

NATALIA

Nina patrzyła na mnie bez słowa. Chyba rozumiała, ile kosztowała mnie ta rozmowa ze Stefanem i świadomość, że stałam się przyczyną tego ogromnego nieszczęścia.

– Mogło być gorzej – szepnęła, obejmując mnie niezdarnie ramieniem.

– Gorzej? – potrząsnęłam głową. – Dorota nie żyje. Umarła, wściekła na mnie i Stefana, przekonana, że ją zdradził... Że zdradziliśmy ją obydwój. Mąż i przyjaciółka sprzed lat... Czy mogło ją spotkać coś straszniejszego? Zawsze mówiła, że darowałyby wiele rzeczy, ale nie zdradę. Że zdrada to dla niej koniec wszystkiego. A przecież ten liścik brzmiał tak, jakbyśmy przed chwilą spędzili razem najbardziej namiętną noc w życiu. W czasie, gdy ona niańczy wnuki w Niemczech! Oczywiście Stefan jest załamany, nie ma już szans, żeby wyjaśnić, powiedzieć, że do niczego między nami nie doszło...

– Zwykle nie mamy szansy powiedzieć zmarłym wszystkiego, co byśmy chcieli... – Głos Niny zabrzmiał dziwnie poważnie. Jakby w jej życiu również zdarzyło się coś podobnego... Jakby pewne słowa zawisły w powietrzu, niewyszeptane w porę, gdy jeszcze nie było za późno.

Miała rację, oczywiście. Ja też chciałabym powiedzieć bardzo wiele mojemu ojcu, Olkowi, mamie, mojej bratanicy, która zmarła za oceanem...

Takie słowa zawsze kłują, ale mimo wszystko to nie jest aż taki ból, jak ten, który czujesz, gdy ktoś popełnia samobójstwo z twojego powodu. I w dodatku robi to w taki sposób, aby cały świat myślał, że to ty jesteś mordercą.

– Miała plan A i plan B – pokręciłam głową z niedowierzaniem. – Najpierw podejrzenia miały paść na mnie. A gdyby mnie oczyszczono, kolejny w kolejce do wyroku byłby Stefan.

– To ona wysłała ci artykuł? – Nina usiłowała odtworzyć w głowie ciąg zdarzeń. – Ten kiepski artykuł... Z błędami, które tak cię wkurzyły.

Przytaknęłam.

– To była prawdopodobnie pierwotna wersja, ta jej autorstwa. Przed poprawkami

Stefana. Podobno wyrwało mu się wtedy: „Natalia chyba by umarła, gdyby to przeczytała”. Może właśnie to ją ostatecznie sprowokowało i zaczęła knuć cały plan?

– A może miała go już wcześniej? – podsunęła Nina. – Może zdecydowała, że wystąpi na wernisazu tylko po to, żeby cię dopaść?

Zastanawiałam się przez moment nad tą ewentualnością. Uznałam jednak, że jest mniej prawdopodobna. Gdyby naprawdę napisała coś dobrego, zachwyciła Stefana, profesora Voyko i ambasadora... Może wtedy nic by się nie stało? Poczuliaby, że ze mną wygrała. Ja weszłam na chwilę do jej łóżka, ale ona wygryzła mnie zza pulpitu dla mówcy na takim prestiżowym wernisazu! I byłybyśmy kwita.

Niestety, artykuł był fatalny.

Stefan twierdził, że bardzo źle zniosła jego krytykę i fakt, że musiał nanieść poprawki. Że nawet tego nie potrafiła zrobić bez jego pomocy.

– Nie wiem, dlaczego tak się uparła – westchnęłam. – Miała przecież dużo powodów do zadowolenia. Była świetną nauczycielką, uwielbianą przez uczniów. A przede wszystkim dobrą, spełnioną, odpowiedzialną żoną i matką. Dzięki niej Stefan miał spokój, mógł podróżować po całym świecie z wykładami, jeździć na stypendia, nie wychodzić całymi dniami z laboratorium... On bardzo to doceniał.

Nina popatrzyła na mnie spode łba.

– Doceniać a szaleć z miłości to jednak dwie zupełnie różne sprawy – westchnęła. – On doceniał Dorotę, ale kochał ciebie. Znalazła ten liścik i zrozumiała, że nigdy o tobie nie zapomniał. Że przez te wszystkie lata małżeństwa ciągle o tobie myślał.

Nagle przypomniało mi się takie zdanie... Kto to powiedział? Szekspir? Nie, chyba jego imiennik Congreve? *„Niebo nie zna wściekłości takiej, jak miłość w nienawiść zmieniona, piekło zaś nie zna furii takiej, jak kobieta wzgardzona”*.

Najwyraźniej od końca siedemnastego wieku nic się w tej sprawie nie zmieniło...

Szprot zamknął się w łazience i rozmawiał przez telefon chyba z godzinę.

Już miałam sprawdzić, czy nic mu się nie stało. W końcu jednak wyszedł, zarumieniony, z nieodłącznym notatnikiem w dłoni.

– Pani Natalio, znowu się pani udało – uśmiechnął się do mnie trochę smutno. – Rozwiązała pani zagadkę szybciej niż policja... Choć oczywiście wciąż jeszcze czekamy na raport z laboratorium. Na razie więc nie wiemy, jakiej dokładnie substancji użyła denatka, żeby osiągnąć swój cel. I w jaki sposób usunęła ślady...

– To chyba jednak nie był rącznik – westchnęłam. – Po nim umiera się długo i boleśnie, nie chciałyby się na to narażać. A poza tym nasiona nie dają pewności... Nigdy nie wiadomo, czy zabijają, czy tylko uszkodzą nerki lub wątrobę. Jeżeli faktycznie chciała wrobić Stefana, pewnie połknęła nasiona rącznika, żeby pojawiły się w raporcie toksykologa, stanowiąc dowód, że mąż podał je jeszcze przed wylotem... Zrobiła to jednak na tyle późno, żeby nie zaczęły działać przed jej śmiercią, przysparzając jej cierpień. A tak naprawdę zabiła się za pomocą czegoś, co działa szybko i skutecznie.

– Co to mogło być? – chlipnęła Kostka.

– Raport toksykologiczny na pewno przyniesie jednoznaczną odpowiedź – mruknęłam. – Możliwości jest naprawdę bardzo wiele... Nawet zwykły ziemniak, jeżeli poleży zbyt długo na słońcu i robi się zielonkawy, może być trujący. Zdarzały się przypadki śmierci po wypiciu wody, w której stały konwalie, albo po ich powąchaniu.

Szprot zastrzygł uszami, słysząc o konwaliach.

Szybko rozwiałam jego nadzieje:

– Jeden bukietik nikogo nie zabije. Żeby doszło do silnego spadku ciśnienia i migotania komór serca, a w efekcie do śmierci, trzeba by wachać dziesiątki bukietików w ciasnym pomieszczeniu, na przykład na zapleczu kwaciarni. *Omnia sunt venena, nihil est sine veneno. Sola dosis facit venenum.*

– Co takiego? – Nina, Kostka i policjant patrzyli na mnie zaskoczeni.

– „Wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną. Tylko dawka czyni truciznę” – wyjaśniłam, po raz kolejny żałując, że w polskich szkołach w zasadzie nie uczy się już łaciny.

Z jej znajomością naprawdę można poznać wiele prawd o funkcjonowaniu świata. Przydatnych nie tylko prawnikom, lekarzom i farmaceutom.

Nagle coś mi przyszło do głowy.

– Drzwi do pokoju były zamknięte... A okno? – zapytałam.

– Uchylone – wyjaśnił Szprot. – Ale nie było na nim żadnych odcisków palców. Dlaczego miałyby to wszystko powycierać? Przecież jej linie papilarne byłyby tam zupełnie naturalne.

Zastanowiłam się przez moment.

– Nie chodziło o to, że były tam jej odciski, ale o brak odcisków mordercy. Gdyby ktoś przyszedł ją zabić, dotknąłby przecież jakiegoś blatu, szafki, klamki... Usunęła wszystko, żeby ukryć fakt, że nikogo nie było. I trochę namieszać nam w głowach.

Nagle wyobraziłam sobie dokładnie, jak to się mogło rozegrać.

– Dorota uchyliła okno, wytarła ramię i klamkę, a potem coś połknęła – mówiłam dalej. – Albo zrobiła sobie zastrzyk. I wyrzuciła na ulicę strzykawkę albo fiolkę. Widziałam na mapie, że wszystkie okna tego hotelu wychodzą na ruchliwe skrzyżowanie. Minęło kilka godzin od śmierci Doroty do chwili, gdy znaleźliście jej zwłoki. Nie było szans, by leżący na ulicy dowód przetrwał tyle czasu i rzucił się wam w oczy. Właściwie mógł to być nawet ręcznik, tyle że podany domięśniowo, a nie doustnie. Działa wtedy znacznie szybciej i skuteczniej. Chociaż ja... – zawahałam się tylko na moment – Ja stawiałabym raczej na mordownik.

– Co takiego?

– Tojad mocny. Jedna z najsilniejszych trucizn. Doskonała, żeby zrobić Stefana. W swojej pracy doktorskiej o florze tatrzańskich dolin poświęcił cały rozdział taksonomii tojadów. To obciążałoby go dodatkowo. Tojad był przez lata jego znakiem firmowym!

– Jak konwalie i glistnik w pani przypadku – uśmiechnął się Szprot.

Pokręciłam głową.

– Glistnik owszem, ale konwalie? One były znakiem firmowym naszej miłości... Znanym tylko nam dwojgu, pani z dziekanatu, która już wtedy miała pewnie z sześćdziesiąt lat i dziś na pewno nikogo nie mogłaby już zamordować. No i Dorocie. I niestety, to właśnie ona na zawsze zmieniła ich symbolikę... A próbując wskazać, że jestem winna, tak naprawdę wskazała na siebie.

Westchnęłam, wspominając jej roześmianą twarz, gdy znowu udawało jej się wymigać od zmywania po kolacji. Jej ciepłą dłoń, którą wypychała mnie na najtrudniejszy egzamin u profesora Dzieduszki. Jej zieloną spódnicę, którą pożyczyła mi bez wahania na pierwszą randkę ze Stefanem.

Czy zakochała się w nim już wtedy? I wzdychała do niego przez te wszystkie lata, kiedy byliśmy razem? Czy umierała z bólu, oglądając materiał na moją suknię ślubną i gratulując mi pierścionka z liściem glistnika?

Westchnęłam w duchu. Stefan nie mógłby zostawić jaskółczego ziela w wazoniku. Powinnam wiedzieć, że ten wazonik całkowicie go uniewinnia... tak samo jak mnie. Wiedzieliśmy przecież doskonale, jak marnie wygląda ta roślina niemal natychmiast po wstawieniu do wody. Dorota tego nie wiedziała. Widywała tylko suszony glistnik, który parzyła sobie co rano przed śniadaniem... Nigdy nie lubiła wyjazdów w teren, wolała siedzieć na wydziale nad sadzonkami pomidorów...

Nie, nie mogłam dłużej o tym myśleć. I naprawdę musiałam zostać sama, choćby na moment...

NINA

– Dajcie mi pięć minut – poprosiła Natalia. – Posprzątam u Adeli i zaraz wyjdziemy z psami na długi spacer po plaży.

– Ale...

– Minuta! – uśmiechnęła się nerwowo. – Naprawdę muszę tam szybko sprzątnąć, Adela nie znosi, kiedy się spóźniam. A sama słyszałaś, jak wrzeszczy, kiedy jest zdenerwowana. Wolę się nie narażać...

Trafił mnie szlag. Podniosłam się z krzesła i zrobiłam dwa kroki w jej kierunku.

– Posłuchaj samej siebie, Natalio! Jesteś wspaniałą, nowoczesną, inteligentną kobietą. Dwóch mężczyzn szaleje na twoim punkcie. Żona profesora zabija się, bo nie umie wygrać z jego miłością do ciebie! Jesteś niezwykła, a dajesz się wrobić w sprzątanie w pokoju jakiejś wariatki! O stałych porach! Sądząc z tego, jak się na mnie darła, nie jest jeszcze umierająca i ma naprawdę sporo siły. Powiedz jej, że może sobie posprzątać sama!

Natalia spojrzała na mnie uważnie i nagle zaczęła się śmiać. Śmiała się tak mocno, że aż pociekły jej łzy.

– Chyba oczekujesz od Adeli odrobinę za wiele – potrząsnęła głową. – Nawet Maks, mimo że jest genialny, nie potrafi po sobie sprzątnąć. A ty wymagasz takich umiejętności od... papugi?

NATALIA

Ona naprawdę myślała, że Adela jest kobietą!

– Mówiłaś przecież, że przyjaźniła się z żoną Wiktora. Że były nierozłączne przez prawie pół wieku! – patrzyła na mnie z pretensją.

– Tak było – pokiwałam głową, ciągle nie mogąc powstrzymać śmiechu. – Duże papugi żyją bardzo długo... Nawet siedemdziesiąt lat.

– Prawie jak ludzie – westchnęła z wyraźnym niedowierzaniem.

Prawie jak ludzie. I przywiązują się też jak ludzie, na całe życie...

Kiedy Wiktor opowiadał mi tę historię, też nie mogłam uwierzyć, że opieka nad ptakiem może się wiązać z takimi problemami. Ale, prawdę mówiąc, niewiele wiedziałam do tej pory o papugach...

– Irma, żona Wiktora, była zakładniczką Adeli – powtarzałam Ninie to, co sama usłyszałam kilka miesięcy temu. – Od dnia ślubu, kiedy dostali tę papugę, aż do śmierci

nie wyjeżdżała na dłużej niż dwie noce. Papuga nie pozwalała się do siebie zbliżyć nikomu oprócz niej. Gdy Irma zniknęła, Adela stawała się apatyczna, przestawała jeść i gadać...

– Gadać, no właśnie... – Nina z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – Ona mówi jak człowiek! To jest po prostu nie do odróżnienia!

– Wiktor też tak twierdzi – uśmiechnęłam się, choć akurat ten wątek nie bawił mnie ani trochę. – Żako to największe histeryczki wśród wszystkich papug, ale i najlepsze mówczynie. A Adela jest chyba w czołówce w obu tych sprawach. Uwielbiała Irmę i powtarzała całe zdania, dokładnie naśladowując jej głos i to charakterystyczne wschodnie „R”. Wiktor podobno nieraz, będąc w drugim pokoju, nie był w stanie odgadnąć, czy woła go żona, czy Adela.

– Nie do wiary – powtarzała Nina. – To cię nie wkurza?

– Szczerze? – westchnęłam. – Wkurza jak cholera. Czuję się trochę tak, jakbym żyła w trójkącie. Od rana do nocy słyszę żonę Wiktora. Nie chodzi tylko o to, że Adela mówi jej głosem. Ona powtarza w kółko to, co słyszała najczęściej. A więc: „Wiktor, skarbeczku”, „Wiktor, kochanie”, „Wiktor mój drogi”... Propozycje przytulenia się, napicia razem koniaczku i herbatki... Mogę z łatwością sobie wyobrazić, jak wyglądało ich wspólne życie, co robili po pracy, jak uprawiali seks. Zalotne „Wiktor, ja tu czekam” doprowadza mnie po prostu do szału. Nigdy nie przypuszczałam, że będę rywalizować o uwagę mężczyzny z... z jakimś ptaszyskiem!

– Nie możecie jej komuś oddać? – zaproponowała Nina bez większego przekonania.

Pokręciłam głową.

– Wiktor obiecał Irmie, że się o nią zatroszczy – przypomniałam. – A on zawsze dotrzymuje słowa. A poza tym, wiesz, ona naprawdę nie przeżyłaby takiej zmiany. Podobno w Ameryce ponad połowa papug żako jest stale na prozacu. Mają bardzo wrażliwą psychikę, nienawidzą zmian i stresów, wszystko musi się odbywać zawsze tak samo, o stałej porze... Adela brała antydepresanty przez ponad pół roku po śmierci Irmy. Przeprowadzka tutaj też była dla niej ciężka. Ale dzięki temu, że ma Wiktora, na razie jakoś sobie radzi.

– Jesteś święta – powiedziała Nina z podziwem. – Wcale nie żartuję! Ja chyba ukreśliłabym jej łeb za te miłosne szczebiotania!

– Wiesz, w gruncie rzeczy to jest urocze – przyznałam. – I nawet mnie wzrusza. Taka miłość silniejsza niż śmierć. Irma wciąż jest obecna w życiu Wiktora... dzięki tej papudze. Jak mogłabym mu to odebrać?

– Jesteś święta i tyle – powtórzyła Nina. – Ale jednak cię wkurza?

– Wkurza i wzrusza. Jednocześnie. Nigdy nie doświadczyłaś takiego uczucia?

– Doświadczyłam – szepnęła i nagle zaczęła się śmiać jak szalona.

A ja natychmiast zrozumiałam, że mówiąc to, pomyślała o mnie. Wkurzam ją i wzruszam. Chciałaby mnie udusić i ucałować, jednocześnie.

Dokładnie tak, jak ja ją.

EPILOG

NINA

– Nasza oferta odpadła – głos Mańki w telefonie o jakiejś nieludzkiej godzinie w środku nocy brzmiał naprawdę grobowo. – Przegrałyśmy, rozumiesz? Hamish podobno rozwalił z wściekłości komputer. Chce jutro do nas przylecieć z dwoma najlepszymi kanadyjskimi prawnikami, żeby to wszystko przeanalizować i zaplanować kolejne kroki.

Momentalnie oprzytomniałam.

– Nie wierzę – oświadczyłam. – Zrobiłyśmy absolutnie wszystko, czego wymagali. I jeszcze więcej. Nie ma drugiej firmy, która przygotowałaby taką dokumentację, taki projekt jak my. Spędziłam na Helu sześć tygodni! Sześć cholernych, bezsennych tygodni tylko po to, żeby dopieścić każdy szczegół. Sama wiesz, że wyszło perfekcyjnie.

– Siedzisz? – zapytała.

Nie odpowiedziałam. Stałam właśnie w progu kuchni. Chciałam wziąć sobie szklankę wody. Pompon oczywiście przyszedł za mną w nadziei na jakąś nieoczekiwaną rozrywkę. Może dodatkową porcję zwaczy, płucek albo innego paskudztwa?

Ja rozrywkę miałam już chyba zapewnioną.

Rozrywkę jak cholera!

– Usiądź – poprosiła Mańka. – Usiądź i naprawdę trzymaj się mocno krzesła!

Niejasne przeczucie tego, co zaraz usłyszę, sprawiło, że nie mogłam się ruszyć. Stałam w tym progu jak sparalizowana.

– Siedzisz?

– Tak – skłamałam zduszonym głosem.

I oczywiście usłyszałam to imię, którego nie chciałam słyszeć już nigdy więcej.

– To był Maks – oświadczyła moja siostra. – To Maks złożył lepszą ofertę. Identyczną jak nasza. W każdym maleńkim szczegółiku. Tylko tańszą o dziesięć procent.

– Jak to identyczną? – wydusiłam z siebie. – Przecież... To przecież niemożliwe?!

– Włamał się do twojego komputera – słyszałam, jak ciężko oddycha... Jak ciężko przychodzi jej każde z tych słów. – Naprawdę nie mam pojęcia, jakim cudem. Przecież nie odebrałaś od niego żadnego połączenia, prawda?

– Odebrałam – jęknęłam, wspominając tamtą rozmowę. – Rozmawialiśmy może przez

dwie minuty. No, najwyżej trzy...

– Wystarczyło, żeby namierzyć twój telefon – mruknęła Mańka. – Ale pewnie wcale nie musiał tego robić zdalnie... Podpiął się pod komputer, jestem prawie pewna. Jutro rano oddamy sprzęt do badania. Powiedziałaś Maksowi, gdzie jesteś?

– Tak, chyba tak... Powiedziałam. Ale tylko tyle, że jestem na Helu.

– Wystarczy – jęknęła. I miała rację. Kostka znalazła nas tamtego ranka bez najmniejszego problemu. Maks też by mnie znalazł w trzy minuty, gdyby pokazał komukolwiek moje zdjęcie...

– Ale on przecież wcale nie przyjechał się ze mną spotkać! – zawołałam. – Nie zjawił się na progu, nie szukał mnie po mieście. W ogóle nikt nie zaglądał do mnie przez sześć tygodni spędzonych na Czarcim Cyplu...

I nagle to do mnie dotarło. Przychodziło mnóstwo osób. Kurierzy, monter szybszego Internetu, bo mój bezprzewodowy rwał się jednak czasami na odludziu, za wysokimi drzewami... Był dostawca pizzy, kominiarz, dwaj faceci w mundurkach odczytujący licznik prądu...

Każdy z nich mógł wykorzystać sekundę mojej nieuwagi i podpiąć coś do komputera. Jeden z kurierów poprosił o możliwość umycia rąk... Kominiarz biegał w kółko z piętra na parter, podczas gdy ja rozmawiałam przez telefon, stojąc na werandzie. Czasami zostawiałam też komputer na zewnątrz, na stole z widokiem na morze, i biegłam na chwilę do środka po jakieś papiery, do łazienki po sweter... Wystarczyłoby czasu, żeby się zakraść i podpiąć, nawet nie wchodząc do domu.

– Skurwiel... – Mańka przerwała milczenie w jedyny możliwy sposób. – Cholerny skurwiel. Ale my go jeszcze dopadniemy. Prawnicy Hamisha mają jakiś pomysł, a Kostka dzwoniła już w tej sprawie do Szprota. Zdaje się, że coś razem wymyślili...

Kostka? Kostka zaangażowała się w sprawy firmy? I z własnej woli rozmawia przez telefon? Do tego z obcym mężczyzną?

Pokręciłam głową.

I mimo wszystkich przekleństw cisnących mi się na usta po prostu musiałam się uśmiechnąć.

A tego złamanego fiuta Maksymiliana puścimy z torbami. W samych gaciach. Przysięgłam sobie, że to zrobimy. Ale jeżeli dzięki tej całej sytuacji Kostka naprawdę zaangażuje się w sprawy SIS-4 i może nawet się zakocha, to uznam, że było warto.

Niepokoili mnie tylko ta obrączka na palcu Szprota. Jak to powiedziała Natalia? Wzgardzona żona kipi furia? Jakoś tak... Wolałabym, żeby obiektem tej furii nie została

jednak najmłodsza i najdelikatniejsza z moich sióstr...

NATALIA

Jesienny deszcz walił w szyby, z minuty na minutę coraz mocniej.

Zrobiło się ciemno jak w nocy.

Wtuliłam się mocniej w nagie ramiona Wiktora.

– Bardzo mi się podoba ta nieoczekiwana przerwa w pracy – pocałowałam go jeszcze raz i zaczęłam podnosić się z łóżka.

Czas wracać do „Mewy”. Wichura pewnie zerwała już z drzwi kartkę z napisem: „Przerwa obiadowa do 14.00”. A deszcz rozmazał litery...

Klienci stopniowo wracali do mojego atelier, największe helskie plotkary zajęły się nowymi tematami... Romans nieletniego Józinka z nauczycielką – prawdopodobnie wyssany z palca jak większość ich historyjek – skutecznie odwrócił od nas uwagę. Nie byłoby dobrze, gdybym nagle nie pojawiła się w zakładzie, kiedy ktoś potrzebuje zdjęcia do paszportu albo chce umówić się na sesję...

– Poczekaj jeszcze momencik... – Wiktor sięgnął pod poduszkę i wyjął... pierścionek. Był w nim bursztyn, ale zupełnie inny niż tamten, który przyniósł do domu kilka tygodni temu. Znacznie mniejszy, z drobną inkluzją sosnową...

– Wybrałem sosnę, bo jest taka helska... i twoja. A poza tym ten egzemplarz podobno jest całkiem zwyczajny, nie kwalifikuje się do muzeum, w przeciwieństwie do tego z jagodą – uśmiechnął się lekko. – Możesz spokojnie nosić go na palcu.

– Ale ja...

Położył mi palec na ustach.

– Nie musisz za mnie wychodzić, naprawdę. Chciałbym tylko, żebyś została moją narzeczoną. Będzie mi zgrabniej przedstawiać cię „moja narzeczona” niż „konkubina” albo „kochanka”. A chyba już czas, żebyś poznała moje dzieci...

– Są w końcu na to gotowe? – uniosłam brwi z niedowierzaniem.

Nie dosłyszałam jednak odpowiedzi. Moja komórka zaczęła wibrować jak szalona.

– Nina? – ucieszyłam się, że znalazła chwilę na rozmowę. – Wybrałyście już deski na podłogę do malinowej chatki? Pan Leszek chciałby od poniedziałku zacząć pracę... No i jest sprawa pozwolenia na budowę czwartego domku. Brakuje tylko mapki geodezyjnej i jeszcze...

– Ty o niczym nie wiesz? – przerwała mi w połowie zdania takim tonem, jakbym

przegapiła wiadomość o lądowaniu Marsjan albo budowie elektrowni atomowej na Czarcim Cyplu.

– Chyba nie wiem – odpowiedziałam ostrożnie.

– Nie słyszałaś o Stefanie? Od pół godziny trąbią o tym we wszystkich portalach i w telewizji!

Przez ostatnie pół godziny zajmowałam się czymś znacznie przyjemniejszym niż oglądanie telewizji.

Teraz jednak strach chwycił mnie za gardło.

– Nie żyje? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Jak to nie żyje? – roześmiała się Nina po drugiej stronie. – Ty naprawdę o niczym nie masz pojęcia! Żyje i ma się doskonale. Lepiej niż kiedykolwiek. Właśnie ogłoszono, że dostał Nagrodę Nobla!

– Nagrodę Nobla? – powtórzyłam jak automat.

– Tak! Jakieś trzy i pół miliona złotych! Nieźle, co? Jeden z pierwszych botaników nagrodzonych w dziedzinie medycyny i fizjologii! Epokowe wydarzenie! Ale komentatorzy uważają, że mu się należała, bo jego odkrycie, mimo że dotyczy budowy roślin, może uratować życie setkom ludzi – mówiła jak katarynka! – Podobno to może być przełom, zwłaszcza dla Afryki... Ale słuchaj, czy ty wiesz, co on powiedział dziennikarzom, kiedy dopadli go na uczelni?

– Skąd mam wiedzieć?

– Powiedział, że dziękuje Natalii Burskiej! Słyszałaś? Natalii Burskiej! Bo gdyby nie ona, nie byłoby go dzisiaj tu, gdzie jest. Dobrze, co? Bo byłby w pierdlu! I nie wyszedłby z niego aż do śmierci!

– Nie byłoby go tu, gdzie jest – znowu powtórzyłam bezwiednie jej słowa.

Byłam dziwnie pewna, że mówił o czymś więcej niż to, że dzięki mnie nie został skazany za morderstwo z premedytacją...

I że za chwilę zadzwoni, żeby o tym porozmawiać.

Telefon faktycznie zawibrował jeszcze raz, może dziesięć sekund po tym, jak zakończyłam rozmowę z Niną.

Ale to nie był Stefan.

– To ja, Paulina. Pamięta mnie pani? Rozmawiałyśmy w więzieniu, wtedy w nocy... Nie mam nikogo... Nikogo, kto mógłby mi pomóc, tylko panią jedną. Niech pani nie odkłada słuchawki!

OD AUTORKI

Po pierwsze, po drugie i po trzecie: poza nielicznymi wyjątkami, które wymienię za moment, wszystkie osoby i sytuacje opisane w tej książce są wyłącznie wytworami mojej wyobraźni. Stanowczo nic nie wiem o kierowniku referatu i jego kochance, przechadzającej się z yorkiem ulicą Wiejską w Helu, ani o pani rejestratorce z przychodni, krzywdzącej ludzi (oczywiście całkiem niechcący) swoją skłonnością do plotek.

Prawdziwy Hel jest prawdopodobnie miejscem znacznie bardziej tolerancyjnym i otwartym niż ten, który opisałam. Jest miejscem, w które wracam regularnie, czasami kilka razy do roku. I które powraca – i powracać będzie – w moich książkach. Nie dlatego, że brakuje mi pomysłów... Po prostu bardzo lubię dzielić się tym, co najpiękniejsze. A Hel zdecydowanie jest moim najukochańszym miejscem w Polsce. I nie tylko w Polsce. Nigdzie nie ma tak cudownego drobnego piasku, tak malowniczych zachodów słońca i tak poruszającej historii...

Staralam się pokazać w mojej powieści te bajecznie długie, piękne plaże, oddzielone od miasteczka starym lasem... Odrobinę fascynującej przeszłości... i kilka miejsc, które są dla mnie punktami obowiązkowymi w czasie każdego pobytu. Należą do nich oczywiście fokarium, bunkry i tarasy na cyplu, którymi można spacerować bezpiecznie nawet w czasie sztormu. Ale też „Cafe Classic” na Wiejskiej, wyglądająca jak najśliczniejsza kawiarenka na Nowym Świecie w Warszawie albo na Grodzkiej w Krakowie... Nie wymyśliłam tortu ananasowego, za którym szaleje znana aktorka, ani tym bardziej pani Teresy, właścicielki tego cudownego miejsca. Uwielbiam tam wpadać dla kawy, ciastek i wystroju, ale przede wszystkim dla chwili rozmowy z panią Teresą i jej uroczymi kelnerkami, od których zawsze mogę dowiedzieć się czegoś nowego o historii Helu albo – dla odmiany – porozmawiać o tym, co się właśnie buduje w okolicy, o czym się mówi, co będzie ludzi martwić i cieszyć za rok albo półtora...

Zawsze latem muszę też zjeść gofra z jagodami z okienka na rogu Wiejskiej i Kaszubskiej – zgodnie z napisem na budynku to naprawdę absolutne „Niebo w gębie”. Jaka szkoda, że te gofry można kupić tylko w sezonie... A przecież Hel najpiękniejszy jest wtedy, kiedy wyjadą turyści, opustoszeją tarasy spacerowe na cyplu, a cudowne domki na Wiejskiej wyjrzą zza regałów i straganów z pamiątkami. W fokarium zaś, jeśli ma się odrobinę szczęścia, można pobyć sam na sam z tymi niezwykłymi zwierzętami.

Topografię półwyspu starałam się odtworzyć w książce jak najdokładniej. Prawdziwe są nazwy ulic, bunkry, port wojenny, nieistniejący już klub marynarski na Komandorskiej, zaułek za sklepem mięsnym, prowadzący do Żeromskiego (ten, gdzie pani Halinka podpatrzyła pocałunek Natalii i Wiktora), dawne lokale w Jastarni oraz – niestety – historia domu dusz w Pucku. Wszystko wskazuje na to, że także Stary Hel istniał naprawdę kilkaset lat temu... Na pewno pisano o jego podmorskich śladach w przedwojennych gazetach. Rybacy zaś zapewniają, że pływanie na Cmentarną Toń może skończyć się w nieoczekiwany sposób – nie tylko dlatego, że teren ciągle należy do wojska...

Pozwoliłam sobie wymyślić tylko zakład fotograficzny „Mewa” usytuowany w pobliżu apteki na Wiejskiej i małe osiedle kolorowych domków – takich jak te ze zdjęcia na okładce – oraz Czarci Cypel, na którym stoją. Źródła historyczne stanowczo milczą o wybrzuszeniu w kształcie diabelskiego kopyta i nazwie wywołującej dreszcze...

Muszę podziękować kilku osobom, które podzieliły się ze mną wiedzą o Półwyspie Helskim. Przede wszystkim pani Teresie Ceynowie (tak, tej z „Cafe Classic”) i jej kuzynce Oli Góreckiej, gotowej rzucić wszystko, żeby się ze mną spotkać i poopowiadać mi o przeszłości Helu. Nie przeszkodziły jej w tym ani gołoledź na ulicach, ani upał, ani złamana noga. Olu, jesteś niesamowita! To dzięki Tobie niemal poczułam smak poziomek z „Gwiazdy Morza” i zobaczyłam ducha z kartoflaka!

Dziękuję też panu Mirosławowi Kuklikowi, dyrektorowi Muzeum Ziemi Puckiej, który spotkał się ze mną mimo napiętego terminarza, przesłał mi stare zdjęcia, skany map i ożywił na moment legendę o Starym Helu i Cmentarnej Toni.

Pawłowi Sojeckiemu jestem bardzo wdzięczna za uraczenie mnie historiami o tym, jakie rozrywki miewa helska młodzież. Kanapa ciągnięta nocą do „bazy” urządzonej przez nastolatki w bunkrach, daleko za miastem, to szczerą prawdą, którą poznałam właśnie dzięki Pawłowi.

Wiedzę o trujących roślinach czerpałam z książek *Świat trucizn* prof. Jadwigi Biernat i *Toksyczny świat. Zarys historii trucizn* prof. Bogusława Wiłkomirskiego, a także wielu artykułów, wśród których szczególnie pomocne okazały się *Trucizny, toksyny, jady* dr. Mirosława Dworniczaka i *Oswojenie mordercy* Doroty Wrońskiej.

Pierwsi czytelnicy *Werandy na Czarcim Cyplu* mieli rozmaite uwagi, każdy z nich trochę inne, ale wszyscy zgodnie mówili: „Z tą Adelą to nieco przesadziłaś”. Papuga nie może być ich zdaniem tak bardzo... ludzka. Cóż, naprawdę może. Wiem na ten temat wyjątkowo dużo. Choć nigdy nie opisuję w swoich książkach mojego życia (Tym razem też nie,

przysięgam!), to Adela jest szalenie podobna do pewnej szarej, historycznej żako, która mieszka ze mną (Hmm... Lepiej byłoby powiedzieć: pozwala mi mieszkać ze sobą...) od 23 lat.

Mówi głosem mojej mamy. Woła po imieniu ludzi, którzy od dawna są w moim życiu nieobecni. Obraca truskawki i czereśnie w swoich smukłych palcach. Potrafi się obrażać. Chorobliwie nienawidzi zmian i moich wyjazdów. Ze wszystkich ludzi na świecie akceptuje wyłącznie mnie i moją mamę. Nie możemy wyjechać razem na dłużej niż dwie doby. Po upływie 48 godzin papuga przestaje jeść i popada w apatię. Nie znosi dziewięćdziesięciu dziewięciu procent mężczyzn i dzieci. Oraz stu procent taboretów.

Ludzie, którzy odwiedzają mnie po raz pierwszy, zawsze dają się nabierać na jej okrzyki, przekonani, że w drugim pokoju siedzi jakaś bardzo wkurzona damulka, niecierpliwie domagająca się orzeszków.

A moja mama (podobnie jak powieściowy Wiktor) nawet w największy upał piecze jej ulubione ciasteczka. Może dzięki temu, w przeciwieństwie do wielu żako, o których słyszałam od weterynarzy, moja nie musi przyjmować prozacu?

Mogłabym opowiadać o niej godzinami, ale powiem tylko jedno: postać Adeli jest absolutnie realistyczna. Nie przesadziłam w żadnej scenie. Powiedziałabym, że raczej złagodziłam pewne rysy charakteru mojej ukochanej żako... i naszej intymnej relacji. Adela wszak nie wpycha Wiktorowi do ust szarego dzioba, wołając radośnie: „Daj buzi, szybciotko, moja malutka, no!”. Moja papuga, owszem, robi to regularnie.

Nie wyobrażam sobie bez niej życia i jestem w stanie wybaczyć jej absolutnie wszystko.

Postać Pompona również – choć w znacznie mniejszym stopniu – została zainspirowana pewną kundellą, obecną w moim życiu zaledwie od kilku miesięcy.

Jeżeli na spotkaniu autorskim albo targach książki ktoś dostrzegł na moich dłoniach, dekolcie i twarzy rany szarpane, to oświadczam zdecydowanie, że nie jestem ofiarą przemocy domowej. A właściwie: jestem, ale napastnikiem jest pewien niewielki, niedorosły, wiecznie uśmiechnięty pies.

Pies, który zmienił moje życie, pozbawił mnie snu, czasu na pracę i możliwości samotnego przebywania w łazience choćby przez pół minuty.

Najukochańszy pies świata.

Gadżety dla Pompona, kupowane tak kompulsywnie przez Ninę, istnieją naprawdę. Trafiłam na ich listę w internetowych sklepach zoologicznych, przy okazji poszukiwania suszonych szprotek oraz zwaczy (Bleee! Ale podobno są bardzo zdrowe...) dla mojej suni i kolb orzechowych dla papugi. Nie mogłam się oprzeć, żeby ich nie opisać.

I znowu, jak w przypadku papugi, nie przesadziłam w żadnym miejscu, nie poniosła mnie wyobraźnia... Wszystkie te wyrzutnie chrupek, psie szachy i kaftaniki antystresowe można naprawdę kupić w polskich sklepach. Opisałam tylko drobną część asortymentu, pomijając np. wyrzutnię piłek, z którą pies wchodzi w interakcję, odnosząc piłkę za każdym razem i wrzucając ją w odpowiedni otwór... Koło treningowe wyglądające jak monstrualny kołowrotek dla chomików i działające na identycznej zasadzie... Telefon, dzięki któremu pies może w każdej chwili zadzwonić do swojego pana, i – jakże by inaczej – aplikację na komórkę specjalnie dla tych psów, które właśnie nudzą się na kanapie.

Szczęśliwie mój pies radzi sobie bez tych wynalazków, za najlepszą zabawkę uważając tekturową rolkę po papierze toaletowym. Najlepiej z toalety publicznej, bo tamte rolki są znacznie większe i wykonane z twardszej tektury.

Czy jeśli przyznam się publicznie do przeszukiwania toalet na Stadionie Narodowym w czasie targów książki, wynoszenia z nich worka rolek, a następnie dezynfekowania ich przy użyciu mikrofalówki albo zamrażalnika, zasłużę na miano ekscentrycznej pisarki?

Chyba tak...

Zatem jeśli mam komuś podziękować za inspirację, to muszą to być moja papuga i mój pies. Bez nich w *Werandzie*... z pewnością nie byłoby chimerycznej Adeli i szalonego Pompona. I byłoby znacznie smutniej...

Natalii z jej pasją botaniczną nie byłoby natomiast, gdyby nie dr Halina Galera z Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Jej wykłady o roślinach w dziełach sztuki stanowią dla mnie doprawdy niewyczerpane źródło inspiracji.

Pomysł na nie do końca udany referat, pisany przez Dorotę, pojawił się nagle, dosłownie w ułamku sekundy, kiedy słuchałam dr Galery opowiadającej o jednym z siedemnastowiecznych holenderskich obrazów. Kilku przedstawionych na nim roślin nie dawało się jednoznacznie rozpoznać. Pani Halina polemizowała z autorką artykułu, który ukazał się na jego temat... A ja? Siedziałam z otwartymi ustami, jak zawsze na jej wykładach, zachwycona wiedzą prelegentki, erudycją, zdolnością przekazywania trudnych treści w cudownie prosty sposób... A w mojej głowie kiełkował pomysł intrygi kryminalnej...

Dziękuję serdecznie, Pani Doktor! Za inspirację i za to, że po raz kolejny znalazła Pani czas, by odpowiedzieć na moje pytania, przesłać mi artykuły, linki, skany, a potem przeczytać wszystkie botaniczne fragmenty książki i cierpliwie wskazać mi miejsca, które

należałoby skorygować.

Nie wiem, jak mam wyrazić moją wdzięczność. Bez dr Haliny Galery po prostu Natalia nie byłaby Natalią, a moje powieści byłyby znacznie uboższe...

Tym razem nie będzie podziękowań prywatnych. Moi bliscy, rodzina i przyjaciele i tak wiedzą, jak bardzo jestem im wdzięczna... i za co. Powiem im to jeszcze raz teraz, gdy książka jest już skończona. Prosto w oczy, bez pośrednictwa zadrukowanych stron. Oszczędzając Czytelnikom ckliwych wyznań ciągnących się w miejscu, w którym powinien być już napis: „KONIEC”.

Muszę jednak podziękować jeszcze kilku osobom za bardzo konkretny wkład w tę książkę.

Za mem o zajebicie wyluzowanej oazie spokoju dziękuję Dorocie Lińskiej-Złoch, szefowej księgarni Matras w gdańskiej Galerii Bałtyckiej. To na jej profilu na Facebooku zobaczyłam ten cytat w pewien deszczowy, paskudny poranek... i po prostu musiałam zabrać go dla Niny!

Dziękuję Ilonie Szymańskiej, czyli Najce, oraz Ani Tokarskiej-Kowalskiej, dwóm fantastycznym fotografkom, które zechciały zerknąć na wątki fotograficzne i utwierdzić mnie w przekonaniu, że w XXI wieku wciąż można używać światłomierza... Najce dziękuję też za magiczne zdjęcia, które zawsze mi robi... To wydrukowane na tylnej okładce oczywiście też powstało w jej atelier. A scena śpiewania kołysanki fotografowanemu wśród muszelek niemowlakowi na pewno nie przyszłaby mi do głowy, gdyby nie Najka!

Dziękuję Agacie Kamionce-Flak, wspaniałej weterynarz i niezwyklej kobiecie, za wszystko. A ponieważ miało być bez wątków prywatnych, to tym razem dziękuję tylko za opowieść o tym, jak dorosły pies może wychować szczeniaka... I za pokazanie mi tego na konkretnym przykładzie mądrego, cudownego psa Pręcika.

Dwóm wrocławiankom, Joli i Koali, bardzo dziękuję za wzbogacenie historii SIS-4 korporacyjnymi podpowiedziami i przykładem osobistym... W tomie trzecim znowu będziecie mi (oraz Ninie i pozostałym siostrzyczkom Drop) naprawdę bardzo potrzebne!

I wreszcie bardzo dziękuję mojej mamie Marylce, również bez wątków prywatnych – za pomysł na bułeczki z czarnuszką i za foremkę podarowaną Ninie w prezencie ślubnym przez pewną ekspedientkę. Oraz za jej wkład w postać Natalii. Gdyby nie ona, w ogóle nie przyszłoby mi do głowy, że starsze panie mogą być naprawdę fascynującymi kompankami

podróży, mieć umysł ostry jak brzytwa i pomysły bardziej szalone od niejednej nastolatki. Sformułowanie „starsza pani” nie pasuje do mojej mamy zresztą kompletnie, tak jak i do Natalii.

Dziękuję też pewnemu mężczyźnie o inicjałach T.K., który stanowczo nie chce, żebym mu dziękowała, chociaż wie, że powinnam (przy tej książce może bardziej niż kiedykolwiek)... Ale jak nie, to nie... Tym razem tylko służbowo: dziękuję za Jana Matejkę obwożonego z okazji polskiej prezydencji w Unii Europejskiej i za kilka linków, które mi podesłałeś...

To już chyba wszystkie podziękowania...

Ale zanim skończę, muszę jeszcze przeprosić dwie osoby, bardzo ważne w moim życiu. To też przeprosiny ściśle związane z *Werandą na Czarcim Cyplu*.

Osoby te są przy mnie codziennie (choć jedna z nich głównie wirtualnie) i naprawdę nigdy nie chciałabym im sprawić zawodu, a jednak to zrobiłam. Mam na myśli moją przyjaciółkę, Nataszę Sochę, oraz moją córkę. Muszę przeprosić je za to, że w ostatniej chwili odwołałam nasz wspólny wakacyjny wypad nad morze, na który tak bardzo się cieszyłyśmy, bo książka wciąż jeszcze nie była gotowa i bardzo potrzebowała dodatkowego tygodnia albo dwóch na dopieszczenie każdego wątku. Jeżeli jest na świecie ktoś, kto ma prawo szczerze nienawidzić *Werandy*..., to właśnie one... Obiecuję, że podczas przyszłorocznych wakacji nie będę pisać niczego oprócz pocztówek znad morza! I będę z Wami skakać przez fale od rana do wieczora!

A teraz czas wreszcie się wyspać, wyjechać na choćby najkrótsze, ale prawdziwe wakacje z rodziną, wypić kawę z kilkoma osobami, które już bardzo długo na takie spotkanie czekają... Odpowiedzieć na kilka listów, zanim moje piękne papeterie pokryją się pleśnią i rozpadną ze starości... A potem napisać kolejną, ostatnią już część przygód Natalii i Niny. Tytuł *Zielarnia nad Sekwaną* sugeruje, że akcja rozgrywa się w Paryżu, ale to tylko część prawdy... Bohaterki będą krążyć między Warszawą, Helem, Trójmiastem, Francją i pewnym uzdrowiskiem...

Jako że będzie to tom ostatni, wyjaśnię się w nim wszystkie zagadki. Swój finał znajdą wątki niedopowiedziane i zawieszony, a także kilka spraw, które wydają się już zamknięte raz na zawsze. Ot, choćby biała suknia ślubna Niny... Powróci ona w

Zielarni... raz jeszcze, całkiem nieoczekiwanie, i wywoła prawdziwe trzęsienie ziemi w życiu bohaterek...

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

CZĘŚĆ I

[NINA](#)

Rozdział 1

[Trafiła kosa na kamień](#)

Rozdział 2

[Mała rzecz, a cieszy](#)

Rozdział 3

[Na górze róże, na dole fiołki...](#)

Rozdział 4

[Nie dziel skóry na niedźwiedziu](#)

CZĘŚĆ II

[NATALIA](#)

Rozdział 5

[W starym piecu diabeł pali](#)

Rozdział 6

[Plotka wylatuje wróblem, a wraca wołem](#)

Rozdział 7

[Dobrze ten schował, kto schował w pamięci](#)

Rozdział 8

[Ksiądz i niewiasta z jednego ciasta](#)

Rozdział 9

[Bez pracy odpoczynek niesłodki](#)

CZEŚĆ III

[ZNOWU RAZEM](#)

Rozdział 10

[Strzeż się psa milczącego i spokojnej wody](#)

Rozdział 11

[Kto nabroił, niech się boi](#)

Rozdział 12

[W nocy wszystkie koty są czarne](#)

Rozdział 13

[Jak cię widzą, tak cię piszą](#)

Rozdział 14

[Sen jest najlepszym lekarzem](#)

Rozdział 15

[Żonaty mężczyzna to martwy mężczyzna](#)

Rozdział 16

[Od przybytku głowa nie boli](#)

CZEŚĆ IV

[CZARCI CYPEL](#)

Rozdział 17

[Serce nie służy](#)

Rozdział 18

[Nie budź licha, kiedy śpi](#)

Rozdział 19

[Tam dom twój, gdzie serce twoje](#)

Rozdział 20

[Im dalej w las, tym więcej drzew](#)

CZĘŚĆ V

[WERANDA](#)

Rozdział 21

[Prawda i cnota ginie od złota](#)

Rozdział 22

[Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki](#)

Rozdział 23

[Co z oczu, to i z serca](#)

Rozdział 24

[Kto pyta, nie błądzi](#)

Rozdział 25

[Żona Cezara jest poza podejrzeniem](#)

Rozdział 26

[Diabeł tkwi w szczegółach](#)

Rozdział 27

[Sola dosis facit venenum](#)

[Epilog](#)

[Od Autorki](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Reklama 3](#)

[Karta redakcyjna](#)



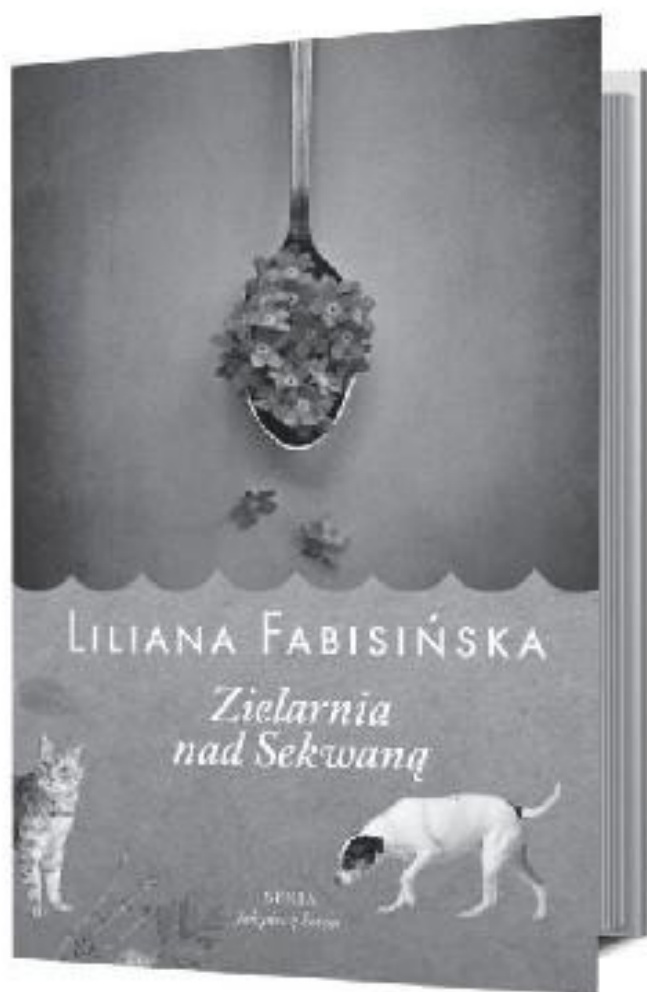
ITOM

*Sanatorium
pod Zegarem*

Ciechocinek, zabawna intryga kryminalna
i piękna obyczajowa opowieść o zamianie ról.

SERIA
Jak pies z kotem

FILIA



Już wkrótce

III TOM

*Zielarnia
nad Sekwaną*

SERIA
Jak pies z kotem

FILIA

Copyright © by Liliana Fabisińska, 2016
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody
Wydawcy.

Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki: Olga Reszelska

Zdjęcie na okładce: © Sandra Cunningham / Trevillion Images

Redakcja i korekta: SEITON, www.seiton.pl Skład i łamanie: Graphito, www.graphito.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: „DARKHART”

Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-169-9

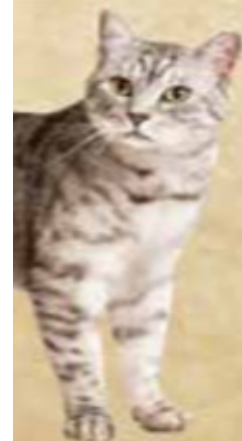
FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl



LILIANA FABISIŃSKA

*Weranda
na Czarcim Cyplu*



SERIA
Jak pies z kotem